

A. PILIPIUK



ZŁO
— ZE —
WSCĦODU



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

Spis treści

Karta tytułowa

Światy Pilipiuka

Gladiator

Antykwariat

Pokusa uśmiechu

Walizka

Zło ze wschodu

Karta redakcyjna

Okładka

A. PILIPIUK

ZŁO — ZE — WSC HODU

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów[®]

Lublin – Warszawa

Światy Pilipiuka

1. 2586 kroków
2. Czerwona gorączka
3. Rzeźnik drzew
4. Aparatus
5. Szewc z Lichtenrade
6. Carska manierka
7. Reputacja
8. Litr ciekłego ołowiu
9. Wilcze leże
10. Zły las
11. Przyjaciel człowieka
12. Czarna Góra
13. Zło ze wschodu

Gladiator



Zima najwyraźniej nie mogła się zdecydować, czy chce nadal nas nękać, czy ustąpić miejsca swojej siostrze – wiosnie... Panowała wyjątkowo obrzydliwa odwilż, śnieg tajał tylko po to, by kolejna fala mrozu mogła ściąć powstałą wodę. Na ulicach i chodnikach wieczorami robiła się paskudna szklanka. Uwielbiałem taką pogodę, o ile oczywiście nie musiałem wychodzić z domu... A dziś nie musiałem. Ani jutro. Ani nawet pojutrze. Miałem zapas drewna do kominka. Miałem pełną lodówkę. Zapas kawy starczyłby na miesiąc. Nawet coś mocniejszego by się znalazło. Mogłem wyłączyć net i telefon, siedzieć spokojnie w fotelu, pić herbatę z odrobiną wina dodaną tylko dla smaku i godzinami czytać, reperować uszkodzone przedmioty lub oprawiać stare książki.

Zadzwonił domofon. Cholera. Jego też mogłem wyłączyć... Na wszelki wypadek rzuciłem okiem na monitor podpięty do kamery, dyskretnie powieszony w bramie. Przed kamieniczką stali pan Piotr, od roku pełniący nieformalną funkcję przywódcy Grona Jarzębiny, oraz nieznan mi starszy mężczyzna w garniturze. Serce zabiło mi odrobinę mocniej. Znałem naszego szefa dobrze, nie był zbyt towarzyski i raczej nigdy nie dzwonił bez powodu. Skoro wybrał się do mnie z niezapowiedzianą wizytą i jeszcze przyprowadził gości, musiało się przydarzyć coś ważnego. Wpuściłem ich i po chwili stali już w moich drzwiach.

– Witaj, Robercie. – Pan Piotr uściśnął mi dłoń. – Mam taką sprawę. Jest ze mną stary znajomy, przybył do nas z Włoch. Ale może najpierw poznacie się, panowie. Pan profesor Matteo Cattani, archeolog. Zgadało nam się o tobie... – przeszedł na angielski.

– Czym zatem mogę służyć? – Zaprosiłem ich gestem do salonu. – A na początek kawy czy herbaty?

Woleli kawę. Uruchomiłem ekspres.

– Pan profesor kopie we Włoszech, konkretnie: w Weronie – zaczął pan Piotr. – W tej słynnej Weronie, gdzie, wiesz, Romeo i Julia...

– Średniowieczne miasto stojące na ruinach miasta rzymskiego w łuku rzeki Adyga. Dobrze zachowany rzymski amfiteatr, most z podobnego okresu, średniowieczny zamek, ruiny teatru, muzeum archeologiczne w dawnym klasztorze, słynne konserwatorium... – zacząłem wymieniać. – I sporo naprawdę starych kościołów. Co do Romea i Julii, niestety, wymyśleni... Zresztą to i lepiej, że wymyśleni, bo coś mi się kojarzy, że zważywszy na wiek dziewczyny, ten „romans wszechczasów” dziś

zakwalifikowalibyśmy pod całkiem poważne paragrafy... Natomiast samo miasto z pewnością skrywa dziesiątki historii znacznie ciekawszych, bo prawdziwych...

– Widzę, że jest pan zorientowany – odezwał się profesor Cattani. – Owszem, badam moje miasto od kilku dekad. Badam je poniekąd podwójnie, gdyż po pierwsze prowadzę wykopaliska, po drugie robię przegląd materiałów i dokumentacji z wykopalisk prowadzonych na przestrzeni ostatnich dwustu lat. I prowadzę kwerendy archiwalne, żeby wiedzieć, gdzie kopać i co znajdę tam, gdzie prowadzi się wykopaliska ratunkowe...

– Rozumiem – powiedziałem. – W Polsce mawia się, że największe odkrycia w naukach humanistycznych wynikają z naszej niewiedzy, a dokonuje się ich, idąc tropem naszych poprzedników...

– Oj, trafne... – Profesor aż pokręcił głową. – W każdym razie obecnie polem mojej pracy jest tak zwana Arena – wyjaśnił. – Prowincjonalny amfiteatr, ale duży i o tyle ciekawy, że faktycznie, jak pan wspomniał, bardzo dobrze zachowany, o niebo lepiej niż słynne Koloseum. W każdym razie trwają prace nad przebudową placu wokół i proszę sobie wyobrazić, natrafiono na fragment „zaplecza”, konkretnie miejsce, gdzie znajdowały się klatki dla dzikich bestii, kuchnie oraz głęboki rów, do którego pospołu trafiały zabite zwierzęta i polegli gladiatorzy. Powiem od razu, że spodziewano się tego, bo przed pierwszą i drugą wojną światową już tam kopano.

– Polegli gladiatorzy – podchwyciłem.

– Na arenę trafiali różni ludzie. Niewolnicy szkoleni, żeby mordować się na oczach panów. Biedacy, którzy wierzyli, że dzięki sile i zwinności zarobią w ten sposób. Skazańcy, kryminaliści, jeńcy wojenni i weterani legionów... A czasami wolni zawodowcy. Jeśli gladiator należał do bractwa pogrzebowego, to znaczy jeśli miał coś w rodzaju wykupionej polisy, gdy zginął na arenie, zabierano jego ciało i zapewniano skromniutki pogrzeb.

– A jeśli nie? – teraz zainteresował się pan Piotr.

– No cóż – westchnął profesor Cattani. – W takim przypadku trafiał do zbiorowego dołu razem z trupami usieczonych zwierząt, a także innymi odpadkami, które zbierano w teatrze po każdej większej imprezie.

– I taki dół planuje pan rozkopać?

– Owszem.

– Chce pan zaprosić do tego przedsięwzięcia mnie? – zdziwiłem się.

– Tak.

– Jestem zaszczycony. Ale dlaczego?

– Większą część zadania powierzę moim studentom. Potrzebuję jednak pomocy kogoś młodego, silnego, a przy tym zaufanego, dyskretnego i o otwartym umyśle. I z wykształceniem archeologicznym, żeby wiedział, co i jak. Jeśli się nie mylę... Oczywiście mogą się mylić... Jest szansa na znaleziska, khm...

Umilkł, jakby nie bardzo potrafił ubrać myśl w słowa. Pociągnął łyk kawy. Zapatrzył się w dno filiżanki. Milczenie przeciągało się i ja pierwszy zdecydowałem się je przerwać.

– Czy to znaczy, że możemy tam znaleźć na przykład rzeczy, w których istnienie nie wierzy oficjalna nauka?

– Całkiem elegancko powiedziane – pochwalił mnie profesor.

– Szkielet, dajmy na to, tygrysa szabłoźnego ubitego na arenie? – indagowałem.

– Nie do końca. – Uśmiechnął się lekko. – Co może mi pan powiedzieć o tych kawałkach metalu? – zagadnął, wyjmując z teczki torebkę strunową.

Obejrzałem znalezisko.

– Powiedziałbym, że to współczesny śmieć. Wygląda jak trzy elementy bransolety od zegarka – zacząłem ostrożnie. – Czy ten metal to stal kwasoodporna, czy nikiel?

– Nikiel.

Przypomniałem sobie dzieciństwo. Warszawska Praga, bazar Różyckiego i staruszek bez nogi nad wielką walizą przedwojennych pięćdziesięciogroszówek. Monety miały już wówczas ponad pół wieku, a wyglądały jak świeżo wybite. Pamiętałem też podobną monetę, tyle że dwudziestogroszową, którą wykopałem w ogrodzie, gdy rodzice wreszcie dorobili się domu. Po latach w ziemi nadal wyglądała „świeżo”. A te detale świeżo nie wyglądały. Wiadomo, gleba glebie nierówna, ale przecież to były Włochy, kraj z natury dość suchy.

– To elementy, które bardzo długo leżały w ziemi – zauważyłem, kładąc jeden z nich pod mikroskopem cyfrowym. – Bardzo gruba, wielowiekowa patyna.

Nacisnąłem przełącznik, powiększając obraz sześćset razy. Patrzyłem może przez minutę na głęboko utlenioną powierzchnię. Uszkodzenia typowe dla bransolety z łączonych elementów. Do tego ziarenka piasku wpięzione w korozję...

– Bardzo długo – powtórzyłem. – Kiedy je znaleziono? – zapytałem ostrożnie.

– W tym właśnie problem. Trafiły się moim poprzednikom podczas wykopalisk w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku – wyjaśnił profesor Cattani.

– Nie mogło dojść do jakiejś pomyłki lub fałszerstwa? Lub podmiiany?

– Jest wpis w dzienniku wykopalisk, a szczegółowo zostały opisane w katalogu muzealnym z roku tysiąc dziewięćset trzeciego. Moi koledzy biorą mnie za wariata. Ale trafiła się okazja, żeby kopać tuż obok tamtego stanowiska. Nie ustaję w nadziei, że znajdę jeszcze coś. Coś, co potwierdzi moją teorię.

– Resztę tego zegarka?

– Albo inne ciekawostki niepasujące do normalnego kontekstu archeologicznego.

– Zetknąłem się kiedyś z czymś w rodzaju cienia dowodu na podróże w czasie – westchnąłem.

Przypomniałem sobie zdjęcie cadyka siedzącego w cieniu czarnych parasoli. I pewne praktyki wykopaliskowe, podczas których zaginął licealista. Ale to był chyba tylko koszmarny sen... Bo dzieciak odnalazł się w końcu, po dwu tygodniach, w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie. I generalnie niczego nie pamiętał.

– Z naukowego punktu widzenia to bzdura, ale jest trochę znalezisk, o których nie mówi się głośno. Niewiele, może kilkanaście przedmiotów w skali Europy, co do których są poważne... nazwijmy to, wątpliwości... – powiedział profesor Cattani. – Zazwyczaj ich odkrywcy nie robili kariery. Archeologia to nauka poważna. Czasami aż za bardzo. Pomyślałem tak: wykopię coś dziwnego sam, narażę się na wykpienie. Jeśli będę miał świadka, i to zagranicznego, może koledzy nie pożąra mnie żywcem. Jeśli zechce pan...

– Będę zaszczycony, mogąc zostać zjedzonym wraz z panem. Kiedy zaczynamy?

– Czternastego kwietnia. Cały potrzebny sprzęt będzie na miejscu.

Weronia to takie „miasto trzydniowe”. Trzy dni ostrego zdzierania zelówek i można pobeżnie zobaczyć większość rzeczy wartych obejrzenia. Rzecz jasna, aby zwiedzić je dokładnie, trzeba poświęcić tydzień. A dla dogłębnego zapoznania się ze wszystkimi zabytkami należy pomieszkać tu kilka miesięcy, jeśli nie lat. Turyści zazwyczaj oglądają dom, który miał należeć do Szekspirowskiej Julii, ze słynnym balkonem zbudowanym w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Czasem odwiedzają kryptę, w której rzekomo dziewczyna miała zostać pochowana. Ci ambitniejsi zwiedzają muzeum koło jednej z dawnych bram i któryś ze starych kościołów. Na drugą stronę rzeki, do muzeum archeologicznego, dotrą nieliczni.

Miałem spędzić tu dziesięć dni. W sam raz tyle, by obejrzawszy to, co oglądają wszyscy, podumać chwilę w zakątkach, do których turyści zazwyczaj się nie zapuszczają. By wydeptać własne ścieżki obok turystycznych szlaków. A na razie czekały mnie pracowite poranki przy łopacie.

Miałem zabukowany pokój w małym hoteliku opodal dawnych murów obronnych. Wyszedłem z budynku. Poranek był przyjemnie chłodny. Włoska wiosna wygląda tak jak u nas aura na proggu lata. I wszystko zielone, a za miesiąc, półtora słońce spali roślinność... Minęły mnie roześmiane dziewczyny. Dwie niosły futerały ze skrzypcami, trzecia z altówką. Mimowolnie odprowadziłem je wzrokiem. Kojarzyłem z mapy, że gdzieś niedaleko znajduje się słynne konserwatorium. Arena była opodal, ale poszedłem okężną drogą, bo chciałem przejść się po mieście teraz, nim ludzie wylegną tłumnie na ulice... Miasto jak to we Włoszech... Wąskie uliczki przypominające trochę wąwozy, zapewniające nawet w środku dnia trochę cienia. Zielone okiennice, kamienne fasady domów. Knajpki i kawiarnie oferujące kawę, marcepanowe ciasteczka, owoce morza, wędliny...

– Najlepsza pizza na świecie jest w Lublinie – mruknąłem, patrząc na szyld mijanego lokalu. – Choć ta z Chełma też niczego sobie!

Na wykopaliska dotarłem godzinę przed czasem. Wzdłuż ściany amfiteatru rozstawiono ogrodzenie z blaszanych paneli, mające chronić miejsce wykopalisk przed spojrzemiami postronnych. Popatrzyłem na mury wzniesione z cyklopich głazów. Arena, nawet zrujnowana, robiła ogromne wrażenie. Jakim cudem ściany przetrwały niemal dwa tysiące lat? Bloki spojono klamrami z brązu, mocowania zalano ołowiem. Nie żałowano też specyficznej zaprawy robionej z wapnia i popiołu wulkanicznego. Po zastygnięciu twardniała niemal jak nasz beton. Solidna konstrukcja, oparła się trzęsieniom ziemi i całym stuleciom dewastacji, kiedy to mieszkańcy korzystali z ruin jak z darmowego kamieniołomu. Pchnąłem blaszaną furtkę. Uchyliła się zachęcająco.

Profesor już był na miejscu, porządkował sprzęt. Machnął dłonią i zatoczył palcami kółko.

Aha. Mam nie przeszkadzać, tylko samemu się rozejrzeć – zinterpretowałem gest.

Korzystając z chwili, przeszedłem się po terenie przyszłych olśniewających odkryć. Nasze stanowisko ulokowano niemal w cieniu murów dawnego amfiteatru. Koparka zdjęła najbardziej współczesne warstwy. Obecny bruk, podsypkę, bruk z końca dziewiętnastego wieku. Poniżej była warstwa zasypiskowa, zapewne związana z częściową odbudową i adaptacją amfiteatru, która nastąpiła w siedemnastym wieku. Wykopaliska nie wyglądały szczególnie imponująco. Wytoczono raptem cztery niewielkie wykopy, każdy o wymiarach dwa na siedem metrów. W pierwszym odsłaniano coś, co wyglądało jak relikty kuchni dla personelu albo coś w rodzaju lokalu z fast foodem, a może miejsca, gdzie przygotowywano przekąski dla widzów. Wykop

przeciał budynek, widziałem ściany z charakterystycznej płaskiej rzymskiej cegły. W glebie aż czerwieniało od setek okruchów ceramiki. Ruiny pieca dopiero zaczęto oczyszczać. Stos przepalonych, pokrytych pradawną sadzą cegieł nie tworzył żadnej sensownej całości. Ciekawe, co tu serwowano? Koszatki pieczone na patyku? Podpłomyki? Okrągłe chleby nacięte na krzyż, jakie znamy z Pompejów? A może suchą kielbasę z orzechami, o której wspominali starożytni autorzy?

Z tego, co doczytałem, w drugim wykopie spodziewano się równie ciekawych odkryć – radar geologiczny pokazał płataninę murów. Zapewne ziemia kryła bliżej nieokreślone budynki gospodarcze. Profesor zakładał, że mogą to być stajnie i zagrody dla zwierząt używanych potem na arenie. Obecnie widać było tylko szarą glebę upstrzoną kawałkami gruzu i kamienia. Naprawdę ciekawe rzeczy zalegały głębiej, może metr poniżej przygotowanej i splantowanej powierzchni.

Profesor nadszedł po chwili. Przebrał się w szorty, a na stopy wzuł ciężkie buty, idealne do pracy szpadlem.

– Tu będzie nasz trzeci wykop – wskazał. – A ten szeroki pas wymieszanej ziemi to ślad po pracach naszych kolegów z końca lat trzydziestych. Odsłonięto wówczas ślady łaźni lub zajazdu, prawdopodobnie starszego o kilkadziesiąt lat od Areny. W miejscu, gdzie będziemy prowadzić badania, można się spodziewać przedłużenia tego budynku. A płytki sondaż czwartego stanowiska wykazuje, że w czasach rzymskich był tam śmietnik, czyli to, co archeolodzy bardzo lubią.

– Warto wszystko odsłonić szerokopowierzchniowo. Bo to, co zrobimy, jest raczej rzutem oka w przeszłość, a nie poważnymi badaniami – powiedziałem. – Zmieniają nawierzchnię, więc jest okazja zajrzeć, co jest pod spodem.

– Warto, ale nie ma funduszy. Stanowisko nie jest zagrożone, więc poczeka sobie na naszych następców, może nawet kolejne sto lat. Za Mussoliniego – zniżył odruchowo głos – badali inaczej. To były złote czasy dla archeologii. Było trzeba odsłonić rzymskie fundamenty, więc bez mrugnienia okiem burzono całe hektary współczesnej zabudowy. Szkoda, że nie pomyślano wtedy o odsłonięciu Herkulanum.

Profesor jako żywo nie wyglądał mi na faszystę, ale zauważyłem na jego twarzy wyraz dziwnego rozmarzenia.

– Dzisiejsze Herkulanum stoi na miejscu starożytnego miasteczka – zagadnąłem.

– Dokładnie w tym samym. Gdybyśmy mieli inny klimat polityczny, zmiotłoby się tę wiochę i zdjęło pokład skamieniałego wulkanicznego błota odkrywkowo. Wystarczy zejść dwanaście metrów w dół. Na badacza, który pierwszy się tam wedrze, czekają skarby wspanialsze niż w Pompejach. Słyszałeś o pracach profesorów Brenta Sealesa i Daniela Delattre'a?

– Prześwietlanie zwęglonych ksiąg papirusowych ultrawąską wiązką lasera rentgenowskiego, wykonywane w CERN?

– Tak. Księgi z Willi Papirusów w Pompejach. Niektóre, te najmniej uszkodzone, odwinęto jeszcze w osiemnastym wieku, kolejne w dziewiętnastym i dwudziestym. Ale kilkaset to po prostu spalony brykiet. Uznano, że ich odczytanie nie będzie możliwe nigdy. A jednak się udało.

– Słyszałem o tym tylko piąte przez dziesiąte – wyznałem. – Odkryto, że rzymski atrament oprócz sadzy zawierał związki żelaza, co pozwoliło na prześwietleniach odróżnić zwęglone litery od zwęglonego ła.

– Tak. To zasługa naszego rodaka. Profesor Vito Mocella. To nazwisko zapisze się złotymi zgłoskami w dziejach włoskiej archeologii. Jego metoda pozwala odnaleźć

naprawdę śladowe ilości metali użytych w dawnych atramentach. I pomyśleć, że zawodowo badał między innymi pozostałości narkotyków znajdujących na miejscu przestępstw. Fascynujące, że wiedza wykorzystywana do walki z brudami naszego życia nagle posłużyła, żeby to życie uwznioślić i dopełnić! Już pierwsze cztery analizy przyniosły sensację. Wyobraź sobie, zwęglone rolki zawierały oryginalne pisma filozofa Epikura! Do tej pory znaliśmy wyłącznie streszczenia i cytowania w pracach jego uczniów i następców. A teraz wyobraź sobie bibliotekę gimnazjonu w Herkulanum. Miejsce, gdzie zebrano księgozbiór podstawowy, zestaw lektur do nauki synów bogatych Rzymian. Na przykład słynne zaginione dzieło historyczne, setkę biogramów wybitnych mężów rzymskich z ich portretami! Albo zaginione wiersze Safony. Zapewne pod zwałami błota znajdziemy też zestaw dramatów, które młodzieńcy z rodów patrycjuszowskich wystawiali na szkolnej scenie. Weźmy takiego choćby Sofoklesa... Z czego dziś go znamy? Z kilku zachowanych tragedii, ponurych jak noc. A kim był dla siebie współczesnych? Satyrykiem, twórcą wspaniałych komedii, które znamy tylko z tytułów.

– Komedie autora „Antyfony”. – Przez chwilę smakowałem tę myśl.

– Albo prace Arystotelesa! Takie skarby myśli ludzkiej czekają pod zwałami skamieniałego błota! Tak w ogóle, znamy tylko półtora procent tekstów starożytnych, o których wiemy, że istniały. A one tam są. Czekają na nas. Boisko gimnazjonu przed paru laty namierzono radarem geologicznym. Trzeba tylko sporych pieniędzy, a co najważniejsze, woli działania. Nasz rząd, niestety, skąpi grosza, a woli działania nie przejawia wcale – rozżalił się.

– Coś jak u nas – westchnąłem. – A jacyś sponsorzy?

– Trudna sprawa. Godzina pracy laserów w CERN to dwadzieścia pięć tysięcy dolarów... Żeby dokonać wirtualnego rozwinięcia zwęglonego zwoju, trzeba go prześwietlić w różnych płaszczyznach i pod różnymi kątami. Dwa miliony zdjęć na jedną księgę. Oczywiście maszyna robi kilkadziesiąt na sekundę, ale mimo wszystko... Zresztą... – Machnął ręką. – Jak wykopiemy zwoje, chęć ich odczytania ułatwi pozyskanie środków. Ale trzeba zacząć od buldożerów! Jak za Mussoliniego. Usunąć głupie przeszkody badawcze! Zburzyć bezwartościowe współczesne miasteczko. I sięgnąć w głąb ziemi.

Archeologia totalitarna, pomyślałem. Od strony naukowej liczne plusy, ale ludzie, którzy od pokoleń mieszkali w osiemnastowiecznej dzielnicy, wyburzanej, by odsłonić Forum Romanum, pewnie widzieli to inaczej...

Poczułem, że ktoś mi się przygląda. Rozejrzałem się i spostrzegłem sporego kocura, który siadł sobie w jednej z arkad i przypatrywał mi się z góry.

– Pokażę ci mój najnowszy nabytek. – Uczony zdjął plecak z ramienia, rozsznurował go i w kilka minut złożył nieduży wykrywacz metali.

Dłuższą chwilę kalibrował sprzęt. Potem ruszył, szerokimi zamachami kosiarza omiatając ziemię. Wreszcie wyłączył czujnik i wrócił do mnie. Podpiął do urządzenia tablet i pokazał mi na nim trójwymiarowy plan stanowiska z naniesionymi odczytami.

– Nowa generacja sprzętu. Bardzo udany model. Program komputerowy na podstawie GPS robi od razu mapę, nanosząc namierzone artefakty. Jasnozielony to przedmioty z brązu, czerwony to żelazne – wyjaśnił. – Spróbujemy teraz powiększyć...

Wyrób z brązu miał kształt z grubsza wężyka. Kontury były rozmyte, ale nie wiedziałem, czy to normalna rozdzielczość urządzenia, czy może produkty korozji zakłóciły odczyt.

– Rozgięta bransoleta albo bardzo duża fibula. Ewentualnie kawałek drutu – zastanawiał się profesor. – Masa między czterdzieści a siedemdziesiąt gramów.

– A te cętki? – zaciekawiłem się.

– Jest tu masa drobnych kropli zastygniętego ołowiu, pewnie dach nad najwyższą arkadą był pierwotnie pokryty nie dachówką ceramiczną, tylko cienką ołowianą blachą. Podczas pożaru stopiła się, ha, temperatura była na tyle wysoka, że metal wyparował, a potem opadł gorącymi kroplami. No i mamy w glebie efekt, jakby ktoś sypanął śrutem. Zwróć uwagę, jak się układają.

– Można domniemywać, że podczas pożaru wiatr wiał z tamtej strony...

– Też tak mi się wydaje! Tworzymy dziś archeologię przyszłości! – Puszył się, jakby był twórcą tego urządzenia. – Jest tu w glebie też sporo gwoździ... Z różnych epok i różnych surowców. Co więcej, to urządzenie ma wbudowany rodzaj spektrometru, co pozwala rozpoznać stopy takie jak brąz, cynkał, spiż. Pokazuje, czy srebro jest wysokiej próby, czy ma jakieś domieszki... A czasem nawet identyfikuje, jakie i ile.

– A zasięg?

Profesor, słysząc to pytanie, wyraźnie zmarmotniał.

– No cóż, cudów nie ma... Taki efektywny będzie do, powiedzmy, pół metra. Ale masywniejsze przedmioty namierza spokojnie na głębokości ponad dwukrotnie większej. Producent pracuje już nad wersją ramową. To pozwoli sięgnąć jeszcze głębiej.

– Ile kosztuje takie чудо? – zapytałem zachwycony.

– Trzydzieści osiem tysięcy euro...

– Hmm... No tak. – Mój entuzjazm trochę opadł.

– Psik! – Profesor tupnął na kota, który najwyraźniej zaciekawiony nami, zlął jakoś na dół i teraz przyglądał nam się, siedząc na bryle gruzu. – Nie wytrzymam z tym futrzakiem. Zasadniczo lubię koty, ale ten przybłąda strasznie mnie wkurza. Wszędzie włązi... Moje studentki, zamiast patrzeć w ziemię, gapią się na kota...

– Ładny jest – mruknąłem. – Tricolor... A dziewczyny już tak mają, że lubią dzieci i zwierzęta... Instynkt taki. Opiekuńczo-macierzyński.

Powoli schodziła się reszta ekipy. Profesor przedstawił mnie swoim studentom. Miał na praktykach sześciu chłopaków i cztery dziewczyny. Oczywiście natychmiast pozapominałem imiona... Rozdzielono zadania. Profesor przydzielił mi dwójkę praktykantów i wykop. Punkt ósma wbiliśmy łopaty. Powoli wgrzaliśmy się w głąb ziemi, w głąb przeszłości. Cała wydobyta gleba trafiała na plandeki, miała zostać potem przesiana i rozplukana.

To powinienem robić przez całe życie, pomyślałem. Kopać, stawiać pytania i szukać na nie odpowiedzi w ziemi...

Kot znów przyszedł i obrzucił nas wyniosłym spojrzeniem. Był ładny i poruszał się z gracją, ale faktycznie dezorganizował nam pracę... Przegoniłem go. Poszedł do „sąsiadów”, gdzie dwie studentki przesiewały urobek przez duże sita. My wróciliśmy do pracy, a za to z za hałdy przez kilka chwil dobiegało radosne szczebiotanie, z którego wyłapałem słowa: gattino piccolo. Mało miałem w życiu do czynienia z włoskim, ale to akurat nietrudno było zrozumieć.

Malutki koteczek!? – zdumiałem się. Wielki, wredny kocur, łeb jak rzepa...

Skupiłem się na robocie. Dłuższy czas nie znajdowaliśmy kompletnie nic ciekawego. Tylko okruchy kamienia, cegły i pojedyncze skorupy naczyń oraz dachówek z różnych epok. Powoli pogłębialiśmy naszą dziurę. Od czasów, gdy na arenie ginęli gladiatorzy, minęło naprawdę wiele czasu, a i starożytni trupy chyba woleli zakopywać głęboko. Odsłoniliśmy wreszcie zarys fragmentu rowu. Splantowaliśmy kolejny raz

teren łopatom, potem profesor, nie żałując wody, zlał wszystko szlauchem. Poczekaliśmy, aż wsiąknie, i doczyściliśmy grackami. Szara podłużna plama była zapewne zbiorowym grobem ludzi i zwierząt. Przecinały ją dwa jaśniejsze prostokąty przemieszanej ziemi – ślady po wykopach naszych poprzedników, archeologów, którzy kopali tu u progu dwudziestego wieku, a potem sondażowo w czasach Mussoliniego. Do końca dnia udało się zejść pół metra w głąb.

Odwaliliśmy z pięć metrów sześciennych, pomyślałem, prostując bolące plecy. Dziesięć, może dwanaście ton ziemi... Popatrzyłem na sita i do stojącej obok plastikowej kuwety na artefakty. Ale dziewczyny nie znalazły niczego ciekawego. Dwie drobne monety z początków dwudziestego wieku, kilka paciorków, trochę skorup, przeważnie nowożytnych.

*

Kolejne dni upływały na tej samej miłej, ale trochę monotonnej robocie. Profesor co jakiś czas przychodził, omiatał stanowisko swoim superwykrywaczem. Przesiewaliśmy ziemię. We wtorek trafił się spory kawałek ładnej czarki terra sigillata. Była ozdobiona tłoczoną scenką rodzajową. Rzymianie odciskali takie naczynia z gotowych matryc. W Polsce podobne znalezisko byłoby ukoronowaniem dnia badań – tu wzbudziło jedynie przelotne zainteresowanie... Złapałem rytm. Rano kopaliśmy, dopóki słońce nie zaczęło zanadto dokuczać. W południe była sjesta. Po południu kopaliśmy kolejne cztery godziny. Sprzęt na noc składaliśmy do magazynu – wygospodarowano nam spore pomieszczenie pod zewnętrzną arkadą Areny. Od strony placu zamurowano je w dziewiętnastym wieku, dostępu do środka broniły solidne stalowe drzwi. Przez jakiś czas był tu magazyn sklepowy, pod ścianami pozostały szafy i regały. Wszystkie nasze graty, cenniejszy sprzęt i ewentualne znaleziska można tu będzie wygodnie porozkładać. Popołudniami włączyłem się z profesorem po mieście. Wieczorami pijałem wino ze studentami.

Dopiero w czwartek odsłoniliśmy wreszcie coś konkretnego. Najpierw pojawiły się kości niedźwiedzia, potem kilka końskich. Wyczyściliśmy grackami cały obszar. Zacząłem odsłaniać gnaty szpachelką. Przygotowywałem też stanowisko do wykonania dokumentacji fotograficznej. Profesor stanął na krawędzi wykopu i przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– Masz do tego wyraźny dryg – zauważył. – Czemu nie zostałeś archeologiem tam u was, w Polsce?

– Przepisy się zmieniły, gdy kończyłem studia. Nie mam prawa wykonywania zawodu – wyjaśniłem.

Pokręcił zdumiony głową. Narysowałem, sfotografowałem, wyjąłem gnaty i ułożyłem je w plastikowych skrzynkach. Jeszcze kilka ruchów gracką i odsłoniłem ludzką łopatkę. Profesor przywołał jedną z dziewczyn i zabraliśmy się do pracy we trójkę. Kości nie zdradzały imion, ale opowiadały nam historie życia i śmierci tych ludzi. Przedramię ze zgruchotanymi kośćmi, połamane żebra, kawałek złamanego ostrza nadal tkwiący w kości krzyżowej... Głowa kolejnego nieboszczyka była paskudnie wgnieciona. Pęknięcia kości układały się w prostokąt. Ranny oczekiwał na łaskę, na las kciuków uniesionych do góry. Ale decyzja tłumu żadnego krwi

najwidoczniej była inna. Podszedł więc wyznaczony egzekutor w masce etruskiego boga śmierci i dobił go specjalnym młotem osadzonym na długim stylisku...

Kot przyszedł, popatrzył, co robimy, i poszedł w diabły, to znaczy do sąsiedniego wykopu. Tam najwyraźniej okazywano mu więcej uwagi.



– *Ciao, gattino adorabile!*

– *Bello, simpatico...*

– *Piccolino!*

Radosne szczebioty odbijały się echem od antycznych murów. Odślanialiśmy gnaty ostrożnie, staraliśmy się maksymalnie usunąć glebę, by można było wykonać dokumentację rysunkową i fotograficzną. Ziemia schła szybko, spryskiwaliśmy ją zraszaczami. Nie było łatwo rozdzielić kości pochodzące z różnych ciał. Ciała w chwili „pogrzebu” zwalono jedne na drugie, a gdy tkanki miękkie wygniły, szczątki ludzkie i zwierzęce pozapadały się w siebie, wymieszały. Ziemia wypełniła oczodoły, wnikała między żebra i kręgi...

W zbiorowej mogile na jednego nieboszczyka przypada początkowo około stu decymetrów sześciennych – przypomniałem sobie zajęcia poświęcone ofiarom totalitaryzmów. Potem wszystko ulega sprasowaniu pod naciskiem warstw ziemi.

Jaki jest współczynnik redukcji? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Kości kolejnych nieszczęśników trafiały do plastikowych skrzynek. Przy zabitych nie było prawie żadnego wyposażenia – już na arenie poza uzbrojeniem niewiele mieli przy sobie, a po śmierci obdarto ich ze wszystkiego... Trzeci szkielet, leżący z brzegu, był jakiś nietypowy. Leżał przy samym dnie zasypiska grobowego, jedna ręka kończyła się na wysokości łokcia. W tym miejscu kończyła się też warstwa kulturowa. Gleba obok była przemieszana. Zapewne reszta kości została wydobyta podczas poprzedniej eksploracji rowu – przed przeszło stu laty.

– To może być ten od zegarka... – powiedział cicho profesor.

Przyjrzałem się znalezisku i kiwnąłem głową, przyznając mu rację. Czaszka była chyba delikatniejsza niż pozostałe. Głowa zmarłego z jednej strony została niemal zmiażdżona. Odśloniłem piszczel i kość udową. Zmierzyłem je i podałem wynik. Profesor wyjął z aktówki tablice, podstawił dane do tabel.

– Za życia miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu – powiedział. – Jak na tamte czasy, był nieomal olbrzymem.

– Ale kości cieńsze niż u „sąsiadów” – zauważyłem.

– Popatrz w tym miejscu. – Uczony wskazał mi chropowate miejsca po zaczechach mięśni i ścięgien.

Nie musiał mi niczego tłumaczyć, sam mogłem ocenić, że ten człowiek niewiele w życiu pracował fizycznie. Na jego kościach nie było też śladów po urazach ani deformacji, które powstają w wyniku chorób czy trudnych warunków życia...

– Może to jakiś bogacz, rzymski arystokrata, który coś nawywiązał albo komuś poważnie podpadł i trafił na arenę jako skazaniec – zauważyłem.

– To możliwe... – Profesor powściągliwie kiwnął głową. – Na kościach gladiatorów często są ślady urazów, złamań i tak dalej.

Wydobyłem z grobu zgniecioną czaszkę. Była ciężka, przez te wszystkie wieki ziemia wnikała do środka, aż wypełniła ją w całości. Oglądałem w skupieniu. Pęknięta od jakiegoś ciosu kość skroniowa. Ślad po cięciu nad lewym okiem. Krawędzi kości były ostre, w każdym razie nie zaczął się nawet proces zarastania ubytku. Wsunąłem w cięcie kartkę i odrysowałem krzywiznę. Broń nacięła głowę do głębokości maksymalnie dwu centymetrów. Cios pewnie zadano mieczem. Mózg mógł zostać uszkodzony. Czy to było przyczyną zgonu? Niewykłuczone, ale równie dobrze mogło być inaczej. Po takim urazie gladiator zapewne stracił przytomność. Nawet jeśli nie, podczas walki krew zalewała mu oczy. W tej sytuacji stał się dla przeciwnika łatwą ofiarą. Przekazałem czaszkę profesorowi. Chwilę oglądał potrząskane miejsce.

- Pęknięcia nie tworzą żadnego logicznego układu - orzekł wreszcie. - Zazwyczaj, gdy dobijano rannych, walono w skroń albo przetręciano kark...

Wyjąłem zuchwę i cicho gwizdnąłem przez zęby. Dwa detale nie pasowały mi do tak zwanego kontekstu antropologicznego. Po pierwsze zmarły miał zbyt równe zęby. Żadnych wad zgryzu. Po drugie w miejscu, gdzie trzech zębów brakowało, spostrzegłem w kości otwory i dziwne przebarwienia. Czy był tu kiedyś mostek? Osadzony na implantach?

- Co powiesz? - zagadnął profesor.

- Że nie bardzo jestem w stanie uwierzyć własnym oczom - bąknąłem. - Podejrzewałbym, że to mafia zakopała jakąś ofiarę w zbiorowym grobie gladiatorów, ale warstwy powyżej były nienaruszone...

Przekazałem mu kość. Oglądał ją długo. Zbadał otwory, używając mocnej lupy.

- Widzę w kości ślady rowków - powiedział zduszonym głosem. - Jak gwintowanie.

- Rzymianie nie znali śrub...? - wolałem się upewnić.

- Nie. Była oczywiście śruba Archimedesesa, ale służyła do zupełnie innych celów, no i w Rzymie nie była popularna. Pierwsze połączenia gwintowane to dopiero sam koniec osiemnastego wieku. Zastanawiam się, czy te rowki nie mogły powstać podczas zwykłego wiercenia, ale to też wykluczone. Rzymianie, owszem, czasami robili tak, że w miejsce brakującego zęba wstawiali protezę z kości słoniowej albo prawdziwy ząb pochodzący od kogoś innego. Wtedy takie uzupełnienie mocowano drutem, wierząc dziurki w sąsiednich zębach. Ale tu mamy coś radykalnie innego, dziury wiercone w kości zuchwy! Zróbmy dokumentację fotograficzną i rysunkową. Potem wypreparuj mi kości do skrzynki, zabiorę je do pracowni, wyczyszczę i spróbuję coś jeszcze z nich wyczytać. Ziemia na sita... A ja jeszcze poszukam reszty zegarka.

Objechał swoim magicznym wykrywaczem dno wykopu, ale nie znalazł nic ciekawego. Zadokumentowaliśmy wszystko starannie. Zbliżała się pora sjeisty. Zeszliśmy z terenu wykopalisk jako ostatni. Nie chcieliśmy zostawiać tak ciekawego znaleziska pod gołym niebem, wybraliśmy zatem wszystkie kości, odczyściliśmy z ziemi i złożyliśmy w kontenerze. Poskładaliśmy sprzęt, zamknąłem budkę narzędziową na klucz. Profesor zatrasnęła drzwi magazynu i sprawdził, czy na pewno zostały zamknięte. Studenci rozbiegli się na obiad do domów, a ja siadłem z profesorem przy stoliku w knajpce rzut beretem od miejsca naszych wykopalisk.

- Ma pan kolejny dowód... - zacząłem. - No, może nie dowód, ale bardzo mocną poszlakę. Zuchwa ze śladami ingerencji dentystycznej znacznie bardziej zaawansowanej niż w Rzymie. Co dalej?

- To dobre pytanie - westchnął. - Na razie wrzuciłem fotografie do sieci i zobaczymy, co powiedzą moi uczeni koledzy... Pewnikiem się zagotują.

Zjedliśmy makaron z pesto i sosem bolońskim, który zupełnie nie przypominał tego serwowanego w Polsce. Popiliśmy sokiem z pomarańczy i kawą, też zaparzaną inaczej, niż przywykłem. Kelner zaproponował po kieliszku limoncello. Jadłem, piłem i w zadumie spoglądałem na wysokie mury amfiteatru.

- Zawsze wolałem Egipt - powiedziałem. - Dla ilu ludzi widok tych arkad był ostatnim w życiu? Ilu przeszło przez te sklepienie korytarze, żeby zginąć na piasku areny? A publiczność? Co trzeba mieć w głowie, żeby traktować jako rozrywkę widok ludzi rozpaczliwie walczących na śmierć i życie? Patrząc na dobijanie rannych? Paskudnym miejscem był ten starożytny Rzym... Obrzydliwa cywilizacja, nieludzko okrutna, mieląca ludzi jak maszynka do mięsa.

– Ja dla odmiany nie lubiłem nigdy Egiptu – odparł uczony. – Te ich fiksacje na punkcie grobów, pogrzebów i życia pozagrobowego... Mumie ludzi i zwierząt, grobowce. Z punktu widzenia archeologa coś wspaniałego. Ale patrząc szerzej... Może mi się wydaje, ale takie ciągłe życie w cieniu nieuchronnej śmierci nie jest zdrowe. Choć zapewne też patrzę jednostronnie, ci ludzie nie byli jakoś bardzo odmienni od nas. Lubli zjeść, wypić, uganiali się za kobietami i innymi przyjemnościami życia. A Rzym? No cóż, jego legiony zdeptały pół świata, ale ta cywilizacja niosła jednak podbitym ludom postęp. Prawo jedno dla wszystkich, pismo, systemy miar, sieć dróg bitych, nowoczesne, jak na tamte czasy, rolnictwo – wyliczał. – I przede wszystkim spokój. Wojny między plemionami wygaszano. Legiony broniły granic, odsuwały zagrożenia dalej i dalej.

– Podatki – podrzuciłem inny argument. – I zwyczaj ich dzierżawienia, który sprawił, że celnicy, czyli właśnie poborcy, byli najbardziej nienawidzoną i pogardzaną grupą społeczną... Co dokładnie pokazuje Nowy Testament.

– Niewiele wiemy o systemach podatkowych na przykład Galii czy Wysp Brytyjskich w okresie przed podbojem przez imperium. Powiem tak. Dzieje ludzkości to okresy imperialne i postimperialne. Imperia inwestowały w artystów najwyższej klasy i budowały wspaniałe obiekty, ale powstawały one głównie w stolicach. Gdy zaś świat rozpadał się na mozaikę księstw, lokalni feudałowie zdobili swoje siedziby i kościoły dziełami może ciut niższej klasy, ale za to w znacznie większej liczbie. Tu, we Włoszech, widać to doskonale, zwłaszcza gdy się podróżuje, mając w głowie mapę średniowiecznych państewek. No ale wystarczy tych rozważań. Zobaczmy, czy są jakieś komentarze. – Wyjął tablet i zalogował się do sieci.

Przez chwilę wpatrywał się w ekran. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– Nie mogę znaleźć... Tak jakby ktoś mi skasował całą stronę – warknął. – Tyle roboty na marne... Ale kto i po co?

– Mam bardzo złe przeczucia – powiedziałem powoli.

Zrozumiał w jednej chwili. Poblądł i włożył pod talerz dwa banknoty. Puścił się pędem. Ruszyłem za nim. Jak na swój wiek, biegł naprawdę szybko. Pod magazynem byliśmy może po pięciu minutach. W pierwszej chwili wydawało się, że wszystko jest w porządku. Drzwi były zamknięte, tak jak je zostawiliśmy. Ale gdy weszliśmy do środka, od razu spostrzegliśmy, że brakuje połowy zuchwy. Tej ważniejszej połowy. Zostawiliśmy ją na stole.

Profesor złapał leżący na stoliku obok aparat. Karta pamięci była na miejscu, ale ostatnie pięćset fotografii wykasowano.

– Kto i jak!? – syknął.

– Kto miał klucze?

– Tylko ja i zarządca budynku.

– Zazwyczaj do nowego zamka dają w zestawie cztery klucze. Niektóre firmy pięć. Pytanie, gdzie są dwa lub trzy pozostałe? Tu jest monitoring? – zapytałem.

– Obejmuje plac i teren wykopalisk. Na same drzwi nie jest skierowany, ale będzie widać, kto podchodził. Jeśli mam kreta wśród studentów, zaraz sprawdzimy.

Skoczył do skrzynki w kącie. Po chwili podał mi kartę pamięci. Uruchomiłem laptop. Cofnąłem film o czterdzieści minut. Kamera złapała obraz profesora, który do niej podszedł, a po chwili wrócił. Potem już nic. Plac był pusty, nikt nie przeskoczył przez ogrodzenie, nie przyszedł żaden ze studentów. Nad płotem pojawiły się dwie

głowy jakichś ciekawskich, ale tylko pogapili się chwilę, wymienili jakieś uwagi i zniknęli. Nie wyglądali na złodziei. Kot przebiegł...

– Nie wierzę w czary! – burknął naukowiec.

– Może do magazynu jest jakieś tajne przejście? – zadumałem się. – Za którąś z szaf?

– Jedyne wytłumaczenie! Zaraz poszukamy. I pomyśleć, że zostawiłem tu moje cacuszko. – Podniósł wykrywacz i impulsywnie przytulił do piersi.

Urządzenie zabuczało.

– Ajajaj... Nie wyłączyłem i prawie wyładowała się bateria – mruknął, patrząc na wyświetlacz. – To nic, zaraz się podładuje, a na razie zgram wyniki pomiarów, żeby i to się nie skasowało.

Podpiął urządzenie do ładowarki. Kartę pamięci z wykrywacza przełożył do tabletu. Przez chwilę przeglądał pliki z nagraniami.

– Na szczęście wszystko jest – odetchnął z ulgą. – Ale, ale, jeszcze jeden odczyt – zdziwił się. – To chyba wtedy, gdy leżał w pracowni... Dziwne, do pracy wymaga ruchu cewki...

– Może złodziej go oglądał? – zasugerowałem. – Pomachał w stronę jakichś gratów, ale pomyślał, że to zbyt skomplikowany sprzęt, i zrezygnował z kradzieży?

– Zaraz, gdzieś tu był program do wizualizacji...

Kliknął coś na ekranie. Obraz artefaktu był zamazany, ale w polu działania urządzenia ewidentnie znalazł się na chwilę jakiś metalowy przedmiot, bo obok kolorowych plam wyświetlił się wykres kołowy podający charakterystykę stopu.

„Masa obiektu około 1371 gramów. 64% tytanu, 11% żelaza, 8% miedzi, 7% metali szlachetnych, 5% ołowiu, 3% uranu, 2% złota” – odczytaliśmy zbaraniałi.

– Co, u diabła!?! Godzina odczytu... Gdy byliśmy na obiedzie! Może to dane aparatu fotograficznego albo laptopa... – zamyślił się uczony. – Ale skąd tak dziki skład? Tytan to jeszcze rozumiem, czasem się go używa w obudowach urządzeń, ale uran?!

– To był kot – szepnąłem. – Ten tricolor, który za nami laził.

– Bzdura, nie miał przecież metalowej obroży – powiedział i umilkł.

– Gladiator był podróżnikiem w czasie. Coś musiało pójść nie tak... Zginął na arenie. Znaleźliśmy ślady, na które nie mieliśmy prawa się natknąć. Skoro podróże w czasie są możliwe, zapewne ktoś tego pilnuje – rozważałem. – Zorientowali się, że jesteśmy na tropie, i wysłali kociego robota, żeby posprzątał, zatarł ślady... My pamiętamy, ale to widocznie bez znaczenia. Twarde dowody wyparowały. Idę o zakład, że w pudełku nie ma też elementów bransolety, a jutro nie znajdziemy nawet tego zapisu ani w komputerach, ani w pamięci urządzenia...

– Brzmi to idiotycznie, ale... – zaczął i urwał.

Odsunęliśmy jeszcze na wszelki wypadek wszystkie szafy. Tajnego przejścia nie było. Jediną istotą, która zbliżyła się do drzwi w feralnym czasie, był kot. Jak je pokonał? Widocznie miał swoje sposoby...

*

Przez kolejne sześć dni sprzyjało nam szczęście. Znaleźliśmy różności. Czaszkę lwa, w którego oczodole nadal tkwił skorodowany grot włócznie, kubek z brązu, kilka elementów uzbrojenia gladiatorów, garść szklanych ampulek, zawierających

pierwotnie pachnidła lub lekarstwa. Odsłoniliśmy relikty budynków zaplecza Areny. Były to ciekawe znaleziska. Dziennikarze nasmarowali dwa artykuły, a raz nawet przyjechała do nas telewizja i profesor Cattani oprowadził dziennikarzy, opowiadając o funkcji odsłanianych obiektów. Ja też wydukałem po włosku kilka zdań do kamery. Przez te sześć dni co jakiś czas ukradkiem rozglądałem się wokoło, lecz ani razu nie spostrzegłem żadnego kota. Ani razu nie usłyszałem też radosnego dziewczęcego szczebiotu układającego się w słowa: *gattino piccolo*.

Antykwariat



Zaparkowałem tam, gdzie zazwyczaj, i wysiadłem z auta. Omal nie wdepnąłem w okazałą psią kupę leżącą na chodniku. Zepchnąłem ją krawędzią podeszwy na trawnik. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Wiatr pędził po niebie chmury. Zanosiło się na deszcz. Wrześniowy wieczór przyszedł dziś wcześniej... Do najbliższej latarni był spory kawałek. Oparłem się o bok samochodu i popatrzyłem na budynek po drugiej stronie ulicy. Przedwojenna kamieniczka, bardzo podobna do tej, w której mieszkałem, tylko niższa i bez bramy. Na parterze był niegdyś sklepik, na piętrze mieszkanie lub kilka mniejszych. Dom stał martwy, ciemny, opuszczony od wielu dekad. Tynk odpadał płatami z elewacji. Na murze widać było wysolenia – efekt wilgoci ciągnącej od gruntu. Z drzwi i framug okien łuszczyła się farba. Kraty zbrązowiwały od rdzy. Pustostan, zapewne nadający się jeszcze do remontu, w mieście, gdzie ceny metra kwadratowego dawno już oszalały. A jednak nikt jakoś nie był tą kamienicą zainteresowany.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem naprzeciw wejścia. Wystarczyło wyciągnąć dłoń, by dotknąć drzwi, u dołu pokrytych błotem, wyżej straszących ostrą łuską farby. Z szyldu zostały tylko zardzewiałe haki, głęboko wbite pomiędzy cegły. Obok czerniało okno dawnej wystawy – wysokie, o szerokich parapetach i szybach zarośniętych brudem. Wiedziałem, że jeśli podejdziesz się jeszcze bliżej i poświęci latarką, przez firanki pajęczyn będzie widać opuszczone, zdewastowane wnętrze sklepu, ściany z resztkami szlaczków malowanych wałkiem, piec kaflowy i połamane dechy podłogi oraz drzwi na zaplecze. I w zasadzie nic więcej.

– Nabiłem sobie głowę głupią legendą. Tu przecież nic nie ma. Pora jechać do domu i tyle – mruknąłem.

Ale jakoś nie mogłem się stąd ruszyć. Za dużo się nasłuchiwałem o tym miejscu przez ostatnie kilka lat. Czułem, że mam przed sobą klucz do jakiejś zagadki... Włamać się? Zamki zarosły rdzą, ale dałbym radę, jak nie od frontu, to od tyłu. Tylko po co? Nawet drzwiczki pieca wyrwano dawno temu. Czy coś może się zmienić, jeśli znajdę się w środku? Stałem, wahając się. Menel pojawił się jakby znikąd. Poprzedziła go fala intensywnego smrodu...

– Kierownik poratuje spragnionego... – zagadnął.

– Nie ma opcji. – Popatrzyłem na niego niechętnie.

Był stary, raczej drobny i straszliwie wyniszczony przez alkohol. Nie stanowił dla mnie zagrożenia. Miał wąskie dłonie, widać było, że pracował niegdyś raczej głową niż rękami. Łach na jego grzbiecie był kiedyś marynarką od garnituru. Ogólnie sprawiał

wrażenie inteligenta, który w pewnym momencie życia przegrał z nałogiem. Przypominał mi „Profesora”, którego znałem przed laty... A śmierdział ze dwa razy gorzej. Obrzmiała od wody, czerwona gęba zachowała tylko ślady dawnej ludzkiej twarzy. Na policzkach miał wrzody, strupy i przyschnięte wybroczyny podskórnych wylewów. Znałem to stadium: naczynia krwionośne nie wytrzymały. Już tylko krok dzielił go od ostatecznego końca żalosnej egzystencji.

– Kierownik chwilę posłucha i rozważy moją prośbę. Ja wiem, że kierownik nie pierwszy raz tu stoi i ślepi w kamienicę jak sroka w gnat. A żaden z kierownika inwestor ani handlarz roszczeniami. Ani przodkowie kierownika też tu nie mieszkali. Zatem kierownik tu względem antykwariatu. – Łypnął na mnie przekrwionymi, zaropiałymi oczyma.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Tyle dobrze, że stałem z wiatrem. Od jak wielu dni ten człowiek się nie mył i nie zmieniał łachów? Jak to w ogóle możliwe, że można tak straszliwie śmierdzieć i nadal żyć? Jak nisko trzeba upaść, by przestało człowiekowi przeszkadzać, że cuchnie na odległość?

– Kierownik zasponsoruje ćwiarteczkę, to coś opowiem. Może ciekawe będzie... A może i nudne, ale dla kierownika parę groszy to żadna strata.

Poczułem, że chyba mnie przekonał. Ale jakby nie do końca.

– Człowieku, popatrz na siebie. Może zamiast ćwiartki zasponsoruję panu wizytę w klinice i wszycie esperalu? – zaproponowałem.

Wolałem wydać siedem stów na beznadziejną próbę ratowania tego człowieka niż dwie dychy na kolejny gwóźdź do jego trumny...

– Próbowałem – odburknął. – Trzy razy. I nie musisz mnie pan w tym sponsorować, bo są programy rządowe czy inne takie. Trza się zapisać w MOPS-ie, w Markocie albo u księży i co jakiś czas fundują zabieg... Ale żeby nie pić, trzeba czegoś więcej niż kilku tabletek wszytych w tyłek. Należy mieć powód albo cel. Ja już nie mam ani jednego, ani drugiego – zaczął mówić o wiele składniej niż przed chwilą.

– Japończycy mówią, że ważny jest nie cel, ale droga – rzuciłem.

– Trafna myśl. Zatem żeby dumnie kroczyć moją drogą upadku, potrzebuję tak ze dwie dyszki. Dla pana kierownika tyle co nic. A informacja może się przydać...

Westchnąłem i wysuplałem z kieszeni nowiutki jak spod igły, szeleszczący banknot. Menel ujął go w brudne paluchy z nabożną czcią.

– Wracam za pięć minut! – Nie rozglądając się, zaskakująco żwawo przebiegł na drugą stronę ulicy, gdzie kawałek dalej wabił neonem całodobowy sklep monopolowy.

Wróci czy nie wróci? – zadumałem się.

Wrócił. Faktycznie niósł ćwiartkę jakiejś taniej berbeluchy i dwa plastikowe kubeczki.

– Napije się pan kierownik ze mną? Wiem. – Uśmiechnął się, rozdziawiając bezzębną paszczę. – To było pytanie czysto retoryczne. Raz, że mordę by panu wykręciło od takiej kartoflanki, dwa, że ze mnie żadne towarzystwo dla pana. Ale sam pan rozumiesz, kierowniku, kultura wymaga, żeby sponsorowi chociaż zaproponować. Zatem...?

– Nie mogę, jestem autem.

– I oto odpowiedź grzeczna, godna oraz kulturalna, bo odmowa opakowana jest elegancko w racjonalny argument... – Uśmiechnął się.

Jeszcze nie wypił ani grama, ale jego umysł już złapał inną fazę. Wyprostował się, jakby zrzucił z pleców ciężar, no i gadał znacznie bardziej kwieciste. Nawet

w oczach, mętnych i przekrwionych, obudziły się iskierki. Wprawnie przelał połowę zawartości flaszeczki do kubka. Nozdrza zadrżały mu, gdy badał bukiet napoju, czyli w tym przypadku stężenie nieoddestylowanych estrów i olei fuzlowych...

– Za sukcesy pańskich rozlicznych poszukiwań, panie Storm – rzekł, uroczyście unosząc kubeczek do toastu.

O franca! Ściemniał z tym „kierownikiem”, a okazuje się, że jeszcze na dodatek mnie znał! Teraz naprawdę się zdziwiłem. Pierwszą dawkę wychylił jednym haustem, jak lekarstwo. Drugą sączył już powolutku, delektując się najtańszą, podłą czyściochą. Biały plastikowy kubek wyglądał wręcz nieestosownie przyłożony do obrzmiałych, popękanych i pokrytych czarnymi strupami warg.

– Pan tu jesteś z powodu antykwariatu – stwierdził menel. – Opowiadałem niejednemu, ale kto by wierzył staremu pijakowi. A ja tę ulicę znam od pięćdziesięciu lat. Akurat Gierek nastał, jak tam w blokach mieszkanie dostałem. I życie mi tu przeleciało, i gości znałem, co byli stąd, a teraz już od dawna nie żyją. I kamienie pamiętam, co tam na łuku stały, i ludzi, co w nich mieszkali z dziada pradziada, można powiedzieć. I tych, co tu na piętrze od powojnia kwaterowali, też znałem.

Alkohol wyraźnie rozwiązał mu język, mężczyzna gadał teraz kwiecieście i mimo pijackiej chrypy z niemal teatralną dykcją.

– Tu przez ten czas z dziesięć razy sklepy zakładano. Za komuny i potem. Wszelakie. Mięsne, papiernicze, tekstylne... Ale po miesiącu lub dwu znikwały. Coś ludziom nie pasowało. A ja wiem swoje. Zajmowali interesikami nienależne im miejsce i ten dom dawał im to odczuć. Może gdyby ktoś otworzył znów antykwariat albo księgarnię? – zadumał się. – Ale pewnie i na to by nie było zgody. Choć tym, co mieszkanie zajęli, nic złego się nie przytrafiło. Choć mówili, że bywało, zbudzili się w nocy, a z dołu dobiegał szmer rozmowy. Niewyraźnej, jak to przez strop. Słów poszczególnych nie umieli rozróżnić.

Zrobił przerwę na kolejny łyk.

– Słyszałem pewne opowieści – podpuściłem go. – Tu był kiedyś antykwariat.

– No był. Stary, przedwojenny jeszcze. A może lepiej powiedzieć, sklep z używanymi książkami, bo antykwariat to zbyt dumne określenie dla tak marnego interesu. Żyd go prowadził. Kokosów to tu chyba nie robił, to już był wygwizdów, wiocha bardziej niż miasto. Wola, Koło, Czyste, tu robotnicy mieszkali, i to raczej tacy biedniejsi. Gdzie im było do książek...

– Gdyby się kompletnie nie opłacało, toby splajtował.

– Ha! Żydzi nie plajtują nigdy, chyba że sami chcą. Widzą zysk tam, gdzie my nie zobaczymy za cholere. Umieją zrobić tak, że wszystko, za co się wezmą, to im się opłaca. I z kamienia pieniąż utoczą – powiedział menel, a w jego głosie zabrzmiało żelazne przekonanie. – W każdym razie prosperował interesik, aż wybuchła wojna. Potem zaczęła się okupacja. Zarządzenia wydano, że się wszyscy warszawscy Żydzi mają przeprowadzić do getta. Właściciel to olał. Kilka razy po niego gestapowcy przychodzili... Ale udawał, że zamknięte, albo faktycznie go wtedy nie było. Aż wreszcie go zastali, weszli do środka. A tam ich czekała niespodzianka. Chcieli go aresztować, a może obrabować i zabić, a tymczasem on ich zastrzelił.

– Zastrzelił – zadumałem się.

– Z rewolweru. Co było potem? Nikt nie wie. Żydek zamknął drzwi interesu na klucz i poszedł z walizką w ręce gdzieś przed siebie. Może na spotkanie śmierci, może po lepszy los. Nie wrócił tu już nigdy, a w każdym razie nie wrócił żywy. Po wojnie kamienicę zasiedlono, sklepik też planowano uruchomić. Ktoś przyjechał ze ślusarzami,

wyłamali zamki, a może i otworzyć potrafili. Znaleźli w środku trzy trupy szwabów w resztkach mundurów. Pozbierano te kości i gdzieś zakopano. – Spojrzał w zadumie na wąski pasek trawnika oddzielający nas od ulicy. – Może i tutaj – ocenił – ale pewnie gdzieś dalej. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

– Gestapowcy dość rzadko chodzili na takie akcje w mundurach.

– To może przyszli po niego esesmani?

Milczałem, czekając, co jeszcze powie. Jeden z wcześniejszych rozmówców wspomniął mi o zastrzelonych szkopach i też upierał się, że z gestapo. Ale twierdził, że było ich tylko dwóch.

– Książki pewnie na makulaturę poszły – stwierdził menel. – To były czasy, gdy wiele przedwojennych wydań wyrzucano z bibliotek i do pieca... Tak opowiadali.

Pewnie, że opowiadali, facet miał swoje lata, ale nie był na tyle stary, by widzieć czystki w bibliotekach na własne oczy.

– Czyli przed wojną był antykwariat, ale po wojnie już go nie otworzono. I przedwojenny właściciel też nie wrócił – podsumowałem.

– No właśnie tak nie do końca... Żyd zamknął interes, wziął w rękę walizkę i poszedł przed siebie. Ta historia mogłaby się na tym skończyć, ale wcale się nie skończyła. On tu potem bywał... Może nadal bywa.

– Żyd?

– Nie tylko! Żyd i cały jego antykwariat, z piecem, lampą naftową, ladą i książkami na półkach. Czasem jest, bo zazwyczaj go nie ma. A ja tu prawie na tej ulicy mieszkam. Przechodzę tędy często i o różnych porach, bo źródelko ulgi dla spragnionych mam blisko. – Wskazał neon monopolowego. – Widziałem niejedno.

No, wreszcie zbliżamy się do jakiegoś meritum, ucieszyłem się w duchu.

Menel pociągnął kolejny łyceczek, malutki, homeopatyczny wręcz, pewnie żeby na dłużej starczyło. Mlasnął, rozprawiając berbeluchę językiem po podniebieniu. Delikatnie wypuścił powietrze nosem – lubił chyba, jak opary drażnią dziurki od środka... Kaprawe ślepiec zaszyły mu łzami.

– Co zatem pan widział?

– Światło w witrynie i przez szybę ułożone książki. Szyld nad wejściem malowany na blasze. I tego starego Żyda widziałem, kilka razy, też przez szybę... Z drugiej strony ulicy chyba trzeba być. Bo jak szedłem po tej, to nic i nigdy. Może to coś wyczuwa, że ktoś się zbliża? Ale jak się zobaczy z daleka i podejdzie, zjawisko trwa. Nosem prawie szyby dotykałem i widziałem. Książki, koło nich małą jak zabawka lampę na naftę, a druga, mocniejsza, wisiała w środku. Taka z nakładanym metalowym kloszem płaskim jak talerz. Albo jak płytką miską...

– Rozumiem.

– Bo widzisz pan, tu przed wojną elektryki chyba nie zdążyli podciągnąć. I tam w głębi regały są po obu stronach. Ale długo nie patrzyłem, strach ogarniał. I żeby się pozbyć tego wrażenia, dużo musiałem wypić.

Jego nieskładne wypowiedzi brzmiały jak brednie nałogowego alkoholika. Kłopot w tym, że ich treść dość dokładnie pasowała do innych relacji, które usłyszałem na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat.

– Ta mała lampka po której stała stronie? – zagadnąłem.

– Eee... – Wyrzeczył oczy, zaskoczony pytaniem.

Potem zmarszczył czoło.

– Jak stałem przodem do witryny, o tak, jak teraz stoimy, to widziałem ją, eee... Po prawej. Tak, po prawej, jestem pewien. To ważne?

– Nie wiem. – Rozłożyłem ręce. – Być może... Po prostu chcę ustalić wszelkie możliwe szczegóły. Zapamiętał pan książki?

– Nie... Tylko jedną. Jest otwarta na stronie tytułowej. A tam rysunek wzięty z Biblii, postać patriarchy Ezawa, co był kudłaty jak małpa ze zoo, i tytuł... eee... – Zmarszczył brwi. – Że chyba kosmos i coś tam...

– „Wszechświat i człowiek” – odpowiedziałem.

– Fiuuu... – gwizdnął przez zęby i popatrzył na mnie z uznaniem.

– U progu dwudziestego wieku to była popularna książka – wyjaśniłem. – Kiedy zjawisko najczęściej się pojawia?

– Nie zaobserwowałem żadnej regularności... No, może jedną... Zawsze jest wieczór albo noc i zawsze pada deszcz lub gęsty, mokry śnieg. To coś nie lubi spacerowiczów. Dlatego mało kto widział światła. Przy samej szybie byłem dwa razy. Ciekawość mnie gnąła. Potem już nigdy tak odważny nie byłem. Widziałem tylko poblask z daleka, od razu w tył zwrot.

– Ile razy?

– Siedem, może osiem... I te dwa z bliska. Łącznie jakieś dziesięć razy.

– Za często, żeby uznać, że to tylko delirka... – wyrwało mi się mimowolnie.

– To coś faktycznie tam jest. – Pokiwał uroczyście głową. – Coś się tu pojawia... I kilka razy gadałem z ludźmi, którzy też coś widzieli. Choć powiem, tu na kwadrans wielu o tym gadało, ale mało kto w to wierzy. Ja i oni co innego. Na własne oczy zobaczyłem, to wiem.

– A co sądzili inni naoczni świadkowie?

– Byli przerażeni. I szybko zmienialiśmy temat. Wiesz pan, jak się pije, lepiej nie gadać o tym, co smutne i straszne, bo można złapać wielkiego doła. Znałem takiego, co szkłem z butelki ciął się po żyłach. Pije to się przecież głównie po to, żeby o czymś zapomnieć.

– Ktoś zdołał wejść do środka?

– Nie słyszałem – przyznał. – A i sam nie próbowałem. Nie myślałem o tym nawet. Taki odważny to ja nie jestem! Wiesz pan: wejść to wejść. Ale czy da się wyjść? No i, po prawdzie, niby po co miałbym tam włączyć? Książkę kupić?

Fakt, na miłośnika literatury to on nie wyglądał.

– Jak pan myśli, co tu się właściwie dzieje? – Wyjąłem drugi szeleszczący banknot.

Menel przyjął go z wyraźną wdzięcznością.

– Straszy. Też Żydek znaczy. Coś go związało z tym miejscem na zawsze... Może ci zabici Niemcy. Może jego śmierć albo co innego, bo przecież nie zginął tutaj... Może wraca, bo zostawił jakieś niedokończone sprawy. Pojawia się razem ze swoim sklepikiem. Nie odszedł całkiem. Czyli coś go tu trzyma, zmusza do powrotów albo sam polubił to miejsce i czasem tu zagląda. Tak to z duchami bywa – dodał tonem znawcy.

– To chyba za proste wyjaśnienie. Czuję, że jest w tym coś jeszcze...

– Być może. – Wychylił kubeczek do końca i przez chwilę wytrząsał na język ostatnie krople alkoholu. – A może niepotrzebnie się wtedy bałem? Może trzeba było wejść do środka, bo to dla takich jak ja urządzone...?

– To znaczy? – zdziwiłem się.

– Brama. Żeby przejść na tamtą stronę bez bólu i strachu. Wchodzisz do antykwiariatu, witają z uśmiechem, częstują szarlotką i odsyłają dalej, tylnymi drzwiami na ten przykład. I cyk. – Strzelił palcami. – Maszerujesz sobie beztrąsko przez

ukwieconą łąkę, chmurki na niebie, ptaszęta kwilą, święty Piotr ci macha od wrót raj, a tymczasem tu, na Woli, twój trup już stygnie gdzieś na ławce.

– To chyba też za proste...

– Stoimy na krawędzi różnych światów. Dobrej nocy, panie Storm. Dziękuję za poczęstunek. Życie mi pan uratował.

– Raczej skróciłem... Niech pan pomyśli o tym esperalu.

– To się już od dawna nie nazywa esperal – zarechotał. – Może kiedyś... Ale raczej nie. Już nie warto...

Nieco chwiejnym krokiem ruszył przed siebie. Pokręciłem głową. Nie dowiedziałem się w zasadzie niczego nowego. Nawet nie byłem pewien, czy mówił prawdę, choć raczej nie miał chyba powodów, by kłamać.

Złudzenie chyba nie. Może inkluzja, rozważałem w myślach. Okresowo pojawiająca się enklawa tego, co było... A może tylko obraz tego, co przeminęło? A ten menel? Był kiedyś kimś ważnym, no, ciut ważniejszym niż inni. Może kierownikiem sklepu, może urzędnikiem albo belfrem? Alkohol na chwilę obudził tamtego człowieka i jego dawną elokwencję... Był człowiek, ale potłukł się w życiu jak szklanka... – zadumałem się, słysząc cichnące w oddali kroki. Może spadło na niego coś, czemu nie podobał? Może w krytycznym momencie zabrakło pomocnej dłoni? W każdym razie miałem w życiu więcej szczęścia niż on...

Jego twarz uparcie wracała do mnie w myślach. Wybroczyny na policzkach, jakby krew sama uciekała przed trucizną. Rok, może mniej i już go nie będzie. Pewnie tak, jak przepowiedział, znajdując go martwego, leżącego gdzieś w bramie czy w krzakach niczym byle śmieć. Odejdzie, a wraz z nim odejdą wszystkie historie, które złożyły się na jego życie. Odejdzie niezauważenie, bo na tym etapie alkohol odbiera już nie tylko rodzinę, ale też jakichkolwiek przyjaciół. Widziałem raz taki pogrzeb – ksiądz, trumna, a zamiast żałobników tylko samotny urzędnik z opieki społecznej.

Spojrzałem raz jeszcze na ciemną witrynę, a potem wsiadłem do auta i zapuściłem silnik. Pora do domu. Odespać... Tylko najpierw za pamięci szczegółowa notatka i do teczeki.

Przed snem długo stałem pod prysznicem, szorowałem się ludwikiem, potem żelem, ciągle jednak miałem wrażenie, że smród bijący od menela wżarł mi się w skórę. Nie mogłem się jakoś otrząsnąć po tej rozmowie.

Facet jest już w zasadzie martwy. Przegrał, przepił wszystko. Wszystko, co miał. Wszystko, kim był. Całe swoje życie... – rozważałem. Ratunek? Musiałyby chcieć, a i wtedy szanse są minimalne... Siły wewnętrznej potrzebnej do tego, by się otrząsnąć, już nie posiada. Pomocy z zewnątrz nie chce. Czemu tak się tym żelem przejmuję? Bo to jednak nadal człowiek. Pędzi ku samozagładzie, a ja nie jestem w stanie mu pomóc. Może martwię się, bo chciałbym coś dla niego zrobić, a doskwiera mi poczucie całkowitej bezsilności?

*

Szliśmy z Arkiem, rozglądając się na prawo i lewo. Gięłda na Kole najwyraźniej mocno podupadała. Sprzedawców było mniej, kupujących też. Ze starej bazarowej gwardii, która zaczynała tu w latach dziewięćdziesiątych, pozostali już tylko ostatni Mohikanie. Nowe pokolenie było inne. Nudne, bezbarwne, prymitywne, a zarazem drapieżne –

nastawione na szybki zysk. Zmienił się towar, zmienili się ludzie, nawet język się zmienił. Rzecz jasna, i dawniej bazarowa szlachta rzucała mięchem, ale teraz wulgaryzmy słyszałem nieomal w każdym zdaniu. No i mało kto zakotwiczał tu na dłużej. W tym tygodniu byli, w kolejnym już nie...

– Odczuwam niechęć człowieka osiadłego do ludzi luźnych. Niechęć rolnika, rzemieślnika, mieszczanina, sklepikarza do koczowników... – oznajmiłem. – Niechęć człowieka pracy do cwaniaków i kombinatorów...

– Dorabiasz filozofię do zwykłego handlu na bazarze – mruknął chłopak.

– Ja... ja wiem...

– Też wędrujesz, no i patrząc obiektywnie, też jesteś rodzajem cwaniaka. Kupujesz taniej, sprzedajesz drożej.

– Ale nie handluję falsami! – zaprotestowałem. – Wyobraź sobie, tydzień temu jeden taki kolo próbował mi wcisnąć sowiecką odznakę z drugiej wojny światowej. Nawet nie powiem, całkiem niezłe podrobiona, emalia jak trzeba, utleniania, gwint starty jak w oryginalnych. Nie tylko laik by się skusił.

– I jak poznałeś, że podróba?

– Po kształcie i nazwie jednostki. Bo to nawet nie podróba była, tylko wytwór czyjejś chorej fantazji... Okrągła blacha, na niej czerwony sztandar i gwiazdka. Niby to pięcioramienna, z Leninem pośrodku, sierp i młot u dołu, ale całość wystylizowana jakby na jakiś shuriken. I wokoło nazwa cyrylicą „Stomatologiczeskij Sztrafbatalion”! Wyobrażasz sobie podobną bzdurę?

– Eee... Że niby co!? Stomatologiczny Batalion Karny!? – Arek parsknął śmiechem.

– Gość się upierał, że to wielka rzadkość, odznaka tajnej jednostki do zadań specjalnych, złożonej wyłącznie z dentystów i studentów stomatologii. Tysiąc eurosów chciał... Pogoniłem, rzecz jasna, idiotę. Choć nie powiem, pięć dych tobym nawet dał.

– Obiecałeś opowiedzieć o antykwariacie.

Snując opowieść, rozglądałem się za kilkoma znajomymi postaciami, ale i kolekcjonerzy jakoś dziś nie dopisali. Zauważyłem, że jakiś czas temu zapodziali się gdzieś starszakuwie o bystrych oczach ukrytych za grubymi szklami okularów, bezbłędnie łowiący z powodzi wszelakiego szmelcu rzeczy wartościowe, choć niepozorne. Jednak w stosach starzyzny nadal można było wyszukać wzrokiem ciekawe fanty.

– Czyli de facto cztery dychy w błoto, a niczego nowego się nie dowiedziałem – zakończyłem relację.

– Nabileś sobie głowę tym nieistniejącym antykwariatem – westchnął mój kumpel. – Ciekawe, czy żul mówił prawdę...

– Z tego, co ustaliłem w tamtej okolicy, faktycznie przed wojną nie było jeszcze elektryczności. Inne elementy też pasują. Gadałem kiedyś z człowiekiem, który przeszedł obok witryny. Zdziwiło go, że ktoś oświetla wystawę małą lampką naftową. Ale gdy po chwili obejrzał się i zawrócił, tam niczego już nie było... Nawet ta lampka się zgadza, ten człowiek widział ją po prawej stronie wystawy i menel widział ją po prawej. I książka ta sama. Dwie niezależne relacje naocznych świadków.

– Albo ktoś cię podpuszcza. A niby to przypadkowi rozmówcy zostali nie tylko nasłani, ale też wyuczeni, co mają ci powiedzieć.

– Hmm... Tylko po co?

– Tego nie wiem. Moim zdaniem to wszystko jest bez sensu. Załóżmy nawet, że ten antykwariat istnieje realnie i pojawia się jakoś tam cyklicznie. Przyjmijmy, że

rozgryziesz algorytm, znajdziesz się przed wystawą w odpowiednim miejscu i czasie. Co dalej? Wejdiesz do środka i... – Arek spojrzał pytająco.

– Nie wiem, czy wejść. – Rozłożyłem ręce. – Rzecz wymaga przemyślenia. Na razie nie wiem nawet, czym jest to zjawisko. Może to tylko martwy zapis, obraz... Coś jak hologram, który wyświetla się w określonych okolicznościach...

– Albo?

– Na przykład to zamknięta, nieprzenikalna enklawa przedwojennej Warszawy. Lub rodzaj bramy, tunel łączący dwa punkty czasoprzestrzeni. Może da się pchnąć drzwi, wejść do środka i przejść tamtędy w przeszłość.

– No dobra – stwierdził mój kumpel – przejdiesz do czasów przedwojennych, powiedziasz dawną Warszawę, odetchniesz wonią spalin samochodu CWS, walniesz piwko, takie prawdziwe, z browaru Haberbusch i Schiele, zobaczysz przedstawienie w cyrku Staniewskich na Ordynackiej, posłuchasz na żywo, jak śpiewają Fogg i Wiera Gran. Fajna wycieczka. A co zrobisz, jeśli nie uda ci się wrócić? Zostaniesz tam? Na zawsze?

– Dobre pytanie... Dlatego zanim pomyślę o wchodzeniu do środka, muszę zebrać więcej informacji.

– Cały ty. Zebrać informacje o zjawisku, które być może wcale nie istnieje... – zamyslił się Arek. – Od rozmówców tak wiarygodnych jak tamten pijak.

– Dowodów nie mam. Ale poszlaki są mocne.

– To, co gadasz, nawet brzmi debilnie – westchnął. – Ale patrząc na zimno, przywykłem szanować twoją intuicję. Nie wiem, jak to robisz, ale z drobnych okrucich składasz rozwiązania zagadek. Jak w tych starych kryminałach o Sherlocku Holmesie czy Herkulesie Poirot... I na ile cię znam, dopniesz swego. Kiedyś.

– Tak, kiedyś...

Naraz trąciłem kumpla w ramię.

– Widzisz tę dziewczynę w czarnym swetrze? Tam przy stoisku z odznakami.

– Tę z jasnym warkoczem? Fajna. Szwedka jakby, no nie? Taki ma nos jak na obrazach Carla Larssona. Co z nią?

– Ostatnio bez przerwy włazi mi pod nogi. Gdzie nie pójde, wpadam na nią... Nazywają ją Stówka.

– Hmm... Niebrzydka dziewczyna, ale brzydka ksywa. Nie podoba mi się, budzi masę skojarzeń, niekoniecznie pozytywnych... A dlaczego tak ją nazywają?

– Kolekcjonuje różne rzeczy albo szuka różnych fantów dla poważniejszych kolekcjonerów. Ale nigdy nie daje za nie więcej niż sto złotych.

– Hmm... – powtórzył.

– Ma oko. Jeśli daje całego stówka, to znaczy, że wypatrzyła coś, co warte jest więcej. Czasem trochę więcej, a bywa, że o wiele więcej. Jej specjalność to porcelana. Wiesz, wystawiają ludzie różne różności, czasem znalezione na strychu, czasem po dziadku, czasami to, co dziadek wyszabrował w poniemieckich gospodarstwach na Ziemiach Odzyskanych. Niekiedy trafi się coś naprawdę cennego, choć niepozornego. To dziewczę ma w głowie chyba wszystkie sygnatury używane w Europie na przestrzeni ostatnich trzech stuleci.

– A to nie można w necie sprawdzić?

– Można, ale głupio bawić się telefonem na giełdzie czy na bazarze. Sprzedawca zaczyna coś podejrzewać, winduje cenę. A ona rzuci okiem, identyfikuje, że salaterka ma sto pięćdziesiąt lat, i pyta: „Ile za ten szmeln, bo potrzebuję jakąś tanią misczkę do karmienia kota”.

Uśmiechnął się mimowolnie.

– To etyczne?

– Zależy. – Spowaźniałem. – Jak staruszka wyprzedaje za bezcen rodowe pamiątki, to nie. Ale jak drechol sprzedaje pamiątki po babci i nawet nie sprawdził, co to jest i ile warte, wtedy moje wyrzuty sumienia zapadają w sen zimowy.

– Niech zgodnę, też masz takie sygnatury w głowie?

– Tylko dwieście, może dwieście pięćdziesiąt najważniejszych. Tyle, żeby odróżnić masówkę od czegoś z odrobiną wyższej półki. W każdym razie to dziewczątko powoli wyrasta na moją główną konkurencję. Jest lepsza. I szybsza...

– Czyli jest podobna do ciebie? – mruknął i poprawił okulary. – Też taka trochę warszawska cwaniara?

Długą chwilę taksował ją spojrzeniem.

– Ale fajna. Niezbyt ładna, ale buzia miła i nawet figura niczego sobie. A ta druga dziewczyna? – zapytał. – Ta, co grzebie w monetkach obok? Wygląda, jakby były razem.

– Mówią, że to jej siostra.

– Pewnie tak, bo podobna. Też ma jakąś ksywę? – zaciekawiał się.

– Nie mam pojęcia.

– Jak starsza to Stówka, to młodsza powinna nazywać się Dyszka. Nie śmierzdą groszem. Buty znoszone... Mankiety swetra obszyła elegancko koronką z pasmanterii, ale tylko żeby ukryć wystrzępienia... No i dzianina sfilcowana ździebko. Torba też chyba odświeżana parą. Czyli kobitka ma wiedzę i łeb na karku, ale nie potrafi przekuć tego na pieniądze.

– Tak sądzisz?

– Biedę niełatwo ukryć. Widzę to choćby po tobie... – Spowaźniał.

– Jestem bogaty. – Wzruszyłem ramionami. – Mam mieszkanie pełne antyków i mercedesa!

– Robert, głupio mi to mówić, ale rypnij się w dekiel. Ty masz tylko to mieszkanie. Nie powiem, niezłe, ładne i przestronne. Sąsiedzi bardzo w porządku, co w dzisiejszych czasach nieczęste. I fascynujących gratów zgromadziłeś niezłą kolekcję. Ale gromadziłeś ją tak jak ta Stówka. Fajne, wartościowe rzeczy kupione od frajerów niemających pojęcia, czym handlują. Kupione za stówkę, ale warte maksymalnie trzy stówki. Książki podobnie. Kupujesz w stanie jak psu z gardła. Wygrzebujesz z makulatury, czyścisz, konserwujesz, oprawiasz na nowo. Ratujesz i chwała ci za to. Ale biorąc pod uwagę, ile godzin poświęcasz każdej z nich, to nie jest żaden biznes, tylko hobby! A ten twój mercedes od wujaszka to też już zabytek. Nie powiem, „beczki” to auta nie do zdarcia, ale przez ostatnie czterdzieści lat technika motoryzacyjna poszła do przodu...

– Buty mam nowe. I od szewca.

– Jedną parę. Koszul masz ze trzy.

– „A po co mi więcej ubrań, skoro mam tylko jedno ciało?” – zacytowałem Marka Twaina. – Może bardziej się skupiam na tym, żeby być, niż żeby mieć?

– Trochę pewnie tak – przyznał. – Ale patrząc szerzej i obiektywnie, bez kasy to ani mieć, ani być.

– A ty masz bogatą mamę. – Zadumałem się. – Co ci przeszkadza, żeby wyjść ze świata książek? Jedź gdzieś czasami. Florencja jest ciekawa. Albo Rawenna. Byłeś tam kiedyś? Wspaniałe wczesnochrześcijańskie bazyliki, a w nich cudowne mozaiki...

I bardzo przyzwoite muzeum. Jest co oglądać przez tydzień. W dodatku Rawenna leży na uboczu i nie jest tak zdeptana przez turystów jak inne, bardziej znane miasta.

– Po prostu mam niewielkie potrzeby. A książki to ja po prostu lubię. Wolę kupić wolumin niż jakiś ciuch. A wychodzić przecież wychodzę! Teraz na ten przykład mógłbym siedzieć i czytać, a jestem z tobą – zauważył mój kumpel.

Ruszyliśmy w rundkę dookoła targowiska. Po drodze minęliśmy się z dziewczynami. Uchyliłem grzecznie maciejówki, a Stówka w odpowiedzi pokazała mi język.

– Ma charakterek – mruknął Arek, odprowadzając dziewczyny rozmarzonym spojrzeniem. – Ona jest starsza, to będzie dla ciebie, a ja uwiode siostrę. Mamy podobne zainteresowania. Zakumplujemy się we czwórkę. Z tymi dziewczynami możemy mieć wszystko. Rozmowy o historii przy herbacie, i to do białego rana, wspólne wycieczki po muzeach, wyprawy pod namiot i na oglądanie zabytków, przygody z poszukiwaniem różnych rzeczy. No i inne takie, wiesz, ślub, bzykanko, dzieciaczki... Od dawna mi chodziło po głowie, żebyśmy poznali dwie siostry albo dwie kumpele. No i jak na zawałanie zjawiły się.

– Ekhm...?

– To przeznaczenie. One są nam pisane. I do tej Rawenny też je zabierzemy. Ja dam na paliwo, a ty oprowadzisz nas po bazylikach i opowiesz o mozaikach. I o tym świrze, co go pochowali w kamiennej wannie.

– Masz na myśli mauzoleum króla Teodoryka.

– No właśnie. I grób Goethego tam jest.

– Dantego – sprostowałem.

– Zwał, jak zwał, żadna różnica w sumie. To poeta i to poeta. A dziewczyny lubią poezję. Poszukamy hotelu w centrum. Na trzy dni. Wyciągnę kasę od mamy. Pojedziemy, zrobimy rundkę po bazylikach i muzeach. Oszołomimy samiczki ponadczasowym pięknem arcydzieł sztuki oraz naszą szarmanckością, elegancją, elokwencją i erudycją... To znaczy moją elokwencją, a twoją erudycją. I pójdziemy z nimi na prawdziwy włoski makaron, jak to mówią, przez żołądek do serca!

– Ech, nieszczęsny piwniczaku... To się nie tak robi.

– No to gadaj: jak?

Szczerze powiedziaławszy, zaskoczyło mnie to pytanie.

– Ataki frontalne są mało skuteczne – wyjaśniłem. – Tu trzeba czasu i delikatności. Poznajesz dziewczynę, spotykacie się czasami, potem częściej. Traktuje cię najpierw jak znajomy element krajobrazu, potem jak przyjaciela. Ale pewnego dnia uczucie dojrzewa. Wtedy ona nagle budzi się i od tej pory patrzy na ciebie inaczej.

– Ładna ta jej siostra i w wieku takim odpowiednim, kilka lat od niej starszy jestem, a ty też kilka lat od tej Stówki. Idealnie. I wyglądają z tymi jasnymi włosami jak księżniczki. Ale ja nie chcę księżniczki z bajki. Chcę bajkę z księżniczką!

– Czy już ci mówiłem, że to nie takie proste?

– Wszystko jest proste, potrzebny tylko dobry plan. To znaczy – zastrzegł się – aprobuję twój, bo masz doświadczenie życiowe. Zatem zakumplujemy się z nimi, a potem jako element ich krajobrazu poczekamy, aż spojrzą na nas inaczej. I wtedy dopiero kolejny etap, zmienimy im ten krajobraz na włoski. Wenecja też chyba będzie spoko? Bo do Rawenny to trzeba autem, a do Wenecji fruun... Samolotem polecimy na to lotnisko na brzegu laguny i stamtąd vaporetto machniemy się do miasta. I kupimy im po wisioru takim fajnym albo broszki ze szkła odlewane na Murano.

– Zakumplujemy, powiadasz... To też trudna sprawa.

Rozejrzałem się po bazarze, ale już nie dostrzegłem dziewczyn.

– No właśnie, teraz trzeba wykonać ten pierwszy, najważniejszy krok – stwierdził Arek. – A może zrobimy tak: połączmy za nimi do chwili, gdy wypatrzą coś ciekawego. Wtedy spróbujemy przelicytować, gdy będą się o coś targować – zaproponował. – Wyniknie awantura, wściekną się, więc położymy uszy po sobie, szlachetnie ustąpimy pola i będziemy mili. A na przeprosiny zaprosimy je na ciastka. Albo na ten przykład zobaczymy, że chcą kupić jakiś fałs. Ostrzeżemy, a potem z wdzięczności to one zaproszą nas na kawę. – Poskrobał się po głowie.

– Skąd tak na zawołanie wytrzasnąć człowieka, który zechce wcisnąć im jakieś barachło?

– Robert, ja cię proszę. Co w tym trudnego? Od lat tu łazisz. Znasz połowę sprzedawców z tego bazaru. Poproś któregoś z handlujących tu znajomków o drobną przysługę... – urwał.

Chyba usłyszał, co wygaduje, i skonfundowały go własne słowa.

– Nawet zakładając, że twój genialny plan wypali i dadzą się zaprosić, widzę jeden problem. Pomyśl, czy jest tu gdzieś jakaś kawiarnia? – zgasiłem jego nedorzeczne pomysły celnym strzałem.

Ogólnie z gastronomią było w okolicy nietęgo. W jednej z bud serwowano jakąś lurę i nie najgorsze zapiekanki z mikrofali. Wiedziałem też, gdzie zapukać i jak zagadnąć, by w chłodny dzień za parę groszy walnąć lufę świetnego bimbru na rozgrzewkę. Ale żaden z tych „lokalii” nie kwalifikował się, by zapraszać tam damę. Zrobiliśmy kolejną rundkę. Towaru niby nie brakowało, ale nic nie wpadło nam w oko. Wróciliśmy do auta.

– Ale żeby tak bez żadnego, choćby symbolicznego łupu... – mruknął rozczarowany Arek.

– Zobaczymy za tydzień. – Wzruszyłem ramionami.

Odpaliłem silnik i ostrożnie zjechałem z wysokiego krawężnika. Zakręciłem, by odwieźć kumpla do centrum, i nagle kawałek przed nami błysnęły jasne włosy.

– Ty zobacz, to one! – pokazałem Arkowi. – Mamy okazję z tym zakumulowaniem...

Stówka i jej siostra siedziały na przystanku. Pomiedzy nimi stał upolowany fant – drewniana kłoda z osadzonym w niej kamieniem żarnowym. Czterdzieści kilo jak obszył... Przyhamowałem.

– Hej, dziewczęta, może podwieziemy was z tym gratem? – zaproponowałem. – Bagażnik jest pusty.

Młodsza uśmiechnęła się i już podrywała z ławeczki, ale starsza przytrzymała ją i fuknęła pod naszym adresem. Wzruszyłem ramionami i ruszyłem. Nic na siłę przecież...

– Księżniczka... Uśmiechnęła się do mnie – westchnął Arek rozmarzonym tonem. – Ona by skorzystała z pomocy, tylko ta druga jest do nas uprzedzona. To zrobimy tak, ja się zaprzyjaźnię z tą młodszą i będę cię reklamował. Znaczy opowiem, jaki jesteś fajny. Ona przekaże tej starszej. Wtedy Stówka dojdzie do wniosku...

– ...że jako kumpel wroga i głównego konkurenta masz się natychmiast odwalić od jej siostry.

– Tak? – zdziwił się.

– To jest, niestety, najbardziej prawdopodobny scenariusz.

– Pitolisz. Zobacz, nie wiemy, jak się nazywają, nie wiemy, gdzie mieszkają, podpadamy samym faktem pojawienia się tam, gdzie one... To dobry początek!

– Co ty bredzisz?! – Teraz naprawdę mnie zaskoczył.
– To jak w harlekinach, no nie? Tam też na początku dziewczyna nie chce faceta nawet znać, a potem okoliczności ich zbliżają do siebie i bęc!
– Gdy mówiłem ci, że warto czasem poczytać coś nienaukowego, nie miałem na myśli harlekinów!!!
– Za późno. Ale nie przeczytałem dużo, ze trzydzieści, może trzydzieści pięć. Matka ma tego cały regał, będzie z półtora tysiąca... No. A ślubu mógłby nam udzielić taki mój daleki wujaszek. Jest proboszczem. Kawalek drogi od Warszawy, za to ma śliczny drewniany kościółek na wsi. Podwójny ślub, dwie młode pary naraz. Jeden kłopot tylko, że nie jesteśmy braćmi.
– Eee...
– Dwaj bracia żeniący się jednocześnie z dwiema siostrami... Ależ by to było niezmiernie piękne, wzruszające i romantyczne! – Oczywiście zaszyły mu mgłą.
– Chyba wolę, jak czytasz i cytujesz książki historyczne. A braćmi możemy się ewentualnie stać, jak nam dadzą podwójnego kosza i wstąpimy do jednego klasztoru...

*

Dzień wstał jakiś paskudny, nie mogłem się dobudzić. Wypiłem dwie kawy, poczytałem i minęło południe. Najlepszy moment, by sprawdzić efekty doświadczeń z poprzedniego tygodnia. Otworzyłem skrzynkę. Klejenie porcelany za pomocą kazeiny nie było łatwe. Nasi przodkowie radzili sobie w ten sposób, że gnietli ząbek czosnku do garnuszka z mlekiem. W to wstawiali pękniętą filiżankę lub talerzyk i podgrzewali, aż mleko się zagotowało. Potem suszyli. Wbrew pozorom nie było to złe rozwiązanie. Co więcej, podobało mi się zastosowanie historycznej metody do naprawy artefaktów liczących sobie sto pięćdziesiąt lat. Podłożyłem sklejoną spodek pod mikroskop, obejrzałem linię łączenia. Nie wyglądało to wcale źle. Zanotowałem wyniki obserwacji w kajecie.

Sama kazeina nie jest szczególnie mocna, rozważałem, ale gdyby rozpuścić w mleku zamiast czosnku na przykład...

Zawibrowała komórka leżąca na stole. Spojrzałem na wyświetlacz. Nie znałem tego numeru. Może znów fotowoltaika?

– Halo?

– Dzień dobry – odezwał się głos w słuchawce. – Przepraszam, czy pan Robert Storm?

– Tak, czym mogę służyć?

– Mówi Monika Nowak...

– Hmm... Szczerze powiedziawszy... – Głos wydał mi się znajomy, ale bezskutecznie przegrzebywałem pamięć.

– Kojarzy mnie pan pewnie pod ksywą „Stówka”.

– Aaa... Jasne. No tak. Oczywiście, że kojarzę.

– Potrzebuję pilnie pomocy w pewnej... hmm... skomplikowanej sprawie. Nie bardzo wiem, do kogo mogłabym się zwrócić. Czy mógłby pan podjechać po mnie na przystanek tramwajowy przy galerii Arkadia? Ten w stronę Wisły...

– Będę za kwadrans.

Przeskakując po dwa stopnie, zbiegłem na dół. Wjechać autem na przystanek tramwajowy? Jeśli się wie jak, to się da... Pewnikiem tam jest monitoring. Co zrobi straż

miejska, gdy rozpozna na nagraniu mnie i moje auto? Od tak dawna mam z nimi na pieńku, że z miejsca dostaną syndromu OBS... Orgazm bez seksu... Ale tym będę się martwić później.

Koła podskoczyły na torach, zachrząścił dolomit, którym wysypano torowisko, jeszcze jeden wstrząs, bo krawężnik był wyższy, niż sądziłem, i znalazłem się na miejscu. „Peron” był w zasadzie pusty. Kilka osób gapiło się na mnie z niejakim zdumieniem. Wsiadając, uśmiechnąłem się odrobinę zbyt promiennie. Pospuszczali głowy. Stówka i jej siostra siedziały na ławeczce pod wiatą. Pomiędzy nimi...

– Fredzia!? – zdziwiłem się, podchodząc. – To wy się znacie?!

Zrobiłem jeszcze krok i wtedy spostrzegłem swoją pomyłkę. Moja konkurentka podtrzymywała chudą, ciemnowłosą dziewczynę mniej więcej w swoim wieku. Zobaczyłem, że to nie moja kuzynka Fryderyka, choć podobieństwo było uderzające... Dziewczyna była blada i najwyraźniej półprzytomna. Słyszając moje kroki, z trudem uniosła głowę. Spojrzałem w jej źrenice, ale nie były rozszerzone ani zwężone. Miała ładnie skrojoną szarą sukienkę, do której aż prosiły się słomkowy kapelus z wąskim rondem i wstążką.

– Co się stało? – zapytałem Stówkę.

– Nie wiem tak dokładnie, ale podejrzewam, że powinniśmy ulotnić się stąd jak najszybciej – odparła. – Wygląda, jakby ktoś wrzucił jej do kawy pigułkę gwałtu.

Bez słowa wskazałem auto. Dziewczyna, podtrzymywana z dwu stron, podniosła się z trudem. Nogi stawiała niezbyt pewnie. Ostrożnie umieściliśmy nieznaną pośrodku tylnej kanapy. Stówka siadła obok i przypięła ją pasami. Jej siostra ulokowała się po drugiej stronie.

– Fala... Nakryła mnie fala... Za dużo tego wszystkiego – szepnęła ciemnowłosa.

– Ten ruch, ludzie, światła...

Zamknęła oczy i przyłożyła dłonie do uszu. Drżała. Zjechałem ponownie na torowisko. Tym razem prowadziłem znacznie ostrożniej. Wyczekałem chwilę, aż ruch zmalął, i wydostałem się na ulicę. Dodałem gazu. Nikt mnie nie gonił... Chyba.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem. – Na pogotowie?

– Nie trzeba lekarza... – wymamrotała nieznaną. – To przejdzie. Muszę odpocząć.

– Możemy do pana? – W głosie Stówki zabrzmiało jakby wahanie. – U nas trochę nie najlepiej z warunkami...

– Możemy – zgodziłem się.

Na wszelki wypadek pojechałem zygzakiem przez uliczki Muranowa, a potem Woli, żeby w miarę możliwości zgubić ogon. Kluczyłem przez dobry kwadrans, co jakiś czas oglądając się do tyłu. Jeśli nie użyto kilku zmieniających się aut, nikt za mną nie jechał.

– To miasto. Moje miasto jest takie wielkie. Za dużo... – usłyszałem raz jeszcze.

Jakieś dziecko lasu, pomyślałem mimochodem. Nie przywykła do metropolii. A może opóźniona umysłowo? Nie, nie wygląda. Zażyła coś, co spowodowało nagłe przeciążenie bodźcami? Ecstasy, haszysz, syntetyczne kannabinoidy obecne w dopalaczach mogą powodować nadwrażliwość. Ale nie wyglądała na naćpaną. Może przypadkowe zatrucie jakąś substancją chemiczną? Chyba że faktycznie ktoś jej czegoś dosypał.

Zajechaliśmy na podwórze. Dziewczyna wyglądała na wystraszoną, ale gdy wyciągnęliśmy ją z auta, ufnie uwiesiła się mojego ramienia. Dalej jakoś poszła, choć stawiała stopy dziwnie ostrożnie, jakby nie do końca dowierzała w materialność

podłóża. Weszliśmy na piętro. Zaholowałem nieznajomą od razu do sypialni, położyłem na pościelonym łóżku. Stówka zdjęła jej kurtkę i buty. Nakryłem dziewczynę kocem. Na jej twarzy odmalowała się ulga. Przymknęła oczy. Puszyste włosy rozsypały się po poduszce.

– Chce pani pić albo potrzebuje jakichś leków? – zapytałem konkretnie. – To nie jest przypadkiem cukrzyca?

Niektóre objawy przypominały stan przed śpiączką hiperglikemiczną, ale na medycynie znałem się tylko o tyle o ile. Z wyraźnym trudem uniosła głowę.

– Nie jestem chora... – odparła. – Odpocznę i przejdzie. Dogania mnie... Jak fala.

– Co panią dogania?

– Tu nic ci nie grozi... – dodała Monika.

– ...prawdopodobieństwo zaistnienia... – wymamrotała nieznajoma. – Jestem anomalią, bo zmienił się już wzór – powiedziała bardziej do siebie niż do nas. – Odpocznę... Albo zdrzemnę się chwilę.

– Proszę leżeć, jesteśmy obok, drzwi zostawiam otwarte. Jakby co, proszę wołać... – poleciłem.

Kiwnęła głową. Przeszliśmy do salonu. Obie dziewczyny rozglądały się zaciekawione po wnętrzu. Ich uwagę przykuła rozwieszona na ścianie kolekcja wachlarzy. Zrobiłem do nich półokrągłe gablotki na wymiar.

– Tak, to moja pługawa nora, do której znoszę to wszystko, czego wam nie udało się upolować – zażartowałem. – A więc masz na imię Monika? – zagadnąłem.

– Yhym... – odparła Stówka.

– A ja jestem Sylwia – bąknęła jej siostra. – A ta dziewczyna mówiła, że nazywa się Iwona.

– Kawy czy herbaty?

Poprosiły o kawę. Uruchomiłem kawiarkę. Nasypałem mocnej etiopskiej mieszanki. Wkrótce powietrze wypełnił aromat. Mleka nie miałem, ale cukier jakimś cudem znalazłem. Paczkę ciastek też udało mi się wygrzebać z szafki. Siedliśmy przy intarsjowanym stoliku.

– Wspomniałaś, że nie macie warunków – zagadnąłem.

– Nie wypada pytać damy, gdzie będzie spać – westchnęła Monika.

– Przepraszam. Faktycznie głupio zacząłem. Jakby nam z nią zeszło, mam tu dość miejsca, żeby was we trójkę przenocować – uspokoiłem jej obawy.

– Trzy nieznajome pod własnym dachem? A jeśli jesteśmy złodziejkami albo morderczyniami? – zagadnęła Sylwia.

– Dziecko, nie kpjij... – Spojrzałem na nią z politowaniem.

– Zasadniczo nas nie musi się pan obawiać. Ale... Hmm... Problem w tym, że o niej praktycznie nic nie wiemy – bąknęła.

– No to po kolei, opowiedzcie, co wiecie – poprosiłem.

Zamilkły na chwilę i identycznie zmarszczyły czoła, najwyraźniej zbierając myśli.

– Poszłam z siostrą na basen – pierwsza odezwała się Stówka. – Odrobina luksusu raz w tygodniu i tak dalej... W holu spotkałyśmy tę dziewczynę. Była jakby speszona i zagubiona. Tam jest sklepik z kostiumami. Kupiła sobie jeden, wcześniej, zanim nas spotkała. Poprosiła, żeby jej powiedziec, co i jak, bo nigdy nie była w takim miejscu. Pokazałyśmy jej, gdzie kupić bilet, zaholowałyśmy do przebieralni... A potem pływała sobie już sama. Parę razy mijaliśmy się w wodzie, to uśmiechała się do nas.

– Speszona i zagubiona... – podchwyciłem.

– I do tego bardzo nieśmiała – dodała Sylwia. – Rozglądała się, jakby wszystko ją ciekawiło, ale zarazem przytłaczało. Jakby się trochę bała. Ale pływała dobrze.

– Skojarzyło mi się to z takim filmem o amiszach, którzy przyjechali do dużego miasta – powiedziała Stówka. – Obce doświadczenie. Zderzenie człowiek ze światem zewnętrznym, który okazuje się ogromny i nie do końca zrozumiały.

– W Polsce nie ma amiszów, choć pewnie jakby poszukał, są sekty religijne, których mieszkańcy żyją na wsi, niewiele kontaktują się z otoczeniem, a w ich domach nie ogląda się telewizji... – zadumałem się. – Ten jej kostium...

– Jest tu w siatce, razem z naszymi.

Zabrałem wszystkie trzy, wypłukałem i powiesiłem na suszarce w łazience. Zjrzałem do sypialni. Dziewczyna drzemała, ale chyba usłyszała moje kroki, bo uchyliła powieki. Wziąłem z szafki termometr elektroniczny. Nie miała gorączki.

– Mogę jeszcze poleżeć? – szepnęła.

– Oczywiście... – Zrobiłem uspokajający gest dłonią.

Wróciłem do dziewczyn.

– Po basenie poszliśmy do galerii handlowej na małe zakupy. – Sylwia wskazała siatkę. – A potem wpadliśmy ponownie na nią. Szła jak zombie... Widać było, że coś z nią bardzo nie tak. Ucieszyła się bardzo na nasz widok i spytała, czy możemy jej pomóc...

– Zabrałyśmy ją na świeże powietrze. Ale dalej była jak ogłuszona. Pomyślałam, że ktoś mógł jej wrzucić coś do kawy lub napoju. Słyszysz się o takich rzeczach... Postanowiłyśmy jak najszybciej się stamtąd ulotnić. I ściągnąć kogoś, kto nam pomoże.

– Dlaczego ja?

– Prawie nikogo w Warszawie nie znam – westchnęła Stówka. – Ale miałam od kogoś pańską wizytówkę... A wszyscy, z którymi o panu gadałam, zawsze podkreślali, że wyjątkowo porządny z pana gość. To pomyślałam, że spróbujemy. I przepraszam za tamto pokazanie języka.

– Nie ma problemu... Wracając do tego, czego o niej nie wiemy... Zobaczcie jej buty. Ręczna robota, podeszwa szpikowana drewnianymi kołeczkami. Mało który szewc robi dziś takie rzeczy – wyjaśniłem. – Ma bardzo ładnie skrojoną sukienkę, to nie jest ciuch z byle sklepu sieciowego ani chyba nawet markowy. Jest bardzo dobrze dopasowana do sylwetki. Dwa elementy stroju zdecydowanie z górnej półki. Albo to obdarzona gustem córka kogoś bogatego, albo ma dryg w palcach do szycia i zna też kogoś, kto hobbystycznie robi buty. Na rajstopach się nie znam.

– Znam tę firmę – wtrąciła Monika. – Porządne, choć nie bardzo drogie. Środkowa półka, można powiedzieć. Kurtka też niezła, ale nie znam tej marki.

– Ma kolczyki w kształcie małych złotych nożyczek – uzupełniła Sylwia. – Może to jakiś trop? Stowarzyszenie krawcowych? – zażartowała.

– Kto wie... – zadumałem się. – W takim wypadku faktycznie mogła uszyć to sobie sama. Może działa w jakimś bractwie rekonstrukcyjnym? Jeśli dobrze rozpoznałem zapach, używa perfum Indian Summer, to już dziś wielka rzadkość. Sukienka odprasowana, włosy puszyste, niedawno umyte. Dłonie czyste i zadbane. Wygląda, jakby świeżo wyszła z mieszkania, z pewnością nie błąkała się dłużyj czas po mieście ani nie nocowała po jakichś melinach... Torebki ani dokumentów nie miała?

– Mam jej torebkę tutaj. – Stówka klepnęła siatkę. – Ale nie wypadło zaglądać. Chyba że nie będzie wyjścia, to poszukamy dokumentów i tak dalej.

– Jasne. – Kiwnąłem głową.

– Torebka też wygląda na starą... – Dziewczyna wyjęła fant.

– Zapięcie z pierwszych dekad dwudziestego wieku – oceniłem. – Albo zabytkowa, albo ładnie zrobiona replika. Albo do nowej torebki stylizowanej na starą zainstalowano zabytkowy detal.

– A może to podróżniczka w czasie? – rzuciła teorię Sylwia. – Przybyła do nas z epoki rozbiorów. Tam spokojna carska Warszawa z dorożkami, oświetlana przez pierwsze latarnie gazowe, a tu bach, wielka metropolia, zatracona w pędzie, z tramwajami elektrycznymi, neonami, reklamami na wyświetlaczach i tak dalej... Poczuli się zagubiona. Albo się wystraszyła.

– Torebka pasuje stylem i do sukienki, i do butów. Ale rajstopy ma zupełnie nowe – zauważyłem. – I fryzura też jakby współczesna. Sądząc po sylwetce, nie nosiła nigdy gorsetu. Poza tym czy podróżniczka w czasie skoczyłaby sto dwadzieścia lat w przyszłość tylko po to, żeby iść na basen, a potem na shopping po galerii? – Uśmiechnąłem się kpiąco.

– A czemu nie? – Drobne zęby Sylwii błysnęły w uśmiechu. – W jej czasach takich atrakcji nie było, chciała sprawdzić, jak to jest... A tamte epoki były bardziej purytańskie, dlatego wybrała kostium jednocześnie, a nie na przykład bikini.

– Dziewczyna sprzed ponad stu lat nawet w takim spaliłaby się ze wstydu – zawyrokowałem. – Kobiety w tamtej epoce miały kostiumy z długimi nogawkami, no i nieprzylegające ściśle do ciała. Dajmy jej spać, jak wstanie, to może nam coś o sobie opowie.

– Niezła kolekcja – oceniła Stówka, wodząc wzrokiem po ścianach. – Szttychy, wachlarze, drzeworyty...

– Niezła toby była, gdybym mógł zatrzymać więcej z rzeczy, które trafiają mi w ręce... – westchnąłem. – To są głównie rzeczy stare, ale w stanie, który nie zainteresowałby poważnych kolekcjonerów. Niestety, nieubлагana proza życia sprawia, że kupuję różne drobiazgi, naprawiam, konserwuję i puszczam dalej. Tracę bezpowrotnie większość najciekawszych łupów. Zostają mi tylko fotki.

– To tak jak my, tyle że musimy puszczać praktycznie wszystko. Od wiosny miałyśmy jeden naprawdę dobry strzał. Słyszał pan pewnie... Arabowie budują muzeum, całe muzeum specjalnie dla jednego obrazu. Chodzi o „Salvator Mundi” pędzla Leonarda da Vinci. W latach sześćdziesiątych ten obraz kupiono jako starą kopię za cztery i pół tysiąca dolarów. Po oczyszczeniu z przemalowań i dokładniejszych badaniach, gdy okazało się, że jest to jednak oryginał z pracowni mistrza, sprzedano go za ponad sto dwadzieścia milionów jakiemuś ruskiemu oligarsze. A potem trafił w ręce arabskiego szejka za czterysta pięćdziesiąt milionów.

– Każdemu życzę takiego trafienia... – mruknąłem pod nosem.

– No więc mi się pofarciło podobnie, tylko o wiele skromniej – kontynuowała Stówka. – Znalazłam na śmietniku obraz. Był bardzo zniszczony i raczej paskudny, ale doczytałam się sygnatury Čiurlionisa. Przeszłam się po antykwariatach, potargowałam, znalazł się chętny, który dał od ręki dwanaście tysięcy. Pewnie po fachowej konserwacji wziął za niego ładny grosz.

– Hmm... – Zmarszczyłem brwi. – Pewnie tak, ale nie kojarzę, szczerze powiedziawszy, żeby obrazy tego malarza pojawiały się ostatnio na aukcjach.

– W każdym razie cztery miesiące nie musiałyśmy się niczym martwić. Ale teraz idzie zima – westchnęła Monika. – Pora chyba kończyć przygodę z mieszkaniem w stolicy. Może wiosną znów tu wrócimy – dodała niepewnie, jakby sama nie do końca wierzyła w taką możliwość.

– Wynajmujecie coś?

– Gdzie niby przy takich cenach z kosmosu... Kupiłam trochę używanych paneli, ogrodziłyśmy kawałek nieużytków, gdzie kiedyś były ogródki działkowe, rozłożyłyśmy trawnik z rolki, posadziłam kwiatki i postawiłam przyczepkę kempingową. Na nasze potrzeby wystarczy. W tym kraju pokutuje przekonanie, że jak ktoś coś robi na rympał, to prawdopodobnie ma do tego prawo... – Wzruszyła ramionami. – A jakby ktoś się do bardzo zainteresował, to zwijamy się i stawiamy naszą budę gdzie indziej. Ale szczerze powiedziawszy, tak można sobie mieszkać latem... No, powiedzmy, do listopada, jeśli jesień będzie ciepła. Mamy wujka na Dolnym Śląsku, ma dom pod Wrocławiem. Nam wystarczy jeden pokój na poddaszu. Liczyłam, że zostaniemy, ale nie odnalazłam obrazów dziadka. Za mało czasu.

– Obrazów? – podchwyciłam.

– Mam opowiedzieć całe nasze życie? – Stówka uśmiechnęła się kpiąco.

– Może jakoś pomogę odzyskać płótna?

– Po kolei. Ojciec zdołał w połowie lat osiemdziesiątych wyjechać do Szwecji. Tam poprosił o azyl. Nasz dziadek został w Polsce. To był odważny, konkretny człowiek. Działał w KPN. I chyba zdrowo depnął ubecji na odcisk, bo go zamordowali. Ojciec już tu nie wrócił. Skończył tam studia, ożenił się, ale po kilku latach posypało się to małżeństwo. Matka odeszła, ułożyła sobie inaczej życie, dla nas nie było już w nim miejsca. Wróciliśmy we trójkę do Polski pięć lat temu. Mieliśmy trochę kasy, ale za mało, żeby się jakoś urządzać. Potem ojciec umarł na ten cholerny covid. I zostałyśmy same. Oczywiście po śmierci dziadka spółdzielnia zagarnęła tamto mieszkanie. Radziliśmy się prawników, sprawa kompletnie nie do ugryzienia. Kilka razy przeszło z rąk do rąk. A co do obrazów... Z pierwotnego wyposażenia nic nie zostało. Znalazłam emerytowanego milicjanta, który był wtedy szefem ekipy śledczej. Powiedział, że szefostwo kazało mu zdać materiały do archiwum i o wszystkim zapomnieć. Dochodzenie w sprawie zabójstwa po dwóch tygodniach zamknięto.

– Przysłowiowi nieznani sprawcy? – Pokiwałam głową.

– W dodatku fachowcy, glina twierdził, że zostawili naprawdę niewiele śladów. Powiedzmy tak: wiedzieli, czego milicja będzie szukać w pierwszej kolejności. Pan wie, kto wtedy dysponował taką wiedzą.

– Pieprzone szwadrony śmierci od Jaruzela...

– Ten były milicjant powiedział, że zapamiętał obrazy – ciągnęła Monika. – Mordercy ich nie zabrali, nadal wisiały nad wersalką. Nie było śladów rabunku, generalnie wszystko leżało na swoim miejscu. Gliniarze zamknęli mieszkanie, opieczętowali. Ale któreś nocy ktoś się włamał. Podejrzewałam ówczesnego szefa spółdzielni, ojciec zawsze mówił, że to była gnida i złodziej. Ale on też już nie żyje, a jego rodzina nic nie wie. Szkoda, bo dwa obrazy Czachórskiego to pewien konkret.

– Ostatnio na aukcjach sztuki chodzą po kilkadziesiąt tysięcy euro – dodała Sylwia.

– Macie jakiegokolwiek ich zdjęcia? – zapytałam.

– Proszę. – Sylwia otworzyła galerię na smartfonie i pokazała mi czarno-białą fotkę. Mebłościanka, wersalka, dwa obrazki, niezbyt duże, ale charakterystyczne. Twórczość Czachórskiego znałam słabo, ale dałbym sobie rękę uciąć, że nigdy wcześniej ich nie widziałam.

– Obraz to nie szpilka. I raczej nikt ich nie wyrzucił do śmieci. Biorę to zlecenie – powiedziałam odruchowo. – Za pięć procent wartości odzyskanych płócien... Rozliczymy się, rzecz jasna, po tym, jak je sprzedacie.

– Coś pan. – Stówka wzruszyła ramionami. – Minęło ponad trzydzieści lat, nie ma żadnych szans.

– Siostra, a może niech ten pan powęszy? To fachowiec, sama słyszałaś, co o nim opowiadali. Skoro płatne po robocie, to niczym nie ryzykujemy. – Młodsza spojrziała na mnie z błyskiem w oku.

Zabrzączał domofon. Arek przyszedł. Przydzwigał siatę przeczytanych książek i ciasto w pudełku. Na widok dziewczyn wyraźnie się zdziwił.

– To mój współpracownik – wyjaśniłem. – Pomaga mi tam, gdzie trzeba ryć w źródłach, zwłaszcza tych dotyczących drugiej wojny światowej.

Nastąpiła ogólna prezentacja. Chłopak uniósł brwi, gdy wprowadziłem go w sytuację. Słuchał zadumany. Zajrzał przez szparę do sypialni.

– Podobna do tej twojej kuzynki, co gra na skrzypcach – zauważył. – I do tej drugiej, ładnej. Malwiny czy jakoś tak. To nie jest żadna twoja krewna?

– Raczej nie...

– A może któryś z twoich wujaszków ma dzieci, jak to się mówi, z nieprawego łoża? – Poskrobał się po głowie. – Bo to chyba nie jest twoja córka...

– Moja córka?! – zachnąłem się. – Chyba cię pogięło. Wujków też raczej nie podejrzewam.

Dziewczyny zachichotały.

– I co? Będzie tak spała? – spytał Arek.

– Myślisz, że powinniśmy ją obudzić? – zdziwiłem się.

– E, budzić to raczej nie... Ale może warto skombinować test na obecność narkotyków i innych toksyn? – podsunął. – Taki prosty można chyba kupić w aptece. A taki bardziej zaawansowany, policyjny może Piotrek załatwi?

– Wołałbym go w to nie mieszać. – Pokręciłem głową. – Nie wiemy, kim jest nasz gość, raczej nie ucieka przed policją ani przed służbami, ale mimo wszystko...

– Szpiegówki to chyba ładniejsze są – zadumał się. – A talibanki to taką ciemniejszą karnację mają.

– Nie wiem, chyba żadnej nigdy nie spotkałem – zakpiłem.

Posadziłem kumpla z dziewczynami przy stoliku, ukroiłem im kawałek przyniesionej szarlotki i wsypałem szufelkę żaru do samowara.

– Pozabawiaj gości intelektualną rozmową – poleciłem chłopakowi. – Zobaczę, co z nią.

Zajrzałem do sypialni. Zagadkowa Iwona była już znacznie przytomniejsza. Jej twarz odzyskała trochę kolorów. Leżała na wznak, dłonie podłożyła pod głowę, patrzyła w sufit. Pierś unosiła się w równym oddechu.

– Pomaluję kiedyś – bąknąłem.

– Jest już o wiele lepiej. Kwadrans albo dwa i wstanę – zapewniła. – To tylko przeciążenie... Przemęczenie. Ten hałas, chaos, ruch ze wszystkich stron. Powinam była po basenie iść do parku, a nie do sklepu. Miałam wrażenie, jakbym się znalazła w oku cyklonu i widziała wirującą wokół burzę.

– Kawy albo herbaty? – zaproponowałem. – Czy może wody?

– Wody sodowej, jeśli można prosić.

Też wymyśliła... Ale cóż. Przeszukałem pospiesznie kuchnię. Wreszcie z narożnej szafki zza prodiża i sokownika wydobyłem stary metalowy syfon. Umyłem go i napełniłem wodą. Zacząłem grzebać po szufladach. Cała trójka moich gości przerwała jedzenie ciasta i gapiała się na mnie jak sroki w gnat. Znalazłem odpowiednie pudełko. Dokręciłem nabój. Syknęło, zabulgotało, obudowa pokryła się szronem,

poczulem, jak wilgotne palce lepią mi się do metalu. Do urzędzenia z lat siedemdziesiątych dobrałem szklanę musztardówkę z epoki. Cisza przy stole stała się o ton głębsza.

– Coś nie tak? – zdziwiłem się. – Chciała wody sodowej, to robię... Trudno dziś o naboje do syfonów, na szczęście pasują te angielskie od wiatrówki. A gaz ten sam, dwutlenek węgla.

Zaniosłem syfon i szklanę do sypialni.

– Ha! To na pewno jest podróżniczka w czasie – skwitowała Sylwia, gdy wróciłem. – Kto by dziś powiedział „woda sodowa”? Szkoda, że nie przybywa z przyszłości, mogłaby podać nam numery do totolotka! Choć z drugiej strony możliwe, że przybywa, ale zrobiła sobie u nas przystanek aklimatyzacyjny przed lotem dalej wstecz.

– Opowiadałem właśnie, że masz w swoich zbiorach legendarne znaczki z błękitnym nadrukiem C.M.T. z Pokucia – odezwał się Arek.

– Ech, kogo dziś interesują te lepkie papierki. – Wzruszyłem ramionami.

– Czy dobrze zrozumiałam? Chodzi o nadruk rumuńskich interwentów zrobiony na znaczku austro-węgierskim? Wtedy, gdy w tysiąc dziewięćset osiemnastym zajęli kilka powiatów na południu Ukrainy? – zdumiała się Stówka.

– Tak.

– Ale jakim cudem błękitny? Przecież oni robili nadruki zwykłym granatowym tuszem!

Przyniosłem klaser, potem kolejny... Rozmowa potoczyła się jak leśny strumyk po kamykach. Jakoś tak niepostrzeżenie wyładowaliśmy przy szafie z porcelaną.

– Zobaczcie na przykład to. Jeden z moich najciekawszych łupów... – Wyjąłem niedużą filiżankę malowaną we wzór kwiatowy.

– Osiemnastowieczny wyrób manufaktury w Korcu?! – Monika nawet nie musiała patrzeć na sygnaturę.

– Malował zapewne Kazimierz Sobiński – dodałem z dumą.

– Bardzo misternie posklejana do kupy...

– Wykopałem z gruzowiska. Była roztrzaskana na osiemdziesiąt fragmentów. Przesiałem i przepłukałem metr sześciennej ziemi, żeby odnaleźć najdrobniejszy okruch. Pięciu zabrakło, dosztukowałem więc, szlifując na wymiar kawałki podobnej barwy...

– Od strony konserwatorskiej majstersztyk – pochwaliła Stówka. – To unikalne dziś rzeczy. Identyczna dobrze zachowana warta byłaby kilkanaście tysięcy. Ale w tym stanie nie zainteresuje tak zwanych poważnych kolekcjonerów.

– Dlatego cieszę się, że jestem kolekcjonerem niepoważnym. Odpada pokusa sprzedania jej...

– Ha, a ja trafiłam kiedyś na połówkę porcelanowej filiżanki z wytwórni w Tomaszowie Lubelskim, i to z portretem Napoleona. A właściwie z większą częścią portretu... I nadal ją mam!

– Fiuu... – gwizdnąłem z uznaniem. – Ta manufaktura produkowała fajansy, a porcelaną tylko przez trzy lata – wyjaśniłem kumplowi. – Potem utworzono Księstwo Warszawskie i pechowo złożyła gliny znalazły się po drugiej stronie granicy. Carscy urzędnicy nałożyli cło na surowiec. Zakład padł. Dziś te wyroby to absolutny unikat.

W kieszeni Arka zabręczała komórką. Przeszedł do kuchni pogadać. Wrócił po chwili trochę przygaszony.

– Mama coś źle się czuje. Muszę pędzić – powiedział z zalem.

– Masz na taksówkę?

– Przyjechałem skuterem.

Poszedłem za nim zamknąć.

– Słuchaj, Robert, ta Stówka ma tak naprawdę na imię Monika? – zagadnął gorączkowym szeptem, stojąc już jedną nogą za progiem.

– Tak.

– Bo wiesz, ja tak pomyślałem, Marta, potem Magda. Teraz Monika. Imiona na M chyba przynoszą ci pecha. Choć z drugiej strony do trzech razy sztuka. I mamy podobne zainteresowania. Cała czwórka. To fajnie, no nie? Urabiam dziewczyny jak glinę. Najwyżej tylko ja ożenię się z jej siostrą, a tobie znajdziemy inną... Albo niech imię zmieni, albo zaczniesz używać drugiego, to przerwie krąg twojego pecha. Ale jak się uda, pomyśl, budzisz się rano, a ona ci podaje śniadanko do łóżka. Albo ty jej... Albo zamiast śniadania od razu deser.

– Yhym...

– Wiesz, co jeszcze zauważyłem? – ciągnął Arek. – Potwierdzają się tamte obserwacje. Mają bardzo znoszone buty, ale starannie zapastowane. Ubrania też nie pierwszej nowości. Mankiety koszul obszyte. I obie są wręcz nienormalnie, pedantycznie czyste.

– I co z tego wynika?

– Bieda u nich aż piszczy, obsesyjnie starają się zachować pozory. Pieniądzy nie wezmą, ale nakarm je dobrze, zanim pójdą. A ta Iwona dla odmiany jest ubrana jak laleczka z górnej półki. Może za uratowanie córki jej ojciec milioner mógłby im pomóc? Dobrą robotę załatwić czy coś...

– Uważaj, jadąc ulicami, wycisz emocje i rozglądaj się na boki! – Łagodnie wypchnąłem go za drzwi i zamknąłem je na oba zamki.

Iwona faktycznie wstała kwadrans później. Syfon, najwyraźniej już pusty, postawiła na blacie w kuchni. Wypiła ponad litr wody?

– Komu zawdzięczam pomoc i gościnę? – Przechyliła pytająco głowę.

– Nazywam się Robert Storm – przedstawiłem się.

Spojrzała na mnie wyraźnie zaskoczona.

– Robert Storm? – zdziwiła się. – A niech mnie! Ale... – Spojrzała w okno. – Ale to nie Targówek?

– Jesteśmy na Woli – wyjaśniłem.

– Przepraszam, ile spałam?

– Dochodzi dwudziesta... – powiedziała Monika. – Tu jest twoja torebka.

Dziewczyna podziękowała. Zauważyłem, że wyraźnie ucieszyła się z odzyskanej zguby. Wyjęła ze środka małą srebrną puderniczkę i przez chwilę patrzyła w lusterko.

– Narobiłam kłopotu, w dodatku zasiedziałam się – szepnęła. – Nie będę już nadużywać gościnności. Dziękuję za pomoc, niestety, muszę prosić o jeszcze jedną przysługę. Już mi trochę lepiej, ale sama nie dotrę do punktu.

– Do punktu?

– Tam, gdzie mi, eee... pomogą.

– Nie ma problemu, odwieziemy panią. Gdzie chce się pani dostać?

– Na ulicę Jana Olbrachta – powiedziała cicho i przytknęła oczy. – Tam jest taki mały antykwariat... W starej kamienicy blisko skrzyżowania. Muszę tam wrócić jak najszybciej. Możecie mnie odwieźć albo zamówić... eee... taksówkę?

– Antykwariat na Jana Olbrachta? W takiej kamienicy z płaskim dachem? – zapytałem kompletnie zaskoczony.

Kiwnęła głową. Poczułem dreszcz chłodu na plecach. Przypadek? Nie ma takich przypadków. Może swoimi poszukiwaniami za mocno trąciłem struny rzeczywistości? Tajemnica... Na wyciągnięcie ręki. Być może zagrożenie... Pułapka? Chyba nie... Szansa? Kto wie...

– Proszę, tu są twoje buty. – Sylwia stała w drzwiach sypialni. – Pomogę założyć. Dasz radę zejść do auta?

Iwona wstała ostrożnie z krzesła. Zachwiała się, podtrzymał ją ze Stówką.

– Zostań i popilnuj mieszkania – poprosiłem młodszą z sióstr. – Masz tu cztery czy pięć tysięcy książek. Poczytaj sobie coś. Wrócimy jak najszybciej.

Pomknęliśmy przez zasypiającą już Wolę. Zaczął padać deszcz. Przypomniałem sobie słowa starego menela... Mżawka to warunek konieczny. To coś nie pojawia się w pogodne wieczory i na oczach świadków. I najlepiej podejść z drugiej strony ulicy.

– Warszawa, te wszystkie światła, neony, reklamy. – Iwona rozglądała się wokół. – Tramwaje mkną po szynach. I tyle sklepów pełnych różności. To niezwykle... Naprawdę niezwykle. Ale przytłaczające.

– Skąd pani jest? – wykrztusiłem i jednocześnie włączyłem wycieraczkę.

– Bardzo trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie... – westchnęła.

– Ale chociaż zobaczyłam kawałek miejsca, w którym mogłabym żyć...

Podjechałem i zaparkowałem tam, gdzie zwykle. Zagryzłem wargi. Po drugiej stronie ulicy przez firanki deszczu wyraźnie widziałem jaśniejszy prostokąt – oświetloną wystawę nieistniejącego antykwariatu.

– Lepiej zostań tutaj – bąknęłam do Moniki. – A ja odprowadzę naszą podopieczną. To, eee... bardzo dziwne miejsce.

– Oj, daj spokój – ofuknęła mnie.

Wyjąłem komórkę.

„Odnalazłem antykwariat na Olbrachta. Gdybym przepadł – zaopiekuj się Sylwią” – napisałem SMS do Arka.

Wspólnie wyciągnęliśmy dziewczynę z tylnego siedzenia. Stała na mokrych płytach chodnika i mimo podtrzymania kolejny raz zachwiała się na nogach. Kolana nie chciały jej słuchać.

– Słabo mi, przepraszam... – westchnęła. – Najmocniej przepraszam, tyle kłopotów...

– Nic się nie dzieje – uspokoiłem ją. – Trzeba sobie pomagać.

Była blada i znów łała się przez ręce. Wzięliśmy ją ze Stówką pod ramiona. Pod tkaniną wyczułem rękę. Skóra i kości, jakby jeszcze schudła. Stawiała stopy ostrożnie, widać było, że walczy z miękkością kolan. Rozłożyłem parasol. Powoli przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Deszcz był z gatunku tych szczególnie upierdliwych. Niezbyt gęsty, ale skutecznie zniechęcający do spacerów. Stanęliśmy przed kamieniczką i teraz dopiero poczułem prawdziwy strach. Tynki spływały deszczem, ale wyglądały jak niedawno położone. Blaszany szyld wisiał nad drzwiami. Rzuciłem okiem na witrynę. Kupa fajnych książek, same przedwojenne i jeszcze starsze... I mała lampka naftowa, oświetlająca wystawę. Stała po prawej. Czyli menel mówił prawdę.

Chłód w żołądku, zimny pot na karku. Wejść? Nie wchodzić? I jeszcze ta Stówka... Spotkanie z nieznanym. Moje spotkanie. Nie mogę narażać dziewczyny!

– Jest pani pewna, że to tutaj i że chce pani tam wejść? – zapytałem pro forma Iwonę.

– Muszę... wracać do siebie. – Uśmiechnęła się słabo. – Dziękuję za pomoc...

Pchnąłem drzwi. Były zamknięte. Wcisnąłem mosiężny guzik. Ustąpił z pewnym oporem – to nie było urządzenie elektryczne, lecz mechaniczne. Gdzieś wewnątrz rozległo się melodyjne dzwonienie. Zamek szczęknął i drzwi uchyliły się zapraszająco. Najchętniej wepchnąłbym Iwonę do środka, a sam nie przekraczał progu, ale widać było, że nogi wciąż jeszcze nie chcą jej słuchać...

– To może być niebezpieczne! Lepiej zostań tutaj, a ja wszystko załatwię – raz jeszcze poleciłem Stówce. – Gdybym nie wrócił...

Ale ona pierwsza przekroczyła próg, holując ostrożnie naszą towarzyszkę. Z duszą na ramieniu wszedłem do środka. Obejrzałem się. Ulica spływająca deszczem była ciągle na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło zawrócić na pięcie. I w tym właśnie momencie podmuch wiatru zatrzaskał drzwi. No ładnie! Byliśmy niczym myszy w pułapce... Odwróciłem się powoli jak zahipnotyzowany. Wnętrze ginęło w ciepłym, przyjaznym półmroku. Pachniało drewnem płonącym w piecu, naftą, starym papierem oraz woskiem. I szarlotką, taką prosto z blachy.

Szarlotka?! Menel wspomniał, że częstują szarlotką, a potem już tylko idzie się przez ławkę... – zapaliła mi się w głowie myśl.

Rozejrzałem się, czując, jak koszula lepi mi się do pleców. Otaczały nas regały ciasno zastawione opasłymi woluminami. Tylko nad ladą paliła się wisząca lampa naftowa, a do otwartego popielnika padał poblask żaru. Na wygodnym fotelu siedział starszy mężczyzna w jarmułce. Pejsy wiły mu się aż na ramiona jak dwa zaskrońce. Gdy weszliśmy, czytał jakąś książkę, teraz założył stronę wstążeczką i odłożył wolumin na blat. Patrzył na nas znad mocnych okularów, kompletnie zaskoczony.

– *Gutn ovent her* – rzuciłem w jidysz.

– Dobry wieczór – odezwał się po polsku, wstając. – Jak widzę, znalazła się nasza zguba... Już się niepokoiłem i jak widać, słusznie.

Jakaś kobieta wyszła z zaplecza. Miała prostą czarną suknię z białą koronką przy mankietach i pod brodą. Nie potrafiłem określić jej wieku, na pewno przekroczyła czterdziestkę. W jej spojrzeniu było coś dziwnego. Patrzyła niby to na nas, ale czułem, że to pozór, jakby jej wzrok prześwietlał na wylot nas i mury tego sklepiku. Podtrzymała Iwonę, delikatnie, ale wyczułem w tym chwycie siłę.

– I po co było tak szaleć – niby to ofuknęła naszą podopieczną, jednak w jej głosie pobrzmiwała ciepła troska. – Chodź, odpoczniesz chwilę i coś zjesz...

– Dziękuję... – odparła dziewczyna. – To miasto... Za dużo się działo naraz...

Iwona wyglądała już lepiej, na jej twarz wracały rumieńce. Nadal uczepiona była ramienia kobiety, ale widziałem, że stoi już o własnych siłach.

– Wiem. Tak bywa. Ostrzegaliśmy cię, to jak z winem. Nie bierz na raz zbyt dużego haustu...

Pojawiła się kolejna kobieta, podobnie ubrana, ale o połowę młodszą. Miała bardzo jasne, oślepiająco błękitne oczy. Dziwnie to wyglądało przy czarnych włosach... Delikatnie objęła Iwonę i odprowadziła gdzieś na zaplecze.

– Uratujecie ją? – zapytałem z głupia frant.

– Nic jej nie będzie, wróciła w porę – powiedział mężczyzna.

Kobieta przeniosła wzrok na mnie i na Monikę. Zmarszczyła brwi, jej spojrzenie stało się jakby jeszcze bardziej badawcze.

– Przyprowadzili ją – wyjaśnił antykwariusz pogodnie. – Najwyraźniej nasza mała przyjaciółka posłużyła za klucz. Niesamowite na swój sposób.

– Nieczęsto macie gości? – zagadnąłem.

– My w zasadzie nigdy nie miewamy takich gości jak wy. – Antykwariusz uśmiechnął się krzywo i puścił do mnie oko. – A w żadnym razie nie wchodzi przez te drzwi.

– Zdekonspirowała nas... – mruknęła kobieta.

– No niby tak, ale nie miała wyjścia. Zresztą sama pani powiedz, jakie to ma właściwie znaczenie? – Znów uśmiechnął się, unosząc tylko jeden kącik warg.

– No żadne chyba... – odparła w zadumie kobieta. – Dziękujemy za zajęcie się naszą, eee... koleżanką – zwróciła się do nas. – Czy możemy się jakoś zrewanżować?

– Zapewne nie możecie powiedzieć, co to za miejsce? – westchnąłem. – Że antykwariat, to wiem. Zgaduję, że to coś w rodzaju ambasady?

– Coś w rodzaju. – Kobieta kiwnęła niechętnie głową.

– Da się tędy przejść... w przeszłość?

– Tędy nie.

Stówka nie zwracała uwagi na naszą rozmowę, wędrowała wzdłuż regału, podziwiała w niemym zachwycie księgozbiór, co jakiś czas opuszkami palców muskając pięknie oprawione grzbiety książek.

– Może chociaż jakaś aluzja? – poprosiłem. – Prawdopodobieństwo zaistnienia? Dziewczyzna osłabła, bo... Bo nie powinno jej być teraz w Warszawie? Sama rzeczywistość próbowała ją w jakiś sposób wymazać? Można wyjść pochodzić, ale lepiej się nie oddalać za bardzo od tego miejsca i nie przedłużać czasu wycieczki?

– Chylę czoła przed pańską domyślnością, panie Storm. – Kobieta westchnęła ciężko. – Ale są sprawy, nad którymi nie ma potrzeby się zastanawiać.

– Czyli w przeszłość tędy się nie da. Ale gdybym chciał poszukać... – zacząłem.

– Niech pan nie szuka tych dróg. One istnieją, ale to niebezpieczne i bez sensu. Mięso to tylko mięso, może polecieć naprawdę daleko. Na drugi koniec galaktyki albo skończyć jako karma dla dinozaurów. Ale dusza jest mocno przypisana do swojego czasu. Może... zostać. Tu albo tam. – Pogroziła mi palcem. – Lepiej zostawić w spokoju to, co odeszło i przeminęło. Historia dla pana jest już martwa. I tak niech zostanie.

– Dla mnie... A triady? Mamy co najmniej jedną gdzieś w Warszawie.

– Dziękujemy za pomoc, ale obawiam się, że musicie już iść. Subiektywny upływ czasu nie musi odpowiadać rzeczywistości – odezwał się antykwariusz, wyjmując z kieszeni okazały srebrny zegarek na dewizce.

Coś się zmieniło w tonie jego głosu. Już się nie uśmiechał. Chyba był poważnie zaniepokojony. Bez słowa złapałem Stówkę za rękę i pociągnąłem do drzwi.

– Pora na nas – powiedziałem stanowczo.

– Zobacz, czego tu nie mają! To jest prawdziwy skarbiec! Ile przedwojennych wydań Verne'a! – zaprotestowała. – I „Mumia zmartwychwstała” Conan Doyle'a! Tyle lat tego szukam! Mam trochę pieniędzy... Można tu płacić kartą? – Obejrzała się w stronę lady.

– Niestety nie. – Żyd nadal patrzył na zegarek, ale teraz wyglądał na naprawdę zdenerwowanego.

Kobieta ponagliła nas gestem.

– To się może zamknąć! – rzuciła.

– A ile by kosztowała...

– Musimy, eee... szybko wyjść – uciąłem, mocując się już z drzwiami.

– Ale „Mumia”... – Stówka spojrzała na mnie prosząco. – Potrzebuję parę groszy, pożycz mi, oddam przecież.

– Dam ci mój egzemplarz, tylko wyjdźmy.

Obawiałem się, że nie będzie to takie proste, ale klamka poddała się, z ulgą poczułem na twarzy podmuch mokrego wiatru. Stanowczym ruchem wypchnąłem Monikę na ulicę. Na progu, stojąc już w bezpiecznym miejscu, odwróciłem się, ostatni raz chłonąc wzrokiem wnętrze antykwariatu.



Parhel
Zaenab

– Iwona jest moją krewną? – rzuciłem pożegnalne pytanie.

– Odpowiedź znajdziesz w albumie. Czterdziesta siódma strona – powiedziała kobieta. – Były niezaistniałe są nadal splątane kwantowo... I raz jeszcze bardzo dziękujemy.

Spostrzegłem jeszcze, jak antykwariusz spiorunował ją wzrokiem. Powiedziała zbyt wiele? Drzwi zatrzasnęły się za nami. Nadal padał deszcz, ale gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie ulicy, witryna była już ciemna. Spojrzałem na zegarek.

– Miejmy nadzieję, że to były tylko godziny, a nie dni, tygodnie albo lata... – mruknąłem do siebie.

Zapikał SMS. Od Arka.

„Żyjesz?”

„Już po wszystkim. Opowiem kiedyś” – odpisałem.

Spojrzałem na dłonie. Paznokcie miałem nadal tej samej długości, zatem dla ciał nie minęło dużo czasu. Auto stało nadal tam, gdzie je zostawiłem. Siadłem za kierownicę. Stówka zajęła miejsce obok. Odpaliłem silnik i zaniepokojony popatrzyłem na zegar. Odetchnąłem z ulgą. Ulewa wzmagala się, ale przez firanki deszczu nadal widziałem prostokąt witryny. Wrzuciłem bieg.

– Dziwni jacyś ludzie – mruknęła dziewczyna. – O tej porze żeby mieć otwarte. I to w warunkach, gdy elektryczność im wysiadła? A ten sprzedawca? Chasyd pewnie... Pejsy jak ze starego zdjęcia. I czemu mnie wywlokłeś? Nawet się dobrze nie przyjrzałam, a cuda prawdziwe tam mieli! Ale nic, wróć rano i zrobię zakupy. Muszę mieć tę „Mumię”! Jest nie do zdobycia.

– Już powiedziałem, że „Mumię” ci dam. A zakupów nie zrobisz – westchnąłem. – Nikt nie robi. Chyba.

– Gadasz zagadkami!

– Nie uwierzysz w to, co powiem...

– Wal...

Opowiedziałem historię antykwariatu, który nie istnieje. Opisałem, jak usiłowałem coś przewąchać, jak wypytywałem okolicznych mieszkańców. Wspomniałem, ile razy czatowałem na tej ulicy. Opowiedziałem też o spotkaniu z menelem.

– I tak to wygląda. Mieliśmy niebywały fart, że go znaleźliśmy. Zapewne to obecność dziewczyny stworzyła na moment przejście. I chyba mamy ogromne szczęście, że zdołaliśmy wyjść, cało i w jednym kawałku. Oraz w swojej epoce! Słyszałaś, co powiedział sprzedawca? Nawet on nie był pewien, jak płynie czas na zewnątrz.

– No bez jaj – podsumowała Stówka. – Takie rzeczy się nie zdarzają!

– Na szczęście zazwyczaj nie – westchnąłem i spokojnie zawróciłem na rondzie.

Kilka chwil później zaparkowałem tam, gdzie staliśmy poprzednio. Prostokąt okna był ciemny jak zawsze.

– Chodź – poleciałem, wysiadając. – Idziemy kupić ci kilka książek...

Deszcz już nie padał. Podszedłem do witryny i oświetliłem ją latarką. Stówka długo i w milczeniu patrzyła na puste, zdewastowane wnętrza, które snop światła wydobywał z mroku. Po mosiężnym przycisku dzwonka została tylko dziura we framudze... Szylku oczywiście też już nie było.

– To przecież ten sam budynek! I dopiero co... Przecież byliśmy w środku! – wykrztusiła wreszcie. – To jest identyczne, tylko kompletnie zniszczone...

Zdewastowane...

– Zdołaliśmy wyjść... Jak sądzisz, ile nam zajęła rozmowa z tym sprzedawcą i kobietą?

– Pięć minut?

– No to popatrz na zegarek w telefonie, a potem na ten, który masz na ręce.

– Zaraz, zaraz. Telefon pokazuje, że jest wpół do drugiej!?! Ale na zegarku nie ma jeszcze dziewiętej.

– Gdy byliśmy wewnątrz, zgubiło się nam około pięciu godzin... I na szczęście tylko tyle. Wyszliśmy w porę. Kto wie co by się stało, gdybyśmy zostali tam dłużej...

– Ale jak to? – Stówka pobladła.

– Teraz mi wierzysz?

– Tak... – Odruchowo cofnęła się dwa kroki od witryny.

– Następnym razem, gdy poproszę, żebyś gdzieś nie włąziła albo żebyś trzymała się za moimi plecami, posłuchaj mnie.

– *Sure!* – Pobladła jeszcze bardziej. – Obiecuję!

Zawróciliśmy do auta. Zapauściłem silnik. Budynek został w tyle. Nie wrócę tu chyba już nigdy. Dostałem swoje dotknięcie tajemnicy. Dostałem szczątkową odpowiedź na swoje pytania. Byłem w środku i udało mi się wyrwać na zewnątrz. Lepiej więc nie kusić losu.

– Czemu to tak!?! – szepnęła Stówka. – Nie rozumiem... Takie rzeczy się nie zdarzają! – powtórzyła.

– Bo to Warszawa... To miasto skrywa wiele tajemnic. Jedne są fascynujące, inne groźne, a czasem niebezpieczne. Są wśród nich także takie, których nie warto badać. Jeden mój znajomy opowiadał, że w młodości, gdy służył w wojsku, pojechali na poligon w miejsce, gdzie może trzydzieści lat wcześniej ostrzeliwano las z artylerii. Pewnie były tam umieszczone jakieś cele ćwiczebne, takie blaszane fantomy, albo i poustawiano jakiś poniemiecki szmelc. Jednak to drzewa przyjęły na siebie impet uderzenia. Przyroda poradziła sobie jakoś ze skutkami. Szli przecinką między pniami poskręcanych na wszelkie możliwe sposoby, pokrytymi bulwami narośli... Powiedział, że las wyglądał w tym swoim kalectwie zarazem fascynująco i ohydnie.

– Jak się to ma do naszej przygody?

– Warszawa jest jak taka chora puszczą – wyjaśniłem. – Zdarzyło się tu zbyt wiele zła. W czasie wojny, ale nie tylko... Gdy drzewo zostanie poważnie zranione, soki krążą w nim inaczej. Natrafiają na przeszkody, na białe odłamki... Żelazo, ołów, metale kolorowe, resztki smarów, chemikaliów i materiałów wybuchowych, to wszystko substancje szkodliwe dla roślin. Tworzą się guzy, zwyrodnienia, w chorej tkance łatwiej rozwijają się choroby i pasożyty. Popatrz dookoła. Też to spostrzeżesz. To miasto nadal nosi znamiona minionej wojny. Rany, blizny, wrzody. Fizyczne, ale także metafizyczne. Osnowa rzeczywistości uległa głębokiemu naruszeniu. Może kiedyś rany się zagoją i wszystko wróci do normy... Ale chyba nieprędko. Tak to widzę.

– Są też pasożyty?

– Tak. W tej chorej tkance są też pasożyty. I obyś nigdy ich nie spotkała.

Nieczęsto wracałem do domu z taką ulgą jak tej nocy. Otworzyłem drzwi, w twarz uderzyło mnie ciepłe powietrze i delikatny zapach drewna płonącego w kominku. Sylwia spała, pólsiedząc na dywanie, oparta o fotel, z którego chyba się zsunęła. Najwyraźniej zasnęła, czekając na nasz powrót. Książka upadła jej na podłogę. Wsunąłem w palenisko nową szczapę. Potem podszedłem do półki i zdjąłem opaski wolumin. Kronika rodu... Przekartkowałem i otworzyłem na stronie czterdziestej siódmej.

Szczupły mężczyzna w cyklistówce opierał się o maskę forda. Obok stała dziewczyna w ładnie skrojonej sukience. Patrzyłem w ich twarze, szukając podobieństwa do Iwony.

– To kazała ci sprawdzić? – bąknęła Stówka.

– Łukasz Storm i jego narzeczona – wyjaśniłem. – On był dziennikarzem w Łomży, ona prowadziła księgarnię. Wybuchła wojna. Mieli się pobrać, był nawet wyznaczony termin. Niestety, wcześniej zostali zamordowani przez Niemców... Jeśli dobrze interpretuję... Ten antykwariusz powiedział coś o splątaniu kwantowym. Nie jestem fizykiem, ale słyszałem hipotezę, że zjawiska kwantowe mogą tłumaczyć wiele fenomenów tego, co znamy pod pojęciem duszy, jaźni, świadomości... Wojna zakłóciła jakiś plan. Zaburzyła go na naszej płaszczyźnie rzeczywistości, ale najwyraźniej nie zniszczyła jakichś struktur nadrzędnych. Bo jak inaczej wytłumaczyć nagle pojawienie się kuzynki, której nigdy nie miałem, bo zamordowano jej dziadków... – szepnąłem.

– Twojej kuzynki? – zadumała się.

– Geny Stormów są bardzo silne, wszyscy jesteśmy do siebie bardzo podobni. Iwona też była do nas podobna. Dlatego w pierwszej chwili myślałem, że to Fredzia. Moja siostra stryjeczna Fryderyka – wyjaśniłem. – Iwona usłyszała moje nazwisko. Zdziwiła się. Zapytała odruchowo o Targówek. Wiesz dlaczego?

– Nie.

– Przed wojną większa część mojej rodziny żyła w dużym domu właśnie na Targówku. Osiem mieszkań, we wszystkich różni członkowie naszej rodziny. Po wojnie z kamienicy zostały wypalone mury. Klan próbował ją odbudować, zaczęto załatwiać cegłę, wapno, drewno, belki na stropy, ale wszedł dekret Bieruta... Zabrali nam dom i ziemię wokoło. Budynek wyburzyli do fundamentów, wycięli stuletni sad.

– Nie udało się reprivatyzować?

– Nijak. Teraz stoją tam bloki. Jak byłem mały, rosły tam jeszcze dwie jabłonki, na trawniku pośrodku blokowiska... Teraz i tego nie ma. Kiedyś poszedłem z łopatą, rozryłem kawałek placu zabaw, ale wykopałem cegłę z tego domu. Mam ją wmurowaną tu w ścianę... Kontynuacja... Rozumiesz?

– Tak. Dlaczego dziewczyna pojawiła się tu? W Warszawie?

– Nie wiem – przyznałem. – Wypuścili ją, żeby pohasała sobie po epoce, w której miała żyć? Może za bardzo hasała, zapuściła się zbyt daleko, może za długo przebywała poza antykwariatem? Mówiła coś o prawdopodobieństwie zaistnienia... Jej przodkowie zginęli, widocznie rzeczywistość jakoś na to reaguje, usuwa to, co nie pasuje do zmienionego już wzorca.

– Coś takiego powiedziała. Że jest anomalią.

– Nie wiem. Tak hipotetyzuję. Myślałem, że antykwariat to pojawiająca się czasami enklawa przedwojennej Warszawy. Może inkluzja, a może nawet brama w przeszłość. Ale teraz sądzę, że to raczej portal prowadzący gdzieś dalej, prawie na pewno na tamten świat. Nie do raj, raczej do czegoś w rodzaju czyśćca. Ambasada niezastniałych...

– Jeśli masz rację, a zakładam, że przynajmniej częściowo możesz mieć... Czy my przypadkiem nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele?

– Pewnie tak. Ale nie sądzę, żeby zechcieli nas uciszyć na zawsze. Zaniepokoiła ich nasza wizyta, ale nastawieni byli przyjaźnie. No bo jak niby cokolwiek udowodnimy? Przecież sama widziałaś, nie zdoła go pod tym adresem odnaleźć. A w moim mieszkaniu nie ma żadnego śladu, że była tu jakaś dziewczyna. Możemy o tym komuś opowiedzieć, nikt nam nie uwierzy.

– W łazience został jej kostium kąpielowy... – zauważyła Monika.

– O ile nadal tam wisi. A jeśli wisi, no cóż, mógł należeć do dowolnej dziewczyny. Żaden dowód.

– Nawet nie pomyśleliśmy, żeby zrobić jej zdjęcie... – zamyśliła się.

– Fakt. Ciekawe, swoją drogą, czy matryca zapisałaby obraz i czy byłby potem trwałe. I czy taki plik dałoby się otworzyć. Skoro łóżko w sypialni jest wolne, pozbierajmy twoją siostrę z podłogi i kładźcie się spać, ja mam tu wersalkę – zaproponowałem. – Jak chcecie, mam nawet kobiece koszule nocne, przedwojenne wprawdzie, ale w dobrym stanie, wyprane i chyba znajdziemy wasz rozmiar... A właśnie, byłbym zapomniiał.

Otworzyłem szafę pancerną z najcenniejszymi książkami i po chwili poszukiwań wygrzebałem odpowiedni wolumin.

– Proszę, jest i „Mumia zmartwychwstała” Arthura Conan Doyle’a. Tak jak obiecałem.

– Ale ja nie mogę tego przyjąć... – zaczęła się krygować Stówka.

– Tylko nie czytaj przed snem.

Kwadrans później leżałem już na wersalce nakryty pledem. Kominek rzucił czerwony poblask na salon. Za oknem szalała ulewa. Ciężkie krople bębniły o parapet.

Jesień idzie, pomyślałem z melancholią. Kolejny rok dobiega końca.

Dziewczyny zgasiły światło, też pewnie już spały.

Rano zrobię im śniadanie do łóżka, postanowiłem. O ile zdołam obudzić się wcześniej niż one...

*

Od nocnej przygody z nieistniejącym antykwariatem minęło dziesięć dni. Jechałem uliczkami Bemowa. Skręciłem w lewo i utknąłem w małym korku. Kawalek z przodu policjant z lizakiem zatrzymał ruch. Zaraz obok stały, błyskając światłami, dwa radiowozy. Jeden blokował drogę. Coś się stało? Spojrzałem mimochodem w prawo. Za trawnikiem biegł chodnik, obok ciągu handlowego stała ławka. Zebrał się przy niej tłum. Obok kilku mundurowych biedziło się z rozłożeniem policyjnego parawanu. Nieboszczykowi leżącemu na deskach nakryto twarz rozłożonym tygodnikiem, ale poznałem go po ubiorze. Mój informator z ulicy Olbrachta przeniósł się do wieczności.

Czyli skończył dokładnie tak, jak przepowiedział, pomyślałem. Może faktycznie idzie teraz przez niebiańską łąkę, a jego trup stygnie na ławce... Może nawet po tamtej stronie poczęstowano go szarlotką? Przypomniałem sobie zapach unoszący się w antykwariacie.

Westchnąłem. Czy mogłem mu wtedy pomóc? Nie, nie mogłem. Zaproponowałem esperal. Ale zapewne nawet odwyk w zamkniętym ośrodku nie powstrzymałby go w pędzie do samozagłady. Jeden z radiowozów przeparkował, odblokowując drogę, i policjant dał znać, że można jechać. Ruszyłem. Przez chwilę czułem smutek. Nie znalazłem człowieka, ale mimo wszystko zrobiło mi się go żal. A potem myśli pobiegły gdzie indziej.

Zaparkowałem opodal przystanku tramwajowego, powędrowałem zarośniętą ścieżką przez chaszczę i wądoły, aż dotarłem do płotu. Malwy już przekwitwały, liście drzew pożółkły. Na pokręconej ze starości jabłonce wisiały piękne, czerwone jabłka, ostatnie w tym roku. Pchnąłem prowizoryczną furtkę i po chwili zapukałem do drzwi zniszczonej przyczepy kempingowej. Otworzyła mi Stówka.

– Robert! – zdziwiła się na mój widok. – Witaj. Wejdz, proszę, szybko, ciepło ucieka.

Przyczepa została wewnątrz wyłożona karimatami, ale i tak było w niej chłodno. Dziewczyny siedziały w swetrach. Nie miały tu chyba prądu – wypatrzyłem mały turystyczny generator stojący w kącie. Pomieszczenie ogrzewał archaiczny piecyk katalityczny.

– Co cię sprowadza? – zagadnęła Monika, stawiając na turystycznym stoliku filiżankę.

Usiadłem. W szklanym dzbanku zostało jeszcze z pół litra mocnej herbaty.

– Mam dla ciebie prezent z okazji urodzin. – Uśmiechnąłem się.

– Ale urodziny mam za pół roku.

– To może z okazji urodzin twojej siostry?

– Ja miałam dwa miesiące temu – odezwała się Sylwia.

– No toż właśnie o tym mówię, zaległy prezent. – Wydobyłem pakunek z torby.

– Wasze obrazki i inne drobiazgi z mieszkania po dziadku. Jeden dobry człowiek, jego dawny przyjaciel, ukrył i przechował. Trochę zeszło, rozpytywałem po sąsiadach, pogrzebałem w archiwum IPN, ubecja lubiła werbować kumpli rozpracowywanych ludzi. No i znalazłem w papierach takich, którzy mimo namów i gróźb nie dali się skaptować, a potem sprawdzałem po kolei. Aż trafiłem na tego, który miał klucze do mieszkania waszego dziadka i gdy milicja już sobie poszła, zwinął pamiątki, żeby nie przepadły. Próbował się skontaktować z waszym ojcem, ale nie dał rady. Chce was poznać, opowiedzieć o tym, jakim dziadek był człowiekiem. Narysujcie laurkę albo wypiszcie kartkę z podziękowaniami...

– Nie wierzę! – Stówka pokręciła głową. – Jesteś cudotwórcą!

– Nie jestem. Ale czasem sprzyja mi szczęście.

– Czyli udało się je odzyskać, i to po tylu latach! Jesteśmy uratowane... Żal sprzedawać taką pamiątkę, ale sam pan rozumiesz... No i odpalimy sowity procent... – rozochociła się.

– Rozumiem, ale z tym sprzedaniem będzie problem... – ostudziłem ją.

– Coś nie tak?

Położyliśmy pakiet na drugim stole i odpakowaliśmy. Wewnątrz faktycznie były dwa obrazy i jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że to te ze zdjęcia... Przedstawiła kobiety w bogatych sukniach. Jedna upozowana była przy eleganckim sekretarzyku, druga przy stoliku kawowym. W zasadzie wszystko było jak na obrazach Czachórskiego. Bogate draperie, wazony z oszalałymi bukietami kwiatów. Mimo wszystko coś mi w nich nie grało... Pomiędzy obrazy wsadzono dwa albumy ze

zdjęciami, dwie grube koperty dokumentów rodzinnych oraz pakiet kryjący kilkanaście pudełeczek z medalami.

– Obrazki ładne, ale niestety, nie wyszły spod ręki, o której myślicie.

– To nie Czachórski? – zasepiła się Monika.

– Nie. Namalował to ktoś całkiem zdolny i w stylu nawiązującym do oryginału, ale pędzel prowadzono zupełnie inaczej. Nie wiem, czy to stare kopie malowideł, które nie są dziś znane lub przepadły, czy może tylko naśladownictwo.

– Fałszerstwo?

– Nie, bo byłby fałszywy podpis mistrza umieszczony gdzieś w rogu.

– Czyli nie spylimy tego za ciężkie dziesiątki tysięcy eurośów i nie kupimy sobie nawet najmarniejszego mieszkania w Warszawie – westchnęła Sylwia.

– Obawiam się, że nie.

– Szkoda.

Zapadło ponure milczenie.

– Furda. – Stówka machnęła ręką. – Pieniądz okrągły jeszcze się do ręki potoczy. A że gówno warte, tym lepiej, nie będzie pokusy sprzedania. Zostaną z nami, będą dla naszych dzieci i wnuków jako pamiątka po przodku. Wylosujemy sobie, który będzie dla mnie, a który dla siostry. Ważne, że zdjęcia rodzinne udało się odzyskać. Tylko jak teraz panu zapłacimy za poszukiwania?

– Płatne miało być pięć procent od wartości obrazów. To będzie... Hmm... Myślę, że trzydzieści siedem złotych dwadzieścia groszy – zażartowałem. – Ale mówią poważnie, nawet nie próbujcie płacić, bo się obrażą.

– Jakoś się zrewanżujemy. Jeśli masz jakiś pomysł, co mogłybyśmy zrobić... Byle nie tańce nago na stole, bo ten rupieć nie wytrzyma.

– Nie mam pomysłu. – Rozłożyłem ręce.

– Jeden telefon i staniemy na rzęsach – obiecała Monika. – Tylko że... khm... No cóż, my w zasadzie pakujemy już walizki... Może wrócimy wiosną.

– Nie musicie wyjeżdżać – odezwałem się.

Podniosły głowy.

– W mojej kamienicy na podwórzu jest oficyna – ciągnąłem. – Była w niej kiedyś stajnia na dwa koniki i pomieszczenie, gdzie dorożkarz trzymał swoją dryndę. W dawnej stajni mam warsztat i magazyn, ale ten garaż niedawno wyremontowałem i jest tam pokój z kuchnią. Znajdziecie też przyzwoitą ścianę, żeby zawiesić te obrazy. Żaden luksus, ciut więcej powierzchni, niż tu macie. Niecałe dwadzieścia metrów kwadratowych. Ogrzewanie podłogowe, elektryczne. Jest też minilazienka z ubikacją. Jeśli wam pasuje, nie musicie jechać do wuja. Zapłacicie tylko za prąd i wodę, a zamiast czynszu będziecie zamiatać przed domem, sprzątać na podwórku, pucować okna i schody.

– To bardzo kusząca propozycja. Tylko że... hmm... Możemy porozmawiać tak zupełnie szczerze? – zagadnęła Stówka. – Bo chodzi o moją siostrę. Ten twój kumpel, Arek... Wczoraj kolejny już raz zawiesił nam na płocie bukiet róż i pudełko czekoladek, a jak wyrzaliśmy, zwiął, chichocząc jak idiota.

– Czy on jest tak do końca normalny? – dobiła pytaniem Sylwia.

– Normalny to on może nie jest – przyznałem. – Ale to dobry, porządny chłopak i ma zasadniczo czyste intencje. To znaczy z tego, co mi mówił, chce cię uwieść, zwyobrać, poślubić oraz zaciążyć i mieć z tobą stadko dzieci. Zasadniczo uważa, że ja powinienem równolegle zrobić to z Moniką...

Patrzyły na mnie przez chwilę, wybałuszając oczy.

– Miało być szczerze, to gadam szczerze. – Popatrzyłem na sufit. – Zbyt szczerze? Przepraszam...

– Zwyoobrać i zaciążyć... To jego słownictwo? Prawdziwy romantyk. – Stówka parsknęła wreszcie śmiechem.

– Jest prostolinijny i chyba po prostu nie umie inaczej sformułować myśli. Ale w tych planach jest też drugie dno, czyli piękny podwójny ślub u jego wuja księdza w małym wiejskim kościółku oraz długie, szczęśliwe małżeństwo. Potencjalna teściowa... Cóż, o sygnaturach filizanek z nią nie pogadacie, ale zasadniczo, jak na byłą bazarową przekupę, a potem królową sieci butików z pantofelkami i szmatkami, to całkiem mądra, sensowna, fajna babka.

– A ten geniusz nie przewidział, że najpierw powinnam się w nim zakochać? – zagadnęła Sylwia, jednocześnie poirytowana i rozbawiona.

– Uważa, że ma tyle zalet i uroku osobistego, że to zakochanie traktuje jako swego rodzaju pewnik... Zalety, owszem, posiada, nad urokiem, khm... moim zdaniem powinien trochę popracować. Ale przystojny to on nawet jest. Pod tą idiotyczną naiwnością planów, ubranych w kretyńskie słownictwo, kryje się raczej smutna historia kompletnie wyalienowanego, trochę autystycznego dzieciaka, który uciekł w książki. Fakt, że odważył się powiesić ten bukiet na waszej furcie, to już coś zaskakującego. Bo nie dość, że jest patologicznie nieśmiały, w zasadzie tylko ja potrafię wyciągnąć go za uszy z domu.

– Czyli zahukany marzyciel, zabujał się w mojej siostrze i zaplanował wszystko od A do Z. I dla mnie też znalazł godną rolę w tym scenariuszu? – westchnęła Monika.

– Kupę rzeczy robimy razem, więc uważa, że dziewczyny też powinniśmy znaleźć sobie jednocześnie – odparłem. – Żeby dalej robić wszystko razem, tylko mając zapewniony podziw kobiet. Jak mówiłem, ma dobre intencje, choć porusza się w tematyce męsko-damskiej jak słoń w składzie porcelany.

– Czyli to mieszkanko w podwórzu tak naprawdę jest pułapką na dwie naiwne gąski z prowincji – rozważała Sylwia. – Słyszysz, siostrzo, jak perfidnie jesteśmy wrabiane w podwójne małżeństwo z warszawskimi cwaniakami?

– No słyszę! Po moim trupie! – fuknęła Monika.

– Ślub w trzeciej klasie liceum w dzisiejszych czasach to byłoby trochę niecodzienne – przyznałem. – Ale może jak poznać się lepiej i za kilka lat...

– Skoro już wyznaczono mi rolę i gram w tym przedstawieniu, to informuję, że ja też powinnam się najpierw zakochać. – Stówka tupnęła zgrabną stopą i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Zakochać się w takim starym, brzydkim dziadu jak ja? Trudna sprawa i fatalny wybór. Ale jakby co, będę oczywiście zaszczycony.

Przez chwilę usiłowała udawać wściekłą, lecz absurd sytuacji przeważył. Nie była w stanie ukryć rozbawienia.

– Przekaż kumpłowi, że takie decyzje wymagają gruntownego przemyślenia, dlatego my się nad wami dwoma najpierw głęboko zastanowimy. On w ogóle ma jakiś zawód albo wykształcenie? Muszę wiedzieć, komu mam oddać jedyną siostrę – pokpiwała.

– Teoretycznie jest doktorem historii po North York University.

Monika spojrzała zaskoczona.

– Zrobił doktorat z historii na uniwersytecie w Ameryce?! Taki młody...

– Zapewne dalej mam mówić szczerze? – westchnąłem. – Kupił sobie wysyłkowo za czterysta dolarów lipny dyplom nieistniejącej uczelni, żeby mamusia się

od niego odczepiła. Tak naprawdę nie zrobił matury, wolał czytać książki, niż się uczyć. Co do zawodu, nie musi polegać wyłącznie na forsie od mamy. Pisuje regularnie artykuły do kilku gazet i nieźle na tym zarabia. Mówiąc już zupełnie poważnie, nic wam z naszej strony nie grozi. Bierzta tę oficynę, dziewczęta, będzie wam tam wygodniej niż tu. I co najważniejsze, ciepłej. Nie będę się za wami uganiał i dopilnuję, żeby Arek też się wam nadmiernie nie naprzykrzał. Poznacie go bliżej, to zobaczycie, jaki jest naprawdę. A do podrzucanych nocą bukietów jakoś przywykniecie. Nawet wazon mogę wam sprezentować. Mam śliczny, wzór „łączka” Krautheimu. Bawaria, chyba koniec lat czterdziestych. Odrobinę wyszczerbiony, niestety.

– Faktycznie, robili też wazon, krótkie serie numerowane. Hmm... – zadumała się Monika. – Tylko pod tym warunkiem. I dokładnie spisujemy umowę, co i jak.

– Oczywiście.

– Jedno jest pewne – mruknęła Sylwia. – Jeśli ulegniemy tym świrom, damy się, eeee... usidlić, wychędożyć i zbrzuchacić, to przynajmniej będziemy miały z nimi wesoło i ciekawie, nie będziemy się nudziły do samego końca życia...

– Jak ci się nudzi, to się poucz do matury! – fuknęła Monika. – To ja jeszcze zapytam. Jak tam jest z umeblowaniem? – zwróciła się do mnie.

– Coś tam jest... Antyki, no może lepiej powiedzieć starocia, które odnowiłem, nie mam na nie kupca, a nie zmieściły mi się w mieszkaniu. Są dwa łóżka, biureczko, sekretarzyk, szafa, fotele i kilka krzeseł, każde z innej parafii.

– Będziemy tego pewnie żałowały...

– Przecież jakby było coś nie tak, w każdej chwili możecie spakować walizki i uciec. – Wzruszyłem ramionami.

*

Jechałem uliczkami Woli. Sylwia siedziała obok, jej siostra z tyłu podtrzymywała stos pudełek i tobołków. Dziewczyny nie miały dużo rzeczy. Pościel, ubrania, naczynia kuchenne, sztuce, trochę drobiazgów osobistych i może setka książek. Udało się zabrać wszystko za jednym razem. Wypełniliśmy na sztywno bagażnik i połowę tylnej kanapy.

Iwona Storm, rozmyślałem. Imię dostała najwyraźniej po naszej wspólnej prababce. Zabłąkana dusza... Skąd przybyła? Czy mam jej pojawienie się rozpatrywać na gruncie teologii, metafizyki, czy może czystej nauki? Pozwolono jej pod pewnymi warunkami pobuszować po naszym świecie, po naszym mieście. Nie było jej dane się tu urodzić, spotkała mnie przypadkiem, choć zapewne też nie powinna. Co dalej? Może zamówię jej ładny nagrobek? Ale przecież nagrobki stawia się tylko zmarłym...

Pokusa uśmiechu

Jeziro Onega, jesień 1874



Lodowaty wiatr załopotał żaglem. Dziób łajby z trudem rozbijał krótką, ostrą falę. Kołysało, a bryzgi wody zostawiały na pokładzie brudnożółtą pianę. Paweł Skórzewski zaklął w myślach. Może należało poczekać trzy dni w Pietrozawodsku i wsiąść na rejsowy parostatek Petersburg – Archangielsk? Ale nie chciał tracić pieniędzy na hotel. W porcie znalazł żeglarza, który wiozł jakieś skrzynki do Miedwieżjegorska i za całego rubla zgodził się wysadzić go po drodze... Teraz Paweł zastanawiał się, czy słusznie postąpił. Przeprowa okazała się ciężka. Było zimno i mokro. Łódź tańczyła na wzburzonej wodzie jak korek, większe fale przedzierały się przez burty. Kapitan najwyraźniej nie przejmował się specjalnie ani kursem, ani tym, że dno łodzi przecieka. Palił w fajeczce jakieś paździerze, niewiele mające wspólnego z prawdziwym tytoniem. Paweł usiłował przepowiadać sobie w głowie materiał z anatomii, ale od kołysania żołądek podchodził mu do gardła i myśli się gubiły.

– Tak patrzę na was... – Przewoźnik łypnął spod daszka czapki i zaciągnął się dymem. – Do fortu płyniecie w Nikołajewsku. Wy to niby żandarm jesteście czy raczej aresztant? Bo nie wyglądzacie mi ni tak, ni siak... Żandarm miałyby mundur, a aresztanta bez konwoju to jeszcze do więzienia nie wiozłem. – Poskrobał się po głowie. – Chyba że... – Ożywił się nagle. – Kaci to się ponoć ubierają po cywilnemu, tylko do egzekucji zakładają specjalny kaftan, białe rękawiczki i maskę na twarz. Choć wy taki młody... To wy pewnikiem nie sam kat, a tylko pomocnik kata? Wieszać kogoś będziecie?

– Jestem studentem – wyjaśnił Skórzewski.

– Aaaa... Czyli aresztant jednak. Tak sobie właśnie najpierw pomyślałem, młody, miastowy, blade na twarzy jak suchotnik i w takiej czapce, to pewnikiem anarchista... Ha! Studentów to ja do więzienia już z ośmiu zawiozłem. Tylko czemu jesteście bez konwoju? I kajdan nie macie, to niezgodne z przepisami chyba?

– Nie jestem więźniem. Jadę tam na praktyki.

Skórzewskiemu odpowiedziało spojrzanie wyrażające kompletne niezrozumienie.

– Będę pomagał lekarzowi w forcie i w przychodni w miasteczku – uściślił. – Jako wolny człowiek. Nie żandarm i nie więzień.

– No, takiego cudaka to jeszcze nie wiozłem.

Znów dmuchnęło. Skórzewski ciaśniej zawinął się w jesionkę.

– Idzie mróz – westchnął marynarz, stawiając brudny kołnier. – Już się nocami pojawia kra. Taka pierwsza delikatna jak skorupka jajka. To ostatnie żeglowne dni. Potem tak ze dwa tygodnie parostatki będą jeszcze kursowały, dla ich maszyn taki pierwszy lód to tylko drobne utrudnienie. Później przez miesiąc albo lepiej nijak będzie jezioro przebyć. Dopiero jak ściśnie nielichy mróz i lód stwardnieje na kamień, wtedy saniami lub pieszo. Ale miasteczko spore, można się na wódkę wybrać albo na panienki... Nie zanudzicie się tam na śmierć. Choć polować w lasach to już nie bardzo, bo zwierzyna w okolicy bardzo przetrzebiona. Samojedzi jeszcze coś umieją wytropić, ale dla nas to już za wiele zachodu.

– Nie będę się nudził. Zabrałem zapas książek do czytania i nauki. – Paweł trącił nogą walizkę.

– Jak student, to pewnikiem bezbożne pisma tego całego Marksa? – Przewoźnik z dezaprobatą pokręcił głową. – Lepiej z tym uważajcie, bo z praktykanta szybko awansujecie na katorżnika. I żebyście potem nie mówili, że nie ostrzegąłem.

– Nie czytam Marksa... – Rozmowa z marynarzem męczyła Pawła i bawiła jednocześnie.

– Trzeba w niebo patrzeć, a nie w książki... O, weźcie sobie perspektywę. – Przewoźnik podał mu lunetę. – I spójrzcie, nie w niebo wprawdzie, ale w stronę tamtego wzgórza. – Wskazał punkt na horyzoncie. – Macie? To teraz trochę w lewo i w dół, do tafli jeziora... Widzicie wyspę?

– No... Widzę...

Luneta była stara, szkła miała porysowane, ale gdy Paweł poprawił ostrość, ujrzał dziwną cerkiew, wzniesioną z pociemniałego drewna. Budowla była wąska, wysoka, oblepiona bocznymi kaplicami, o dachu usianym kaskadowo małymi kopułami, wszystko pokryte gontem. Jedynym metalowym elementem widocznym z tej odległości były złocone krzyże.

– To wyspa Kiży i cerkiew Przemienienia Pańskiego. – Stary marynarz zdjął czapkę i przeżegnał się z rozmachem po trzykroć. – Święte miejsce. Ze stu okolicznych wiosek i miasteczek ludzie tam pielgrzymują.

– To stara budowla?

– Przodkowie nasi wzniesli ją jeszcze za cara Piotra. A ikonostas jeszcze o kilka wieków starszy. Szkoda, że czasu nie mamy, żeby dobić i z bliska obejrzeć... Takie cuda budowano dawniej na chwałę Bożą. A teraz? No niby też budują – odpowiedział sam sobie przewoźnik. – Ale z cegły i kamienia. Dziś już nie ma takich cieśli... Stary Osip z mojej wsi... Ten to był mistrz nad mistrze. Świeć Panie nad jego duszą. Wszystko umiał zrobić. Nie rąbał, tylko całował drewno siekierą...

Paweł pokiwał w zadumie głową. Przypomniała mu się rodzinna Antonowka. Ohydna dziura w guberni permskiej, choć i tam trafiały się ciekawe przykłady ciesiołki.

Wreszcie pojawił się cel podróży – miasteczko zbliżało się z każdym podmuchem wiatru. Wyglądało jak wiele innych. Odpychająco, biednie i brudno. Główna ulica, pełna dziur i kałuż, biegła od przystani gdzieś w dal. Nad osadą, złożoną głównie z drewnianych chat i poprzeczylanych jednopiętrowych domów, dominowały budynek mieszczący pocztę i urząd gminy oraz niewielka bielona cerkiewka, a przy

niej ceglana dzwonnica. W porcie straszyla na wpol zatopiona barka. Magazyny wzniezione z sosnowych dranic tez mialy juz swoje lata.

– Straszna dziura, ale parostatek jednak tu dobija – powiedzial stary i zmarszczyl brwi, jakby dziwiac sie wlasnym slowom. – Jakbyście chcieli na panienki, to szukajcie kobiety w kraciastej chuscie i ze zlotymi zebami. Kręci się zazwyczaj koło pomnika cara Piotra. Ona was zaprowadzi... A jakby wódkę na szklanki, to pytajcie portowych szlifbruków... Skórek tu nie zdobędziecie. Samojedzi wolą je zawozić do większych miast, tam cena lepsza. Chyba że jakiegoś przypili, to wymienicie na wódkę. A tam, widzicie, na cyplu, jest fort.

Przełożył ster i zrefował żagiel. Łódka wytracała prędkość. Z wody wyrastały ponure mury, spojone z głazów.

– Znać historię tego miejsca? – zainteresował się marynarz.

– Słyszałem tylko, że był tu klasztor starowierców. A za cara Piotra przebudowano go na fort. Potem rozbudowano i obecnie służy za posterunek wojskowy oraz areszt.

– Taaa... Wszystkich mnichów wcześniej... – Przewoźnik przesunął kantem dłoni po gardle. – Uważajcie na siebie. I uważajcie na komendanta fortu, majora Sokołowa. Gadają, że to zły człowiek.

Minęli molo i przybili do drewnianego pomostu na wprost bramy. Dębowe pale poczerniały od wody i spękały głęboko ze starości. Skórzewski wręczył marynarzowi obiecanego rubla. Dziadyga z miejsca poweselał.

– Zaczekam tu, aż was wpuszczą, a potem jeszcze dwa kwadransy. – Wyjął z kieszeni okazały chronometr. – Na wypadek gdyby sprawdzili papiery i jednak kazali się wynosić precz. Popłyniecie wtedy ze mną do Miedwieżjegorska i tam za dwa lub trzy dni złapiecie rejsowy tiepłochod do Petersburga.

– Dziękuję.

Student przeskoczył na pomost. Deski rozdzierająco zatrzeszczały i ugięły mu się pod nogami. Marynarz podał mu walizkę.

– Z Bogiem! – Zasalutował niedbale do daszka czapki.

Pożegnali się. Okute deski wrót pomalowano w żółte i czarne pasy, drewno gęsto znaczyły grube łąby żelaznych ćwieków. Można się było domyślać, że od wewnątrz konstrukcję wzmacniają stalowe sztaby. Paweł Skórzewski zapukał do drzwi wprawionych w bramę. Coś szcęknęło i w okienku ukazała się wąsata twarz żandarma.

– Słucham.

– Paweł Skórzewski, student medycyny, delegowany na praktyki do lazaretu. Tu jest moja przepustka.

Wachman zabrał papier i zatrzasnął okienko. Minęło kilka minut, nim z wnętrza rozległ się szcęk rygli i drzwi stanęły otworem. Skórzewski wszedł do wnętrza. Zasuwy za jego plecami huknęły ogłuszająco. Echo chwilę niosło się pod sklepieniem z kamienia stropem. Zaprowadzono go na odwach. Tu dwóch oficerów drobiazgowo skontrolowało jego tożsamość. Przejrzano bagaż. Na zakończenie musiał przeczytać i podpisać regulamin. W towarzystwie dwu żandarmów przeszedł przez dziedziniec. Przy kolejnych drzwiach znów sprawdzono jego tożsamość.

Trudno byłoby stąd uciec, pomyślał i wzdrygnął się.

Kamienne mury otaczające kompleks z pewnością pamiętały siedemnasty wiek. Carscy inżynierowie wojskowi zachowali większość obwarowań, wplatając między nie zręcznie nowe ceglane budynki. Koszary, fort artyleryjski, skrzydło

więzienne... A obok nieduża, zadbane cerkiewka, z dachem i kopułami krytymi miedzią. Powędrowali przez ciasne wnętrza i długie, ciemne korytarze. Owionął ich chłód bijący od wiekowych murów. Mijali drzwi okute metalem. Panowała cisza i tylko echo kroków odbijało się od ścian, ale Paweł wyobraził sobie szcęk kłapek judaszy i huk więziennych zasuw... Chociaż był wolny, samo znalezienie się w tym otoczeniu okazało się przytłaczające i przygnębiające.

To tylko na czas praktyk. Potem stąd wyjdę... – pomyślał. A osadzeni? Większość z nich siedzi tu nie bez powodu!

Starszy wiekiem oficer z dystynkcjami majora wyszedł mu naprzeciw. Towarzyszył mu starsuszek ubrany po cywilnemu. Paweł przedstawił się.

– Oleg Filipowicz Sokołow. – Oficer uklonił się. – Jestem komendantem fortu i więzienia. Jak do tej pory nikt mi nie uciekł – pochwalił się.

Paweł zauważył, że coś było nie tak z jego ustami. Wąsy i broda nie do końca zasłaniały blizny.

– Profesor Wiaczesław Piotrowicz Lisow. – Siwobrody uściśnięła rękę przybysza. – Cieszę się, mogąc spotkać na tym pustkowiu adepta sztuki medycznej.

– Tu są moje papiery, rekomendacje z uczelni. – Paweł wyjął kopertę.

– Profesor przejrzy potem, zapraszam was na herbatę. – Wojskowy zaprosił ich gestem do budynku.

Zasiedli w gabinecie Sokołowa. Na ścianie wisiał czarny dwugłowy orzeł. Z drugiej ściany spoglądał chmurnie portret cara Aleksandra. Ale Pawła najbardziej zaciekawiła spora, elegancka gablota i regał z książkami. Na półkach za szkłem wyeksponowano imponującą kolekcję figurek, sprzączek, klamerek i noży.

– Trochę interesuję się etnografią – wyjaśnił komendant fortu. – W tej okolicy w dawniejszych czasach koczowały grupy Samojedów. Obecnie pierwobyłcy są już nieliczni, część wywędrowała w dalsze rejony, wielu się obruszczyło, pozostałych zdziesiątkowały choroby. Przeszukiwałem pozostałości ich koczowisk tu, nad jeziorem, ale też dalej, na brzegu Morza Białego. Zebrałem ciekawą kolekcję. Figurki z kości morsa i ciosów mamuta, kościane i rogowe sprzączki do pasów i pasków. Zapięcia do sakiewek i odzieży, noże, nożyki, a czasem tylko pochewki, pudełka, amulety. Zgromadziłem też sporo starych ubiorów, czapek, butów. Mam ich narzędzia, przybory myśliwskie i sprzęty domowe. Ściągnąłem fachową literaturę, żeby trochę to wszystko usystematyzować. Widzicie, dziś w zasadzie nikogo nie obchodzą te szpargały, ale kto wie, może za pięćdziesiąt, sto lat naukowcy będą sobie w brodę pluli, że nie zajęli się w porę tematem. Mój kuzyn chce studiować etnografię, kto wie, może jaką pracę naukową o tym napisze?

– Bardzo to chwalebne. – Student pokiwał głową.

– Poza tym, co sam wyszukałem, regularnie uzupełniam zbiory drogą kupną. Tu, w miasteczku, ludzie wiedzą o mojej pasji. Co mieli ciekawego, już spieniężyli, ale czasem kontaktują się z krewnymi i pobratymcami z dalszych regionów albo ktoś przybywa z towarem. Ciągłe trafia się coś ciekawego.

– Pokaż młodemu człowiekowi Zwierciadło Dziejów – zasugerował profesor. – To dopiero kuriozum.

– Ha! Proszę spojrzeć, to chluba mojego zbioru. – Major Sokołow wydobyl z kasy ogniotrwałej spore drewniane pudło.

Otworzył. Wewnątrz znajdowało się płócienne zawiniątko, a gdy rozchylił tkaninę, oczom Skórzewskiego ukazała się owalna płyta, szeroka na około dziesięć werszków i długa na jakieś półtora arszyna. Cała powierzchnia pokryta była drobnymi

rysunekami. Paweł w pierwszej chwili sądził, że wykonano ją z kamienia kremowej barwy, ale spostrzegł delikatne słoje i zaraz zrozumiał swój błąd.

– Kość słoniowa... ale nie widzę żadnych śladów klejenia, czyli...

– Wypilowano ją z ciosu mamuta – wyjaśnił oficer. – Proszę zwrócić uwagę na szerokość, to musiał być naprawdę okaz absolutnie unikalnej wielkości. Sceny wyryto głęboko w powierzchni, zapewne przy użyciu stalowego sztyda, a rowki napuszczono czarną pastą, ukreconą z sadzy żywicy i tłuszczu. Podobnie nasi marynarze robią pamiętki z kłów morsów.

– To chyba rytu narracyjne – zauważył student. – Te sceny układają się w jakies logiczne ciągi. Widzę tu rysunki żaglowców, namioty, szałas i sanie ciągnięte przez psy. Mamy też grupy ludzi, renifery, ptaki, foki i inne morskie stworzenia. Sceny i scenki kryjące jakąś treść.

– Sądzę, że przez dwieście lat, może dłużej, służyła wodzom lub szamanom do zapisu najważniejszych wydarzeń z historii jednego z plemion. Znana jest tylko jedna podobna, profesor Pierwziew z carskiej Akademii Nauk gdzieś taką zdobył.

– Dwieście lat? – zadumał się Skórzewski. – Aż tak długo? Skąd to przypuszczenie?

– Dopatrzyłem się co najmniej ośmiu różnych stylów rysunku. Jeśli przechodziła z ojca na syna, to mamy osiem pokoleń po dwadzieścia pięć lat, a zapewne i dłużej. Proszę zwrócić uwagę na to kółeczko. – Sokołow puknął palcem w jedną z ostatnich linii obrazków. – Czy podać wam lupę?

– Widzę i bez tego. Tu jest monogram cara Pawła Pierwszego. Przerysowali starą monetę, na przykład pięciokopiejkową?

– Tak sądzę. Teraz popatrzcie na pierwsze linie. Jeśli te rysunki w miarę wiernie oddają rzeczywistość... Angielskie okręty z takim ozaglowaniem pływały po Morzu Białym w połowie szesnastego wieku, później, jak wiadomo, car Iwan Groźny nakazał przeganiać zagranicznych kupców. Stąd przypuszczam, że większość tych „zapisów” pochodzi z wieku siedemnastego i osiemnastego.

– Bardzo ciekawa koncepcja, a przy tym wydaje mi się dość prawdopodobna – przyznał student. – Ciekawy, szalenie ciekawy artefakt! Na pewno wart dokładniejszego zbadania.

– I nabyłem to fantastycznie dzieło sztuki prymitywnej za zaledwie jedną skrzynkę wódki – pochwalił się major. – Choć staruch, który mi to sprzedał, początkowo chciał trzy.

– To i tak za bezcen – wtrącił profesor. – A rzecz jest godna najlepszych kolekcji muzealnych.

Dowódca fortu ostrożnie zawinął tkaninę i umieścił płytę w skrzynce. Dopili herbatę.

– Zasadniczo mam trzy specjalizacje. Choroby wewnętrzne, chirurgia i stomatologia – pałeczkę przejął profesor Lisow. – Wszystkie trzy w forcie i miasteczku okazują się potrzebne. Więźniowie i strażnicy chorują, doznają urazów wymagających opatrzenia. Nowo przyjmowani pensjonariusze mają czasem świerzb lub wszy. A trafia się też gruźlica.

– Z żołnierzami nieco lepiej – burknął major. – Armia knutem uczy higieny. Ale kłopot miewamy z tymi, którzy wychodzą na przepustki. Już kilku trzeba było odesłać do cywila z uwagi na syfilis. U więźniów też się trafia, ale ich oczywiście do cywila nie da się zwolnić – zażartował ponuro. – Pozostaje izolacja i podawanie środków łagodzących przebieg choroby.

– Rozumiem – powiedział student. – Syfilis łapią w miasteczku?

– Taaa... – westchnął lekarz. – Jest tu pięć takich stałych „dziewczynek”. Mają założone książeczki zdrowia, regularnie poddają je kontroli. Ale ta osada to także port i punkt, w którym ludzie przybywający z głębi łądu wsiadają na parostatki do Archangielska lub do stolicy. Ruch jest spory. Nie upilnujesz. Tłumaczmy naszym ludziom, że ryzyko, że jak już chcą, to z zarejestrowanymi trzeba. Ale pojawia się okazja i niedrogo... – Skrzywił się.

– Co do więźniów, w tej chwili jest ich dwudziestu – wtrącił dowódca fortu. – Katorżnicy. Wykonują różne prace, a na noc wracają do cel. Pracujemy tu z najgorszym materiałem ludzkim. Są tu ludzie, którym lata katorgi powinny naprostować charakter, a zamiast tego obróciły dusze w kompletny żużel. Są ludzie, którzy świadomie odrzucili normy społeczne. Mordercy, nożownicy, bandyci, to dość oczywiste. Ale trafiają się też anarchiści, natchnieni ohydnyymi pomysłami Hercena, Bakunina i Nieczajewa, mający w pogardzie ludzkie życie – wyjaśnił. – Zalecam ogromną ostrożność na każdym kroku. Różne rzeczy chodzą im po głowie.

– Wypuszczacie ich na zewnątrz fortu? – zdziwił się Paweł.

– Zakutych i pod konwojem. Nie wszystkich oczywiście.

– Nie wiem, chłopcze, czy się tu czegośkolwiek nauczysz – westchnął profesor. – Przede wszystkim nie mamy tu szczególnie ciekawych przypadków. Szara proza więziennego życia. Chyba że interesuje cię stomatologia. No właśnie, czy przywoziłeś może narzędzia dentystyczne dla mnie?

– Tak, proszono, żebym je przekazał. Mam w walizce. To spora paczka.

– Doskonale. – Profesor zatarł ręce. – Bo to, na czym musiałem tu pracować... Ech, czasem rozpacz brała.

Major też wyraźnie poweselał. Wymienili z doktorem jakby porozumiewawcze spojrzenia.

– Macie problemy tej natury? – Paweł za późno ugryził się w język.

Ale oficer przyjął pytanie zupełnie spokojnie.

– Kilka lat temu na manewrach doznałem poważnego wypadku – wyjaśnił. – Wyrwany wystrzałem kawałek zamka działa uderzył mnie w twarz. Straciłem dziewięć zębów na przodzie. Pokiereszowało mi też wargi i podbródek. Tyle dobrze, że zarost zasłania blizny...

*

Dochodziła siedemnasta. Za oknem było już zupełnie ciemno. Paweł podkreślił knot w lampie. Pokoik był malutki jak więzienna cela, nie więcej niż trzy na trzy arszyne. Wystarczyło miejsca na żołnierską pryczę, stolik i krzesło. Ale nad łóżkiem ktoś zawiesił mu półkę na książki, a na podłodze leżała niedźwiedzia skóra, dzięki czemu mniej ciągnęło od kamiennej posadzki. Kafłowy piec ogrzewał dwa sąsiadujące pomieszczenia, drzwiczki paleniska miał od strony korytarza... Rozległo się pukanie do drzwi. Skórzewski poderwał się z krzesła, aż jęknęły skórzane pasy, którymi wpleciono siedzenie.

– Popołudniowy, a właściwie wieczorny obchód, drogi kolego, zajrzemy sobie do naszych pacjentów. – Profesor Lisow uprzejmym gestem wskazał korytarz. – To znaczy do jedynego pacjenta. Wszyscy pozostali, odpukać, zdrowi.

Paweł zarzucił na ramiona burkę. Było chłodno, na zewnątrz wiał wiatr.

– Miałeś, chłopcze, szczęście, żeś zdążył przed załamaniem się pogody – powiedział profesor. – Pojawił się wiatr z północy, ciągnie znad Morza Białego. Dobrze, że mury grube, a kominy zabezpieczone... Ale nic przyjemnego to wycie. No i jesteście odcięci od cywilizacji, może nawet na tydzień. A jeśli pierwszy lód zetnie jezioro, to na dłużej. Jesteś z okolic Permu?

– Tak.

– Zima tam u was, na południu, jest inna, choć też potrafi kąsać jak głodny wilk. Na początek obejrzymy sobie nasze ambulatorium. – Profesor pchnął drzwi.

Pomieszczenie było spore. W kącie stał nakryty pokrowcem stół operacyjny. Pod ścianą umieszczono fotel dentystyczny i szafki ze sprzętem. Ściany niedawno pobielono, a kamienną podłogę wyszorowano. Delikatna woń karbolu kłuła w nos. Wyszli na korytarz.

– Infirmeria dla chorych więźniów. – Lekarz wskazał kolejne drzwi. – Na razie zajęta jest jedna, pojedyncza cela. Pacjent to dość kuriozalny przypadek. Syn bogatego i ustosunkowanego kupca, uciekł z domu i przystał do bandy anarchistów. Przyłapano go z niemal pudem materiałów wybuchowych. W pierwszym procesie dostał siedem lat katorgi, ale trwa proces reszty bandy. Jak na razie udowodniono im spisek na życie monarchy, ale badane są jeszcze inne okoliczności. Pewnie nasz pensjonariusz na dniach zainkasuje jeszcze jeden wyrok. Rodzina go wykleła, raczej mu nie pomogą. Nie wiadomo, co będzie, pewnie stryżek, może pieszo za Ural. – Skinął na żandarma.

Ten otworzył drzwi. Za nimi był krótki korytarz, drzwiczki wpuszczonych w mur pieców i sześć par kolejnych drzwi prowadzących do celi. Strażnik zamknął drzwi na klucz. Najpierw zajrzał do wnętrza celi przez judasza. Potem dopiero sięgnął po klucze. Szczęknęły zamki, zahurgotały zasuwki. Lekarz pchnął ciężkie skrzydło i weszli. Zaraz je za nimi zamknięto. Anarchista siedział na łóżku, zakuty w solidne okowy. Stalowe obręcze opinały mu kostki nóg, grube łańcuchy utrudniały ruch. Dodatkowo jeden z nich dopięty został kłódką do kółka osadzonego w ścianie.

– Dzień dobry, Michaile Iwanowiczu. – Profesor skłonił głowę.

– Jednym dobry, innym ładny... – Więzień łypnął na nich ponuro.

– To Paweł Skórzewski, student medycyny przysłany tu na praktyki. Chcę, żeby cię zbadał.

– Michał Polikarpow. – Więzień przedstawił się, ale nie wyciągnął ręki na powitanie, tylko bez słowa protestu ściągnął koszulę przez głowę.

Był bardzo chudy, a jego skóra nie wyglądała dobrze.

– Są może jakieś wieści w mojej sprawie? – zagadnął.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Profesor pokręcił głową. – Chyba nie było dziś żadnej korespondencji.

– Przesłałem śledczym badającym sprawę wartościowe i wyczerpujące zeznania – mruknął anarchista niby to do siebie, ale chyba bardziej pod adresem Skórzewskiego. – Liczę na ułaskawienie albo niewielki wymiar kary.

– O tym trzeba było myśleć zawczasu – burknął profesor. – Teraz to już musztarda po obiedzie, obawiam się. A ty osłuchaj mu płuca – zwrócił się do studenta.

Skórzewski długo i dokładnie osłuchiwał stetoskopem klatkę piersiową więźnia.

– Krew w odkaslniętej flegmie pojawia się często? – zapytał wreszcie.

– Sporadycznie – burknął anarchista. – Częściej czuję jej posmak.

– Orzekłbym, że to wczesne stadium gruźlicy. Do czasowego zalecenia w warunkach sanatoryjnych. Potrzebne byłoby ostre górskie powietrze, różnorodna dieta i hematogen...

Więzien zaczął rzeć jak osioł.

– Ostre powietrze to będę miał w Górach Wierchojańskich albo na Altaju, jak mnie wyślą las karczować. Pamir podobno też ładny...

– Hematogen podajemy, jednak bez większych efektów – dodał lekarz. – W warunkach więziennych gruźlica jest całkowicie nieuleczalna. Oblał pan, panie kolego. Ta diagnoza jest dalece niepełna. Proszę kontynuować badanie.

Student zagryzł wargi. Raz jeszcze osłuchał pacjenta, potem przez chwilę ugniatał mu brzuch. Wreszcie coś mu zaświtało.

– Pijecie? – zagadnął więźnia.

– No niby jak i co?! – zaśmiał się anarchista. – Regulamin aresztu nie pozwala na takie rozrywki. Z rok już mija, jak nie miałem alkoholu w ustach.

– A na wolności?

– Bywało, szedłem na kielicha ze znajomymi. Czasem zrobiło się butelkę na trzech czy czterech, ale nie więcej. I nie często. Nie jestem alkoholikiem, jeśli o to chcieliście zapytać.

– A niestrawności?

– Ostatnio permanentne...

– Krew w kale? Albo w moczu?

– Nie zaobserwowałem.

– Czujecie klucie w boku? Albo klucie serca?

– Tak. Jedno i drugie.

Profesor zatrzymał się w pół kroku.

– Zatem słucham nowej, miejmy nadzieję, pełniejszej i poprawnej diagnozy – rzucił sucho.

– Wątroba obrzmiała, plamy na rękach wywołane niewydolnością tego narządu. Żółte zabarwienie spojówek mogłoby świadczyć o żółtacze, ale jak sądzę, to tylko zaburzenia pracy narządów wewnętrznych – rzekł Skórzewski. – Stawiam diagnozę, że to nie jest zwykła gruźlica, ale prosówka. Bakcyle zaatakowały nie tylko płuca, lecz i szereg narządów wewnętrznych. W tym wątrobę i śledzionę. Być może też serce.

– Brawo, drogi kolego – pogratulował lekarz. – Dokładnie takiego rozpoznania choroby oczekiwałem. Nauczcie się zwracać uwagę na objawy drugorzędne i trzeciorzędne.

– Sprawdzicie sobie dokładnie, jak już wyciągnę nogi – burknął więzień. – Pokroicie mnie na filety i zrobicie wątróbkę na patelni. Czemu to się nazywa prosówka?

– W zwykłej gruźlicy mamy rozległe zmiany w płucach. Prosówka sieje po całym wnętrzu jamy brzusznej, tworząc grudki, krosty i drobne rany. Komuś skojarzyło się to z ziarnami prosa, stąd nazwa – wyjaśnił Skórzewski.

– Ale to też jest nieuleczalne?

– Tak samo jak typowa gruźlica.

Wyszli na korytarz. Strażnik zamknął drzwi celi i starannie sprawdził zamki.

To takie dziwne, pomyślał Skórzewski. Kłódka na okowach, trzy pary zamkniętych drzwi i jedna zaryglowana brama. Tak niewiele trzeba, żeby uwięzić człowieka. Może już na zawsze... A z drugiej strony od celi do wolności jest w linii prostej może pięćdziesiąt arszynów.

Kolację wszyscy funkcjonariusze zjedli w małej jadalni. Po posiłku Skórzewski wyszedł na dziedziniec odetchnąć świeżym powietrzem. W murach czuł, jakby się dusił. Melancholia tego miejsca wręcz go przytłaczała. Drzwi cerkiewki były uchylone, wewnątrz połyskiwało światło kilkunastu świec. Wszedł do wnętrza. Kilku żołnierzy najwyraźniej zaszło pomodlić się jeszcze przed snem. Słaby poblask pełgających płomyków wydobywał z mroku fragmenty fresków, odbijał się w złoconych detalach poczerwiałych ze starości ikon. Paweł przeżegnał się odruchowo trzema palcami z prawa na lewo. Wrócił do swojego pokoiku. Zapalił lampę i jeszcze przez godzinę czytał opasłą księgę medyczną. Gdzieś w skrzydle więziennym huknęły zasuwki i wreszcie zrobiło się cicho. Zgasił lampę. Zapadła ciemność. Tylko niewielkie okno odznaczało się minimalnie jaśniejszym prostokątem.

– Odwykłem – mruknął, układając się na pryczy. – Tak szybko odzwyczaiłem się od ciszy i mroku. Miasto tak do końca nie zasypia nigdy...

Sen przyszedł dziwny. Skórzewski wędrował przez rozległy brzozowy las. Teren wypiętrzał się, drzewa były coraz grubsze. Nieoczekiwanie znalazł się przed typowym tubylczym szałasem wykonanym z gałęzi pokrytych darnią. Schronienie otaczał krąg sporych głazów. Przed wejściem wbito dwa pale, na każdym zatknięto czaszkę renifera, ponacinaną i pomalowaną ochrą w dziwne wzory. Wewnątrz szałas siedział stary, brodaty mężczyzna. Na jego kolanach leżał plaster wypilowany z ciosu mamuta i starannie oszlifowany. Starzec, trzymając w palcach stalowe szydło, rył w gładkiej, białej powierzchni kolejny obrazek. Nagle podniósł głowę i spojrzał Pawłowi prosto w oczy.

– Bądź moimi oczami. Bądź moją dłonią. Myśl moimi myślami. Podążaj tam, gdzie ja nie mogę podążyć – powiedział, a student, choć nie znał samojedzkiego, zrozumiał każde słowo...

– Nie chcę – odpowiedział w tym samym języku.

Ocknął się zupełnie nagle. Stał boso na zimnych płytach posadzki. Widział jaśniejszą plamę świetlika nad drzwiami, po bokach świeciły cztery popielniki pieców ogrzewających kwatery. Zamarł. Nie był w swoim pokoju, ale na korytarzu! Cofnął się i w mroku odnalazł uchylone drzwi. Zamknął je najciszej, jak potrafił, i dopiero wtedy odszukał lampę. Paczka szwedzkich zapalek leżała obok. Zapalił knot i usiadł na pryczy, nakrywając ramiona wojskowym kocem.

Lunatykowałem!? – zdumiał się. Nigdy dotąd mi się to nie przytrafiło, a w każdym razie nie pamiętam... I jeszcze ten sen. Taki dziwny...

Potrząsnął głową. Długo siedział w milczeniu, patrząc na pełgający płomyk, wreszcie się położył i zasnął.

*

Poranek był zimny. Nocą trawy skleił szron. Skórzewski wraz z profesorem Lisowem opuścili fort. Nikolajewsk już z pokładu łódki wyglądał odpychająco. Z bliska okazał się jeszcze paskudniejszą dziurą. Domy wyglądały, jakby pół wieku temu sklecono je pospiesznie z desek i belek, jako tymczasowe schronienie, na rok lub maksymalnie na dwa, a potem z nieznanym przyczyn zapomniano postawić w ich miejsce czegoś solidniejszego. Ulice wysypano żwirem, a powstające dziury połatano, używając

tłuczonych doniczek, kafli z pieców i cegły rozbiórkowej... Na szczęście dzień był chłodny, woń odpadków i wychodków, choć wyczuwalna, nie zatrzymała powietrza.

– Widać, że ludzie żyją tu tylko dniem dzisiejszym... – mruknął Paweł.

– Proszę? – zdziwił się profesor.

– Nikt nie planuje zostać tu na stałe. Liczą, że przebiją jakiś czas i ruszą dalej szukać lepszego miejsca do życia.

– Trochę pewnie tak. Z drugiej strony przyjechałem tu na pięcioletni kontrakt, a mija już dwanaście lat, od kiedy siedzę w tej dziurze... Przywykłem. Pewnie i inni przyjechali na jakiś czas, zostali na dłużej, może nie mają już w sobie dość sił i odwagi, żeby wyruszyć dalej – zadumał się profesor. – Albo marna teraźniejszość wydaje im się bezpieczniejsza niż niepewna przyszłość...

Zatrzymali się przed nieco porządniejszym piętrowym budynkiem.

– To moja praktyka lekarska, a przy okazji ambulatorium, izba położnicza i salka dla chorych, którzy w normalnych warunkach wymagaliby hospitalizacji. Na noc dyżuruje tu felczer, jest i pielęgniarka, a przy okazji położna. Opłacamy ich z dotacji państwowej. Rosjanie płacą za porady brzęcząca monetą, ale co do naszych drogich pierwobylców... No cóż, nie odmawiamy pomocy, więc uiszczają należność w skórkach, miódzie, wosku albo znoszą drobiazgi, które wymieniam z majorem Sokołowem. Czasem, gdy przybywają z dalszej okolicy, mają samorodki złota, kły morsów lub nawet kość mamucią. Dla nich to wygoda, bo oddają to, co wyszukają w Tajdze. A ja wychodzę na swoje, jak dobry rok, to i lepiej zarabiam, niż gdybym prowadził praktykę w stolicy.

Doktor przywitał się z pielęgniarką i felczerem. Przedstawił im praktykanta. Budynek szpitalika był niewielki, lecz schludnie utrzymany i przyzwoicie zaopatrzony. Paweł obejrzał poczekalnię i pozostałe pomieszczenia. Obok izby położniczej urządzono dwa pokoiki, na wypadek gdyby po porodzie kobieta musiała pozostać kilka dni pod obserwacją. Była też izolatka dla chorych zakaźnie i pomieszczenie do odswadzania. Ściany zostały świeżo odmalowane, terakotowa posadzka niedawno umyta.

– Postęp w medycynie, młody człowieku, to także higiena i aseptyka. – Profesor, idąc, gestykulował, jakby spierał się z niewidzialnymi oponentami. – Na szczęście mało kto kwestionuje istnienie bakcyli, choć nie zdołaliśmy jeszcze odkryć wielu spośród nich. Wszystko przed nami. Ponoć nowe mikroskopy z soczewkami zatopionymi w oleju pozwalają na uzyskanie znacznie lepszych powiększeń. Zajdźmy do pokoju chorych.

Weszli. W łóżku leżał na boku wychudzony mężczyzna. Śniada cera, okrągła twarz i lekko skośne oczy wskazywały, że to jeden z autochtonów. Na dźwięk kroków nie otworzył oczu. Oddychał ciężko, chrapliwie, a na poduszce w pobliżu jego ust brązowały zaschnięte plamki krwi. Skórzewski ocenił jego wiek na mniej więcej siedemdziesiąt lat.

– Nasz jedyny pacjent wymagający obecnie hospitalizacji, z uwagi na krańcowe stadium choroby i jej zakaźny charakter – wyjaśnił profesor. – Nie spodziewałem się, że dożyje naszej dzisiejszej wizyty, ale to twardy myśliwy... Widać jeszcze się pomęczy, zanim kostucha ostatecznie zabierze go z tego świata.

– Ale zabierze niebawem? – spytał student.

– Dziś lub jutro. To, jak mówi biedota i ludzie prości, galopujące suchoty, połączenie gruźlicy z rozwijającym się zapaleniem płuc. Od trzech dni jest nieprzytomny. Karmimy i poimy go sondą żołądkową. Podajemy kodeinę, żeby stłumić

wyniszczający płuca kaszel. Kłopot z nim mamy, ale nie jest to kłopot szczególnie poważny. Umrze, wtedy pogrzebiemy i tyle. Medycyna powiedziała tu już ostatnie słowo. Możemy tylko łagodzić objawy.

– Mam go zbadać?

– Proszę... – Profesor wręczył Pawłowi stetoskop.

Skórzewski osłuchiwał starannie płuca chorego, potem obmacał jego brzuch i zasepił się.

– Gruźlica, to ewidentne. Do tego zaawansowany alkoholizm. Świadczy o tym powiększona wątroba. Dłonie i stopy zimne, krążenie marne, praca serca też osłabiona. Myślę, że zejście śmiertelne może nastąpić w każdej chwili. Ma na piersi ciekawy tatuaż.

– Był jednym z wodzów pierwobyłców. Cóż, dekadę temu, gdy jeszcze trafiały mu się trzeźwe okresy życia, cieszył się nawet pewnym szacunkiem. I teraz jeszcze ludzie wspominają, że kiedyś to był ktoś. Sprowadzono nawet szamana ze wschodu, żeby go uleczył.

– Szamana? – zaciekawiał się Skórzewski.

– Ci nasi Samojedzi z miasteczka wezwali go gdzieś ze wschodnich koczowisk. Pozwoliłem, żeby podał choremu ich zioła. Zaszkodzić to i tak nie zaszkodzi. Pomóc oczywiście też nie pomoże. Modlił się po ichniemu do sił natury. Potem pograł na bębenku i wszedł w trans. Jak to mówią, wędrował na ścieżkach ducha. Starał się odnaleźć duszę pacjenta i przywrócić go do życia. Ponoć niektórzy potrafią w ten sposób nawet wyleczyć choroby, ale wydaje mi się, że w tym przypadku i nasza wiedza medyczna, i ich gusła są w jednakowym stopniu bezsilne. – Lekarz machnął lekceważąco ręką.

– Myślałem, że...

– Owszem, są odpowiednie przepisy i zazwyczaj wszelakiej maści znachorów goni się precz, ale ja robię wyjątki. Wolę dobrze żyć z tymi dzikusami. I opłaca się, i lepsza przyjaźń niż wzajemna niechęć. A ten szaman... Poznałem go kiedyś. Można powiedzieć, że jest prawie wykształcony, oczywiście w porównaniu z resztą pobratymców.

Kolejne trzy godziny lekarz i praktykant spędzili w przychodni. Pacjentów było kilkunastu. Skórzewski osłuchiwał zapadnięte piersi, macał rozdęte brzuchy, nastawił dziecku zwichniętą kostkę. Zdiagnozował świerzb i grzybicę skóry. Profesor pochwalił go dwa razy. Wreszcie skończyli. Nikt więcej się nie pojawił zasięgnąć porady. Zajrzeli jeszcze na odchodnym do starego. Nadal żył.

*

Nadchodził wieczór. Paweł siedział nad księgą, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Wstał i otworzył.

– Podwieczorek – oznajmił profesor. – A przy okazji, szaman, o którym ci wspominałem, przyszedł porozmawiać z majorem.

Zaszli do jadalni. W samowarze bulgotała woda, na paterze leżało ciasto. Major siedział już u szczytu stołu. Wskazał im miejsca. Zaraz też dwaj żandarmi wprowadzili gości. Samojed mógł liczyć około sześćdziesięciu lat. Był siwy, twarz spaloną słońcem zdobyły krzaczaste brwi.

– Wasze błagrodzie! – Ukłonił się elegancko. – Chciałem z wami rozmawiać w pewnej ważnej dla nas sprawie.

– Siadajcie – zaprosił komendant. – Herbata już się zaparzyła. Wypijemy i porozmawiamy.

Wychylili po filiżance, zagryźli ciastem.

– Słucham zatem. – Oficer uśmiechnął się.

– Po śmierci jednego z lokalnych wodzów myśliwy imieniem Owu sprawował pieczę nad płytą z kości mamuciej zwanej Zwierciadłem Dziejów – zaczął szaman. – Odsprzedał ją wam...

– A ty skąd niby o tym wiesz? – zirytował się major.

– Gdy przybyłem, był już nieprzytomny, jednak wszedłem w trans i na ścieżkach ducha zdołałem jeszcze z nim porozmawiać. Nie miał prawa samodzielnie rozporządzać świętym przedmiotem naszego plemienia.

– Może nie mógł, a może mógł. – Oficer wzruszył ramionami. – Z punktu widzenia prawa zawarłem legalną transakcję, nawet przy świadkach.

– Pragnąłbym odkupić ten przedmiot – poinformował Samojed. – Mam zebrane samorodki złota wartości co najmniej czterystu rubli.

– Nie sprzedam go.

Szaman stropił się wyraźnie, choć chyba oczekiwał podobnej odpowiedzi.

– Jeśli kwota jest zbyt niska, proszę wyznaczyć swoją cenę – zaproponował.

– Po prostu nie sprzedam – uciął major. – Rozumiem was, ale proszę też zrozumieć mnie. Przy całej mojej życzliwości dla waszego ludu, nie oddam wam przedmiotu tak cennego dla nauki. Muszą go zbadać uczeni w stolicy. Rozumiecie zapewne, że moje zbiory są niezwykle wartościowe dla naukowców. Posłużą w przyszłości także do badań nad waszym ludem.

– No cóż... – westchnął szaman. – A może się wymienimy? Za inne przedmioty, stare, ciekawe, ładnie zdobione.

– Nie i koniec!

Samojed mruknął pod nosem coś w swoim języku. Pociągnął łyk herbaty.

– Za rok planuję znów odwiedzić miasteczko, może wtedy jeszcze porozmawiamy? – zaproponował.

– Zawsze chętnie rozmawiam z ludźmi powierzonymi mojej pieczy... – Major dostojnie skinął głową.

Skórzewskiemu wydało się, że była to zawoalowana groźba.

– Pożegnaj się zatem. – Szaman wypił ostatni łyk, wstał i ukłonił się.

Jeden z żandarmów poklepał go przyjacielsko po plecach, po czym grzecznie, acz stanowczo odprowadził do bramy.

*

Zegarek pokazał dwudziestą drugą. Skórzewski zamknął książkę i westchnął w duchu. Rozmowa, której był świadkiem, pozostawiła w nim nieprzyjemny osad.

Nauka nauką, pomyślał. To etnograficzne hobby majora przyniesie pewnie cenne owoce. Ale ten plaster kości... Dla tych ludzi to było coś ważnego. Skoro znany jest tylko jeden podobny przedmiot, niewykluczone, że plemiona dbają, żeby te rzeczy nie dostały się w ręce Rosjan. Można by to przecież sfotografować do celów naukowych

i zwrócić Samojedom albo wymienić na inne ciekawe wyroby. I wszyscy byliby zadowoleni.

Ziewnął i wyciągnął się na łóżku. Sen, który przyszedł, był podobny do poprzedniego. Paweł błąkał się po lesie. Pod nogami chlupotało mu błoto. Co gorsza, nie był w stanie iść przed siebie. Co chwila jakaś siła zmuszała go do skręcania to w prawo, to w lewo. Próbował zawrócić, ale i to mu się nie udawało. Wreszcie tak się tym zirytował, że się obudził. Znow stał na korytarzu, w ciemności, przemarznięty...

*

Świt przyszedł późno. O szyby były strugi marznącego deszczu. W pokoiku było dość zimno i Paweł długo leżał, nie mogąc się zdecydować, żeby wstać. Wreszcie zegarek przywołał go do porządku. Zaraz po śniadaniu udali się z profesorem do przychodni. Stary myśliwy był już martwy. Leżał przed gankiem w otwartej trumnie opartej na krzyżakach. Ktoś obmył i ubrał zwłoki. Wokoło zgromadził się już niewielki tłumek Samojedów. Szaman siedział w kuchni z pokojem zabiegowym i pił herbatę zaparzoną przez pielęgniarkę.

– Wielki myśliwy Owu odszedł pomiędzy swoich przodków – powiedział do niego profesor trochę zgryźliwie. – Nie zdołałeś go wyleczyć waszymi mieszkankami ziół ani waszą magią.

– Nie liczyłem na to. – Szaman wzruszył ramionami. – Nasze zioła potrafią wiele, ale gruźlicy nie są w stanie pokonać. Zresztą wasze leki, choć potężne, też nie dokonają tej sztuki. Przybyłem, żeby ratować nie jego ciało, ale ducha. Gdy dotarłem, żył jeszcze, ale śmierć zamknęła mu już zmysły, którymi odbiera się świat. Wszedłem w trans. Wędrowałem po drogach, których wy nie znacie, aż spotkaliśmy się... Popełnił wielkie błędy, dokonał wielkiej zdrady. Pomogłem mu to zrozumieć. W prawosławiu wszystko kończy się z chwilą śmierci. Dusza idzie na sąd, który zadecyduje: niebo czy piekło. Eleganckie rozwiązanie. – Uśmiechnął się krzywo.

– Wasza wiara postrzega to inaczej? – zainteresował się Paweł.

– Pomyślcie sami. Człowiek, chodząc po ziemi, czynił dobro i zło. On umiera, ale skutki jego uczynków trwają. I te dobre, i te złe... Czasem jeszcze przez wiele dziesięcioleci to, co uczynił, rodzi pożytek albo zatrzuwa ludzi.

– Uważasz, że Bóg powinien uwzględnić to jako okoliczności łagodzące lub obciążające? – Profesor spoważniał.

– Tak – odparł szaman. – I patrząc szerzej, czy przyjaciele zmarłego nie powinni próbować go ratować przed zgubą tak za życia, jak i po śmierci?

– Eee... nie rozumiem? – bąknął Paweł.

– Po śmierci? No niby jak!? – zirytował się profesor.

– Naprawiając to, co zepsuł – wyjaśnił Samojed. – Ratując tych, których skrzywdził. Czyniąc, co tylko się da, żeby jego błędy nie rodziły już więcej zła. Rozmawiałem o tym z waszym batuszką, bardzo mnie od tego czasu nie lubi. – Pociągnął łyk herbaty. – Owu upadł. Pił wódkę, a ona odbierała mu wszystko. Odwagę, zręczność, siły, rozum, szacunek naszych, aż pozbawiła go ostatnich przyjaciół. I wtedy nadeszła śmierć. Poza tym, że pił, popełnił jeden czyn naprawdę niegodziwy. Sprzedał Zwierciadło Dziejów. Major nam go nie zwróci. Dopóki go nie odzyskamy, dusza starego nie zazna spokoju.

– Nie bardzo chce mi się wierzyć, żebyście zaofiarowali czterysta rubli tylko po to, by ratować duszę człowieka, który ostatnie lata życia spędził w pijackiej malignie – rzucił Skórzewski. – Ten dysk jest wam potrzebny także do innych celów.

– Oczywiście. Dlatego wracam niedługo do swoich, zbierzemy więcej złota i spróbuję raz jeszcze potargować się z dowódcą. – Szaman wzruszył ramionami.

– Wybaczcie, nie możemy wziąć udziału w pogrzebie. Obowiązki wzywają. – Profesor spojrzął na zegarek.

Pożegnali szamana, ubrali się i ruszyli dróżką do fortu.

– Ciekawy człowiek – zauważył Skórzewski.

– Mieszkał kilka lat w Petersburgu, umie czytać i mówić po rosyjsku bardzo dobrze, jak miastowy. Z pytań, jakie mi zadawał, gdy spotkaliśmy się poprzednio, jeszcze nad Morzem Białym, wynika, że czytuje gazety i miał w rękę nasze księgi medyczne. Jeden z Samojedów powiedział, że to ważny szaman, ważniejszy niż inni. Gdyby porównać nasze religie, coś jak biskup przy wiejskim batiuszce.

– Znać rozległość horyzontów.

– Nie przesadzajmy z tą rozległością. Trochę lepiej wyedukowany niż jego pobratymcy, a niedostatki wiedzy nadrabia bystrością...

Zastukali w bramę. Otworzył im strażnik.

– Dobrze, że jesteście, profesorze. Major Sokołow czekał już tylko na was.

– A co za okazja? – zdziwił się lekarz. – A, domyślam się...

Przeszli na dziedziniec. Trzej żandarmi stali pod murem. Na szarfach zawiesili bębny, w dłoniach trzymali pałeczki. Skórzewski nic z tego nie rozumiał. Pojawił się komendant fortu, wbity w galowy mundur wyglądał bardzo dostojnie. Na piersi połyskiwały mu cztery medale. Zaraz też wprowadzono więźnia. Anarchista, stojąc pomiędzy dwoma roslymi żandarmami, wydawał się jeszcze drobniejszy. I dopiero teraz Paweł domyślił się, czego będzie świadkiem. Rozległy się werble. Dowódca odchrząknął.

– Michaiła Iwanowiczu Polikarpow – zwrócił się do mężczyzny – informuję was niniejszym, że sąd wojskowy w Petersburgu, działając w imieniu miłościwie nam panującego cara Aleksandra Drugiego, skazał was w procesie in absentia na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wydany w trybie doraźnym powinien zostać wykonany niezwłocznie, w dodatku nie przysługuje wam odwołanie. Zgodnie z regulaminem informuję was jednak, że w terminie trzech dni możecie złożyć suplikę do cara z prośbą o łaskę. Rzecz jasna, biorąc pod uwagę wasze winy, nie powinniście liczyć na ratunek. Zazwyczaj w takich przypadkach rekomenduje się wnieść prośbę o zmianę sposobu wykonania z powieszenia na rozstrzelanie, zawsze to kara mniej hańbiąca i jak sądzę, jej wykonanie wiąże się z mniejszymi cierpieniami natury fizycznej. Ale po prawdzie w forcie mamy pewną swobodę co do sposobu przeprowadzenia egzekucji. Do wieszania potrzebny jest wykwalifikowany kat. Dlatego mam dla was dobrą wiadomość. Zostaniecie rozstrzelani.

Więzień milczał, najwyraźniej ogłuszony.

– Czy sentencja wyroku jest dla was zrozumiała?

– Tak – wychrypiał Michaił.

Zakaszła, splunął krwią i wyprostował plecy.

– Zrozumiała – dodał już pewniejszym głosem. – A moje zeznania? Przecież ujawnienie szczegółów spisku na życie monarchy to okoliczność łagodząca... Znacznej wagi...

– W piśmie, które otrzymałem, nie było nic na ten temat. – Dowódca pokręcił głową. – Widać wasze informacje wydały się sądowi bezwartościowe lub sędziowie znali je już z innych źródeł.

Zapadła cisza.

– Podesądny jest śmiertelnie chory – zauważył Skórzewski. – W tej sytuacji egzekucja tylko przyspieszy nieuniknione. Może warto napisać prośbę o łaskę? Niewykluczone, że car zgodzi się, żeby umarł w warunkach aresztu domowego.

– Nie sądzę. – Major wzruszył ramionami. – Miłościwie nam panujący cholernie nie lubi anarchistów. Zwłaszcza takich, których palce świerzbą do materiałów wybuchowych. Ale pisać do cara, no cóż, to wolno każdemu. Każdy może składać do majestatu dowolną prośbę. Składać trzeba w przepisowym terminie, rzecz jasna.

– Trzy dni?! No niby jak mam w tak krótkim czasie wnieść prośbę? – zdziwił się więzień. – Parostatek do Petersburga płynie pięć dni w jedną stronę...

– Ano sami widzicie, że nijak. – Oficer uśmiechnął się podłe. – Jesteśmy zbyt daleko od stolicy, żeby pismo dotarło w porę. No i jeszcze czas potrzebny na odpowiedź... Rozległa jest nasza Święta Ruś. A w dodatku najjaśniejszy pan zapewne przebywa obecnie w Moskwie.

– Teoretycznie można oczywiście przesłać suplikę drogą telegraficzną, ale druty linii rządowej Archangielsk – Petersburg nadal są zerwane, i to prawdopodobnie w kilku miejscach. Łączność do tej pory nie została przywrócona – dodał profesor. – Nic nie da się zrobić.

– Zapewne honor anarchisty i tak zabrania wam zwracania się do władz zwierzchnich z takimi prośbami... – skwitował komendant fortu.

– Zabrania... – wykrztusił skazaniec. – Zresztą jaki tam honor anarchisty, skoro złożyłem zeznania. Aczkolwiek...

– Zatem skoro nie planujecie prośby o ułaskawienie ani po prawdzie nie mamy możliwości jej wysłać, czy odpowiada wam jako termin egzekucji dzień dzisiejszy, godzina szesnasta? Zjecie sobie obiad, strzelicie kielicha i z pełnym żołądkiem pójdziecie na spotkanie z wiecznością. – Major uderzył kantem dłoni w drugą dłoń.

– Jako lekarz dodam, że może to i lepiej – dorzucił profesor. – Chwila strachu i bólu, wiadomo, nic przyjemnego. Ale lepsze to od wielotygodniowego zdychania na pryczy... Prośówka już w tej chwili bierze was w obroty. Z każdym dniem będzie już tylko gorzej. A zapas laudanum starczy może na tydzień nader oszczędnego dawkowania.

– Yhymm... – wykrztusił skazaniec i zrezygnowany skinął głową.

Major dał znak. Znów rozległy się werble i dwaj żandarmi z uroczystymi minami odprowadzili więźnia do celi. Paweł z profesorem przeszli do gabinetu zabiegowego.

– Minę masz, chłopcze, jakbyś rozgryzł plasterek cytryny – zauważył lekarz.

– Myślę o sprawie tego nieszczęśnika – przyznał student. – Przyszedł wyrok, powiesz go, czy też, jak mówił major, rozstrzelają...

– Powinien zawisnąć. Wziął udział w spisku.

– Mimo wszystko to dość nieludzkie – zauważył Skórzewski. – On już i tak w zasadzie nie żyje. Powinien móc ostatnie tygodnie spędzić w domu.

– Rodzina Polikarpowów go wyklęła. Poza tym nie ma się co rozczulać. To anarchista, człowiek odrzucający wiarę wraz z moralnością, posłuszeństwo władzy i normy życia wśród ludzi. Przyłapano go na transportowaniu znacznej ilości

materiałów wybuchowych. To nie jest zabawa! W zamachach giną nie tylko najlepsi funkcjonariusze naszego państwa, ale także niewinne, przypadkowe osoby.

– No, niby tak...

– Powiem w ten sposób – ciągnął profesor. – Ja oczywiście jestem niezbędny, żeby stwierdzić zgon i tak dalej. Ty jako praktykant nie musisz być obecny podczas egzekucji. Ale przydałoby mi się pomoc.

– Pomoc? – zdziwił się Paweł. – W sekcji zwłok?

– To swoją drogą, trzeba sprawdzić poprawność diagnozy. Przy okazji obejrzymy sobie narządy zaatakowane przez prosówkę. Z pewnością rany postrzałowe trochę zaciemnią obraz, przynajmniej jeśli chodzi o rejon klatki piersiowej, ale wątroba, śledziona i tak dalej powinny nadawać się do oględzin. Ale to nie wszystko. Pamiętasz pewnie rozmowę w dniu, kiedy przybyłeś. Nasz dowódca skutkiem paskudnego wypadku na poligonie stracił przednie zęby. Ale nie stracił ich całkowicie, ocalały korzenie oraz resztki nadal tkwiące w dziąsłach górnej szczęki i żuchwy. Mamy trzy podstawowe surowce, z których wykonujemy uzupełnienia dentystyczne. Po pierwsze złoto. Bardzo dobry materiał, bo nie koroduje i nie podrażnia tkanek. Robimy z niego koronki, licówki, mostki. Po drugie porcelana. Tu niedoścignionymi mistrzami są Amerykanie, choć i my staramy się dotrzymać im kroku. Po trzecie surowce naturalne. Przede wszystkim kość słoniowa. Wykorzystuje się także ząb hipopotama, ma naprawdę wspaniałe, twarde szkliwo. Moi koledzy ze stolicy lubią pracować na zębach cieląt. Bardzo wdzięczny materiał, choć z trwałością gorzej. Dobry erzac kości słoniowej to kość mamucia... Choć słyszałem, że ostatnio trudno o ten towar w Petersburgu, zastosowań jest przecież cała masa. Zazwyczaj co roku wiosną tubylcy ruszają w tajgę z psami, szukając miejsc, gdzie wieczna zmarzlina kryje szczątki włochatych słoni. Psy wyczuwają padlinę, więc przy odrobinie szczęścia można znaleźć truchło i wyłamać kły, czy też, mówiąc bardziej fachowo, siekacze.

– Słyszałem też, że czasem natrafia się na mamuty zmrożone tak, że udaje się pozyskać mięso do karmienia psów – dodał Paweł.

– Wiem. Jedna z restauracji w stolicy pewnego roku miała to nawet w menu... Ale takie poszukiwania to, rzecz jasna, loteria. Raz się znajdzie, innym razem nie. Faktorie, które skupują ciosy, też nie wszystko wysyłają do nas, bo czasem Chińczycy dają lepszą cenę. Ale nie o tym chciałem mówić – zreflektował się profesor. – Nie wiem, czy wiesz, ale jeśli mamy do czynienia ze świeżo wybitym zębem, a on sam nie jest uszkodzony, można podjąć próbę umieszczenia go na miejscu w szczęce. Wedle moich wyliczeń taki zabieg ma szansę powodzenia w około siedemdziesięciu procentach przypadków. Oczywiście im więcej czasu upłynie, tym gorsze rokowania.

– I tak wprawiony ząb trzyma się potem normalnie w szczęce?

– No cóż, zazwyczaj chorego trzeba obserwować przez jakiś czas, a on sam powinien unikać gryzienia twardego pożywienia przez miesiąc, a najlepiej przez dwa. Jeśli do tego czasu ząb nie wypadnie i przestanie się chwiać, to prawdopodobnie jest uratowany.

– Rozumiem – zadumał się Paweł. – To ciekawe. Ale do czego zmierzacie?

– Już w osiemnastym stuleciu próbowano takiej sztuki. Gdy dentysta miał rwać ząb jakiegós bogacza, wynajdowano zawczasu biedaka o podobnym uzębieniu i opłacano go stosowną kwotą. Podczas zabiegu w miejsce usuwanego chorego zęba osadzano szybko ząb zdrowy, wyrwany ubogiemu.

– Pomijając kwestie etyczne... Czy zabieg taki miał szanse powodzenia? – zdziwił się student.



– Podobno aż w dziewięciu przypadkach na tuzin. Oczywiście cudzy ząb nie zawsze wyglądał naturalnie. Kolor, kształt, wielkość, to wszystko trudno dobrać. I po pewnym czasie on także mógł wylecieć. Co gorsza, o ile samo rwanie uchodzi za operację dość bezpieczną, takie próby implantacji mogły powodować zakażenia, ropnie i tak dalej... Mniemam jednak, że odkrycia doktora Listera i stopniowe wprowadzenie antyseptyki także do stomatologii znacząco zwiększyły szanse powodzenia.

– Jeśli dobrze rozumiem te wszystkie niedopowiedzenia, planujecie wykorzystać zwłoki Michaiła Iwanowicza Polikarpowa, żeby podjąć próbę naprawy uzębienia dowódcy fortu?! – wykrztusił Skórzewski.

– Tak. Operacja nie będzie łatwa i zajmie sporo czasu. Wykwalifikowany pomocnik będzie mi bardzo przydatny.

– Eee... Profesorze... Ten pomysł wydaje mi się z gruntu nieetyczny, a do tego bardzo niebezpieczny! – Paweł pokręcił głową.

– No a niby dlaczego?

– Ten anarchista jest już de facto chodzącym trupem. Sami zdiagnozowaliście prosówkę. Na zębach mogą pozostać bakcyle gruźlicy.

– Po pierwsze nadal nie wiemy, czy bakcyle gruźlicy w ogóle istnieją. Wiem. – Profesor uniósł dłoń, jakby chciał uciąć protesty. – To bardzo mocna hipoteza, testy wykazały zakaźność, zatem wszystko wskazuje na ich istnienie. Ale moim zdaniem nie ma żadnego ryzyka. Gruźlica nie przenosi się w ten sposób. A żeby całkowicie wyeliminować zagrożenie, po wyrwaniu zęby anarchisty poddam odkażeniu roztworem kwasu karbolowego. Co do etyki, głupio odmawiać nie tylko chlebodawcy, ale i hojnemu donatorowi lazaretu. Zwłaszcza że bardzo prosił.

– Dlaczego tak mu na tym zależy? – spytał Skórzewski.

– Odsłużył przepisowe dwadzieścia lat, odchodzi z armii. Planuje założyć rodzinę, krewni wyszukali mu odpowiednią dziewczynę. Nic zatem dziwnego, że chce wyglądać godnie. Męsko, w sile wieku i przystojnie. A bez zębów to trudne. W każdym razie za operację przewidziane jest sowite honorarium, którego część ci za pomoc odstąpię. Powiedzmy, pięćdziesiąt rubli. Co ty na to?

– Dziękuję, nie skorzystam – odparł student. – I chyba zrezygnuję z dalszych praktyk pod pańskim kierownictwem.

– Teraz, gdy masz okazję czegoś się nauczyć? – zirytował się doktor. – Pomyśl tylko. Jednoczesne przeniesienie aż dziewięciu zębów. Nikt do tej pory tego nie próbował! Będziesz nie tylko świadkiem, ale i współuczestnikiem przełomowej operacji. Przy odrobinie szczęścia wyznaczmy dziś nowe horyzonty stomatologii!

– Wybaczcie, profesorze, ale...

– To, co robimy, nijak nie koliduje z przysięgą Hipokratesa. Nikogo nie uśmiercamy. Nikomu krzywdy nie robimy. A przywrócenie funkcjonalności uzębienia to terapia w znaczącym stopniu ratująca zdrowie. Jesteś Polakiem, zatem pewnie też katolikiem?

– Tak.

– Znasz zapewne żywot patronów chirurgii, świętych Kosmy i Damiana? Ich pamięć czci także kościół prawosławny, ale wedle średniowiecznej katolickiej legendy wsławili się tym, że rycerzowi, który postradał nogę skutkiem gangreny, przyszyli kończynę poległego Maura. Malarz nadworny władców Hiszpanii Fernando del Rincón stworzył słynny obraz przedstawiający to wydarzenie.

– Wiaczesławie Piotrowiczu, przywożłem zamówione w Petersburgu narzędzia dentystryczne. – Paweł powoli cedził słowa. – Zamówiliście cały zestaw. Zatem

wiedzieliście, że do tego dojdzie? Że Polikarpow zostanie skazany na śmierć? Że czeka was operacja wymagająca najnowszej, niezawodnego sprzętu?

– Powiedzmy – przyznał profesor – bo prawdopodobieństwo takiego właśnie rozwoju wypadków było bardzo wysokie. Pierwszy wyrok, siedmioletnia katorga. Drugi proces, druga odrębna sprawa karna, to mogło tylko pogorszyć jego położenie. Pomierzyłem mu szczękę i dokonałem oględzin uzębienia. I czekaliśmy, nazwijmy to, okazji do pobrania materiału. – W głosie lekarza pobrzmiwały nutki irytacji.

– Rozumiem. Zatem rezygnuję z praktyki. I wracam do Petersburga.

– A gdyby tak siedemdziesiąt pięć rubli?

– Po prostu rezygnuję – upierał się student. – Nie obrażcie się, czułbym potem niesmak do samego siebie.

– Jak tam sobie chcesz. – Doktor wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

– Młody jesteś, samo życie cię nauczy, że czasem trzeba po prostu iść naprzód i nie oglądać się za siebie. Wystawię ci papier, że praktyki zaliczyłeś – dodał po chwili. – Ale powiem, że jestem rozczarowany. Mogłeś dziś współtworzyć historię stomatologii, ale widać masz za ciasny umysł... Pakuj walizkę i wynocha.

*

Paweł był w opłotkach miasteczka, gdy echo przyniosło odległą salwę – huk wystrzałów karabinowych. Egzekucja została wykonana. Wzdrygnął się, zagryzł wargi i odruchowo przyspieszył kroku. Próbował myśleć o czymś innym, jednak buzująca jak gejzer wyobraźnia podsuwała mu obrazy, co jeden, to paskudniejszy. Raz jeszcze wracał myślami do dyskusji z profesorem. Rozwodził się argumenty.

Medycyna idzie do przodu. A może niepotrzebnie przestraszyłem się postępu?

Nie. To kompletnie obrzydliwa sytuacja... Lekarz nie powinien robić takich rzeczy. Ale czy nie było tak, że odmówiłem, bo czułem jakąś podświadomą więź z człowiekiem prawie w moim wieku, który wpadł po uszy, bo chciał walczyć z caratem, jak przed laty próbował mój ojciec?

Westchnął.

Młody dureń, pogrążył się, bo uwierzył w jakieś bzdury. Robił materiały wybuchowe do bomb, które zabijały ludzi. Z jednej strony dostał właśnie to, na co zasłużył. Ale z drugiej... Rozstrzelanie... Przecież i tak był już skazany. Gruźlica to wyrok śmierci. Może jednak powinien dostać szansę, żeby chociaż umrzeć w domu, wśród bliskich? – zadumał się. A jeśli go wyklęli i nie chcą mieć z nim nic wspólnego, niechby umarł w celi, ale normalnie w łóżku. I jeszcze te zęby... Niby umarłemu już zbędne, a żywemu się przydadzą. Ale żeby z takim brakiem poszanowania traktować zwłoki... No i powinni choć pro forma uzyskać jego zgodę. Do tego ryzyko. Profesor planuje je odkazić. A jeśli kwas karbolowy nie wniknie w strukturę i jakieś bakcyle przeżyją, na przykład pod szklivem?

Naraz w oddali dostrzegł na białej tafli jeziora długą, ciemną krechę wody uwolnionej od lodu, mały punkcik zbliżającego się okrętu i czarny słup dymu bijącego z komina. Czyżby rejsowy parostatek Archangielsk – Petersburg?

– Fart! – ucieszył się. – Tylko czy zdobędę bilet?

Dotarł do portu akurat w chwili, gdy statek, krusząc pierwszy, słaby jeszcze lód, właśnie dobijał do przystani. Przeczucie nie myliło studenta. To faktycznie był

bocznokołowiec idący znad Morza Białego do stolicy. Paweł pospieszył do kasy. Miejsc w kajutach na pierwszy odcinek podróży już nie było, ale bez kłopotu nabył bilet umożliwiający przejazd na pokładzie. Spojrzał z niepokojem na ciemniejące niebo. Jesienna, prawie zimowa noc. Miał ją spędzić w chłodzie idącym od wody, w zasadzie pod gołym niebem?

To tylko kilka godzin, pocieszył się w myślach. Rankiem będziemy w Pietrozawodsku, a dalej dostanę kaję w kajucie zbiorowej. Jakoś wytrzymam...

Rzucono trap. Ludzie ustawili się w ogonek. Rosjanie w kozuchach i jesionkach, autochtoni w skórzanych kapotach i kurtkach z kapturami. Przyszła wreszcie jego kolej. Zajął ławkę częściowo ukrytą we wnęce nadbudówki, nad głową wisiało mu koło sterowe. Wysunięta część ściany chroniła przed wiatrem. Na pokład wlała się rzeka ludzi, wnoszono walizki, kufrы, worki. Student postawił kołnierz. Ponure myśli jakby na to czekały.

Rozstrzelali, nieboszczykowi wyłupili zęby i wstawili je żywemu. Wzdrygnął się. To coś jakby kanibalizm... Gdyby chociaż wyraził zgodę, gdyby dali kilka groszy dla jego rodziny czy coś...

Statek odbił od brzegu. Czarny dym bijący z kominów zgęstniał. Koła łopatkowe z pluskiem zagarniały wodę. Na pokładzie było zimno, od wody faktycznie ciągnęło chłodem. Wiatr szedł z północy. Ludzie pozbijali się w ciasne grupki, dociągali paski, siadali tak, by pakunki osłoniły ich przed wichrem. Skórzewski umieścił walizkę na kolanach, by wykorzystać ją jako dodatkową osłonę. Na pokładzie opodał stłoczyła się spora grupa miejscowych Rosjan. Samojedzi też siedli w kupie, wokół ułożyli murek z worków jakiegoś towaru. Kilku narzuciło skóry na ramiona. Wyciągnęli flaszkę wódki, puścili w obieg. Jeden zanucił tęskną piosenkę. Paweł nie znał tego języka, nie wyłapał żadnego znajomego słowa. Poczł ssanie w żołądku. Chciał wynieść się z fortu jak najszybciej, nie poczekał na obiad. Idąc przez osadę, mógł sobie kupić coś do jedzenia, ale nie pomyślał. A teraz był zmęczony, głodny i co gorsza, zaczynał marznąć.

Córka kapitana wyszła na pokład. W drewnianym nosidle miała osiem parujących kubków gorącej herbaty. Paweł, usłyszawszy cenę, omal nie złapał się za głowę, ale odżałował dwadzieścia kopiejek. Srebrna moneta znikła w sakiewce. Przez kolejny kwadrans grzał dłonie o blachę kubka i pociągał małymi łykami rozgrzewający napar.

– Pierwszy pocałunek nadchodzącej zimy – westchnął, patrząc, jak podmuch wiatru rozwiewa parę.

Nim nadejdą mrozy, muszę kupić kozuch albo szubę, pomyślał z melancholią. Te siedemdziesiąt pięć rubli... Ładny pieniądz, ale przecież nie mogłem. Po prostu nie mogłem.

Ktoś mijał go, wędrując z rufy na dziób. Student rozpoznał szamana. W dłoni, podobnie jak on, trzymał kubek z herbatą. Ich spojrzenia spotkały się. Paweł odruchowo posunął się, robiąc miejsce na ławce.

– To wy? Cóż się stało, że opuszczacie osadę? – Autochton na widok studenta uniósł brwi ze zdziwienia.

– Rezygnuję z dalszej praktyki i wynoszę się stąd – odparł Skórzewski. – Profesor chciał, żebym pomógł mu w jednej sprawie. Pomysł wydał mi się odrażający i do tego niebezpieczny.

– Opowiedzcie... Czasem lepiej wyrzucić z siebie złość i ból.

Paweł zreferował. Szaman słuchał go, wyraźnie zaskoczony.

– Zajmuję się medycyną, od kiedy przeszedłem inicjację prawie czterdzieści lat temu – powiedział. – Widziałem sztuczne szczęki oraz uzupełnienia wykonane w miastach, a raz znalazłem w lesie szkielet człowieka, który zapewne zabłądził. Obejrzałem wtedy dokładnie czaszkę, żeby zrozumieć, co dentysta potrafi zrobić z zepsutymi zębami. Ale żeby wstawić komuś cudze?! Idea dziwaczna, choć nie powiem, fascynująca. Jednak macie rację, że plunęliście na propozycję i wyjeżdżacie. To nie są dobrzy ludzie... Natura człowieka to mieszanina dobra i zła. Mało kto jest naprawdę dobry albo naprawdę zły. Jeśli jednak mam wam coś doradzić, szukajcie towarzystwa tych, w których zwycięża dobro. Wyjechaliście i słusznie. Ja też muszę wracać. Nic mi się nie udało. Na wyleczenie starego Owu było już za późno. Na powstrzymanie go przed upadkiem też. Co gorsza, nie zdołałem odzyskać Zwierciadła Dziejów... Złoto wartości czterystu rubli nie zrobiło wrażenia na majorze. Ma trochę racji, faktycznie to jest warte o wiele więcej. Niestety, inne sposoby odzyskania naszego skarbu chwilowo zawiodły. Na tej ławce przemarnicie na kość. Chodźcie.

Zaprowadził studenta między swoich pobratymców. Samojedzi rozsunęli się, robiąc im miejsce. Za barykadą z pakunków było ciasno, ale zacisznie. Z lewej strony Skórzewski opierał się o starca w baraním kożuchu, z prawej wtuliła się w jego bok zezowata, chuda nastolatka. Worki i kufry osłaniały ich od wiatru. Wsunął dłonie za pazuchę. Już nie marzył. Za to zmęczenie sprawiło, że powieki bardzo mu ciążyły. Po drugiej stronie kręgu szaman rozmawiał z kilkoma starszymi wiekiem myśliwymi. Student nie wiedział, o czym mówią, ale wszyscy mieli bardzo zafrasowane twarze. Zapadała noc, zapalono świeczkę w latarce. Ktoś narzucił mu na plecy wyleniałą skórę renifera. Butelka z wódką znów zatoczyła krąg. Paweł pociągnął mały łyk czystochoy. Zegarek pokazywał dwudziestą. Autochtoni wyciągnęli wiktuały. Podano mu placuszek podobny do blina, ale zalatujący rybą. Może do ciasta dodano mięsa, może usmażono go na rybim oleju? Paweł żuł z przyjemnością i popijał resztką zimnej już herbaty. Otaczał go gwar rozmów w obcym języku. Nie rozumiał ani słowa, ale nie miało to znaczenia. Dziewczyna przytulona do jego boku zasnęła. Nakrył ją delikatnie. Statek walczył z wiatrem, kołysało mocniej. Owinął twarz szalem, dłonie ukrył pod pachami. Obawiał się tylko o stopy i łydki. Na razie nie marzył, ale co będzie nad ranem? Zmienił pozycję, usiadł po turecku. Powieki same zaczęły mu się kleić.

– Zasypiasz, więc pożegnajmy się teraz. Wysiadam pierwszy – powiedział szaman, kłękając naprzeciw niego. – Nie miej, proszę, do mnie żalu. Odzyskanie Zwierciadła Dziejów to dla naszego ludu niezwykle ważna sprawa...

– Żalu? – Student zmarszczył brwi. – Hmm... Dlaczego miałbym czuć żal właśnie do was? A może... To nie był sen!?

– Taniec umysłu. Odnalazłem cię na ścieżkach ducha i dosiadłem twojej duszy, jak jeździec dosiada konia. Myślałem, że tą drogą dostanę Zwierciadło albo przynajmniej zorientuję się, gdzie jest przechowywane. Ale nie zdołałem nad tobą zapanować, za silny jesteś.

– Chcieliście, żebym je dla was wykradł, lunatykując!? – Paweł wytrzeszczył oczy.

– To byłyby uśmiech losu.

– I tak by się nie udało. Major trzyma je w kasie ogniotrwałej. Kombinowany zamek na klucz i szyfr. Nawet gdybym jakimś cudem zdobył klucz, nie znałem liczb...

– Było, minęło. Przyjdzie czas, że odzyskamy naszą własność. Miło było was poznać.

– I wzajemnie.

– Śpijcie teraz, spotkamy się jeszcze... – Zadumany szaman spojrzął w przestrzeń, a może w przyszłość. – Za kilka lat w stolicy. W wielkim pałacu pełnym ludzi, schodów i szklanych szafek.

Paweł chciał jeszcze o coś zapytać, ale nie zdołał. Kołysanie statku, wódka i ciepło sprawiły, że usnął, nim zdołał ułożyć myśli w konkretne zdanie.

Petersburg, trzy lata później

Ekspozycja zajęła trzy sale na pierwszym piętrze. Doktor Paweł Skórzewski przybył odrobinę spóźniony. Tłum zaproszonych gości i zwykłych zwiedzających szczerze wypełnił podest i większą część schodów. Młody lekarz zdecydował się zostać na dole, w holu. I tak wszystko słyszał, a obejrzeć wystawę mógł przecież za kwadrans lub dwa, gdy tłum ciekawskich trochę się już przewali. Oparł się o marmurową kolumnę. Uczony, który właśnie zaczął przemawiać, był mniej więcej w jego wieku.

– Otwierając tę wystawę, chciałbym przywołać pamięć mojego krewniaka, majora Olega Filipowicza Sokołowa. Wspaniała kolekcja wyrobów ludu Samojeđów, którą prezentujemy w gablotach, to w znacznej części efekt jego starań. Ten skromny, oddany nauce pasjonat podczas długoletniej służby nad jeziorem Onega i na wybrzeżach Morza Białego poświęcił wiele lat, by odnajdywać i odkupywać najciekawsze wyroby tego plemienia. Nie szczędził żołdu, czasu ani osobistych wysiłków. Dzięki jego staraniom powstał bogaty i różnorodny zbiór o znacznej wartości naukowej. Niestety, krewny mój nie doczekał otwarcia, w ubiegłym miesiącu zmarł na skrofuły. Ta niepowetowana strata napełnia nasze serca smutkiem...

– Witam was, doktorze...

Skórzewski drgnął, słysząc słowa wypowiedziane mu prawie do ucha. Obejrzał się. W pierwszej chwili nie wiedział, kto go zagadnął. Szaman ubrał się po miejsku, odwiedził fryzjera i golibrodę. Tylko ciemna karnacja, mocno zarysowane kości policzkowe i płonące oczy pozwoliły Pawłowi go rozpoznać.

– Znów się spotykamy – mruknął. – Tak jak przepowiedzieliście, w wielkim pałacu... W stolicy. Po kilku latach.

– Pamiętacie... – uśmiechnął się przybysz.

– Owszem.

– Słyszeliście przed chwilą słowa uczonego. Sami także posiadacie znaczną wiedzę. Większą ode mnie. Niewiele waszych ksiąg medycznych zdołałem zdobyć i przeczytać. Jeszcze trudniej było mi zrozumieć zawarte w nich myśli i spostrzeżenia. Muszę zatem polegać na tym, co przekazali mi moi poprzednicy, i na tym, co sam dojrzałem na ścieżkach ducha... Te skrofuły... Niemiec nazwiskiem Koch ogłosił niedawno, że to także jest gruźlica. Podstępna choroba, która atakuje płuca i powoduje płucie krwią, może uderzyć w gruźlioty ciała...

– Tak – stwierdził lekarz. – To gruźlica, choć w odmiennej formie. Doktor Koch potwierdził to wiosną bieżącego roku. Ta sama bakteria może zaatakować płuca, może wejść w kości i w węzły chłonne, może też rozsiać się po ciele jako prosówka. To już potwierdzone. Wyrwaliśmy chorobie jeden z jej sekretów, choć nadal nie mamy pojęcia, jak ją pokonać.

– Nie byliście już nigdy więcej w Nikołajewsku? – zapytał Samojed.

– Nie.

– I słusznie, dobry człowiek nie ma czego szukać w takim miejscu. Ale ja pojechałem tam raz jeszcze. Zebraliśmy więcej złota, miało wartość prawie tysiąca rubli. Znów rozmawiałem z majorem, ale ponownie odprawił mnie z kwitkiem. Nie chciał sprzedać Zwierciadła Dziejów. Zapamiętałem z tej drugiej rozmowy jedno: bez przerwy szczyrzył w uśmiechu zęby. Naprawdę piękne, białe zęby. I profesora odwiedziłem w szpitaliku. Pochwalił się, jaką operację przeprowadził. Mówił, że artykuł o tym pisze do największych światowych gazet medycznych. Wspominał też was, nazywając... nie obrażcie się... młodym głupkiem.

– Czyli wiecie już wszystko – stwierdził Paweł. – Profesor Lisow po egzekucji wyłupił zdrowe zęby z ciała anarchisty, usunął resztki połamanych zębów majora Sokołowa i na ich miejsce osadził wyrwane, niemal jeszcze ciepłe, od nieboszczyka.

– A skoro dowódca fortu umarł na tę samą chorobę co więzień, można powiedzieć, że zabiły go cudze zęby – dokończył szaman. – A raczej zapewne obecne na nich, czy też wewnątrz, bakcyle.

– Ostrzegalem, że tak można przenieść chorobę – westchnął Skórzewski. – Nie słuchał mnie. Majorowi bardzo zależało na odzyskaniu pięknego uśmiechu. Skoro mnie za pomoc proponowano siedemdziesiąt pięć rubli, to z pewnością profesor zainkasował znacznie więcej. Im dłużej nad tym myślę... Anarchista wspomniął, że spisał zeznania i przesłał do Petersburga. Wydanie współników to zapewne konkretna okoliczność łagodząca. A jeśli dowódca fortu zatrzymał ten list? Albo nawet zamiast zeznań chłopaka przesłał własną opinię, że więzień krnąbrny i nie rokuje poprawy? Co więcej, zastanawiam się, czy ten człowiek faktycznie został skazany. Komendant fortu ogłosił, że dostał wyrok pocztą. A jeśli nie było żadnego wyroku? Mogli pomyśleć, że chłopak i tak umiera, skrócą mu cierpienia, a w protokół wpisze się, że prosówka. I kto sprawdzi?

– Major Sokołow to był podły człowiek i całkiem możliwe, że tak było. Stary Owu chciał skrzynkę wódki, więc sprzedał mu Zwierciadło Dziejów. Major chciał mieć te zęby, dlatego nie czekał na ewentualne ułaskawienie, tylko przeprowadził egzekucję jak najprędzej. Profesor wiedział o ryzyku przeniesienia bakcyli, chciał jednak zarobić kilkaset rubli... – Szaman spojrzął na Pawła ze smutkiem. – Rosjanie przynieśli na nasze ziemie wiele swoich chorób. Gruźlicę, alkohol, hazard, prostytutkę, złodziejstwo... Ale jest wśród nich jedna szczególna. Może nie jest najgorsza, ale za to najpowszechniejsza. Zapewne domyślacie się jaka...

– Chciwość.

– Jesteście młodym człowiekiem, ale gdy wędrowałem po ścieżkach ducha, dostrzegłem potęgę waszego ducha i echo waszych myśli. Losy macie splątane. Pożyjecie bardzo długo, dłużej niż wielu z tego pokolenia. Nieraz będziecie na wozie i nieraz pod wozem. Otrzecie się o wiele tajemnic. Zobaczycie rzeczy, których nie chcielibyście widzieć. Będziecie ratować ludziom życie i będziecie musieli zabijać. Będziecie wędrować bez grosza przy duszy i z kieszeniami pełnymi banknotów. Ale na chciwość nie zachorujecie nigdy. Tacy ludzie są na nią odporni. Bywajcie, na mnie już czas.

– Do zobaczenia.

Szaman odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem opuścił hol. Paweł wszedł po schodach. Tłum rozproszył się po kolejnych salach. Ludzie oglądali eksponaty, wymieniali uwagi. Młody krewniak majora Sokołowa objaśniał tubalnym głosem

przeznaczenie poszczególnych przedmiotów. Skórzewski wędrował od gabloty do gabloty. Zebrano w nich różności. Narzędzia, ozdoby, bębny, figurki.

Wiele lat, mnóstwo pracy. Pokiwał głową w zadumie. Świat nauki winien mu wdzięczność, choć nie był to dobry człowiek... A kto wie czy nie splamił rąk zbrodnią... No i profesor. Pomagał Samojedom, leczył ich, wielu uzdrowił, biorąc w zamian nie pieniądze, ale to, czym mogli mu zapłacić. Dwaj ludzie, w zasadzie dobrzy, ale gdy przyszło co do czego, pokazali tę gorszą stronę swojej natury.

Naraz podbiegło do niego dwóch woźnych w liberjach.

– Przepraszamy najmocniej. Czy nie wiecie przypadkiem, dokąd poszedł ten śniady mężczyzna w marynarce? Rozmawialiście przed chwilą w holu.

– Nie mam pojęcia – odparł doktor.

– Ale... czy zna go pan?

– Nie znam. Spotkałem go tylko raz przed kilku laty. Nawet bym go nie rozpoznał, gdyby nie to, że mnie zagadnął. Dziś wymieniliśmy tylko kilka zdań. Ale o co chodzi?

– Właśnie stwierdziliśmy brak w gablocie jednego z najważniejszych eksponatów! Na pewno był tam jeszcze pół godziny temu. Ktoś tuż przed otwarciem zakradł się do sali, wyłamał zamek i zabrał przedmiot. A tylko ten człowiek opuścił wystawę...

– Niestety, nie mogę wam pomóc. Nie wiem za bardzo, ani jak się nazywa, ani skąd przybył, ani dokąd mógł się udać.

– A to pech! – westchnął jeden z mężczyzn.

– Daleko nie odszedł, może wypatrzymy go na ulicy! – rzucił drugi woźny i obaj wybiegli.

Doktor ruszył do kolejnej sali. Zatrzymał się w progu. Wewnątrz brzęczało jak w wielkim ulu. Ludzie zbili się w grupki, wymieniali uwagi półgłosem. Młody etnograf już nie przemawiał. Czerwony ze złości, nerwowo gestykułował i lajał trzeciego woźnego.

– Zwierciadło Dziejów... Wróci tam, gdzie jego miejsce – mruknął sam do siebie Skórzewski. – Szkoda, że nie obejrzałem go wtedy dokładniej. Kto wie czy kiedykolwiek trafi się podobna okazja.

Walizka



Z nieba prószył paskudny, mokry śnieg. Płatki opadały na parapet, zastygały na chwilę i rozpuszczały się. Arek opuścił firankę, pociągnął łyk kawy z trzymanej w dłoni filiżanki. Jego mama zapowiedziała się na czternastą, on przybył trochę wcześniej. Widziałem po jego minie, że chce o coś zapytać. Wreszcie się przemógł.

– Powiedz, ty pewnie wiesz... Dlaczego nam się nie układa? – zapytał.

– Co się nie układa? – nie rozumiałem. – Mnie się wszystko układa. Zarobiło się troszkę na jednej fusze, czynsz zapłacony. I kompa nowego planuję kupić za jakieś dwa lata...

– Ja nie o tym. No wiesz, z Sylwią i Moniką się nie układa. Wszystko zrobiliśmy jak trzeba, no nie? Nie mają nikogo, a my jesteśmy fajni i pod ręką. Mamy podobne zainteresowania. I wykazałem się romantycznością wiele, no... to znaczy kilka razy... Chodzimy czysto ubrani, myjemy się, pastujemy buty, szorujemy zęby, czytamy książki. Gęby też mamy całkiem wyjściowe. Babcia to mnie nie raz pytała, dlaczego taki przystojniak nie ma jeszcze dziewczyny.

– Przystojniak? – Otaksowałem go wzrokiem.

Miał nos, uszy, oczy, brwi, dwie ręce i dwie nogi. Wszystko w odpowiednim rozmiarze i na swoim miejscu. Uszy mu nie odstawały. Kolor twarzy też nie odbiegał od normy. Nawet fryzura była całkiem okej. I zegarek nosił, po dziadku, bardzo porządną, przedwojenną jeszcze, firmy Płonka z Krakowa.

– No w sumie chyba przystojniak... – odpowiedziałem sam sobie. – Ale wiesz, jestem hetero, więc nie potrafię ocenić twojej atrakcyjności. Moim zdaniem wyglądasz całkiem okej.

– I schudłem pięć kilogramów... – ciągnął chłopak. – Babcia mówi, że twarz mi od tego wyszlachetniała i przypominam teraz pradziadka.

Z tego, co kojarzyłem, jego przodek był inżynierem budującym słynną kolejkę transwersalną...

– To po prostu nie zawsze działa – westchnąłem. – Nie wystarczy spełniać warunki, być w porządku i posiadać wyjściową gębulę. Żeby ze znajomości wynikło coś więcej, między dziewczyną a chłopakiem musi jeszcze zaiskrzyć...

– Zaiskrzyć? No dobra, a co trzeba zrobić, żeby skrzesać tę iskrę? Wspólne zainteresowania już mamy. I zbliżony światopogląd.

– Nic nie da się zrobić. Ona się pojawi albo i nie...
Zmarszczył brwi.

– Jesteś ode mnie dekadę starszy i posiadasz spore doświadczenie życiowe. Przywykłem służyć twoich rad... Ale może w tej kwestii się mylisz?

– Hmm... – zadumałem się. – Może i tak. Lista moich podbojów miłosnych nie jest szczególnie imponująca. Z wieloma dziewczynami fajnie mi się gadało, ale praktycznie nigdy nic z tego nie wynikało.

Rozmowa urwała się. Miałem jeszcze chwilę, więc zajrzałem pod prasę. Klawisz od pianina spędził pod naciskiem siedemdziesiąt godzin. Liczyłem, że to wystarczy, by uzupełniona płytką z kości dobrze związała się z podłożem. Arek milczał ze zmarszczonym czołem.

– Wiem! – rzucił odkrywczo. – Potrzebujemy zagadki. Skomplikowanej zagadki historycznej. Mapy wiodącej do skarbu. I najlepiej takiej, żeby tylko one mogły nam pomóc w jego odnalezieniu. Wychowały się w Szwecji, no nie? Więc to musi być szwedzki skarb. Nie zaginęły im królewskie korony albo coś takiego?

– Zaginęła tiara jednej z księżniczek...

– O!

– Ale nie ma w tym nic romantycznego czy niezwykłego – zgasilem jego zapal. – Po prostu na zamku zatrudniono jednego z tak zwanych uchodźców. A on skorzystał z okazji i poczęstował się kilkoma błyskotkami. Parę klejnotów spylił paserowi, ale dostał tak marne grosze, że rozczarowany resztę łupu wypierniczył z mostu do kanału. Była wśród nich diamentowa tiara wyceniona na kilkanaście milionów euro. Szwedzi bagrowali dno, ale jeszcze jej nie odnaleźli.

– Faktycznie, nie o taką zagadkę chodzi – zasepił się Arek. – A coś innego?

– Nic mi nie świta.

– Łupy wikingów... Skarby pierwszych władców zakopane pod rozwaliskami kościołów w Vadstenie.

– Jest jeden Święty Graal szwedzkich poszukiwaczy skarbów – przyznałem. – Ale nie do ugryzienia.

– Cool – skomentował Arek. – Jak nie od ugryzienia, to ty rozwikłasz zagadkę w dwa tygodnie. Wydobędziemy skarby, obwiesimy samiczki klejnotami... Gadaj!

– U wybrzeży Gotlandii leży mała wysepka Lilla Karlsö. Gdzieś u jej wybrzeży miał zatonać okręt wojenny, którym Waldemar Czwarty wywoził część łupów zebranych po zdobyciu Visby w tysiąc trzysta sześćdziesiątym pierwszym roku.

– Brzmi dobrze!

– Tego wraku szukały już liczne ekspedycje szwedzkich naukowców, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt nurkowy i geolokalizacyjny... – ciągnąłem. – Jak do tej pory bezskutecznie. Byli na miejscu, mieli czas, milionowe budżety.

– A ty masz za to rozum, który chodzi jak szwajcarski zegarek! – zauważył chłopak. – Znajdź jakieś wskazówki. Tajemne znaki wykute na skałach, szyfry w dawnych kronikach i tak dalej. Zabierzemy dziewczyny. Nawet jak nie znajdziemy skarbów, popływamy sobie w Bałtyku i poopalamy się na plażach tej wyspy... Wspólne podróże zbliżają ludzi. A lato od zawsze sprzyja wakacyjnym romansom. Jak byłem w podstawówce na koloniach, to nawet całowałem się z taką jedną Gosią... – Westchnął na wspomnienie.

– Nie poopalamy się tam, bo Lilla Karlsö jest w całości rezerwatem przyrody. Twoja mama ma jakąś sprawę do mnie – zmieniłem temat.

– Taa... Ale to raczej nic, co moglibyśmy zrobić razem z tymi fajnymi dziewczynami... – Wyrżał na zewnątrz i znów westchnął. – A może pójde z nimi pogadać? Tylko tak bez pretekstu... Hmm... Podpowiesz coś?

– Zaproponuj wspólne wyjście. Do kina to trochę oklepane. Może koncert? Tylko nie wiem, jakiej muzyki słuchają. O, przypomniało mi się, w muzeum archeologicznym jest jakaś nowa wystawa. Sprawdź i do dzieła!

*

Matka Arka przekroczyła jakiś czas temu pięćdziesiątkę. W eleganckiej garsonce i z teczką pod pachą wyglądała jak twarda bizneswoman. Obraz kobiety sukcesu psuły prostacka twarz i ogromna liczba grubych złotych pierścionków zdobiących serdelkowate palce. Sądząc po „dukatowym” kolorze metalu, niektóre pamiętały czasy, gdy pod koniec lat osiemdziesiątych przejęła interesy po wujaszku i jako młodociana szefowa gangu przemytników zatrzęsa hurtem tureckiego jeansu na bazarze Różyckiego... Bez większego trudu mogłem ją sobie wyobrazić jako bazarową przekupę w skórzanej kurteczce i jaskrawym akrylowym szaliczku...

– Panie Robercie – zaczęła. – Zwracam się do pana jako fachowca.

– Jestem zaszczycony...

– Słyszałam o panu niejedno, i to niekoniecznie od mojego syna. Wydaje mi się, że będzie pan odpowiednim człowiekiem, żeby powęszyć na poważnie przy jednej skomplikowanej sprawie.

– Zamieniam się w słuch.

– Wujó mi zwariował i skoczył oknem... Na szczęście trzecie piętro tylko. Nogi połamał i miał wstrząs mózgu, ale żyje... – wyrzuciła z siebie.

– Dobrze, że żyje, ale mimo wszystko przykra sprawa – odparłem.

– No, przykra... Zwłaszcza że on już swoje w życiu przeszedł. Mieszkał tuż przy szosie. Pewnego dnia tir wpadł w poślizg, wypadł z zakrętu i uderzył w dom wuja. W ostatniej chwili się uratował i z gruzowiska pamiętki zdołał wygrzebać. Powiedział, że ma dość wsi i że na starość dobrze żyć w mieście, blisko sklepów, lekarzy i tak dalej... Więc wyłożyłam trochę kasioro, dołożyło się to, co za ubezpieczenie wypłacili i ze sprzedaży działki z tą ruiną domu. Ziarnko do ziarnka i kupił sobie pokoik z kuchnią w starej krakowskiej kamienicy.

– Rozumiem. Jakie zatem będzie moje zadanie?

– Wujó powiedział, że nie chce tam już mieszkać. Koszmary senne go dręczyły. A potem miał jakieś halucynacje. Uważa, że to mieszkanie jest przeklęte albo coś...

– Przeklęte... – zadumałem się.

– No więc gdyby pan sprawdził, czy faktycznie jest, kto rzucił kłutwę, dlaczego i czy da się z tym coś zrobić – wyjaśniła. – Bo sąsiedzi opowiadali, że coś jest na rzeczy. Podobno tam nikt nie chciał mieszkać, lokatorom przytrafiały się różne paskudne wypadki i jeszcze słyszeli, że w czasie wojny jakiś ważny szwab tam kwaterował. Zastrzelił swoją kochankę, a potem siebie. Śledztwo było, najpierw kripo, potem gestapowcy, ludzi solidnie skatowali, ale niczego nie odkryli. Wyglądało na zwykłe samobójstwo. Ale i po wojnie tam się działo. Wypadki, dwa samobójstwa, morderstwo nawet.

– Rozumiem. Biorę to zlecenie. Pogadałbym z tym wujaszkiem.

– Mieszka sobie na razie kątem u dalszych krewnych w Warszawie. Jak się panu uda coś przewąchać i sprawę załatwić, to ozłocę – obiecała. – Dam panu na koszty,

zaklepię hotel i takie tam. Arka niech pan weźmie ze sobą, znów ostatnio tylko siedzi i książki czyta jak jakiś autystyk. No chyba że to węszenie jest jakoś niebezpieczne?

– Różnie może być. Ale raczej nie.

– To ja wyślę na mejla wszystkie informacje. Pan mi powie, panie Robercie, jeszcze jedno. Ta dziewczyna...

– Jaka dziewczyna?

– Arek mówi o niej Dyszka...

– Aaa... to wiem. Fajna licealistka, maturę będzie wiosną pisać. Wpadła mu w oko. Tylko chyba chwilowo bez szczególnej wzajemności.

– Będzie co z tego? – Łypnęła na mnie.

– Kto wie... Może będzie, może nie. Szanse są.

– No i dobrze, pora, żeby się wreszcie ustatkował. Wnuki też by mi się przydały. Mówił, że biedna jak mysz kościelna. Takie dziewczyny z prowincji są czasem jak zwinięta sprężyna. Wystarczy dać szansę. Ja wszystko, co mam, osiągnęłam, bo pewnego dnia zamiast do szkoły poszłam handlować na bazarze. Aczkolwiek cenię ludzi wykształconych i żałuję, że mój syn ten swój dyplom kupił przez net. Wracając zaś do meritumu. W młodych i biednych czasem drzemie ogromna, skumulowana latami energia, żeby zapierniczać i zmienić swój los. A czasem nie. – Spojrzała na mnie pytająco.

– Myślę, że drzemie. Tylko czy Sztokholm można nazwać prowincją? – zamysliłem się.

– Byłam raz. – Machnęła lekceważąco ręką. – Miasto jak każde inne. Po tej maturze dałabym ją jako ekspedientkę na sklep. Ogarnie handel butami?

– Myślę, że bez problemu.

Pogadaliśmy chwilę i zebrała się do wyjścia. Narwana baba z manierami bazarowej przekupy, ale lubiłem ją. Serce też miała po właściwej stronie. Arek czekał na matkę w bramie. Miał minę zbitego psa.

– Powiedziały, że już były – westchnął.

– Wymyśl coś kolejnego – doradziłem.

Poszli.

– „Do meritumu” – mruknąłem pod nosem, zamykając drzwi.

*

Wujaszek Arkowej mamy nie był szczególnie stary. Ot, emeryt jak wielu innych. Przyjął mnie, siedząc na fotelu. Nogi miał nadal zagipsowane. Wyłuszczyłem powód wizyty, zresztą matka Arka zapowiedziała mnie wcześniej.

– Młody człowieku... – Otaksował mnie wzrokiem. – To, co powiem, może wywołać u ciebie co najwyżej salwę śmiechu.

– Nie będę się śmiał – obiecałem.

– Przy mnie pewnie nie, na korytarzu dopiero... Jesteś gotów posłuchać czegoś, co będzie brzmiało jak brednie szaleńca?

– Kilka razy na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat zetknąłem się z dziwnymi manifestacjami. Jestem skłonny uwierzyć w bardzo wiele.

– To mieszkanie od początku mi się nie widziało – przyznał. – Niebrzydkie, w sam raz, rzekłbym, dla mnie. I w punkcie dobrym. Ale coś mnie ostrzegало,

odpychało. Podobało mi się i zarazem coś mi w nim nie pasowało. Obiektywnie patrząc, nieźle, słoneczne, zieleń za oknem, łazienka niedawno zrobiona i kuchnia z katalogu. A jednak, że się tak wyrażę, nie leżało mi. Tylko nie bardzo miałem wybór. Pewnie wiesz, chłopcze, jak teraz zwariowały ceny, za byle norę żądają krocica. A to było najtańsze z tych, które oglądałem.

– Kupił pan, wprowadził się i co było dalej?

– Najpierw to mnie mężczyźy złe sny. Uciekałem, pojawiali się zmarli krewni, nic nie mówili, tylko pokazywali coś palcami. Aż wreszcie prawie w biały dzień jakiś diabeł mi wlaź do pokoju. Albo raczej pojawił się w pokoju.

– Diabeł? – powtórzyłem.

– Ja wiem, to nie są czasy na wiarę w diabła.

– Miał rogi, kopyta, ogon, cuchnął siarką i tak dalej? Czy może wyglądał jakoś inaczej? – zapytałem konkretnie.

– Ha! – mruknął staruszek i łypnął na mnie. – No właśnie w tym sęk, że nie przypominał obrazków w książkach. Był straszny, jak z maligny sennej. Ale wyglądał bardziej jak pajak lub ośmiornica może. Głowa trochę jak ludzka, ale bez rogów. Wykrzywiona paskudnym grymasem. Bardziej poczułem, niż zobaczyłem bijące od niego zło. Czyste zło... Uśmiechał się, tak jakoś krzywo... Szydęrczo. Wyciągnął do mnie te łapy, a może i macki... Pomyślałem, że przyszedł po moją duszę. I naraz jakby runęła na mnie czarna fala. Bezdenna rozpacz, a po chwili uderzenie nienawiści, gorące, jakby drzwiczki pieca otworzyć. Ocknąłem się jakoś i rzuciłem do ucieczki. W okno. Zapomniałem, że to nie jest moja chata, a trzecie piętro w starym budownictwie to jednak konkret...



– Rozumiem.
– Pan się nie dziwi?
– Czarna psychoza. Raz w życiu przeżyłem coś podobnego. Każda zła myśl krzyczała mi prosto do ucha... – przypominałem sobie sezam Czerwia.
– Zła myśl – potwierdził emeryt. – Krzyczała... A żebyś pan wiedział! Dokładnie tak było! To odszukało w mojej głowie najparszywsze wspomnienia...
– Nie musi pan mówić.
– Powiem, co mi tam, dawne dzieje. A panu może się przyda do rozwikłania tej zagadki. Była taka sprawa sześćdziesiąt niemal lat temu... Młody człowiek był, głupi, zakochany. Kumpel odbił mi dziewczynę. Wpadłem w rozpacz. Raz, że dziewczyna, dwa, że najlepszy przyjaciel takie świństwo wyciął. Powiesiłem się w kotłowni w szkole, na szczęście woźny po coś wszedł, przyskoczył i w ostatniej chwili mnie odciął... – westchnął. – Gdy ten stwór po mnie sięgał, wszystko wróciło, wszystkie najgorsze wspomnienia, w jednej chwili. Ten kumpel... Pracował w banku, a teraz mieszka gdzieś w Krakowie. Poczulem, że muszę go wysledzić i przynajmniej skuć ryja, z zemsty za tamto. Ale... – Uniósł dłoń. – Tak mi się wydaje, że to nie były moje prawdziwe myśli. To ta istota mi je suflowała. I że jakbym poszedł, toby się na mordobicu nie skończyło. Zabiłbym... Tak mi się wydaje. Taką nienawiść poczułem. Była jakby moja i zarazem nie moja. Przemóżna chęć rozwalenia mu nosa... I w tej chęci jakby oczekiwanie pełne ekscytacji.
– Rozumiem – powiedziałem. – Może to było echo myśli i pragnień tej istoty...
– Myśli pan, że to mogła być próba jakiegoś rodzaju opętania?
– Na pewno nie można tego wykluczyć.
– Czyli pan mi wierzy? – Łypnął podejrzliwie.
– Widziałem w życiu niejedno, słyszałem też historie, które brzmiały zupełnie nieprawdopodobnie, ale okazywały się prawdziwe lub chociaż częściowo prawdziwe – wyjaśniłem.

*

Wyruszyliśmy przed szóstą rano. Pogoda była niemal idealna. Temperatura utrzymywała się w okolicach zera, szosa była sucha... W Krakowie byliśmy przed dziesiątą. Wjechałem w jedną z uliczek kawałek za budynkiem Radia Kraków. Zaparkowałem. Kamienica jak kamienica. Brzydka, zaniedbana... Paskudna elewacja wymagająca pilnie odmalowania. Na parterze zamknięty na głucho sklepik. Weszliśmy w bramę, a potem po schodach wspięliśmy się na trzecie piętro.

– Budynek oddano do użytku jesienią trzydziestego szóstego – powiedziałem. – Wtedy też mieszkanie zakupiono. Było własnością Marty Węgrzynówny, ale to nie ona podpisała się na akcie notarialnym. Jest dopisek, że w imieniu właścicielki transakcji dokonała jej teściowa Zofia Lisowska. Wpis kolejny informuje, że Marta objęła je na własność dopiero w październiku trzydziestego dziewiątego. Ale już w styczniu czterdziestego wyrzucono ją, miała ogromne, wieloletnie zaległości w czynszu. Mieszkanie przejął Niemiec... Ten, który się potem zastrzelił – zreferowałem dane znalezione w zbiorach hipoteki.

Na trzecim piętrze było tylko troje drzwi prowadzących do mieszkań. Te na wprost schodów miały ozdobny portal i ogólnie wyglądały znacznie okazalej niż te po

prawej i po lewej.

– Węgrzynówna? Nic mi to nie mówi... – zasępił się Arek.

– A mnie coś kołata – powiedziałem. – Gdzieś już słyszałem albo czytałem to nazwisko...

– Wieloletnie zaległości w czynszu? Teściowa kupiła synowej mieszkanie, ale ta gdzieś wyjechała i nie płaciła? A syn gdzie się podział? Też nie płacił? Dziwne...

Wyjął telefon, zalogował się do netu i stuknął przez chwilę w klawiaturę.

– Nie ma tu żadnej Marty Węgrzynówny ani Marty Węgrzyn, bo i ten wariant sprawdziłem – zameldował. – A teściowa jak się nazywała?

– Zofia Lisowska, tak odnotowano – odparłem. – Sam podpis był nieczytelny... Niestety, nie zachował się chyba pełny akt notarialny, tylko jakiś wyciąg skrócony.

– Zofia Lisowska też nie występuje w necie – oznajmił. – Swoją drogą, synowa miała inaczej na nazwisko. Ciekawe dlaczego...

– Może teściowa ponownie wyszła za mąż? Kto wie... Ale trzeba zwracać uwagę na każdy niecodzienny element. Kto wie, być może doprowadzi nas do rozwikłania zagadki. O ile jest w tym jakaś zagadka warta rozwikłania.

Pokonałem wreszcie zamek. Weszliśmy. Na wprost mieliśmy pokój, wąski, ale długi. Po lewej znajdowała się łazienka i przejście do kuchni.

– Ale tramwaj – podsumował Arek.

– To był jeden spory pokój. Miał pierwotnie dwa duże okna. Wszystko zrobiono od nowa. Postawiono ścianę, dzieląc go na pół, z tej połówki wykrojono kuchnię i łazienkę. Rurę z gazem poprowadzono na wariata pod sufitem, a rury wodociągowe i kanalizacyjne przez podłogę.

– No, mogło tak być. – Chłopak zmarszczył brwi. – Po wojnie dzielono mieszkania, łączono, różnie bywało. Sądziś, że za którąś ścianą jest zamurowany pokój, a w nim na przykład trupy Żydów, którzy ukrywali się tu podczas okupacji?

– Ciekawy pomysł – przyznałem. – Ale nie wydaje mi się... Natomiast zamurowana spizarka koło dawnej kuchni to już w jakiś tam sposób prawdopodobne...

Rozejrzałem się po wnętrzu. Wujaszek chłopaka wstawił sobie tapczan, stolik, dwa krzesła i regał na książki. Telewizora chyba do szczęścia nie potrzebował. Z dawnego wyposażenia została tylko wielka dwudrzwiowa szafa.

Przymknąłem oczy, próbując odtworzyć pierwotny plan mieszkania. Wyrząłem na korytarz. Ładne, trochę jakby secesyjne drzwi...

– Tu było jedno duże i ładne mieszkanie zajmujące całe piętro. To jest pierwotne wejście do niego. Obcięli je po lewej i po prawej. Podzielili na trzy – mruknąłem. – Pytanie tylko, po wojnie czy przed... Wydaje mi się, że przed...

– I to też ma znaczenie? – zapytał Arek, jakby chciał się upewnić.

– Być może. Choć raczej nie ma w tym żadnej zagadki. Postawili kamienicę. Mieszkania chcieli wynająć albo sprzedać. Okazało się, że na duże nie ma chwilowo popytu. To zakombinowali.

Wcisnąłem ozdobny mosiężny przycisk dzwonka, ale sąsiadów najwyraźniej nie było w domu. Szkoda...

– Mieszkanie podzielono, zamurowując drzwi pomiędzy pokojami. I my te drzwi zaraz znajdziemy. – Zatarłem ręce.

– Po co?

– Jestem miłośnikiem starych futryn – zażartowałem.

Wróciłem do kawalerki. Popatrzyłem na szafę, potem na parkiet wokół jej cokołu. Sądząc po zaskorupiałych śladach pasty, nikt nie przesunął mebla od wielu lat.

– Pomóż mi odsunąć tego grata – poleciłem.

Szafa, sądząc po okleinie w czeczotkę, pochodziła z połowy lat trzydziestych. Solidne sosnowe dechy, cokół... Ruszenie jej z miejsca wymagało nie lada siły. Oderwaliśmy ją od podłogi, podłożyliśmy jakieś szmaty, by nie porysować parkietu, i wreszcie z trudem zapchaliśmy w kąt.

Na ścianie pozostał jaśniejszy prostokąt. Najwyraźniej przez ostatnie dekady ludziom odnawiającym mieszkanie nie chcieli się ruszać mebla i obmalowywali tylko ścianę wokoło. Popukałem ją kłykciami palców. Odpowiedział mi głuchy odgłos. Skrobnąłem kozikiem. Pod warstwą starej farby emulsyjnej pojawiła się tapeta, a pod nią dykta... Postukałem mocniej, aż farba popękała na krawędziach. Podważyłem z boku nożem.

– A tam sypialnia i sąsiad z kochanką... – zażartowałem, prując stare warstwy malarskie.

– No to będzie skandal...

Dyktę przymocowano do tynku, nie żałując kleju kazeinowego, a dodatkowo przybito kilkudziesięcioma gwoździkami. Nie było łatwo ją oderwać. Wreszcie odsłoniła się płaska wnęka obramowana dawną futryną. Od strony sąsiadów przejście zamurovano. Na progu stała stara walizka obciążnięta zniszczoną skórą.

– Co to? – zdumiał się Arek.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy klucz do naszej zagadki – mruknąłem.

Pochyliłem się, omiotłem z kurzu małą mosiężną blaszkę przybitą koło zamka. Tak jak przypuszczałem, wybito na niej nazwisko właściciela. Wciągnąłem głęboko powietrze, a potem wypuściłem.

– A niech mnie! – szepnąłem.

Arek podszedł i popatrzył na walizkę.

– No dobra – westchnął. – Nawet nie otworzyłeś, a już wiesz, o co biega. Ale ja nic nie kumam. Oświecisz mnie?

– Czy kojarzysz nazwisko Malisz?

– Raczej nie. – Zmarszczył brwi. – Zaraz, zaraz, coś mi świta. Był ktoś taki. Głośna sprawa sądowna przed drugą wojną jeszcze. Krwawy napad na listonosza w Krakowie? Strzelanina jakaś... Znaleźliśmy jego łupy?

– Przed kilku laty dostałem zlecenie. Pewien człowiek chciał zrobić wystawę o początkach fotografii portretowej w Galicji. Nie udało się wtedy... Przy okazji jednak poznałem dzieje Jana Malisza i jego pasierba. To bardzo tragiczna historia. Jan Malisz junior właściwie nazywał się Janusz, ale używał imienia swojego ojczyma. Młody człowiek, w chwili śmierci miał niespełna trzydzieści lat. Fotograf i malarz. Amator, ale sądząc po zachowanych reprodukcjach jego dzieł, posiadał spory talent. W każdym razie artysta poznał dziewczynę, zakochali się, pobrali, jednak kompletnie nie mieli z czego żyć. To było apogeum wielkiego kryzysu przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. Bezrobocie w Polsce sięgało niemal czterdziestu procent. Handel z ZSRR nie był nawet cieniem czasów carskich, straciliśmy ogromny rynek wschodni. Niemcy prowadzili z nami regularną wojnę celną. Gospodarka się dusiła, a nędza była powszechna. Dopiero kilka lat później wielkie inwestycje rządowe, w tym budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, pozwoliły trochę rozruszać ekonomię kraju. Młodzi małżonkowie w przypływie desperacji wpadli na wyjątkowo głupi pomysł. Postanowili, że napadną na listonosza roznoszącego przekazy, obezwładnią go i obrabują. Co symptomatyczne, z ich zeznań wynikało, że zrabowane pieniądze chcieli przeznaczyć na łapówkę, żeby zdobyć jakąś posesję.

– I jak znam życie, w trakcie realizacji wszystko się pokiełbało, a wspaniały plan wziął w łeb? – dokończył Arek.

– Ano niestety. Maliszowie wymyślili, że używając fałszywego nazwiska, wynajmą pokój, tam obezwładnią listonosza, ogłuszą, zwiążą i ulotnią się z łupem... Ale wynikła przeszkoda. Płatne miało być z góry. Właściciele mieszkania, niejacy Suskindowie, nie chcieli ich wpuścić do pokoju, dopóki nie zobaczą pieniędzy za pierwszy miesiąc wynajmu. Kłócili się w kuchni. Na to wszedł listonosz. Malisz spanikował i zaczął strzelać. Zabił listonosza, zastrzelił właściciela mieszkania, ciężko postrzelił jego córkę. Ranną gospodynię udusili wraz z żoną poduszką. Łup okazał się konkretny, w torbie zamordowanego było kilkanaście tysięcy złotych. Maliszowie, zapewne sami zszokowani tym, co się stało, podjęli próbę ucieczki z Krakowa. Gdyby mieli paszporty, może zdołaliby drapnąć za granicę, ale chyba nie byli przygotowani na taki rozwój wydarzeń. Co gorsza, zostawili ślady. Malisz podczas ucieczki porzucił płaszcz. W zwłokach zostały kule, które od razu zwróciły uwagę śledczych. Chłopak miał nietypowy rewolwer o dużym kalibrze, który w dodatku kilka razy zastawiał w lombardzie. Krakowska policja błyskawicznie ustaliła, kto zabił doręczyciela. Małżonkowie zostali złapani. Sądził ich sąd doraźny, od jego wyroków nie przysługiwała apelacja. Zachowały się fragmenty zeznań Malisza. Jeśli możemy im wierzyć, w trakcie zajścia miał jakieś halucynacje. Był doskonałym strzelcem, ale ofiary zginęły od strzałów oddawanych zupełnie chaotycznie. Nie wiadomo nawet, dlaczego otworzył ogień, zamiast sterroryzować ofiary bronią i spokojnie obrabować. Dziś zapewne sprawcę uznano by za niepoczytalnego, ale w tej sprawie nie bawiono się w takie niuanse. Sąd wydał podwójny wyrok śmierci, prezydent skorzystał z prawa łaski tylko wobec kobiety. Jana Malisza niebawem powieszono, jego żona poszła siedzieć na dożywocie. Nabawiła się w więzieniu gruźlicy, były to, niestety, czasy przed antybiotykami. Z tego, co pamiętam, hitlerowcy zlitowali się i wypuścili ją na wolność. Zmarła niedługo po wojnie. Postrzelona córka właścicieli mieszkania została kaleką. Nie wiem, co się z nią stało, ale raczej nic dobrego. Wybuchła przecież wojna. Żydówka, w dodatku niezdolna do pracy, pod hitlerowską okupacją raczej nie miała szans przetrwać. Dodajmy, że listonosz miał żonę i osierocił bodaj trójkę małych dzieci.

– Jedna głupia decyzja przekreśliła życie całego szeregu osób – westchnął Arek.

– To, co w tej sprawie cholernie smutne, to fakt, że temu młodemu człowiekowi na zakręcie życia nikt nie pomógł. Jego przybrany ojciec umarł na gruźlicę zaledwie pięć lat wcześniej. Gdy się poczyta nekrologi ufundowane przez współpracowników, był powszechnie lubianym i szanowanym fachowcem, jednym z nestorów krakowskiej fotografii portretowej. I niestety, liczne grono zasmucone odejściem serdecznego przyjaciela nie zrobiło kompletnie nic, żeby wyciągnąć rękę do jego syna...

– Słuchając takich historii, uświadamiam sobie, że po prostu mamy w życiu trochę szczęścia – powiedział Arek w zadumie. – Jesteśmy zdrowi, inteligentni i nie dostaliśmy na starcie kopa. Mamy rodziny, które w razie czego zapewnią nam przetrwanie, wyżywią, dadzą dach nad głową, pomogą stanąć na nogi. Oni nie mieli tego komfortu, a w dorosłość weszli w chwili, gdy kraj pogrążony był w przerażającym kryzysie.

– Jakby tego było mało, w jednym z artykułów trafiłem na informację, że żona Malisza była od wczesnej młodości, żeby nie powiedzieć od dziecka, stręczona przez rodzinę jakimś pedofilem. Fotograf, gdy ją poznał, chciał przede wszystkim wyrwać ją z domu rodzinnego. Jej charakterystyka sporządzona na potrzeby procesu mówiła, że

inteligencją znacznie przewyższała otoczenie. Była mądrzejsza, niż mogłoby na to wskazywać jej pochodzenie i wykształcenie.

– Bystra dziewczyna, która nie była w stanie zdobyć żadnej pracy.

– W dodatku uznana przez sąd za zaniedbaną moralnie, choć miała na tyle godności, że mimo tragicznej sytuacji nie prostytuowała się. Jan Malisz to też trochę dziwna postać. Jak wspomniałem, nosił rewolwer, potężną armatę o dużym kalibrze. Umiał doskonale strzelać. Ale myślę, że o co innego tu chodziło. Facet był nikim i czuł na każdym kroku, że jest nikim. Broń miała dodawać mu poczucia wartości, pewności siebie... Widać malowanie obrazów nie wystarczało. Może gdyby zdołał choć kilka sprzedać... – zadumałem się.

– Skąd ta walizka w tym mieszkaniu?

– Nie wiem. Ale to może być w jakiś sposób ważne. Sprawdzimy, kim byli właściciele i czy mieli jakieś powiązania. Hipoteka, akta urzędów stanu cywilnego... Każdy człowiek zostawia po sobie jakiś ślad w papierach.

– To jak? Otwieramy? – Arek dotknął palcami walizki.

– A masz klucze?

– Eee... A nie da się bez?

– Widziałem raz podobną. Jeśli się nie mylę, to jest walizka kurierów pocztowych c.k. Austrii. Zwróć uwagę, jak solidnie to jest wykonane. Drewniana rama, mocna. Na to stalowa blacha. Kryte zawiasy. Wszystko okute i nitowane po obwodzie. Całość obciążnięto skórą tylko dla niepoznaki, żeby udawało zwykłą walizę. Dziurka od klucza nie jest przy zatrzasku, ale umieszczono ją pośrodku, pod rączką. Zakładam, że to zamek centralny, a wieko trzymają minimum cztery małe rygle. W dodatku to nie jest taki zwykły zameczek jak przy byle neseserze. To bardziej skomplikowana konstrukcja. Rzecz jasna, mogliśmy wyciąć bok, przepiłować blachę szlifierką kątową i dobrać się do zawartości, ale...

– ...szkoda niszczyć zabytkową walizę – dokończył za mnie Arek. – Ślusarz? I to chyba taki lepszy. Policyjni technicy?

– Wolałbym nikogo nie wtajemniczać – stwierdziłem. – Spróbuję się włamać, ale potrzebuję narzędzi. Zapiszę ci na kartce, czego potrzeba. Przejdź się, poszukaj sklepów z artykułami metalowymi i wyposażeniem gabinetów dentystycznych. Ja w tym czasie spróbuję przewąchać coś w archiwach.

– Sure!

– Spotkajmy się tu ponownie, powiedzmy, o szesnastej.

*

Arek dotarł pierwszy. Gdy przyszedłem, siedział na schodach i czytał.

– Zobacz, co dopadłem w antykwariacie – pochwalił się. – „Życie na Missisipi” Marka Twaina.

– Znam. Fajna rzecz i widzę, stare wydanie. Gratuluję łupu. A ja zidentyfikowałem, kim była Zofia Lisowska – też się pochwaliłem.

– Jakim cudem?

– Akta urzędów stanu cywilnego. Nie było łatwo, bo to drugie z trzech nazwisk, których używała.

– Kim zatem była?

– To Zofia Malisz, wdowa po fotografie, a matka Jana Malisza juniora. Kobieta żyła jeszcze kilka lat po procesie. Ale chyba obawiała się używać tak skompromitowanego nazwiska, więc wróciła do wcześniejszego. I to nie do panińskiego, ale do tego, które nosiła po poprzednim mężu.

– Sprytne...

– Miała mały domek na Bronowicach. Zdołała go korzystnie sprzedać pod budowę kamienicy.

– Hmm... – Chłopak zadumał się. – Czemu nie wzięła w rozliczeniu mieszkania, tylko kupiła gdzie indziej?

– Pomyśl. Przecież tam wszyscy sąsiedzi ją znali. Po tak głośnym procesie matka mordercy miała mocno nadszarpniętą opinię. A w tej dzielnicy, zwłaszcza pod innym nazwiskiem, mogła, że się tak wyrażę, zacząć z czystą kartą.

– Czyli Maria Węgrzynówna to...

– Jej synowa, Maria Maliszowa, która też wróciła do wcześniej używanego nazwiska – dokończyłem. – Zastanawiam się, czemu mieszkanie było kupione na nią. Widocznie teściowa liczyła, że dziewczyna, skazana wprawdzie na dożywocie, doczeka się amnestii, może ułaskawienia i kiedyś wyjdzie z więzienia.

– Czekala, czekała, ale nie doczekała, bo umarła? Potem nikt nie płacił czynszu przez kilka lat. Powstała ogromna zaległość... Nie do spłacenia w warunkach okupacyjnej nędzy – zamyślił się Arek. – Ale wdowa po Maliszu juniorze objęła mieszkanie, nie dobrała się do skrytki. Dlaczego? Nie wiedziała o niej?

– Może teściowa nie zdążyła jej powiedzieć – rozważałem. – A może kobieta uznała, że w trudny wojenny czas lepiej, żeby walizka z zawartością pozostała w pewnej dobrze przygotowanej kryjówce. Albo nie mogła sama przesunąć szafy, a nie chciała nikogo wtajemniczać? A jak ją wyrzucili, mogła po prostu nie zdążyć. W czasie okupacji nie patyczkowali się, kwadrans na spakowanie i won.

– Hmm... Słyszałem, że nie jest dobrze mieszkać w miejscu, gdzie wydarzyły się zbrodnie. Ale ta tragedia rozegrała się zupełnie gdzie indziej, i to zanim w ogóle wybudowano tę kamienicę. Jeśli to mieszkanie jest w jakiś sposób przeklęte...

– To klątwa, czy co to w ogóle jest, wiąże się zapewne z zawartością tej walizki.

– I co teraz? Otwieramy? – Arek spojrział z obawą na przedmiot.

– Chyba musimy. Nie mam na to szczególnej ochoty... Obawiam się, że to klucz do kilku różnych zagadek. Może nawet do tajemnicy krwawego obłędu fotografa. Daj narzędzia.

Położyłem walizkę na stole, zapuściłem w dziurkę zagłębnik dentystyczny. Próbowałem, macając, rozszyfrować konstrukcję zamka. Pierścienie... Arek milczał, nie chciał mi przeszkadzać. Przygotowałem blaszkę, ugniotłem w palcach kawałek świeczki.

– Tak zwana metoda na pasówkę – wyjaśniłem. – We współczesnych zamkach bezużyteczna, ale do tak starego jak znalazł. Pokrywam blachę woskiem, wkładam do dziurki i liczę, że odcisnie się dość szczegółów budowy, żeby dało się dorobić wytrych.

– Znasz się na wszystkim. – Kiwnął z uznaniem głową.

– Chodziłem do szkoły na Szmulkach. Tam takie umiejętności albo ma się zapisane w genach, albo łapie się z powietrza przez błony śluzowe.

Przez następną godzinę szlifowałem pilnikami kolejne blaszki, usiłując dorobić wytrych. Świeciłem sobie do wnętrza mechanizmu, macałem zagłębnikami.

– Osem pierścieni różnej grubości – wyjaśniłem Arkowi. – Myślałem, że sześć, ale dwa są wyjątkowo cienkie. Nawet nie wiem, czy to fabrycznie tak było, czy ktoś

sobie dodatkowo podłubał, żeby skomplikować zadanie potencjalnemu złodziejowi.

– Dla mnie to nielogiczne – mruknął. – Przecież złodziej mógł ukraść całą walizę, a potem na melinie spokojnie użyć siekiery. Chyba że to przeciw nieuczciwej służbie czy współpracownikom.

Kolejny, dziwny wytrych nieoczekiwanie dał się przekręcić o ćwierć obrotu. Zatrzaski zapieć pozostawały jednak nieruchome. Pociągnąłem kluczyk lekko do siebie. Ustąpił. Teraz pokręciłem w drugą stronę. Coś szcęknęło. Wieko uniosło się o kilka milimetrów. Wystarczyło pociągnąć.

– A jeśli to bomba? – zaniepokoił się nagle chłopak.

– Kto i przeciw komu miały ją podłożyć?

– Teściowa synowej? Przecież nie wiemy, w jakich były stosunkach.

– Maliszowa kupiła jej to mieszkanie. Chyba ją lubiła, no nie?

– Albo nienawidziła za zmarnowanie synowi życia i to element szatańskiego planu odwetu – upierał się Arek. – Wiedziała, że jest stara i długo już nie pociągnie, może zastawiła pułapkę, która miała zadziałać nawet po wielu latach? Zresztą może jak kupowała mieszkanie, jeszcze się lubiły, ale potem staruszka sfiksowała...

– Babcia podkładała bombę? Za dużo się tanich filmów naoglądałeś. Ale coś z racji możesz mieć. Dlatego podniosę wieko żyłką. Jeśli obawiasz się wybuchu, poczekaj na korytarzu.

– Zostanę.

Wyjąłem rewolwer, otworzyłem okno, broń położyłem na parapecie.

– Stań tu obok. W razie czego łap spluwę i wal – poleciłem. – Jeśli ze środka coś wyskoczy, pewnie skupi uwagę na mnie.

– Czy to rozsądne? – zapytał chłopak. – W tej tragicznej historii raz już była broń. Też rewolwer, nawiasem mówiąc. I skończyło się na trzech trupach.

– Wiem. Ale cholera wie co może z tego wyleźć... Ja otworzę, ty strzelaj, jakby co. Jakby mnie opętało, wal mi w nogi i uciekaj. To coś może być bardzo silne i bardzo szybkie. W przypadku twojego wuja nie trzeba było nawet otwierać walizki...

– Mówisz poważnie? Z tym strzelaniem do ciebie?

– Tak. A jakby było źle, jakbyś poczuł, że cię bierze, wyrzuć broń oknem...

Nie wiedziałem, czy zawiasy nie zardzewiały przez te wszystkie lata, ale o dziwo, działały. Zamotałem grubą wędkarską żyłką, przerzuciłem ją przez karnisz. Wystarczyło pociągnąć.

Przeżegnałem się i uniosłem wieko. Nic nie wyskoczyło, nic się nie poruszyło. Wiatr lekko wydymał starą firankę. Arek, nieco spanikowany, capnął za spluwę i trzymał walizkę na muszce. Wewnątrz leżało kilka prostokątnych pakunków owiniętych w stare, przedwojenne gazety i przewiązanych konopnym sznurkiem. Pomiędzy nimi wypatrzyłem grubą szarą kopertę. I drugą, mniejszą. Oraz trzecią, zwyczajną, ofrankowaną starymi szwedzkimi znaczkami.

– Obrazy – mruknąłem. – To są obrazy Jana Malisza juniora.

Odpakowywałem je po kolei. Namalowano je na dykcie. Było ich dziesięć. Mniejsze formatem zbliżone do kartki z bloku, większe coś jak nasze A3. Widoczki z Krakowa, budowle, dorożki, dorożkarskie konie.

– Dziwaczna kolorystyka – stwierdził Arek. – Jaskrawe takie, a sędzę, że za nowości mogły być jeszcze bardziej odstręczająco żarowiaste...

– Masz rację – przyznałem. – Dziwne. Może cierpiał na jakąś wadę wzroku i postrzegał barwy inaczej? Ale słyszałem też opinię, że podobnie malują schizofrenicy

i można nawet na tej podstawie postawić wstępną diagnozę, zanim pojawią się jakiegokolwiek inne objawy.

Dwa ostatnie malowidła były dziwaczne. Pierwsze przedstawiało uśmiechniętą szyderczo twarz diabła. Drugie wykrot wśród splątanych korzeni drzewa, zawieszony festonami pajęczyn. Na pierwszym planie, też opłątana przez pająki, leżała ludzka czaszka. Pośrodku wykrotu zalegała plama głębokiego cienia. W nim coś się czało, coś obserwowało widza. Choć oczy zaznaczono tylko dwoma pociągnięciami pędzla, wrażenie było dość upiorne.

– Te dwa bardzo mi się nie podobają – mruknąłem. – Kolory aż wałą po oczach i treść niepokojąca strasznie...

– Faktycznie paskudztwo. – Arek aż się wzdrygnął. – Myślisz, że te obrazy są w jakiś sposób przekłete?

– Naznaczone cierpieniem na pewno. Biedą, chorobą umysłową, samotnością. A może i czymś gorszym... Słyszałem różne niedobre rzeczy o podobnych artefaktach. Myślę, że nie byłoby głupio je spalić.

– Spalić? – zafrasował się.

– Niszczyć jest łatwo... – westchnąłem. – Kłopot w tym, że to w zasadzie jedyna pamiątka po tym nieszczęsnym człowieku. Jeśli ją unicestwimy, nie zostanie już nic. Kompletnie nic. W dodatku nie wiemy, czy to przyczyna, czy skutek.

– Nie bardzo rozumiem?

– Namalował, bo coś go opętało, albo coś go opętało, że to namalował...

– To ważne?

– Tak myślę – odparłem. – Być może Malisz namalował istoty, które widział w swoich wizjach, albo to namalowane przez niego obrazy stały się przyczyną manifestacji, o których wspominał twój wujek. Niewykluczone też, że przyczyny jeszcze nie odkryliśmy.

– Grzebiemy dalej? – Arek wskazał walizkę.

– Tak.

Koperta kryła kilkanaście odbitek fotograficznych formatu zbliżonego do pocztówki. Zdjęcia przedstawiały chyba norweskie krajobrazy. Nie były podpisane, ale na jednym rozpoznałem budynek dzielnicy hanzeatyckiej w Bergen, a na innym kościół słupowy z Gol w skansenie w Oslo. Obejrzałem kopertę. W jednym miejscu dostrzegłem zatarty częściowo napis „wybrane na wystawę”. W rogu wiecznym piórem naniesiono datę: 1924.

– Hmm – mruknąłem. – Ciekawe, czy jedno ma związek z drugim.

– Obrazy Krakowa malowane przez syna, zdjęcia z Norwegii zrobione być może przez ojca. List ze Szwecji... Nic z tego nie kapuję – wyznał Arek.

– Nie przejmuj się, ja też nie. – Rozłożyłem ręce.

– Ale coś ci tak tyci, tyci świta?

– Powiem tak: mam wrażenie, że te obrazy, koperta, zdjęcia tworzą jakąś logiczną całość. Że ukryto je razem w jakimś celu, z jakimś zamysłem... Sam nie wiem. To nie jest standardowy zestaw pamiątek po mężu i synu... Wystawa z roku tysięcy dziewięćset dwudziestego czwartego? Może to jest jakiś trop...

Ująłem dwa wycinki z gazet. Były na nich reprodukcje obrazów przedstawiających drzewo rosnące na pagórku. Podpis, niestety, odcięto. Odwróciłem na drugą stronę. Niemiecki...

– Cienki, dobry papier, technika poligraficzna z początków dwudziestego wieku lub nieznacznie starsza – mruknąłem. – To wycięto z jakichś niemieckich

czasopism poświęconych sztuce.

– Wygląda na to samo miejsce i to samo drzewo – zauważył. – Tylko w różnych porach roku i chyba malowali je różni ludzie.

– Tak.

Arek poskrobał się po ciemieniu. Ja przeglądałem obrazy Malisza juniora. Wreszcie pokręciłem głową.

– Zupełnie inny styl – powiedziałem w końcu. – Raczej na pewno nie był autorem żadnego z tych obrazów. Czemu tu trafiły?

– Poważnie sądzisz, że jak poskładamy wszystkie elementy układanki do kupy, dowiemy się, dlaczego mieszkanie jest przeklęte? – zapytał.

– Nie wiem. Niekoniecznie. Może to zupełnie inna zagadka. Może ten zbiór to jednak przypadek. Ale mam pewne przeczucie. Intuicję... No dobra. – Spojrzałem na okna. – Jest jeszcze wczesnie. Zdążymy trzy, cztery godziny pogrzebać w bibliotekach, a potem piwo. Prawdę mówiąc, wolałbym nie zostawać tu na noc w towarzystwie tych fantów. Twoja mama wspominała coś o zarezerwowanym hotelu? Sfotografujmy wszystko na wszelki wypadek, gdyby w środku nocy coś przyszło nam do głowy i zaszła konieczność sprawdzić. Pora na ostatni trop.

Wyjąłem z walizki list ofrankowany szwedzkimi znaczkami. Pieczętka z urzędu pocztowego w Falun. Kojarzyłem, że to na północ od Sztokholmu. Wyjąłem ze środka papier złożony na czworo. Gwizdnąłem cicho. Odwróciłem kopertę na drugą stronę.

– Coś ważnego. Od kogo ten list? – zaciekawiał się mój kumpel.

– Czy mówi ci coś nazwisko Carl Larsson?

– Czekał. – Zmarszczył brwi. – Ten słynny malarz, który malował głównie swój dom, żonę i dzieci? W takich ładnych, ciepłych barwach?

– Tak.

– To kojarzę. Matka miała kiedyś kalendarz z reprodukcjami i album jej kupiłem na imieniny. Ciekawy koleś, można powiedzieć, że wymyślił fejsa czy instagrama, i to przed internetem, ba, prawie przed elektrycznością!

– Że niby co?! – zdumiałem się.

– No, ta jego twórczość? To jak te fotki, którymi ludzie zaśmiecają net. Bo co jest na tych jego obrazach? „Obczajcie moją chawirę”, „To moje cool dzieciory”, „To mój pies”, „Krowa sąsiadów, ale wypasiona”, „A to nasza nowa wanna, lol”, „Żona półkę do kwiatków zrobiła”, „A to na śniadanie dziś jemy”... Tylko on z braku aparatu fotograficznego malował to ręcznie, a że nie było netu, spamował przez renomowane galerie sztuki.

Przez chwilę trawiłem jego wypowiedź, a potem kiwnąłem głową. Choć Arek często gadał jak idiota, w jego przemyśleniach czasem znajdowałem ciekawe skróty myślowe.

– Można to i tak zinterpretować – przyznałem. – Najciekawsze, że list Szweda zaadresowany jest do Jana Malisza, zakładam, że seniora. Charakter pisma na liście i kopercie jest ten sam. I adres zwrotny posiadłość Lilla Hyttnäs, Sundborn, gmina Falun. To jego adres.

– No bez jaj! To oni się znali?! – Arek wytrzeszczył oczy. – A treść?

– Przeczytamy jakoś – westchnąłem. – Albo poszukamy kogoś, kto nam przeczyta... A na razie w drogę.

– Na piwo?

– Na piwo. Ale najpierw do biblioteki.

Z pewną ulgą zamknąłem drzwi na klucz.

*

Godzinę później siedzieliśmy już w czytelni biblioteki Akademii Sztuk Pięknych. Bibliotekarz przytoczył na wózku stos zakurzonych woluminów oprawionych w stare płótno.

– Mamy tu dwadzieścia roczników czasopism z dwudziestego czwartego – powiedziałem. – Zaczniij od ilustrowanych i poświęconych sztuce. Jak to nie pomoże, bierzemy się za prasę codzienną Krakowa. Ja tymczasem pogrzebię w tym. – Wskazałem stosik albumów o sztuce Skandynawii. Przez kolejne dwie godziny towarzyszył nam tylko szelest przewracanych kartek.

– Znalazłem króciutką wzmiankę. – Głos Arka wyrwał mnie z zamyślenia. – „Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne zaprasza na wystawę »Światło północy«. Pokaz fotografii Jana Malisza z wyprawy odbytej do Norwegii” – przeczytał. – Syn też robił zdjęcia, ale zakładam, że chodzi o Malisza seniora? – Arek wolał się upewnić.

– Tak myślę.

– Po co człowiek z Krakowa pojechał do Norwegii? – Podrapał się w podbródek.

– Jako turysta?

– Tego nie wiemy... Ale z jakiegoś powodu ktoś uznał te zdjęcia za ważne i umieścił je w skrytce wraz z obrazami syna... Może wdowa, może synowa...

– A ty co znalazłeś?

Otworzyłem cztery albumy w założonych miejscach. Potem przywołałem na tablecie zdjęcia wycinków gazetowych z walizki.

– I co powiesz? – Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Cie choroba... To samo drzewo, tylko że w kolorze! – szepnęła.

– „Slindebirken”, czyli po naszemu „Brzoza z farmy Slinde”. Namalowało ją co najmniej czterech malarzy: Johannes Flintoe w tysiąc osiemset dwudziestym roku, Thomas Fearnley i Johan Christian Clausen Dahl uczynili to w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku, a Franz Wilhelm Schiertz w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim.

– Nic mi te nazwiska nie mówią – stwierdził Arek.

– Ja kojarzę tylko dwóch. W każdym razie ta konkretna brzoza była bardzo stara i niezwykle gruba. Uchodziła za prastare święte drzewo. Właściciele farmy co roku w Wigilię podlewali je piwem. Rosła na pagórku o nazwie Hydneshaugen, który uważano za kurhan z czasów wikingów.

– Hmm... No dobrze. Malisz popłynął do Norwegii, zrząbał ją i ściągnął kłatwę...

– Nie mógł jej zrząbać, bo drzewo przewróciło się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku. Ale był tam. Zobacz tę fotografię... – Puknąłem palcem reprodukcję w znalezionym przez kumpla artykule.

– To samo miejsce, ale już bez drzewa!

– Ano właśnie. O co mu chodziło? Co takiego zobaczył w tych obrazach, że ruszył tym tropem w daleką i kosztowną podróż? Bez powodu tego nie zrobił.

Milczeliśmy, oglądając reprodukcje. Ani na pniu drzewa, ani na leżących opodal głazach nie było żadnych tajemnych znaków, nic, co mogłoby wskazywać, że

z miejscem tym wiąże się jakaś zagadka.

– Szukamy czegoś jeszcze? – zagadnął wreszcie Arek.

– Skoro tu jesteśmy, siadaj do komputera i poszukaj czegoś o Carlu Larssonie i Janie Maliszu, zapewne nowsze artykuły są dostępne tylko w sieci uczelnianej – poleciłem. – Ja sprawdzę, czy malarze, którzy uwiecznili to drzewo na swoich obrazach, może się znali.

Wystarczyło dwadzieścia minut.

– Jan Malisz, mam na myśli ojca, korespondował z Carlem Larssonem jeszcze przed pierwszą wojną światową. Wysyłał do Sundborn albumy z reprodukcjami obrazów polskich malarzy, ale też przybliżał sylwetkę szwedzkiego przyjaciela na łamach polskiej prasy artystycznej. Szwed interesował się naszą sztuką, te książki do dziś stoją w jego bibliotece – Arek zreferował znalezione informacje.

– List z walizki to zapewne część tej korespondencji – uznałem. – Jest pisany po niemiecku. Spróbujemy przetłumaczyć.

– A ty co ustaliłeś?

– Niewiele, poza tym, że Thomas Fearnley i Johan Christian Dahl dobrze się znali. Nie natrafiłem na żadne wzmianki o ich kontaktach z pozostałymi dwoma malarzami, ale Johannes Flintoe i Dahl byli prekursorami norweskiego malarstwa pejzażowego. Jest wysoce prawdopodobne, że jakieś kontakty mieli...

– Czy Jan Malisz mógł poznać któregoś z nich?

– Nie wiem. Trzeba dokładnie sprawdzić, kiedy żyli, ale to raczej nieprawdopodobne. W każdym razie nad Sognefjorden przybył pięćdziesiąt lat po tym, jak z pagórka znikła brzoza. I siedemdziesiąt trzy lata po tym, jak namalowano ją po raz ostatni. A na razie czas związać manatki.

*

Nad Krakowem wstawał nowy dzień.

– Nigdy więcej piwa – burknął Arek, otwierając oczy. – Żeby zdrowy mężczyzna po czterech kufkach miał tak niemożliwego kaca?

– Yhym... – przyznałem mu rację. – Faktycznie ostatnio jakby spadła jakość. Trzeba pić kraftowe. Albo zacniemy sami robić.

– A ty wstałeś bladym świtem i pracujesz? – Łypnął okiem.

– Próbuję przeryć się przez ten list – wyjaśniłem. – Zwróciłem uwagę już wczoraj, że sądząc po przetarciach, był czytany wiele razy... Myślę, że dla Malisza była to cenna pamiątka. Od czasu do czasu wracał do niej i czytał sobie. Cieszył się... Zanalizowałem tekst linijka po linijce. Na szczęście po pierwsze Carl Larsson miał bardzo staranne, wręcz piękne pismo. Odczytanie nie sprawiło mi problemu. Po drugie niemiecki nie był jego ojczystym językiem ani nie był ojczystym językiem Jana Malisza. Uznałem zatem, że chyba nie muszę doszukiwać się tam skomplikowanych idiomów i tego typu pułapek.

– Zatem co tam jest napisane?

Drugi Przyjacielu – czytałem, jednocześnie tłumacząc na polski – zaskoczyłeś mnie swoimi pytaniami. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie byłem w tamtych stronach. Nazwisko malarza, o którego pytasz, oczywiście jest mi znane. Niestety, Thomas Fearnley zmarł wiele lat temu. Co do tego drugiego obrazu, faktycznie, to ta sama brzoza, moi

norwescy koledzy uwiecznili ją wielokrotnie. Niestety, Franz Wilhelm Schiertz też już nie żyje, sprawdziłem w leksykonie, że zmarł w 1887 r.

Przyznam, że swoimi teoriami wprowadziłeś mnie w głęboką konfuzję. Może faktycznie płótka te skrywają jakiś sekret. Pomyślałem – znamy się tyle lat, a nigdy jeszcze nie złożyliśmy sobie osobistych wizyt. Może latem przyjedziesz do Sztokholmu i razem wybierzemy się nad norweskie fiordy? Są połączenia z Gdańska, okręty wychodzą w morze raz w tygodniu. Jeśli to kłopot natury finansowej, pieniądze na bilet Ci wyślę.

Ciąg dalszy listu dotyczył już zupełnie innych spraw.

– Czyli spotkali się i pojechali? – zagadnął Arek.

– Niestety. Wiesz, jak to wyglądało w dziewiętnastym roku. Odbudowujące się państwo, skrajnie zagrożone przez bolszewików... Carl Larsson zmarł zaledwie kilka miesięcy po napisaniu tego listu. Planowana wspólna wyprawa nad Sognefjorden nie doszła do skutku.

– A te zdjęcia?

– Wystawa miała miejsce w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku. Zatem Jan Malisz senior pojechał do Norwegii, ale sam. Kilka lat później i cztery lata przed swoją śmiercią.

– Hm... wszystko to bardzo ciekawe, ale pytanie, czy wiąże się z naszą sprawą...

– Arek spojrział na mnie badawczo.

– Nie jestem pewien, ale trafiłem na jeszcze jedną poszlakę. Pamiętasz, że fotografowałem wczoraj te obrazy.

– Tak.

– Cyknałem je z przodu i z tyłu. Obejrzałem tyły w dużym powiększeniu. Pamiętasz ten z wykrotem? Z tyłu jest słabo widoczny napis ołówkiem „Demon Hydne”. A teraz porównaj obraz Malisza juniora z innymi obrazami brzozy ze Slinde.

Wyświetliłem powiększenie korzeni drzewa.

– Jasny gwint! To ten sam wykrot, podobny do tego obrazu z tysiąc osiemset pięćdziesiątego drugiego. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyliśmy?

– Bo skupialiśmy uwagę na konarach i krajobrazie – wyjaśniłem. – Pagórek, na którym rośla brzoza, zwano Hydneshaugen, czyli dosłownie „słup Hydnes”.

– „Demon z Hydne”... To by się zgadzało!

– Mam wrażenie, że Jan Malisz senior, obejrzawszy reprodukcje obrazów Norwegów, odkrył w nich jakiś sens. Rodzaj kodu. Ruszył tym tropem do Skandynawii. Zdjęcia porobił może po to, żeby mieć dokumentację, może dla własnej przyjemności, a może dlatego, że był fotografem i po prostu miał taką wewnętrzną potrzebę. Po powrocie urządził wystawę, ale była to rzecz wtórna w stosunku do prawdziwego celu – rozważałem. – Pewnie zarobił jakieś grosze na biletach, ale kosztów podróży na pewno to nie pokryło.

– Rozumiem. Brzozy już nie znalazł, ale pagórek uważany za kurhan nadal tam był. Czyli sądzisz, że te obrazy doprowadziły go do skrytki, w której było ukryte coś... coś ważnego, cennego i zarazem śmiertelnie niebezpiecznego? Coś, co obudziło, może przywołało jakiś rodzaj istoty demonicznej? Syn ją z jakiegoś powodu namalował, w zasadzie jej zarys. Te ślepie patrzące z nory...

– Tak. Zwróć teraz uwagę na jeden z detali obrazu Fearnleya. Ten kamień. – Puknąłem w ekran. – Nie ma go na pozostałych...

– Namalował kamień, który inni wycenzurowali?

– Albo kamień, którego nigdy tam nie było. Obraz to nie fotografia, trzeba brać poprawkę na fantazję artysty...

– Kamień, a pod nim... coś.

– Hmm... Może to nadinterpretacja, a może i coś jest na rzeczy – mruknąłem. – Jeśli tamtych czterech malarzy było strażnikami jakiejś tajemnicy, a Polak przybył i im „to” wygrzebał..

– To by musiało być coś naprawdę paskudnego! Fotograf umarł niebawem po powrocie. Potem jego syn wpakował się w tę obrzydliwą sprawę z mordem na listonoszu. Synowa zachorowała w więzieniu na śmiertelną wówczas gruźlicę. I jeszcze mieszkanie zabijało kolejnych lokatorów... Cholernie mi się ta sprawa nie podoba.

– Mnie też.

Chłopak stuknął przez chwilę w klawisze.

– Ten Thomas Fearnley... – zaczął.

– Tak?

– Też umarł młodo, przed czterdziestką. Nie piszą na co. Myślisz, że to też skutek tego odkrycia?

– Kto wie? Moim zdaniem domniemamy przedmiot sprowadzający kłopoty nadal jest w mieszkaniu. Może pod podłogą, może zamurowany w ścianie – stwierdziłem.

– Poszukamy?

– Tak. Mam w bagażniku odpowiedni sprzęt. A jak nic nie znajdziemy, trzeba zrobić remont z prawdziwego zdarzenia i wtedy powinniśmy trafić. A na zakończenie sprowadzimy księdza, żeby poświęcił cały lokal. A na razie przegryźmy coś i do roboty.

*

W mieszkaniu od wczoraj nie zmieniło się nic. Raz jeszcze przejrzałem zawartość walizki. Próbowałem poskładać sobie tę historię w głowie. Potem odpaliłem wykrywacz metali i bez większego przekonania zacząłem omiatać podłogę. Piszczały stalowe szyny, na których opierały się półukowe ceglane przesklepienia, ćwierkały gwoździe w deskach. Nic sensownego. Omiotłem wnękę, framugi okien i drzwi, parapety. Żelazo, żelazo, żelazo... miedziane przewody w ścianach... Nic podejrzanego.

Zegarek Arka zapikał. Chłopak usiadł w kącie i uruchomił laptop.

– Stówka znalazła nam artykuł o wykopaliskach na farmie Slinde! – odezwał się. – Zrobiła tłumaczenie...

– Przeczytaj i zreferuj – poprosiłem.

Jeden z parapetów wydał mi się podejrzanym. Musiał zostać kiedyś wymieniony. Opukałem go palcami, potem zajrzałem pod spód. Ale w szparze między murem a deską były tylko pajęczyny.

– W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku archeolodzy rozkopali ten kurhan – zaczął Arek. – Natrafili na pozostałości pochówku z czwartego wieku naszej ery. Pochówek był częściowo zniszczony wkopami rabunkowymi. W jednym znaleźli butelkę po niemieckim piwie Habersbusch i Schiele, a w niej zwiniętą kartkę papieru. Nie dołączyli jej odczytać, wilgoć zrobiła swoje. Ci archeolodzy się pomylili. Habersbusch to polskie piwo!

– Tak.

– Malisz?

– Myślę, że Malisz – stwierdziłem. – Przyjechał tropem obrazów. Wyrwał kamień. Wrył się w kurhan. Znalazł coś. Zostawił notatkę, nie wiemy, jaką i po co ani dla kogo. Użył flaszki, szkło w ziemi pozostaje szczelne przez tysiące lat. Tylko nie pomyślał, że gumowa uszczelka pod porcelanowym korkiem nie wytrzyma długo. Sparciała, do środka dostała się wilgoć i zniszczyła papier. Data ukrycia notatki też się zgadza.

– Skąd niby to wiesz? – Arek wytrzeszczył oczy.

– Na ich butelkach był tłoczony sfinks, nazwa browaru i nazwa miasta. Ale w połowie lat dwudziestych produkcja ruszyła pełną parą i czasami nie nadążali z zamawianiem partii w hutach. W tym okresie trafiły się butelki adaptowane, bez tłoczeń. Nazwa była tylko na porcelance. I oczywiście na etykietce. Tę ostatnią gleba w kurhanie w ciągu czterdziestu lat zjadła doszczętnie. Nazwę browaru odczytali z porcelanki, na butelce jej nie było. Dlatego nie wiedzieli, że to warszawska firma.

– Chylę czoła. Zastanawia mnie jedno. Włókł piwo z Polski przez pół świata, żeby je wypić nad fiordem?

– Myślę, że piwo wypił dużo wcześniej, ale dobra butelka ze szczelnym korkiem mogła mu się w podróży przydawać – stwierdziłem. – Na wodę, kawę, herbatę... Termosy już wprawdzie istniały...

– Ale butelek pet nie było – wszedł mi w słowo Arek. – Co dalej?

– Wykrywacz metali nic sensownego nam nie powiedział. Może gdybyśmy ściągnęli radiestetę... – zadumałem się. – Ale lepiej będzie zrobić remont totalny z kuciem tynków. I wtedy to znajdziemy. A przynajmniej mam taką nadzieję. A na razie pakujemy te fanty i wracamy do domu.

*

Pruśliśmy szosą na Warszawę. Arek grzebał w telefonie. Bolała mnie głowa, byłem wewnętrznie rozredgany. Paskudna sprawa. Nadgryziliśmy ją trochę, ale czułem, że do rozwikłania zagadki jest jeszcze daleko. Spróbowałem wyciszyć myśli, skupiłem się na prowadzeniu auta. Warunki na szosie były dobre, ale chwilami prószył drobny śnieżek.

– Wiesz, podziwiam go. Tego Malisza ojca – odezwał się mój kumpel. – Może się i wrył jak łbem w błoto, ale zobacz, co za facet. Przecież Norwegia w tamtych czasach leżała niemal na końcu świata! A on, siedząc w Krakowie, nie tylko trafił na trop zagadki, ale jeszcze ogarnął jej rozwiązanie. My odpalamy net, mamy reprodukcje setki obrazów w dobrej rozdzielczości, szukamy przedstawionych miejsc na fotografiach i filmach z tamtej okolicy, sprawdzamy na zdjęciach satelitarnych. Potem tanie linie lotnicze i fru... W kilka godzin jesteśmy nad fiordami! A on to wszystko zrobił, grzebiąc w bibliotekach i korespondując z kumpel, który też mieszkał setki kilometrów od tej farmy. To, co zrobił... to niesamowite!

– Masz rację. Nasi przodkowie umieli rzeczy, które nam się nie śniły. Może byli mądrzejsi. Może potrafili coś, o czym dziś zapomnieliśmy... Teraz powiedz coś wesołego, optymistycznego.

– Co na przykład?

– Nie wiem. Muszę oderwać myśli od sprawy Malisza.

– No dobra – zadumał się Arek. – Oglądaliśmy obrazy Johana Christiana Clausena Dahla. Ale był jeszcze jeden norweski malarz o tym nazwisku. Może wnuk

tamtego?

– Hans Dahl. Też norweski pejzażysta. Bardzo znany. Ale brzozy ze Slinde nie namalował. Co z nim?

– Zaciekawiał mnie. Przeglądałem tak sobie właśnie jego obrazy na komórcie i jedna rzecz mnie uderzyła. Bardzo często umieszczał motyw taki: dziewczyna z grabiami na ramieniu nad fiordem. Jest tego kilkadziesiąt sztuk. Myślę, że mógł to malować w swoich rodzinnych stronach. Pochodził z miejscowości Hardanger – paplał radośnie Arek.

– I co z tymi dziewczynami?

– Nie wiem. Zainspirowałem się poszukiwaniami Malisza. On potrafił, siedząc w Krakowie, rozwikłać sprawę brzozy na kurhanie. A my... Może nie jesteśmy tak mądrzy jak on, ale za to mamy Internet i możemy łatwo zgromadzić kilkaset reprodukcji w postaci cyfrowej. Możemy poznać obrazy lepiej niż ich autor, bo on namalował, sprzedał i zapomniał, a my w jednej chwili...

– Coś w tym jest – przyznałem.

– Gdyby tak, mówię czysto teoretycznie... spróbować zidentyfikować miejsca widoczne na obrazach z dziewczynami i nanieść na mapę? A potem pojechać tam, przejąć ten szlak do końca i poczęstować się skarbami?

– Skąd wiesz, że są tam jakieś skarby? – zirytowałem się.

– No bo tak skomplikowany szyfr musi czemuś służyć.

– O ile to jest szyfr... – mruknąłem.

– Pamiętasz, co ci mówiłem wtedy jesienią? – zapytał Arek.

– Eee... Bez przerwy coś nawijasz – westchnąłem. – Masz tendencję do męczących otoczenie słowotoków. O którą konkretnie wypowiedź ci chodzi?

– No, wtedy, zanim jeszcze zakumplowaliśmy się na fest ze Stówką i jej siostrą. Radziłem, żebyśmy zabrali je do Rawenny na wspólne podziwianie mozaik.

– Była taka rozmowa. – Kiwnąłem głową.

– A na dniach miałem pomysł, żeby poszukać jakiejś skandynawskiej zagadki.

– I trafiła nam się. Tylko paskudna jakaś, i dziewczyn bym w to nie wciągał.

– W tę z walizką Malisza rzeczywiście lepiej nie. Ale obrazy Hansa Dahla z grabiami... Zobacz, jak się wszystko świetnie układa. Jest zagadka, którą rozwiązać możemy tylko w Norwegii. Zabierzemy dziewczyny ze sobą. One znają kraj i język, więc poczują taki instykt, żeby się nami zaopiekować, pokazać i opowiedzieć...

– Norweski nie jest szczególnie podobny do szwedzkiego – zauważyłem. – I nie wiem, czy nasze znajome kiedykolwiek były w Norwegii.

– Oj tam, duperelki. Na pewno były, to sąsiedni kraj przecież!

– Ile razy byłeś na Białorusi albo na Ukrainie?

– No... Nie byłem.

– A na Litwie? Albo na Słowacji?

– Czepiasz się – uznał Arek. – To nie ma nic do mojego planu! W każdym razie ty złamiesz szyfr obrazów Dahla, ja ci będę pomagał, a one będą nas podziwiały przy pracy, zobaczą, że jesteśmy mądrzy i fajni...

– Yhym... Stówka ma robotę, jej siostra uczy się w liceum – przypomniałem mu. – Maturalna klasa. Mówi ci to coś?

– Że niby liceum? Byłem, nie podobało mi się. To taka rzeźnia i grób myśli ludzkiej. Żeby ratować resztki godności i ocalić mózg przed nieodwracalnymi uszkodzeniami, spierniczyłem z tej budy zaraz na początku drugiej klasy. A na

odchodnym przybiłem dyrektorowi na drzwiach gabinetu moje tezy o bezsensowności istnienia szkół.

– Całkiem jak Marcin Luter... – zakpiłem.

– Nie, bo on przybił dziewięćdziesiąt sześć, a ja wszystko, co mi leżało na sercu, zawarłem w pięciu. – Wypiął dumnie pierś. – W każdym razie moja noga więcej tam nie powstała. Umrę szczęśliwy, szanowany za moją wiedzę, i żadna matura nie będzie mi do tego potrzebna! Wracając zaś do obrazów dziewczyn z grabiami... To musi mieć jakiś sens!

Zamyśliłem się. Przypomniał mi się znaleziony przed laty naszyjnik z greckich monet. On także był rodzajem mapy. I nagle poczułem, jak budzi się we mnie zew przygody. Jechać do Norwegii! Rozwikłać zagadkę... O ile oczywiście jest w tym jakakolwiek zagadka.

– Sto kilometrów Sognefjordenu, a licząc jeszcze jego odgałęzienia, więcej... Mamy do przeszukania ogromny obszar. Pływałeś kiedyś dmuchanym kajakiem? – dopytałem.

– Nie, ale szybko się nauczę. Czyli lecimy do Norwegii! Zabierzemy dziewczyny, kajaki, namioty... Do tego ciepłe śpiwory, bo w maju nad fiordami może być bardzo zimno.

– W maju są matury.

– To w czerwcu!

– Miałem raczej na myśli, czy wiesz, co to znaczy wiosłować przez sto kilometrów.

– Nie, ale chętnie się dowiem.

– A jeśli nie ma w tym żadnej zagadki? Jeśli facet po prostu lubił malować dziewczęta z grabiami albo jeśli taki motyw dobrze się sprzedawał, więc trzaskał podobnych widoczków ile wlezie? Kossakowie malowali ułanów na koniach, bo na tym robili pieniądze, i nie ma w tym żadnej zagadki.

– W takim razie zrealizujemy plan B. Naściemniamy.

– Proszę? – Spojrzałem na niego spod oka.

– Będziemy udawali, że jest w tym jakiś sens, wyprowadzimy Stówkę i jej siostrę na odludzie. Znajdziemy miejsce namalowane na jednym z obrazów Hansa Dahla. Każemy, żeby o określonej godzinie stanęły z grabiami na ramionach, identycznie jak na malunku. Tam, gdzie padnie cień skrzyżowanych grabi, rozkopujemy ziemię, wyciągając zagrzebane wcześniej pudełko. Z pudełka wyjmemy pierścionki, padniemy przed dziewczynami na kolana i poprosimy o rękę. Znaczący o ręce. Ależ to będzie nieziemsko piękne, sprytne i romantyczne...

– Wspaniały, cwany plan – westchnąłem.

– No ba! Dobry kwadrans nad tym myślałem. Co może pójść nie tak? – fuknął.

– Na przykład tego dnia będzie zachmurzenie.

– Ty to zawsze znajdziesz jakieś problemy! Jesteś nudas, ponurak, malkontent i nie masz w sobie za grosz romantyzmu!

– Słuchaj się w życiu pesymistów, oni często mają rację – burknąłem.

– A nie moglibyśmy choć raz zrobić po mojemu?

– Hmm... Ewentualnie możemy to rozważyć. Kosza dostaniemy, to raczej nieuniknione, ale dostać kosza w pięknej scenerii norweskich fiordów to jednak ciut lepiej niż na podwórku mojej kamienicy. Wydaje mi się, że ten błyskotliwy plan wymaga jednak pewnego dopracowania.

– Już się biorę!

Westchnąłem z politowaniem, musiałem jednak przyznać, że wygadując te kocopały, naprawdę poprawił mi humor.

Coś chrupnęło. Spostrzegłem koło wyprzedzające samochód i znikające w rowie. I w tym momencie szarpnęło nami potężnie w prawo. Próbowałem zmniejszyć szybkość i jednocześnie utrzymać się na szosie. Przez długie sekundy walczyłem, by opanować jakoś auto. Niestety, przegrałem. Koła złapały pobocze. Teraz dopiero potężnie szarpnęło... Zaciśnąłem oczy i zęby. Uderzyliśmy w coś podwoziem. Wystrzeliły poduszki powietrzne. Pozbierałem się momentalnie. Auto stało krzywo na polu pokrytym zamrożniętymi skibami ziemi. Maski były zgniecione jak puszki po piwie, choć nie pamiętałem, żebyśmy w coś uderzyli. Spod klapy unosił się dym. A może tylko para z rozwalonej chłodnicy? Nie było sekundy do stracenia! Odepchnąłem sflaczałe już poduszki, odpiąłem pasy. Arek był półprzytomny. Kopnąłem w drzwiczki, wyskoczyłem i wywlokłem kumpla z auta. Ciężki był cholernik... Złapałem go pod pachy i odholowałem w tył, wlokąc mu nogi po zmarzniętej ziemi. Zgubił buty. Dym zrobił się bardziej czarny, a potem auto wybuchło efektownie. Gorący podmuch owiał mi twarz. Arek potrząsnął głową. Posadziłem go na gołej ziemi i otarłem czoło.

– Co się stało? – zapytał.

– Koło odpadło – wyjaśniłem. – Albo oś się złamała...

– A nie da się jechać na trzech? O rany, całkiem jak na jakimś filmie. – Popatrzył na pożar. – Dziękuję, chyba uratowałeś mi życie... – Spojrzał już przytomniej.

– Chyba tak... Nie masz mdłości ani zawrotów głowy?

– Trochę jestem jak ogłuszony, ale mdłości nie mam. Tylko żebra boją, zapewne od pasów, i czuję krew w nosie... Zapach krwi – uściślił.

– Poduszką powietrzną oberwałeś. Niczego nie złamałeś?

Poruszył rękoma, potem nogami i pokręcił przecząco głową. Podeszedłem do walizki leżącej opodal w brudzie.

– Że niby co?! – Arek zdumiał się na jej widok. – Jak to?! Zabrałeś ją ze sobą, uciekając z wozu, czy jak?

– Przypuszczam, że wypadła z bagażnika, gdy auto uderzyło o glebę...

– Czy to znaczy, że to coś nadal jest w środku i właśnie próbowało nas zabić, ale chyba nie chciało przy tym zginąć? – Arek zrobił się błydy.

– Na to wygląda... – Trąciłem walizkę nogą. – Przepraszam, powinien był to przewidzieć. Nie manifestowało się przy nas, przycisnęło...

– Masz jakiś pomysł? Przecież wybebeszyliśmy walizę do dna. Co to jest? Gdzie?

– Hmm... Raczej nie chodzi o obrazy. Sama walizka też nie ma z tym wiele wspólnego.

Wyjąłem nóż i rozprułem skórzane pokrycie, odsłaniając metal. Nie, to na nic... Wyprułem wewnętrzną wyściółkę, odsłaniając drewniany szkielet. Górna deseczka – ta przy rączce do noszenia – została wydrążona. Arek głośno wciągnął powietrze.

Przeżegnałem się i ostrzem scyzoryka podważyłem wpasowany kawałek. Ze skrytki wyciągnąłem kilka pozółkłych ze starości kościanych płytek, przewierconych i nanizanych na cienki złoty drucik. Poczulem dziwny dreszcz, gdy na nie patrzyłem. Były pięknie powycinane w plecione wikińskie wzory. Pośrodku każdej z nich wyobrażono jakąś istotę podobną ni to do pająka, ni to do ośmiornicy. Po drugiej stronie zapisano krótkie inskrypcje runiczne.

– Co to takiego? – Arek podeszedł i kontemlował moje znalezisko.

– Zakładam, że przyczyna wszystkich kłopotów – odparłem. – Myślę, że tu jest wyrzeźbiony pająk, którego widział twój wujo. To jakiś rodzaj amuletów albo kości wróżebnych. Może służyły do przyzywania demonów lub podobnych praktyk. Nie wiem, co za maszkare przedstawiają. I chyba wolę nie wiedzieć... Te znaki z tyłu to runy, jeśli się nie mylę, futhark starszy... Był używany do połowy siódmego wieku naszej ery. Kurhan był datowany na szósty wiek. To by się zgadzało.

– Fiuu... Czyli to jest naprawdę stare... Kość słoniowa?

– Raczej ludzka. Ewentualnie bydłęca.

Podszedłem do płonącego auta i rzuciłem po kolei w płomień płytki, obrazy i walizkę. Albo mi się zdawało, albo dym stał się jeszcze czarniejszy. Zawahałem się chwilę, a potem list Carla Larssona podzielił los poprzednich rzeczy...

– To pomoże? – spytał Arek.

– Powinno. Nie wiem, czy nie należałoby skasować jeszcze plików ze zdjęciami. Popełniliśmy szkolny błąd, zabierając tę walizkę i jej zawartość.

– Myślisz, że te obrazy też były, że się tak wyrażę, „skażone”? – zagadnął. – Szkoda ich...

– Szkoda – zgodziłem się. – Obrazy, zdjęcia i list wielkiego artysty Carla Larssona... Co gorsza, unicestwiłem być może ostatnią pamiątkę po tym nieszczęsnym mordercy. Tylko że nie bardzo widzę inne wyjście. Wolę niczego nie zaniedbać.

Nad polami przeciągnął klucz jakichś ptaszydeł. Dmuchięło chłodem, a moja kurtka właśnie obracała się w popiół na tylnym siedzeniu auta. Tyle dobrze, że portfel miałem w kieszeni spodni. Szlag! Wykrywacz metali diabli wzięli.

– Czyli to było prawdopodobnie tak – zaczął Arek. – Ktoś podkopał kurhan, znalazł te amulety, zrozumiał, że są niebezpieczne, i zakopał je z powrotem. Nie zniszczył, bo widocznie uznał je za cenne, ważne dla historii swojego kraju albo tylko dla dziejów swojej okolicy. Z jakiegoś powodu zakodował w obrazach sekret miejsca ich ukrycia... Kolejni artyści dopuszczeni do tajemnicy co jakiś czas malowali to samo drzewo, choć bez szczegółów wskazujących położenie skrytki. Jan Malisz rozgryzł ten szyfr. Pojechał do Norwegii i nie wiedząc, dlaczego ukryto artefakty, wydobył je, a potem przywiózł do Polski, ściągając nieświadomie straszliwe zagrożenie na siebie i swoją rodzinę.

– To chyba prawidłowa interpretacja. – Kiwnąłem głową. – Umarł znalazca, jego syn ześwirował, zamordował trójkę ludzi i skończył na szubienicy. Synowa zamieszana w zbrodnię zachorowała w więzieniu na gruźlicę, wdowy też los nie oszczędził... Potem był Niemiec, który zastrzelił siebie i kochankę, kilka ofiar po wojnie i twój wujek, który na szczęście wyszedł z tego starcia tylko połamany. Próbowano dosięgnąć nas, ale uratowała nas technika. Nie refleks, nie odrobina szczęścia, ale właśnie technika. Pasy bezpieczeństwa, poduszki powietrzne, strefy kontrolowanego zgniotu...

– Spalą się na popiół? Przerwaliśmy czarną serię? – upewnił się Arek.

– Mam taką nadzieję.

– Oby... I wiesz co? Chyba na razie odechciało mi się fiordów, skandynawskich malarzy i dziewczyn z grabiami. Zabierzemy nasze samczki do Rawenny!

– „Nasze”? – zakpiłem.

– Jak ty mnie lubisz łapać za słówka! – oburzył się.

– I jeszcze to szalenie romantyczne określenie „samczki”... – sztydziłem. – Chyba za mało tych harlekinów przeczytałeś.

Arek pewnie odgryzłby się jakoś, ale w tym momencie terenowy radiowóz jadący na sygnale z piskiem opon zatrzymał się na poboczu. Dwaj policjanci wyskoczyli z auta jak diabluki z pudełka i pobiegli do płonącego wraku. Zajrzeli do środka. Potem się rozejrzeli i wypatrzyli nas. Ten wyższy podszedł szybkim, nerwowym krokiem.

– Dostaliśmy zgłoszenie o wypadku. Gdzie są ofiary!? Kto, do cholery, zabrał ciała?

– Te ofiary to my... – wyjaśnił Arek z godnością.

– Koło nam się urwało i wypadliśmy z szosy – tłumaczyłem. – Ocalały dokumenty i papiery wozu. – Sięgnąłem do kieszeni. – Ja prowadziłem, jeśli trzeba, zaraz dmuchnę w alkomat.

– Procedura jest taka, że obaj panowie będą musieli – wyjaśnił policjant uprzejmie. – Zapraszamy do radiowozu.

Drugi policjant robił zdjęcia. Auto już dogasało. W milczeniu patrzyłem, jak kłęb czarnego dymu powoli rozwiewa się w powietrzu. Poczułem dziwną ulgę, napięcie ostatnich godzin minęło, jakby ogień faktycznie wypalił jakieś czające się obok zło...

Zło ze wschodu



Ze wschodu dął zimny, przenikliwy wiatr. Sławek, potykając się o skiby marnej gleby, maszerował przez pole. Odwilż przyszła kilka dni temu. Ziemię pokrywały rozległe płyty przetainy. Gdy przecinał je w marszu, glina lepiła mu się do butów. Początkowo czyścił je, gdy tylko docierał do plam śniegu, ale szybko porzucił jałowe zajęcie. Skóra, dobrze natarta tłuszczem, na szczęście nie przemiękła. Las z każdym krokiem był coraz bliżej. Pod osłoną drzew będzie zaciszniej.

W oddali chłopak spostrzegł trzy wychudzone po ziemie sarny. Grzebały w śniegu kopytkami, obgryzały sterczące nad śniegiem wiechcie pożółkłej trawy.

Gdyby tak mieć sztucer albo karabin... – westchnął w duchu.

Kiedyś podziwiałby piękne, pełne gracji i wdzięku zwierzęta. Teraz, w czwartym roku okupacji, widział w nich już tylko mięso. Wreszcie dotarł do granicy lasu. Drzewa stały w milczeniu, pomiędzy nimi leżały jeszcze całe zaspasy śniegu. Poprawił skórzane paski nosidła. Na śniegu tu i ówdzie leżały gałęzie obłamane przez wiatr. Przed wojną palili w piecu węglem i drewnem, a wodę na herbatę często gotowali na prymusie. Teraz, wczesną wiosną czterdziestego trzeciego, węgiel stał się nie do zdobycia, nafta była rarytatem, a i z drewnem mieli kuso. Tyle dobrze, że Niemcy znowu pozwalali legalnie zbierać chrust.

Brzoza daje sporo ciepła, ale pali się szybko... – rozmyślał, wędrując wzdłuż skraj lasu. Po cienkie patyki nie ma się co nawet schylać. Trzeba zebrać bukowe albo dębowe konary. Naraz mogą zabrać piętnaście, no, może dwadzieścia kilo. Gdyby tak przyjechać furmanką i załadować... Albo choćby głupi rower, do ramy można przytroczyć nawet osiemdziesiąt kilogramów i prowadzić, idąc obok.

Roweru nigdy nie mieli. Wóz był, sanie też, niestety, ostatniego konia w środku zimy skonfiskowali Niemcy. Dychawiczna kobyłka, jeśli jeszcze w ogóle żyła, zapewne ciągnęła wózki z amunicją gdzieś na froncie wschodnim.

Znalazł wyraźnie widoczną ścieżkę i wszedł między drzewa. Słabo znał tę część lasu, zazwyczaj na grzyby chodzili od północnej strony miasteczka. Minął świerkowy zagajnik. Na pagórku rósł stary dąb. Drzewo najwyraźniej usychało, od pnia odpadały całe płyty kory, a wokoło na śniegu leżała masa gałęzi i cienkich konarów. Chłopak zrzucił nosidło na ziemię i zabrał się do zbierania opału. Szybko zgromadził sporo całkiem grubych gałęzi. Niektóre trochę poskracał siekierką, by uzyskać w miarę równą długość.

Popatrzył na płaty wyschniętej kory, splekane, odpadające od pnia. Pamiętał z czasów jeszcze przed wojną, że na podwórzu garbarni zawsze leżały tego całe stopy. Żydzi coś z tą korą robili, siekali, gotowali, pozyskiwali tak substancje do wyprawiania skór.

– Przyda się czy nie? – zadumał się.

Ojciec wyprawiał skórki z królików innymi metodami.

– A wezmę trochę, najwyżej do pieca pójdzie – podjął decyzję.

Zebrał trzy ochłapki gałęzi. Tyle mógł przytrzymać do nosidła. Spojrzał na niebo. Południe minęło już jakiś czas temu, ale słońce stało jeszcze wysoko. Postanowił nazbierać na zapas. Podejdzie tu jutro z rana i zabierze do domu jeszcze nie jedną, ale dwie partie. Niespodziewanie gdzieś w oddali sucho huknął pojedynczy wystrzał karabinowy. Sławek zamarł. Po chwili rozległ się drugi, tym razem chyba z pistoletu.

Może to partyzanci kłusują? – pomyślał, rozglądając się na boki. Tak czy inaczej, lepiej, żeby nikt mnie tu nie zauważył.

Rozejrzał się, szukając potencjalnych kryjówek. Jak na złość, poszycie lasu było tu mizerne. Nagie, pozbawione liści krzewy niewiele zasłaniały.

– Halt! – dobiegło gdzieś z daleka.

Rozszczełał się pies. Chłopak bez wahania porzucił nosidło wraz ze zgromadzonym chrustem. Kuląc się, przypadł do pnia drzewa i znów ostrożnie rozejrzał się wokół. Pobiec w stronę pól? Na otwartej przestrzeni będzie widoczny z dużej odległości. W lesie słychać było tupot butów i trzaski gałęzi. Znowu zaszczekał pies i naraz rozległa się cała kanonada. Ktoś wygarnął serię ze szmajsera. Skąd strzelano? Dokąd uciekać? Spojrzał na młodnik widoczny opodal. Jak na złość, między nim a gęstwiną zalegała równa połać śniegu, prawie nietknięta odwilżą. W jednej chwili zrozumiał, że zdradzą go ślady stóp. A może w drugą stronę, do wąwozu? Ale tam śniegu będzie po szyję. A może to pomysł, żeby zeskoczyć, zakopać się po uszy w mokrej brei, przeczekać oblawę czy co tu się dzieje.

Nie zdążył niczego zrobić. Trzasnęła łamana stopą gałąź i spomiędzy drzew wybiegł jakiś chłopak. Prawą ręką trzymał się za pokrzwawiony bok. Zataczał się, dyszał ciężko, nie zwracał uwagi na otoczenie, nie spostrzegł Sławka. Wrzaski dobiegały teraz z lewej strony, pościć chyba stracił na chwilę trop. Nieoczekiwanie uciekinier potknął się, zaplątał o własne nogi i runął jak długi. Sławek podbiegł. Już biegnąc, skłął się w duchu. Rannego przecież i tak nie uratuje, a tylko głupio opuścił w miarę dobrą kryjówkę. Zacisnął zęby i przebiegł ostatnie pięć kroków.

Dopiero z bliska rozpoznał leżącego. Chodził z nim do szkoły, tylko że ten tutaj do starszej klasy. Kierownik przygotowywał go po lekcjach do jakichś egzaminów. Jak on się nazywał? Jakoś tak po ukraińsku.

– Artemij! – przypomniał sobie.

Ranny uniósł głowę. Przez chwilę patrzył niezbyt przytomnie, jakby nie do końca zdawał sobie sprawę, gdzie jest i co się dzieje.

– To ty? – rozpoznał wreszcie kolegę. – Strasznie oberwałem w bok. Na wylot przeszło. Już po mnie – wychrypiał, z trudem łapiąc powietrze. – Weź to, oddaj waszemu aptekarzowi w miasteczku. I uciekaj, natychmiast uciekaj, szwabę zaraz tu będą! – Wyciągnął dłoń, jakby chciał mu coś podać, a potem ręka opadła na ściółkę.

Sławek pochylił się i wyluskał spomiędzy palców przedmiot. Spojrzał odruchowo. Aptekarska fiolka z grubego szkła, taka, w jakiej przed wojną trzymano tabletki aspiryny. Wewnątrz było kilkanaście, może kilkadziesiąt ziaren, coś jakby małe nasiona fasoli. Schował ją do kieszeni. Ranny westchnął bardzo ciężko. Widać było, że

chce coś jeszcze powiedzieć, ale na wargach pękały tylko bańki śliny zmieszanej z krwią. Z wysiłkiem skinął głową.

– Uciekaj – wychrypiał raz jeszcze.

Ale już było za późno. Spomiędzy drzew wyskoczyły trzy dobermany. Sławek wyrwał zza pasa siekierkę i rozejrzał się na boki. Zwierzęta otaczały go, warcząc. Były dobrze ułożone do polowania na ludzi. Osaczyły ofiarę, jednak żaden nie zbliżał się na tyle, by można było go zaatakować. Po chwili nadbiegli też Niemcy. Sławek zmartwiał, od razu rozpoznał mundury SS. Na widok wycelowanych luf automatów rzucił siekierę i podniósł ręce do góry. Po chwili pojawił się jeszcze oficer. Sławek poczuł, jak wnętrzności zawiązują mu się na supły. Niemiec był bardzo wysoki. Z cholewy oficerek sterczała mu rękojeść szpicruty. Jasne, prawie białe włosy wymykały się spod czapki. Wąskie, blade wargi zacisnął w kreskę. Jego usta przypominały bardziej nacięcie na pociągłej twarzy. Najgorsze jednak były oczy, błękitne, nieruchome i bez wyrazu. Zimne oczy gada.

Podszedł do rannego i pchnął go nogą, odwracając na wznak. Artemij ciągle żył. Jedna powieka jeszcze drgała, z ust ciekła krew, ale oczy wywróciły się już białkami do góry. Agonia. Niemiec sięgnął do kabury, wyjął pistolet i obojętnie strzelił chłopakowi w środek czoła. Pięty uderzyły w ściółkę raz jeszcze i nieszczęśnik znieruchomiał. Hitlerowiec przeniósł wzrok na Sławka.

Teraz umrę, pomyślał chłopak.

Ale szwab tylko wyciągnął rękę.

– Kenkarta – rzucił krótko.

Sławek pospiesznie wyjął dokumenty. Niemiec pobieżnie sprawdził jego tożsamość i wpisy meldunkowe. Potem obojętnie złożył dokument i schował do kieszeni.

– Szo robysz w tym lesie? – warknął.

– Zbierałem chrust. Ich sammelte Äste. – Sławek wskazał leżące opodal nosidło.

– Sztój tu!

Hitlerowiec przykląkł na ściółce i niespiesznie przeszukiwał kieszenie zabitego. Znalezione przedmioty rzucał na bok. Kozik, dwa pomięte banknoty dziesięcioczołowe, otwieracz do konserw, klucz do domu. Wreszcie znalazł dokumenty. Kenkartę, książeczkę pracy i jakieś zaświadczenie. Zajrzał do kenkarty, potem spojrzał w twarz zastrzelonego i porównał ją ze zdjęciem. Złożył papiery, schował do kieszeni, wyprostował się i podszedł do Sławka.

Starostwo powiat

Kennnummer 3837/42-2/50
Numer rozpoz.



Unterschrift des Kennk
Podpis posiadacza keni

– Znasz go? – zapytał po niemiecku.

– Tylko z widzenia – odpowiedział chłopak w tym samym języku. – Chodził do mojej szkoły, ale do innej klasy. I był z innej wsi.

Wolał nie kłamać. Skoro mieli w ręku dokumenty jego i zabitego, mogli wszystko łatwo sprawdzić.

– Coś za dużo się was dziś roi w tym lesie! – burknął Niemiec i zmarszczył czoło.

– Jestem tu przypadkiem. Przyszedłem tylko po chrust.

Nieoczekiwanie oficer walnął go szpicrutą przez głowę z taką siłą, że chłopak nie tylko runął na ziemię, ale też na chwilę stracił dech. Już dochodził do siebie, gdy dostał kopniaka w żebra. Szwab przeładował pistolet i teraz celował mu między oczy.

– Gadaj prawdę! Szedłeś do Żydów, którzy się tu ukrywają! – warknął po niemiecku.

– Nie. Miałem przy sobie tylko nosidło do chrustu. Gdybym szedł do partyzantów albo do Żydów, miałbym żywność lub inne produkty, a gdybym wracał po spotkaniu, miałbym pieniądze albo złoto. – Sławek mówił po niemiecku tak spokojnie, jak tylko zdołał.

Żebra rwały go przy każdym oddechu, ale nie wiedział, czy są złamane, czy tylko obite. Nie miał odwagi ich pomacać.

– Mów! – szczerknął oficer.

– Poszedłem do lasu po chrust. Przepisy na to pozwalają. Zbiórka na użytek własny pod warunkiem wniesienia opłaty w nadleśnictwie. Mam w kieszeni pokwitowanie. Są przecież moje ślady na śniegu, widać, skąd przyszedłem.

Kolejny kopniak przetoczył go po ściółce.

– Znałeś tego zastrzelonego Ukraińca!

– Tylko z widzenia – powtórzył Sławek. – Jest z mojej gminy, ale z innej wsi. Przed wojną chodził do mojej szkoły. Tylko tyle.

W odpowiedzi Niemiec kopnął go w nerkę, ale nie jakoś bardzo mocno. Może się zmęczył? Albo znudził?

– Co on tu robił? Dlaczego przed nami uciekał?

– Nie mam pojęcia. Nie widziałem go od kilku lat.

– Już my ci odświeżymy pamięć! Zabrać go!

Dwaj esesmani skuli chłopakowi ręce, tyle dobrze, że z przodu. Gdy go prowadzili w głąb lasu, szybko strzelił spojrzaniem na boki. Młodnik, wąwozy, wykroty. Zerwać się nagle, uciekać. Liczyć, że kule chybią. Gdyby nie śnieg i psy, miałyby cię szansy. Ale tak... Przeszli może trzysta metrów. Na polanie parkowała ciężarówka, a obok jeszcze mniejszy pojazd – więźniarka.

Wrzucili go do środka. Tyle dobrze, że zamortyzował jakoś upadek. Blacha paki ziała chłodem. Drzwi się zatrzęsęły. W środku było prawie ciemno.

– Ale wpadłem – szepnął. – Jak w krwi placek albo jeszcze gorzej.

Usiadł, rozejrzał się. Nitowane blachy, pociągnięte lakierem, trochę odrapane. Drewniana ławeczka. Podszedł na kolanach do drzwi. Od środka nie było żadnych szans ich wyłamać. Solidna robota, blachy spawane do grubych płaskowników. Podłoga podzwiała, ale nadal solidna.

Gdzieś w oddali rozległ się huk, jakby rozrywającego się granatu. Po chwili nastąpił jeszcze jeden wybuch.

Wysadzają coś? – zdziwił się Sławek. Ale co i po co?

Po chwili dwaj esesmani wpełnęli do środka jeszcze jakiegoś człowieka. Zatrzasnęli drzwiczki. Auto zaraz ruszyło. Przez niewielkie zakratowane okienko wpadało trochę światła. Sławek spojrzął na towarzysza niedoli. Twarz staruszka była rozbita, świeżo zaschnięta krew pokryła policzki i pozlepiała długą, siwą brodę. Jedno oko zakrywała rosnąca opuchlizna. Krzaczaste, białe brwi też pozlepiała krew. Zalatywało od niego jakby stęchlizną, tylko ostrzej. Sławek domyślił się, że mężczyzna spędził tygodnie lub miesiące w podziemnej kryjówce.

– Sławek? Witaj, chłopcze, szkoda, że spotykamy się w tak paskudnych okolicznościach – odezwał się stary z charakterystycznym nosowym akcentem.

– Pan Morycz?! – Chłopak dopiero po głosie poznał wędrownego dekarza, Żyda, który przed wojną nieraz zachodził do nich w różnych sprawach.

– We własnej sponiewieranej osobie. Ale jakby cię pytali, to lepiej powiedz, że mnie nie znasz. Zdrowo mi przyładowali... – Mężczyzna dotknął przetrąconego nosa, a potem rozbitego łuku brwiowego. – A obawiam się, że to dopiero początek.

– Nie rozumiem.

– Ukrywam się od półtora roku w lesie. Przetrzymałem kilka obław. Dziś mnie dopadli. Cholerne psy. Takie zamaskowanie wejścia miałem, gdyby nie te kundle, nigdy by nie znaleźli – rozżalił się stary. – Wywlekli z ziemianki, pobili i skuli. Myślałem, że dwóch lub trzech uda mi się stuknąć, ale rewolwer nie wypalił. Widać naboje zakisły od wilgoci. No i to właśnie jest bardzo niedobrze – westchnął i bezradnie wzruszył ramionami.

Sławek potrząsnął głową.

– Ja nadal nie rozumiem – przyznał.

– No rusz głową. Wytropili mnie. Od wielkich deportacji latem zeszłego roku wszystkich Żydów zabijają tam, gdzie dopadną. Nie chce im się już nawet zabierać ludzi do obozów. Kulka w łeb i po sprawie, trupa wilki zjedzą. Żyd, i to jeszcze uzbrojony, co to chciał do nich strzelać? Powinni załuc z samej złości. A mnie nie zabili. Z litości serca? A gdzie tam. Wiozą nas gdzieś żywych, a to znaczy, że do czegoś będziemy im potrzebni. Ty jesteś młody, zdrowy i silny, możesz rowy kopać czy bruk układać. A po co Niemcom taki stary dziad, na wpół ślepy, jedną nogą już w grobie? No przecież nie do naprawy dachu. Widzę to tak, że zechcą mnie pomęczycy, żebym im oddał złoto, podał numery i hasła kont w Szwajcarii, zdradził kryjówki innych.

– Ma pan konto w Szwajcarii? – zdumiał się chłopak.

– No niby skąd? Ale oni mogą pomyśleć, że mam. Ech, gdyby tak mieć strychninę. Łyknąłbym i po sprawie. A tak ciężko. Coś mi się zdaje, że będę długo zdychał pod ich butami, albo jeszcze gorzej. A ty, młody, pamiętaj, nie pękaj. A jakby nawet mieli cię zabić, idź na śmierć z podniesionym czołem, pokaż hienom i szakalom, jak umiera lew.

Umilkli, pogrążeni w ponurych myślach. Auto pędziło po jakichś wertepach, potem wjechało na lepszą, bitą szosę i przyspieszyło.

– Śmierdzą – westchnął stary. – Pod ziemią ubranie łapie wilgoć. Można suszyć, prac w strumyku, ale po pewnym czasie to już nie pomaga. Włókno gnije. Lepiej by było do trumny przyodziać coś elegantszego. Ale skoro i tak zakopią jak psa albo spalą, chyba nie jest to aż tak ważne.

– Pan się nie boi?

– Trochę. Będzie bolało, bo skatują mnie zdrowo przed śmiercią. Już miałem przedsmak w lesie, ścierwa nie patrzą, że człowiek już w podeszłym wieku i słaby, biją bez litości. Ale tak w sumie, swoje już pożyłem. Jak ktoś jest bardzo stary, to zazwyczaj

tak bardzo strachu nie czuje. A ja oswoiłem się z myślą, że końca wojny nie doczekam. O ciebie bardziej się boję. Co, u diabła, robiłeś w tym lesie?

– Po chrust przyszedłem – wyjaśnił Sławek.

– Strzelali do ciebie. Słyszałem, jak mnie wlekli do auta.

– Nie, strzelali i zabili Artemija.

Staruszek popatrzył pytająco.

– Artemij Miszczuk – uściślił chłopak. – Wołali go Artem, taki Ukrainiec, ciut starszy ode mnie. Z tych Miszczuków, co mieszkali niedaleko młyna.

– A, to wiem. Ten, co chciał do Warszawy jechać i tam się uczyć. Dziwne, nie widziałem go, no, będzie od czterdziestego roku. Może było tak, że przeczesywali las i przypadkiem go spotkali. Zaczął uciekać, to zabili. Dam ci radę. Masz teraz chwilę czasu, więc siadaj i wymyśl sobie na zapas ze dwadzieścia różnych łągarstw.

– A nie prościej powiedzieć prawdę? Poszedłem tam tylko po chrust.

– W zasadzie możesz nawet powiedzieć prawdę. – Czoło starego przecięła pionowa kreska. – Tylko czy uwierzą? Oni nie z tych, co by łatwo uwierzyli – odpowiedział sam sobie. – Każdy Żyd to dla nich karaluch do rozdeptania. Każdy Polak to partyzant i konspirator, a przynajmniej sabotażysta sypiący piach w tryby ich wspianialej maszyny do podboju świata.

Nagle zamilkł i znów zmarszczył czoło.

– Teraz posłuchaj bardzo uważnie. Mnie zabiją. Nie ma dwóch zdań. Ale ty pewnie przeżyjesz. Znasz tamten las, gdzie nas wzięli?

– Kilka razy w życiu tylko w nim byłem – odparł chłopak.

– Niedobrze. Słuchaj uważnie. Jest tam wzgórze, a na nim stare okopy, jeszcze z Wielkiej Wojny. Słabo je widać, prawie trzydzieści lat minęło, ale znajdziesz. Ze szczytu widać czubeczek dzwonnicy waszego kościoła. Po tym poznasz. Od północy jest wąwóz, tam miałem kryjówkę.

– Kryjówkę?

– Wydrążyłem sobie niedużą grotę w lessie. Mała, ciepła norka – westchnął staruszek. – Dobrze zamaskowana. Gdyby nie mieli psów, nigdy by mnie nie znaleźli – powtórzył myśl, którą wypowiedział już przed kilkoma minutami. – No nic, to przepadło. Przeszukali i chyba wysadzili ją granatami, słyszałem wybuchy, jak mnie wlekli. W każdym razie bez śladu nie znikła. Znajdziesz lej w ziemi. Będzie widoczny przez kilka lat. Na skłonie wzgórza, między szczytem a kryjówką, rośnie rozdwojona brzoza. Odmierz siedem kroków na zachód od pnia i kop. Schowałem tam różne swoje rzeczy i trochę pieniędzy. Weź sobie, przez wzgląd na moją starą przyjaźń z twoim ojcem.

– Eee, dziękuję – odparł Sławek. – Ale może pan przeżyje.

– Mnie zabiją. Nie dożyję jutra.

– A jeśli?

– To albo wrócę i wykopię pierwszy, albo po to do was przyjdę i wtedy mi oddasz – stwierdził mężczyzna. – Ale nie ma na to żadnych szans. Dojeżdżamy. Czujesz? Gładka nawierzchnia. To już miasto.

Furgonetka zatrzymała się lekko przechylona na bok. Drzwi zazgrzytały i do środka wepchnięto jakąś babinę. Auto znów ruszyło. Kobieta zmierzyła ich przerażonym wzrokiem.

– Ło Jezu, co to teraz będzie?! – jęknęła.

– A za co panią wzięli? – zagadnęła dekarz.

– Za tytoń. Umowy podpisaliśmy. Zakontraktowali, dostaliśmy nasiona, wysialiśmy. Roboty była kupa, ale liczyliśmy na przyzwoity zarobek. Zbiory zapowiadały się dobre, ale przyszedł grad i połamało wszystko. Przyjechał inspektor, obejrzał i oskarżył nas, że sporo liści z pola uratowaliśmy i ukryliśmy, żeby sprzedać na lewo. A to nieprawda. Wszystko przepadło. Całe krzaki w błocie leżały. Ten inspektor chyba też to wiedział. A potem przyszło pismo, że mam się stawić, tyłkom nie poszła, bo grypa mnie złapała.

– Jak wzywają, trzeba iść od razu – westchnął chłopak. – Bo lepią kary.

– To mnie do więzienia wsadzą? – przestraszyła się kobieta.

– Skoro mają was w garści, to łatwo nie puszczą – powiedział Żyd. – Panią za ten tytoń raczej tylko solidnie postraszą, może obją trochę, ale wypuszczą. Tylko słoń karę trzeba będzie zapłacić. Ciebie – przeniósł wzrok na Sławka – pewnie do obozu, choć diabli ich wiedzą. A ja na śmierć. Pożyłem sobie osiemdziesiąt cztery lata i widać starczy. Zresztą najlepsi przyjaciele już są po tamtej stronie.

– Może zabiorą pana do getta albo do obozu – zasugerował chłopak.

Nie mógł się jakoś pogodzić z myślą, że tak de facto rozmawia ze skazańcem.

– A gdzie tam – odrzekł starsuszek. – Bili i pytali, kto ze wsi mi pomagał. No to podałem dwa nazwiska, obaj szczęśliwie niedawno zawinęli się na gruźlicę. Znow biał, to znów dwa nazwiska nieboszczyków podam – zarechotał. – Trupów nie ukarzą. – Uśmiechnął się krzywo rozbitymi wargami. – A ty, młody, układaj sobie w głowie odpowiedzi na pytania. Wymyślaj zawczasu prawdopodobne łgarstwa. Nie daj się zaskoczyć. Nie wierz im. Będą obiecywać, że jak powiesz coś ważnego, to cię puszcza. Nigdy nie puszczają. Nie pękaj. Zabiją, to zabiją. Mówi się trudno. Ważne, żeby umierać z czystym sercem i nie pobrudziwszy sumienia. I powiem ci jeszcze jedno. Wszystkich Żydów zabrali na śmierć. A mnie się udało ukryć. Każdy dzień, w którym ich już nie było, a ja nadal żyłem, to takie małe zwycięstwo.

Widać od dawna nie miał żadnego rozmówcy, słowa łąły się teraz jak rzeka długo powstrzymywana tamą.

*

Furgonetka stanęła na jakimś dziedzińcu. Drzwi otwarły się. Niemiec ponaglił ich gestem. Sławek zaciągnął się świeżym powietrzem. Weszli do niewielkiego parterowego budynku. Tam ich rozdzielili. Chłopak trafił do niedużego pomieszczenia. Wyglądało na biuro. Na stole stała maszyna do pisania nakryta serwetą, w kącie wstawiono szafy z aktami. Był stółek dla przesłuchiwanego i krzesło z podłokietnikami za stołem. Chyba przez pół godziny Sławek siedział na zydłu. Pilnował go rosły Niemiec w mundurze SS. Chociaż „pilnował” to może za dużo powiedziane, bo hitlerowiec przysiadł na szerokim parapecie i znudzony czytał gazetę. Poruszał przy tym zabawnie wargami, subwokalizował każde słowo jak półanalfabeta. Gdzieś zza ściany dobiegały krzyki po niemiecku, jęki i głuchoe odgłosy uderzeń. Najwyraźniej obok katowali starego dekarza. Sławek poczuł, jak rośnie w nim panika.

Skończą z panem Morycem i zabiorą się za mnie, pomyślał.

Szwab odłożył gazetę i sięgnął po kolejną. Zza ściany ciągle dobiegały wściekle wrzaski. Niemcy najwyraźniej wypytywali Żyda o coś, ale chłopak nie był w stanie rozróżnić słów. Wreszcie drzwi trzasnęły. Esesman wyszedł, a do biura wkroczył

starszy, otyły Niemiec ubrany po cywilnemu. Miał pod brodą czarny krawat. Sławek wiedział od ojca, że gestapowcy noszą takie barwy. Przełknął ślinę. Szwab zdjął chłopakowi kajdanki i kazał wyjąć wszystko z kieszeni. Sławek wydobyl klucze, nóż, dokumenty i kilka innych drobiazgów. Niemiec ujął kozik w dłoń.

– Co oni, nie obszukali cię nawet!?! – zirytował się.

– Nie.

– Idioci. Młody, silny, zapewne partyzant. Mogłeś nas tu wszystkich zaszlachtować – zażartował szwab.

– Nie jestem partyzantem.

– Wszyscy tak mówicie. Ale ty faktycznie nie jesteś. Buty masz nieodpowiednie, nie do lasu – ocenił krytycznie Niemiec. – I za czysty jesteś. Partyzanci żyją w lesie, mieszkają w ziemiankach, bunkrach. Grzeją się przy ogniu. Sadza wżera im się w skórę, w dłoń. Do tego dłońe pierzchną, skóra grubieje od chłodu i wilgoci. Nie masz rąk partyzanta.

Od razu wrzucił nożyk do szuflady. Chustka do nosa go nie zainteresowała. Uniósł do oczu fiolkę. Potrząsnął. Zagadkowe ziarenka podskoczyły i opadły.

– A co to jest, u diabła? – zapytał.

– Nasiona takich kwiatków – odpowiedział aresztant po niemiecku. – Nie wiem, jak się nazywają w waszym języku. Pnące, kolorowe – zełgał.

– Duftende Platterbse – odpowiedział szkop jakby życzliwie i gestem pokazał, że więzień może wszystko zabrać z powrotem.

Raz jeszcze sprawdził jego tożsamość, porównywał przez chwilę twarz ze zdjęciem, obejrzał uważnie pieczętki w kenkarcie.

– Gdzieś pracujesz?

– Na gospodarce przy rodzicach.

Niemiec podniósł serwetę z maszyny, chwilę szukał w szufladzie formularza. Wreszcie wkręcił go w wałek i szybko wpisał dane w protokół. Przejrzał jakieś dwa opasłe skoroszyty, wypełnione listami nazwisk. Potem poskrobał się po głowie.

– Czy wiesz, czemu cię zatrzymano? – zapytał wreszcie, stukając w papiery koniuszkiem eleganckiego wiecznego pióra.

– Nie wiem – przyznał Sławek. – Przypadkiem. Poszedłem do lasu po chrust, a tam była obława, chyba na ukrywających się Żydów. I jeszcze jakiś Ukrainiec uciekał, oficer go zastrzelił. Ale ja nie mam z tym wszystkim absolutnie nic wspólnego.

– Po chrust. – Niemiec wstukał w odpowiednią rubrykę. – Kradzież drewna to już jakiś konkret i dobrze w protokole wygląda. Prawie tak dobrze jak kłusownictwo.

– Nie kradłem drewna! Poszedłem po chrust. Mam zaświadczenie o opłacie za zbieranie opału w państwowych lasach. Aktualne, opłacone w gminie, wszystko wedle przepisów.

– No jest. – Hitlerowiec obejrzał papier wetknięty w kenkartę. – Tu wszystko w porządku. Czyli nie kradłeś. Szkoda. Ale to nic, coś innego się wymyśli. Przecież Trzecia Rzesza nie więzi ludzi za niewinność. Zawsze jest jakaś przyczyna – pokpiwał, uśmiechając się krzywo.

Nagle łypnął na chłopaka badawczo.

– Znasz go? – Wskazał kciukiem ścianę. – Tego Żyda?

– Z widzenia, z przedwojennych czasów. To był wędrowny... – Sławkowi zabrakło niemieckiego słowa. – Dachy robił ludziom. Każdy w gminie go znał. U nas też poprawiał gonty. Od początku wojny ani razu go nie spotkałem – zapewnił.

– No dobrze. A ten zastrzelony chłopak? – Niemiec wyciągnął z kieszeni kenkartę zabitego.

– Artemij Miszczuk. Chodził do mojej szkoły. Też znałem go tylko z widzenia. Był w wyższej klasie. Skończył naukę chyba w trzydziestym siódmym. Potem go widywałem, tylko jak przychodził na korepetycje. Chyba próbował się dostać do szkoły średniej w jakimś dużym mieście. Od wybuchu wojny widziałem go raz albo dwa. – Sławek starał się mówić rzeczowo i konkretnie.

– Dlaczego chodził z tobą? Przecież mieszkał w sąsiedniej wsi, a tam też jest szkoła. – Niemiec najwyraźniej był nieźle zorientowany.

– U nas w gminie jest tak: w miasteczku duża szkoła, a po wsiach małe, tylko trzy klasy, dla mniejszych dzieci. Starsze już muszą na naukę chodzić do nas.

Palce hitlerowca zatańczyły nad klawiaturą. Sławek nigdy wcześniej nie widział, by ktoś z taką wprawą pisał na maszynie.

– Rozumiem. Czyli kiedy widziałeś go po raz ostatni? – ciągnął mężczyzna.

– Jakies trzy lata temu. W czterdziestym roku chyba, spotkałem go na targu. Wspominał, że w Chełmie ma być otwarte liceum dla Ukraińców. Chciał zdawać egzaminy, żeby się do niego dostać.

– No tak. – Niemiec przyjrzał się jednemu z papierów. – A oni znali się nawzajem? Zabity z Żydem?

– Zapewne tak samo jak ja z nimi. Z widzenia tylko. Nasza gmina nie jest zbyt ludna. Pan Moryc co i rusz się u kogoś najmował. Dachy przeważnie kryte są gontem. To co jakiś czas trzeba poprawiać. Do strzech albo blachy byli inni fachowcy.

– A dachówki? – Gestapowiec łypnął okiem.

– Są tylko na plebanii. W naszych stronach nikt dachówek nie robi. Gont, strzecha, czasami blacha, jak kto bogatszy. Dachówki to luksus. Kogo na to stać? – Chłopak wzruszył ramionami.

– Czyli kompletnie nic – westchnął szkop, stukając ołówkiem w protokół. – Nie byłeś dotąd aresztowany, rodzina nie była karana grzywnami, kontyngenty odstawione na czas, nie jesteś o nic podejrzany, nie robiłeś niczego nielegalnego. Żadnych skarg. Mamy odnotowane, że twój ojciec przed wojną był sołtysem i dobrze zna niemiecki. Ty też nieźle, jak widzę. Wpisy meldunkowe w porządku. Gadasz też szczerze. Ja to bym cię może i wypuścił, ale tu decyduje sturmbannführer Stier. – Skrzywił się jeszcze bardziej i stuknął dłonią w dzwonek.

Wszedł strażnik.

– Do celi – polecił gestapowiec. – Potem zadecydują.

Sam ocenił, że nie jestem partyzantem, sprawdził, że w papierach wszystko jest w porządku, a jednak nie wypuszczą, tylko pod klucz, pomyślał Sławek rozżalony, ale zagryzł tylko zęby, bo po prawdzie co niby mógłby powiedzieć?

Pomieszczenie było położone w suterenie do połowy wkopanej w ziemię. Miało może dwa na cztery metry. Wewnątrz cuchnęło lizolem, ale ostra woń nie zdołała zabić wgrzyzonego w tynki zapachu potu i brudnych ciał. Pod sufitem umieszczono nieduże okno, zabezpieczone kratą i stalową siatką. Szyba była pęknięta, kawałka brakowało. Za całe wyposażenie robiła jedna prycza, wiadro na nieczystości i obtłuczony dzbanek z resztką wody na dnie. Chłopak przez chwilę był sam, ale zaraz wepchnięto do środka tamtą babinę w chustce. Była najwyraźniej przerażona. Z miejsca uklękła w kącie, zaczęła się modlić półgłosem. Sławek przysiadł na brzegu pryczy. Czuł się kompletnie rozbity.

Może potrzymają mnie trochę i wypuszczą? – pomyślał. Albo ten ważny pojedzie gdzieś i wtedy wypuszczą? Ten tłusty urzędnik najwyraźniej nie wiedział, co ze mną zrobić. Nawet jakby był trochę życzliwy, nie krzyczał, nie bił. Może nie jest z gestapo? Albo zaczynają od przesłuchań łagodnie, a katują później, jeśli zeznania idą nie po ich myśli? W końcu co gestapo, to gestapo. Z nimi nie ma zmiłuj. Gdyby tylko dać znać rodzinie... Poszedłem do lasu i przepadłem. Na pewno się niepokoją.

Na zewnątrz zatupotały podkute buciory. Chłopak uniósł głowę. Gdy stanął na palcach, przez gęste kraty w okienku widział kawałek brukowanego podwórka ogrodzonego murem. Powierzchnię cegieł znaczyły odpryski, brązowe plamy i zacieki. Od razu domyślił się, co to oznacza. Wiedziony chorobliwą ciekawością, przesunął się w lewo. Teraz miał znacznie lepszy widok. Niemcy przyprowadzili dekarza. Staruszek był jeszcze bardziej pobity, krew pokrywała mu całą twarz. Podeszedł do pokiereszowanej ściany, dotknął śladów po kulach opuszkami palców, a potem odwrócił się w stronę oprawców i dumnie uniósł głowę. Trzej esesmani niespiesznie przeładowali karabiny. Sturmbannführer Stier stanął z boku, by dać sygnał do egzekucji. Kos przysiadł gdzieś na krawędzi dachu i zaczął wiercić.

– Wedle starej tradycji skażącemu przysługuje ostatnie życzenie – Żyd nieoczekiwanie odezwał się po niemiecku.

– No to jakie masz to ostatnie życzenie? – Szwab uśmiechnął się szyderczo. – Papierosa, sznapsa czy opaskę na oczy? Masz minutę. – Wyciągnął z kieszeni okazały złoty zegarek.

I wtedy staruszek zrobił coś, czego Sławek kompletnie się nie spodziewał. Sięgnął do pasa, jednym ruchem spuścił spodnie i wypiął w stronę Niemców goły tyłek.

– Alemen kush meyn tokhes! – zawołał wesoło w jidysz i parsknął śmiechem.

Niemiec zrobił się czerwony jak burak. Machnął dłonią. Chłopak odruchowo zaciśnął powieki. Huknęła salwa, potem rozległ się głuchy łomot, jakby ktoś rzucił na klepisko worek kartofli. I zapadła cmentarna cisza. Nawet ptak przestał ćwierkać. Sławek odwrócił się do wnętrza celi i dopiero wtedy rozchylił powieki. Gdzieś w okolicach żołądka poczuł chłód i narastające drzenie, straszliwy dygot, niemożliwy do opanowania. Usiadł ciężko na prycy. Cała cela wokół zatańczyła, ale wbił palce w drewno i zdołał nie zemdleć.

– Że co on niby tym szwabom powiedział? – zapytała staruszka z kąta.

– Żeby... – Sławkowi zaschło w gardle, musiał odchrząknąć. – Żeby pocałowali go wszyscy w dupę.

– Odważny frant! – Babcia pokiwała z uznaniem głową. – Ale hitlerszczakom przygadał! Twarde te nasze wiejskie Żydki, szkoda, że tylko w mowie, a nie w pięści. Choć od nas z miasteczka był taki jeden Chaim, co nawet w legionach walczył. Syn piekarki. Znałam ja dobrze jego matkę, świeć Panie nad jej duszą.

Sławek nie odpowiedział, wziął głęboki oddech i bezskutecznie próbował się opanować. Znów dostał zawrotów głowy, przed oczyma latały mu mroczki.

Nic przeciw mnie nie mają, powtarzał sobie. Nic złego nie zrobiłem. O nic nie jestem podejrzany. Papiery w porządku.

Ale wiedział, że to samooszukiwanie się. Od początku okupacji nieraz słyszał o ludziach, którzy w żaden sposób nie bruździli Niemcom, a mimo to zostali aresztowani i trafili do obozów albo zgoła przepadli bez wieści.

– No nieźle to wykombinował – usłyszał głos babiny. – Powiadają, że jak kat nie spełni ostatniego życzenia, to dusza zabitego na siódmą niedzielę wraca zabrać go do piekła. To i szwabki nie pożyją długo.

– To tylko zabobony – bąknął Sławek.

– Dla kogo zabobony, dla tego zabobony. Pożyjesz tak długo jak ja, też zobaczysz różne rzeczy. Takie, co to się filozofom nie śniły.

*

Babinę niedługo potem gdzieś zabrali. Może na przesłuchanie? Sławek został sam. Nie miał kompletnie nic do roboty. Pochodził po celi, przyjrzał się nielicznym inicjałom wydrapanym na ścianach. Obejrzał drzwi i okno, ale nie było żadnej szansy, by się wydostać. Złapał się na tym, że nawet nie wie, gdzie jest. Jechali chyba na zachód. Krasnystaw? Zamość? A może Zwierzyniec?

Raczej nie Zamość, odpowiedział sam sobie. Na posterunku w tak dużym mieście z pewnością panuje znaczny ruch. A tu cisza i spokój. Krasnystaw pewnie. A może i to nie?

I znów zaczęło go trząść. Opanował się z największym trudem. Przede wszystkim nie rozumiał, po co starego dekarza przywieźli aż tutaj. Przecież mogli go zastrzelić w lesie. Szukał możliwego wyjaśnienia, ale nie znajdował.

Może jakaś konfrontacja? Może sądzili, że to ktoś ważny, i chcieli go komuś pokazać, żeby potwierdził tożsamość? A może chcieli go torturować na spokojnie, bo w lesie bali się partyzantów? Albo w lesie nie mieli dokumentacji, ewidencji czy jak to zwał i chcieli sprawdzić jakieś szczegóły? Tak, to prawdopodobne. Ile go katowali? Godzinę? Dwie? Zobaczyli, że nic sensownego z niego nie wycisną, to wyprowadzili pod mur.

Wreszcie Sławek wyjął z kieszeni zagadkową szklaną rurkę. Obejrzał uważnie. Nie była opisana, zauważył jednak, że ścianki miała znacznie grubsze niż standardowa fiolka na aspirynę. I korek nie był gumowy, tylko szklany i szlifowany. Wykręcił go ostrożnie. Pociągnął nosem. Zawartość nie miała żadnego zapachu. Zagadkowych fasolek było ponad dwadzieścia. Wytrząsnął jedną na dłoń. Nie była specjalnie ciężka, ot, jakby trzymał kamyk.

– Faktycznie wygląda na jakiś rodzaj drobnej fasoli – mruknął do siebie. – Te wzorki są podobne, ale nie identyczne. Dzieło natury czy człowieka? W dotyku zimne.

Stuknął o metalowe okucie pryczy. Podszedł do okna i pociągnął po szybie. Na szkle została wyraźna rysa, ale na powierzchni przedmiotu nie pojawił się żaden ślad.

Twarde. Barwne szkło albo jakiś spiek ceramiczny? – zadumał się. A może minerał? Co to może być? Koralki? Nie mają dziurek.

Wrzucił ziarenko do pozostałych i zakorkował. Przez chwilę odruchowo wycierał dłoń o spodnie. Nie wiedzieć czemu, miał wrażenie, jakby dotknął czegoś brudnego. Raz jeszcze analizował wypadki poranka.

– Artemij uciekał – powiedział półgłosem. – Strzelali do niego. Ale gestapowiec w zasadzie nie pytał o chłopaka. Zatem ta śmierć była chyba przypadkowa. Poszedł do lasu, zobaczył Niemców i rzucił się do ucieczki. Skoro uciekał, pomyśleli, że ma coś na sumieniu, złapali za karabiny. Tak chyba było. Też przecież próbowałem uciec. Ba, kto by nie próbował?

Znów wyjął fiolkę. Nie otwierał, przyglądał się zawartości przez szkło.

To jest coś ważnego, pomyślał. Bardzo ważnego, skoro Artemij, umierając, kazał mi to przekazać aptekarzowi. Może to minerał, z którego robi się jakieś

lekarstwa? A może trucizny? Dowiem się, jak mnie wypuszczają.

A jeśli nie? Jak to przekazać adresatowi?

*

Zapadał wieczór, gdy na korytarzu załomotały ciężkie buciory esesmana. Chłopakowi serce podeszło do gardła. Przesłuchanie, czyli będą bili. A jeśli od razu pod mur? Szczęknęły zasuw. Szedł jak na ścięcie. Na szczęście Niemiec odprowadził go tylko do kancelarii. Oprócz „znajomego” urzędnika Sławek spostrzegł Szulca, wójta swojej gminy. Poczul coś na kształt nadziei. Gruby szkop bez słowa wyszedł, zostawiając ich samych. Przywitani się.

– Wpadłeś, młody, jak śliwka w gówno – westchnął folksdojcz po polsku.

– Ale ja nic nie zrobiłem – zaprotestował chłopak. – Zbierałem tylko chrust.

– Wiem, ale oni mają to w dupie. Akurat tego dnia przeczesywali lasy z psami, szukając ukrywających się Żydów. Zadzwonili do mnie. Poręczyłem za ciebie, tłumaczyłem, że porządni z was ludzie. Zasugerowałem, że za wypuszczenie umielibyśmy się jakoś odwdziżyć. Ale nic nie wskórałem. Normalnie pewnie bym ich ugadał i cię wyciągnął. Niestety, ten cały sturmbannführer Stier, który cię złapał, to jakaś szycha, przyjechał ze swoimi ludźmi z sąsiedniego powiatu. Miejscowi boją się mu podskoczyć. Ze mną ledwo chciał rozmawiać. Ale uzyskałem tyle, że nie pójdziesz do obozu koncentracyjnego, tylko pojedziesz na roboty. Gdzie trafisz, cholera wie. Jak do fabryki czy na budowę, marny twój los. Ale może skierują na wieś do bauera, to trochę większe szanse. Załatwiłem, że taką rekomendację wpiszą w papiery. Ale o przydziałach decyduje jakaś centrala w Lublinie. Tam już nie mam żadnych możliwości.

– Dziękuję panu – wykrztusił chłopak.

– Wiem, nie w smak ci, bo to kara za niewinność, ale wojna jest. Większość ludzi za niewinność cierpi, a nawet ginie. Ja już nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. – Mężczyzna zagryzł wargi.

– Mówili, na jak długo mnie biorą?

– Diabli ich wiedzą. Może potrzymają i za jakiś czas puszczą, a może nie. Może do końca wojny tam zostaniesz. Rzesza wysłała na front nieprzebrane ilości mężczyzn. Żeby nie runęła gospodarka, potrzebuje na ich miejsce niewolników. Twoją rodzinę zawiadomiłem. Twój ojciec przyjechał ze mną, ale został w samochodzie, nie pozwolili na widzenie. Jakiś regulamin zabrania. Masz tu paczkę z ubraniami, żebyś miał na zmianę. W kieszeni spodni jest też zegarek, różaniec i trochę pieniędzy. I daj znać rodzinie, jak będziesz na miejscu. Ludzie wysłani na roboty zazwyczaj mogą pisać do domu. A wojna? Kiedyś się skończy. Byle doczekać.

*

Ostatni etap podróży Sławek odbył zwykłym pociągiem. Archaiczna ciuchcia, pamiętająca czasy cesarza Wilhelma I, ciągnęła trzy w zasadzie puste wagony. Byli gdzieś na północ od Olsztyna. Konwojował go starszy wiekiem Niemiec ubrany po

cywilnemu. Szwab miał dobroduszny wygląd, a o tym, że wykonuje zadanie, świadczył tylko skórzany pas ze strażacką klamrą i przyczepiona do niego wyszmelcowana skórzana kabura. Przez pół drogi drzemał.

Może warto by uciec? – rozważał chłopak, taksując wzrokiem pochrapującego strażnika. Ciekawe, w której kieszeni ma klucz od moich kajdanek. I pistolet mógłbym mu wyciągnąć.

Ale wreszcie dojechali. Dworzec był małym budynkiem z czerwonej cegły. Konwojent zdjął Sławkowi okowy i przekazał go zawiadowcy stacji. Sam jechał dalej. Kolejarz, wyraźnie zafasowany nieoczekiwanym „gościem”, wskazał chłopakowi ławkę w poczekalni, a sam poszedł do kantorka i wykonał kilka telefonów. Poszwargotał z kimś i chyba wreszcie dostał instrukcje.

– Siadaj i czekaj, aż przyjadą po ciebie – polecił chłopakowi. – Głodny pewnie jesteś? Masz tu kanapkę z pastą jajeczną.

Zaparzył też herbaty. Sławek podziękował. Siedział na ławce w poczekalni, pił dobrą, gorzką herbatę, zagryzał pajdą chleba i rozglądał się wokoło. Na ścianach wisiały równo naklejone plakaty propagandowe, przeważnie przedstawiające łopoczące sztandary, „rzymskie” orły ze swastykami w szponach i niemieckich żołnierzy toczących heroiczny bój z Sowietami. Mapa Europy ukazywała, skąd wywodzą się jednostki Waffen SS walczące na froncie wschodnim. Zamieszczono też reprodukcje ich emblematów. Po stronie Hitlera walczyli ochotnicy z całej zachodniej Europy, nie tylko Włosi czy Hiszpanie, ale też przedstawiciele krajów okupowanych przez Niemców.

Garść renegatów znajdzie się wszędzie, pomyślał. U nas w gminie przecież też byli i soweciarze, i potem folksdojcz.

Za oknem widział wyłożoną klinkierem drogę, za pagórkiem dachy jakichś domów. Dojadł i wyszedł przed budynek. Wciągnął głęboko powietrze. Pachniało wiosną.

Prawie jak u nas w miasteczku, tylko ziemia znacznie gorsza, pomyślał. Ciekawe, jak długo mnie tu potrzymają. A może jak popracuję kilka miesięcy, to i urlop jakiś będzie się należał?

Zaraz zgañił się za te niedorzeczne myśli. Nie słyszał nigdy, by ktokolwiek wywieziony na roboty dostał urlop i przyjechał do domu. Choć ze dwie, a może i trzy osoby z gminy po kilku latach pracy dla Niemca wróciły.

Zawiadowca też wyszedł przed budynek. Zapalił papierosa, nawet zaproponował chłopakowi. Milczał przez chwilę, jakby zbierając się w sobie.

– Tam, gdzie będziesz pracował – odezwał się wreszcie – uważaj na takiego młodego, rudego, Otto ma na imię. Esesman. Wyjątkowe bydlę – ściszył głos. – Na szczęście przebywa głównie gdzieś w Rosji.

Sławek podziękował za informację. Zza wzgórza dobiegło rytmiczne kląskanie kopyt i po chwili nadjechała bryczka zaprzężona w dwie ładnie umaszczone klacze. Chłopak już na pierwszy rzut oka ocenił, że konie są stare. Kości grzbietu rysowały się wyraźnie pod skórą. Chabety dreptały apatycznie, jakby zmęczone życiem. Z kozła zeskoczył chudy mężczyzna, starszy od Sławka o jakieś dziesięć lat. Na głowie nosił przedwojenną studencką czapkę. Nakrycie głowy było mocno zdefasonowane.

– Piotr – przedstawił się. – To ciebie przysłali nam do pracy?

– Sławek – bąknął zapytany, ściskając mocną, spracowaną dłoń.

– Gdzie pokwitować? – przybysz zwrócił się do zawiadowcy po niemiecku.

– Herr Helmut musi osobiście. – Kolejarz pokręcił głową. – I nie u mnie, tylko listownie albo telefonicznie w urzędzie.

– Przekażę.

Zawiadowca uchylił uprzejmie czapki i wrócił do siebie.

– Siadaj na kozioł, młody – polecił student. – Masz jakieś bagaże?

– Tylko tobolek z ubraniami.

– Daj go pod ławkę. Jestem tu jakby za brygadzystę. Słuchaj się mnie, a jak czegoś nie będziesz wiedział, pytaj. Lepiej zadać dziesięć głupich pytań, niż podpaść szwabom. Najważniejsze. Znasz niemiecki?

– Tak.

– Dobrze?

– Ojciec dobrze po niemiecku mówi, w młodości pracował w Zagłębiu Ruhry. Przez kilka lat mnie uczył. Jeszcze zanim nas napadli, na wszelki wypadek.

– Bardzo mądrego masz ojca – stwierdził Piotr. – Teraz słuchaj, od dziś nie znasz niemieckiego. Coś tam dukaj łamanym, niby że się starasz, dostaniesz polecenie, powtórz innymi słowami, powoli, jakbyś szukał wyrazów w głowie. Udawaj głupszego, niż jesteś. Ale słuchaj uważnie, co między sobą szwargoczą. To ważne, żebyśmy wiedzieli, o czym gadają, a oni nie mogą podejrzewać, że rozumieją. Jeszcze jedno. Zauważysz, że nas nie pilnują. Da się stąd uciec. Pozornie. Po pierwsze, cała okolica to wioski, majątki ziemskie i małe miasteczka. Tu każdy zna każdego z widzenia chociaż. Obcy nie ma dużych szans przemknąć się niepostrzeżenie. Po drugie, jak nawet dotrzesz do miasta bez dokumentów, nie kupisz w kasie biletu na pociąg. Byle konduktor zapyta cię o kenkartę, leżysz i kwiczysz. Możesz spróbować pojechać pociągiem towarowym, ale jak cię bahnschutze przyuwają, będą strzelali bez ostrzeżenia. A pieszo nie dojdiesz do domu. Zwłaszcza bez mapy.

– A jak złapią?

– Jak będziesz miał szczęście, dostaniesz parę miesięcy obozu koncentracyjnego na ostrzeżenie. A jak pecha, to w ogóle zostaniesz w obozie. A jeśli nawet nie złapią, to zwiną na roboty kogoś z twojej rodziny, żeby się rachunek zgadzał. Albo i kilkoro ze wsi, na postrach i żeby ludzie cię nienawidzili, gdybyś wrócił. Pamiętaj, zawsze i w każdych okolicznościach trzymać fason przed szwabami. Wypłacasz się nocami. W dzień musisz grać twardego jak dębowa deska.

– Słyszałem niedawno podobną radę – przypomniał sobie Sławek.

– Słuchaj mądrych rad.

– Gdzie trafiłem i jak tu jest?

– Trafiłeś do szwabów, a to już nie jest dobrze. To spore gospodarstwo rodzinne. Jak to na wsi, masa ciężkiej roboty, często brudnej i śmierdzącej. Wszystko mocno podupało ostatnimi laty. Dwaj synalkowie gospodarza nie mają do tego ręki, więc kilku niewolników spadło im jak z nieba. Umyślili sobie naszymi rękami nadrobić wieloletnie zaniedbania. To jest minus. Jesteśmy na wsi, więc karmią przyzwoicie. Frykasów się nie spodziewaj, ale głodny chodził nie będziesz. I to jest plus. A zważywszy na złe czasy i sytuację, rzekłbym, ogromny plus. Teraz tak. Właścicielem jest nominalnie staruszka, niegdyś nauczycielka. Ma na imię Helga. Liczy sobie z dziewięćdziesiąt lat. No, może trochę przesadziłem. Głupia jak but, głupio gada, ale nią się nie przejmuj. Niegroźna. Mieszka z nią dwóch synów. Helmut stracił nogę w poprzedniej wojnie. Kawał skurwysyna. Heinz jest jakby bardziej do rzeczy. Studiował coś tam kiedyś, też przed pierwszą wojną. Helmut ma dwóch synów. Freder służy w wermachcie. Niegłupi facet, jak na hitlerowca. Otto to esesman, też służy na

wschodzie. Bydlę. Na szczęście nieczęsto bywają w domu. Był jeszcze jeden brat, bodaj Günter, ale poległ we wrześniu trzydziestego dziewiątego, więc cała rodzinka ma do Polaków kosę.

– Fiu.

– W domu jest jeszcze hausherrin, to po naszymu jakby ochmistrzyni – tłumaczył student. – Ma na imię Marta. Stara panna pod trzydziestkę. Ona układa całą robotę i mówi, co mamy robić. Z nią ostrożnie, bo jest drażliwa. Jak to Niemka. Mnie już poznałeś, dodam tylko, że jestem spod Częstochowy, a wojna przerwała mi studia w Warszawie. Planowałem poświęcić się biologii. Michał to mieszczuch, był inspicjentem w teatrze. Leń i obibok, nawiasem mówiąc, przez co i nam się obrywa. Są jeszcze dwaj Ukraińcy gdzieś znad Zbrucza, stary Ihor i jego cioteczny wnuk czy może pociotek Mykoła. Porządni ludzie, ale trzymają się na dystans. Między sobą nawijają tylko po ukraińsku.

– Znam trochę ten język. U nas w miasteczku mieszkali głównie Żydzi, ale w gminie i po wsiach Rusini to gdzieś jedna trzecia gospodarzy.

– Hmm. O nic ich nie podejrzewam, ale może na wszelki wypadek nie chwal się, że rozumiesz, co gadają – poradził Piotr.

– Niebrzydko tu, ale gleby, jak widzę, bardzo marne. – Chłopak rozglądał się zaciekawiony po okolicy.

– Piaski, jak w wielu miejscach na Mazurach. Lasy też kiepskie, głównie sosna. Jeziora za to rybne. I łąk sporo, więc krowy wypasają.

Zajechali, gdy nad osadą zapadał już powoli zmierzch. Przejechali przez ryneček. Chłopak spostrzegł strzelistą gotycką wieżę kościoła, kilka domów i budynek ozdobiony okazałym proporcem ze swastyką.

– Koło gospodyń wiejskich – wyjaśnił student. – Coś tam dziś urządziły babiszony, pieczenie ciast czy zawody w szydełkowaniu, to szmatę wywiesiły, złotem haftowaną, jak na koszarach SS. Tu jest sklepik. Niby spożywczy, ale jak to na wsi, zarazem drogeria, trafika, apteka, księgarnia i poczta. Potrzebujesz czegoś? Halt! – ściągnął lejce. – Jak nie masz pieniędzy, to ci trochę mogą pożyczyć.

– Mam piętnaście marek. Napisałbym kartkę do domu, że żyję i gdzie jestem.

*

Zjechali z drogi. Za płotem widać było spory dom z ładnym gankiem. Budynek otynkowano na biało, co ładnie współgrało z czerwoną barwą dachówki. Jasnowłosey chłopak mniej więcej w wieku Sławka otworzył kutą metalową bramę. W rozcięciu jego koszuli podskakiwał na rzemieniu spory prawosławny krzyż wycięty z ciemnego drewna. Wokół brukowanego dziedzińca stały zabudowania – duża murowana stodoła, długi budynek obory, jakieś spichlerze i przybudówki. Budynki wzniesiono głównie z czerwonej cegły. Zeskoczyli z bryczki. Chłopak zamknął bramę.

– Mikołaj jestem, ale mów mi Mykoła – przedstawił się. – Hausherrin już do nas lezie, zrób dobre wrażenie – doradził przybyszowi i zabrał się do wyprzęgania koni.

Ochmistrzyni okazała się chuda, jej włosy miały niezdrową barwę melasy. Była blada i Sławek nie mógł się pozbyć wrażenia, że kobieta na coś choruje. Na prosta, mocno spraną sukienkę założyła fartuch. Otaksowała przybysza długim, uważnym spojrzeniem.

– Marta – przedstawiła się. – Ja tu wszystkim zarządzam. Roboty jest dużo i nie będę tolerowała żadnego obijania się. Rozumiesz po niemiecku?

– *Ich bin wenig. Etwas, etwas aber verstehen* – odparł Sławek.

Skrzywiła się. Zgięła mu rękę i bezceremonialnie obmacała mięśnie. Chłopak poczuł się jak na targu niewolników.

– Wedle dyspozycji miał być dorosły, silny mężczyzna do ciężkich robót, a przysyłają takie byle co – burknęła pod nosem i odeszła bez słowa.

Nadszedł mężczyzna około trzydziestki. Piotr przedstawił go jako Michała. Facet miał nijaką twarz, blisko osadzone oczy i przylizany wąsik. Miastowe, niegdys eleganckie ubranie wisiało na nim. W przeszłości musiał być znacznie grubszy.

Wepchnęli bryczkę do wozowni. Oprócz niej w pomieszczeniu mieściły się jeszcze dwa wozy i ciężkie sanie, a pod ścianą leżały elementy umożliwiające szybkie zmontowanie drabiniaka do zwózki siana. W oborze wymurowanej z cegły i łupanego kamienia porykiwały krowy. Konie miały oddzielną stajnię. Sławek zauważył, że zaprawę niedawno pouzupełniano. Wysolenia i ślady przyschniętych zacieków wskazywały, że mur ciągnie wilgoć od fundamentu.

– Nasza kwatera, dawny kurnik. – Student pchnął drewniane drzwi na lewo od głównego wejścia. – Tu będziesz spał, ze mną i z Marcinem. Królewskie komnaty to nie są, ale na głowę nie leci. I myszy nocą po twarzy nie biegają.

Sławek jednym spojrzeniem otaksował ciasne pomieszczenie. Łóżka niezbyt starannie zbite z desek, stare pasiaste materace z trawy morskiej, nakryte spranymi prześcieradłami, nieźle nabite poduszki i sfilcowane koce. W stolik wpuszczono emaliowaną miskę, było nawet lekko zmętniałe lustro, wiszące na ścianie. I piecyk „koza” w kącie. Po brudnych i zatłoczonych aresztach i więzieniach etapowych kłitka wydała się Sławkowi całkiem znośnym miejscem.

– Da się żyć – mruknął.

– Wegetować – poprawił go towarzysz. – Lepiej tu niż w obozie. Prawdziwe życie polega na czymś zupełnie innym. – Zapatrzył się w przestrzeń. – Muzyka, książki, gazety opowiadające, co się na świecie dzieje. Do kościoła w niedzielę, do teatru czasem, na koncert z dziewczyną albo do kina. Piwo z kumplami. Muzea. – Zagryzł wargi. – Niemiecka polityka to wychować nas na niewolników. Dach nad głową, micha z podłym zarciem, ale nic ponadto.

– Nie uda im się – mruknął Michał.

– Od razu nie. Ale jeśli okupacja potrwa jeszcze dziesięć lat? Gdy dorośnie pokolenie, które nie będzie pamiętało przedwojennej Polski? Albo dwa pokolenia? Biblioteki spalone. Programy szkolne zredukowane do minimum. Za tajne nauczanie idzie się do obozu albo jeszcze gorzej. Co z naszych dziejów i tradycji przekażesz dzieciom ustnie? Jedyne nadzieje, że szwabyszy szybko i dotkliwie przegrają na wschodzie.

– Może i tak. Ale lepiej o tym nie gadać tak otwarcie – zreflektował się miastowy. – Jeszcze jakiś szkop podsłucha. Otto nieźle mówi po polsku. Gdzie się nauczył? W czasie służby czy może od kolegów tu w szkole? Ci starzy też mogą znać nasz język.

– Masz rację – kiwnął głową Piotr. – Umiesz doić? – zwrócił się do Sławka. – Głupie pytanie, wybacz, przecież ze wsi jesteś. Pójdiesz z Mykołą, pomożecie staremu.

Pod sufitem obory wisiały na kablach trzy żarówki. Krów było sześć. Oddzielnie w boksie zamknięto jeszcze jałówkę. Zadbane, dobrze wypasione zwierzaki przeżuwały apatycznie siano. Ihor liczył sobie około siedemdziesiątki. Obfita biała broda opadała mu na piersi. Twarz miał mocno zniszczoną i Sławek odniósł wrażenie,

że staruszek lubi sobie chlapnąć mocnego samogonu. Mimo wieku doił szybko i bardzo zrecznie. Napelniali kolejne wiadra. Wieczorny udój przywabił kilka kotów.

– Miauczą zupełnie jak nasze – zażartował Mykoła, nalewając im do blaszanek trochę mleka. – Ciekawe, czy rozumiałyby się wzajemnie, czy też mają różne języki.

– *Chto znaje* – westchnął stary po ukraińsku.

*

Sławek i Mykoła odstawili wiadra z mlekiem do komory. Obok była też umywalnia. Szybko wyszorowali dłonie paskudnym, gliniastym mydłem i wytarli je w ręcznik zrobiony chyba ze starego worka. Kolację podano im w letniej kuchni, dobudowanej do głównego domu. Pomieszczenie oświetlały dwie żarówki, i to nie byle jakie, miały co najmniej po piętnaście watów. Przy stole siedzieli już pozostali robotnicy. Hausherrin wskazała chłopakowi krzesło. Przy nakryciu leżała drukowana na tekturze przepustka, szpulka nici z wbitą igłą oraz cztery naszywki, obrębione romby z szarego sukna z wyhaftowaną literą P.

– Naszyć należy na zewnętrznej odzieży, jedna na prawym ramieniu, druga na lewej piersi – poinstruowała. – Przepustkę zawsze nosisz przy sobie. Jakby zatrzymała cię policja, pokazujesz. Rozumiesz?

– *Jawohl!* – odpowiedział automatycznie. – *Ich zeige der Polizei die Halskette an meiner Schulter?* – Zamarkował ruch ręką.

– *Dumkopf* – westchnęła.

Piotr puścił do niego oko. Kobieta wróciła do pieca i zamieszała w garnku. Sławek rozglądał się po wnętrzu. Szeroki blat obity miedzianą blachą kończył się zlewem. Kran miał dwa kurki, widocznie dla wygody zmywających była tu ciepła i zimna woda. Kafłowy piec kuchenny przypominał ten z jego domu. Kredensy, ciężkie, oszklone meble z ciemnego drewna, kryły kilka różnych kompletów zastawy. Stół nakrywał obrus, zetlały i pokryty zapranymi plamami. Na ścianie wisały szafki, szwarcwaldzki zegar i drewniany talerz. Przypominał polskie talerze używane do chleba podczas świąt. Pośrodku wyrzeźbiono snop zboża i dwa cepy, a wyżej oko opatrności, ale wokół rantu biegł napis gotykiem:

– *Unser täglich Brot* – odcyfrował początek. – Nasz codzienny chleb.

Ochmistrzyni zacerpnęła chochlą i naląła do pięciu misek wodnistej grochówki. Dokroiła jeszcze każdemu po pajdzie komiśniaka. Chleb był ciemny, konsystencją przypominał kit, ale Sławek po kilku dniach aresztanckiego wiktury jadł go z przyjemnością.

– Znalazłaby pani chłopakowi jakąś skrzynkę na rzeczy i drobiazgi osobiste? – zapytał Piotr po niemiecku.

Kobieta weszła do składziku, długo przewracała jakieś sprzęty. Wreszcie wynurzyła się ze sporym drewnianym pudłem. Wieko było poznaczone dziurkami po kornikach, na ściankach namalowano kiedyś motyw kwiatowy, ale obrazek spękał i poczerniał ze starości.

– *Danke* – uklonił się Sławek.

Zaraz też przełożył do środka zawartość kieszeni. Nie miał wiele rzeczy – blaszany grzebień, który dostał w więzieniu w Lublinie, różaniec, zegarek, którego jakimś cudem nie skonfiskowano, notes, ołówek, wieczne pióro. I jeszcze ta szklana

fiolka z zagadkową zawartością. Ihor nagle przestał wycierać miskę skórką chleba i zmarszczył czoło. Zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tym właśnie momencie hausherrin postawiła na stole tacę z kolejnymi pięcioma kromkami. Tym razem ukroiła cieniej, za to na każdej białą cień smalcu i kilka pojedynczych skwarek.

Dojedli. Piotr zapalił świecę, wsadził ją do latarki. Mykoła zrobił to samo. Jak się okazało, obaj Ukraińcy mieszkali obok, w dawnym spichlerzyku. Oba pomieszczenia dzieliła tylko ścianka z cienkich desek. Przed snem Sławek natarł włosy odrobiną octu sabadylowego i mocno owinął ręcznikiem.

– Tak profilaktycznie – wyjaśnił.

– Słusznie. Tylko wszy nam do szczęścia brakowało. – mruknął Michał. – Nie sprawdzali ci włosów?

– Na etapie w więzieniu tylko zgolili na krótko. Sprawdzać to sprawdzali wszystkich więźniów po kolei, czy któryś jest obrzezany. – Sławek zaczerwienił się.

– Słyszałem, że przed deportacją ukryło się nawet kilkadziesiąt tysięcy Żydów.

– Michał pokiwał głową. – W Warszawie od razu, jak tylko Niemcy getto zrobili. Od razu co mądrzejsi załatwiali sobie aryjskie papiery i kombinowali, co tu zrobić, żeby tam nie trafić. Ale szwabys mieli przygotowane szczegółowe listy meldunkowe. Głupi nie są, widzą, ilu brakuje. To i szukają.

– Obok w oborze jest prąd – zagadnął Sławek.

– Jest. Wiem, o czym myślisz, żeby podciągnąć tu światło, wystarczyłyby dziurka w ścianie i dwa metry drutu. Ale najwyraźniej w tysiącletniej Rzeszy krowy są ważniejsze niż niewolnicy. Przyzwyczajaj się.

Piotr rozdmuchał żar w kocioł i dołożył dwa polana.

– Pomódlmy się za szczęśliwy powrót do domów i śpijmy. Jutro będzie harówka – mruknął, patrząc w ogień.

Pozostali zasnęli od razu, ale Sławek długo przewracał się z boku na bok. Michał rzucał się we śnie i mamrotał coś pod nosem. Powtarzał dwa albo trzy kobiece imiona, reszty wyrazów nie dawało się rozróżnić. Wreszcie chłopak zapadł w sen. Obudził go jakiś dźwięk. Leżał, nie otwierając oczu. Za cienką ścianą z desek usłyszał szmer rozmowy prowadzonej półgłosem po ukraińsku.

– Widziałeś to kiedyś? – spytał Mykoła.

– Tylko raz – odpowiedział stary Ihor. – Mój dziadek, a twój prapradziadek miał jedno. Przekazał mojemu bratu, a twojemu dziadkowi.

– Czyli mam rację.

– Tak. Dziadek sam się tego bał. Wiele razy rozważał, czy nie rzucić w ogień. To niebezpieczne, śmiertelnie niebezpieczne. Trzeba ogromnej ostrożności, tak mówił.

– Mnie powiedział, że to na naprawdę czarną godzinę. Gdy nie będzie żadnej innej możliwości. Na najgorszego wroga. Bo w tym jest śmierć. Na razie to tylko skrzynka zabezpieczonych granatów. Groźna, ale gdyby tego użyć, to jak spuścić z łańcucha samego diabła!

– Jesteśmy w ręku najgorszego wroga – mruknął stary.

– Wiem! – syknął młody. – Ale to straszny grzech!

Rozmowa urwała się. Sławek po chwili znów zasnął.

Obudziła ich hausherrin. Załomotała do drzwi krótko, ostro, jakby gniewnie. Potem bezceremonialnie nacisnęła klamkę i wetknęła przez szparę swój cienki nos.

– *Aufstehen!* – burknęła.

– *Jawohl, Frau Marta, jawohl!* – zakpił Piotr.

Ochlapali szybko twarze w misce. Piecyk wygasł kilka godzin wcześniej. Lodowata woda i chłód panujący w komórcie pomogły się rozbudzić. Przeszli do kuchni. Na stole rozłożono już talerze i przyniesiono kubki z kawą zbożową.

– Wspomniałeś wczoraj, że na roboty trafiłeś dzięki temu, że wójt cię wybronil? – zagadnął Piotr.

– Nasz wójt to folksdojcz, ale nie jakaś wielka świnia. Faktycznie miał ojca Niemca, ale stara się nie ubrudzić rąk. Gdzie może, tam przymyka oko – wyjaśnił chłopak.

– Aaaa. Rozumiem.

– No to fart, bo my mieliśmy fanatyka – westchnął Mykoła. – Niemcem to był chyba jego pradziadek, ale jak tylko wkroczyli, nabrał wiatru w żagle. Rozkręcił się, jakby od dziecka czekał na taką okazję. Masa takich, niestety. Poczuli siłę.

– *Ce taki djawolski dopust* – burknął Ihor.

Piotr spojrzał pytająco.

– Ja bym to wyraził myślą: „Grzech to samotność szatana” – dodał młody już po polsku.

– Nie rozumiem? – Sławek spojrzał na rówieśnika.

– Nasz krewny batiuszka tłumaczył, że zło przyciąga z magnetyczną siłą – zamiast Piotra odezwał się Mykoła. – Gdy Bóg strącił Lucyfera do piekła, ten trafił tam sam, zupełnie sam. Wcześniej był jednym z aniołów. Przebywał wśród nich. A tam znalazł się z nieczystymi duchami znacznie niższych rang. Nudzi się. Nawet nie ma z kim rozmawiać. Popycha nas do złego, bo go bawi obserwowanie, jak się krzywdzimy nawzajem, ale ta rozrywka nie rozprasza jego straszliwej samotności. A grzesznicy czują odbicie tych jego myśli. I porażeni echem tej pustki lgną do siebie. Hitler jest antychrystem. Ta samotność bije z niego, brudzi jak smoła jego wyznawców. I przyciąga zło. Złych ludzi. Coraz więcej i więcej. Bo oni zarażają się tą pustką i samotnością, a w kupie im trochę raźniej.

Stary kiwnął głową, jakby potwierdzając wyjaśnienia młodszego krewniaka.

Piotr poskrobał się po głowie.

– To bardzo głęboka myśl i warta rozważenia. Ale dobrzy ludzie też zbierają się w gromady, żeby wspólnie robić różne rzeczy – zauważył. – Bywa przecież nawet i tak, że wszyscy razem budują szkołę czy kościół.

– To co innego. To chrześcijańska radość z bycia razem.

– Też macie problemy z samego rana – burknął Michał, poirytowany. – A mi się śniło, że wojna się skończyła, a ja zza kulis patrzę sobie na piękną rewię.

Wróciła Marta.

– Wy trzej!... – wskazała Ukraińców i miastowego. – Trzeba nadgonić robotę z rozbiórką ruin obórki. Ty – wskazała Piotra – pojedziesz do młyna, a potem do rymarza, niech poprawi uprzęż. Weź ze sobą tego nowego, niech pozna trochę okolicę. Przyda ci się do pracy przy workach.

Wytoczyli z powozowni furmankę. Piotr zaprzął dwa konie, Sławek i Mykoła, poganiani i besztani przez Niemkę, wyciągnęli ze spichlerza cztery worki z ziarnem i umieścili w koszu pojazdu. Przejechali szybko przez miasteczko.

– No to upiekło ci się pierwszego dnia – mruknął student. – Oni tam będą tyrać przy gruzie, a my na wycieczkę sobie pojedziemy. Młyn jest tam za lasem i za wzgórzami. Postawili go w miejscu, gdzie woda uchodzi z jeziora. I jeszcze po drodze coś ci pokażę.

Wjechali w las. Klacze człapały niespiesznie, student co jakiś czas sięgał po bat, a wtedy na chwilę przyspieszały, by zaraz znów zwolnić.

– Te szkapy to już staruszki – zauważył Sławek.

– Ano widać po nich wiek. Stawy opuchnięte, ledwo leżą, to i ich mocno nie poganiam. Wszystkie młode i zdrowe konie od dawna na froncie. Zostały ostatnie chabety, niezbędne, żeby w ogóle pola obsiać. Bo traktory też zabrali.

Nieoczekiwanie za zakrętem trafili na posterunek. W poprzek drogi rozstawiono kozły zbite z beleczek, dwaj Niemcy w mundurach SS siedzieli w zaparkowanym zündappie, nudząc się jak mopsy. Jeden strugał bagnetem kawałek gałęzi, drugi czytał wymiętoszoną gazetę.

– *Halt!* – Ten grubszy, usłyszawszy stukot końskich kopyt, odłożył swoją „rzeźbę” i leniwym ruchem uniośł rękę.

Piotr ściągnął lejce. Szkop podszedł, drapiąc się po tyłku. Pobieżnie sprawdził ich dokumenty, ziewnął, po czym machnął dłonią, żeby jechali.

– Co jest grane? – zdziwił się Sławek.

– Pewnie prace w lesie.

Za zakrętem usłyszeli huk siekier. Po chwili spostrzegli paru konwojentów z SS. Z boku drogi kilkunastu więźniów pracowało przy ścinie drzew. W złachanych strojach chłopak rozpoznał sowieckie mundury. Zagryzł wargi. Dobrze pamiętał październik trzydziestego dziewiątego. Sowieci gospodarowali w gminie niespełna cztery tygodnie. A gdy wreszcie się wynieśli, nawet sklepikarze Żydzi wkroczenie Niemców przywitani z radością i nadzieją. Teraz patrzył, jak wychudzeni, brudni i zarośnięci Sowieci tyrają, ociosując kolejne powalone pnie. Dostrzegł, że kostki nóg opinają im obręcze kajdan. Piotr strzelił z bata. Konie na chwilę przyspieszyły. Minęli porębę i znów jechali przez las. Na poboczu drogi twarzami do ziemi leżały dwa ciała. Konie zastrzygły uszami i zaczęły parskać. Lekkie uderzenie lejcami ponagliło je do truchtu.

– Nie mieli już sił do pracy albo ulegli poważniejszemu wypadkowi jak złamana ręka czy noga, zastrzelono ich reszcie na postrach – powiedział Piotr, patrząc przez ramię na trupy. – W grobli, którą pojedziemy, też niejeden leży. Dla szwabów tacy jeńcy to najtańsza i najmniej wartościowa siła robocza. Ruscy mają robić, aż zdechną. W porównaniu z nimi jesteśmy tu na wczasach. Rzuciłbym im choć kawałek chleba, ale za dobrze są pilnowani. – Skrzywił się. – Czasem nachodzi mnie myśl, że oni wszyscy i tak są już martwi. Tylko termin pogrzebu na chwilę im odroczone.

– Nie potrafię im współczuć – wyrzucił z siebie Sławek. – Po prostu nie potrafię. Student nie odpowiedział, a Sławek mówił dalej:

– Byli u nas krótko, od końca września do połowy października. Potem weszła korekta granicy, oddali nasz teren Niemcom. Trzy tygodnie wystarczyły, by wszyscy ich znienawidzili. I takich zwykłych żołdatów, i tych z NKWD. U nas obejrzeli gospodarstwo, uznali naszą rodzinę za kułaków. Ukradli nam zegar z saloniku. Skonfiskowali krowę i dwie świnię. U sąsiadów zgwałcili córkę i co gorsza, zarazili jakimś świństwem. Leczyła się potem w Lublinie. Aresztowali też nauczyciela, weterana. Już nie wrócił. Nawet Żydom zabrali synagogę, zrobili tam magazyn łupów.

Strach było po miasteczku chodzić. Pili, bili, kradli. Nie byli wcale lepsi od hitlerowców. Może nawet gorsi.

– Rozumiem.

– Mówi się, że wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem. Ale czy to zawsze się sprawdza? Oni i Niemcy są jak dwie watahy wściekłych psów. Niech się zagryzają wzajemnie. Jedni warci drugich.

– Jesteśmy sumą naszych doświadczeń. – Piotr zapatrzył się w przestrzeń. – Masz złe wspomnienia. A ja nie mam żadnych, bo do mojego miasteczka nigdy nie dotarli. Ja widzę w nich ludzi takich jak my. Dla ciebie to było, bestie w ludzkiej skórze. Najbardziej zaś przeraża mnie myśl, że możesz mieć rację. Że dziś są pod wozem, ale biada nam, gdy kiedyś będą górą. Chleba bym im jednak rzucił.

Przejechali groblą rozdzielającą dwa nieduże jeziora. Nawierzchnia był równa, starannie ubito tłuczeń z wapnem. I znów znaleźli się w lesie. Student ściągnął lejce.

– Widzisz ten pagórek? – zagadnął. – Chodź.

Przedarli się przez krzaki jałowca. Na szczycie leżał nieduży głaz. Charakterystyczna woń sprawiła, że chłopakowi żołądek podszedł do gardła.

– Tu leżą ich Żydzi – powiedział mężczyzna półgłosem. – We wsi mieszkało kilka rodzin, razem tak ze trzydzieścioro, wliczając kobiety i dzieci. Trzy albo cztery lata temu zagonili ich tu do lasu i wystrzelali. Zabijała jednostka policji, ale miejscowi pomogli. Sąsiedzi sąsiadów, hitlerowska ich mać.

– Trzy lata.

– Tak. Albo cztery może. Jeszcze czuć. Zapamiętaj to miejsce. Wojna kiedyś się skończy. Trzeba tu będzie porządny pomnik postawić. Jakbyś obrócił ten kamień, to zobaczysz, że wykułem na nim gwiazdę Dawida. Dla zaznaczenia. I żeby spoczywali pod swoim znakiem.

– Mam zapamiętać? – Sławek spojrzał skołowany.

– Wojna to loteria. Nie wiemy, komu z nas będzie dane dożyć jej końca. Im więcej osób wie, tym lepiej. Jak przyjdą Ruscy, pewnie wyduszą całe to niemieckie robactwo do ostatniego. Wtedy będzie czas uhonorować ofiary hitleryzmu. I to zadanie dla tych, którzy ocaleją.

– Nawet ich nie znaleźliśmy.

– Ale pomnik musi być. Żeby było godnie. Kto wie, może gdzieś w szwabskich archiwach mają nawet listę rozstrzelanych. A nawet jak się nie znajdzie, wystarczy prosta macewa z tą gwiazdą i napisem. Człowiek nie powinien leżeć w dole jak zwierzę. Powinien mieć grób.

– Rozumiem – powiedział Sławek. – Mój dziadek porządkował stare groby. I te na cmentarzyku powstańców styczniowych, i te carskie z Wielkiej Wojny. Powiedział, że żywi mają swoje obowiązki wobec umarłych.

– Bardzo ładnie to ujął. A teraz jedźmy dalej. Na wszelki wypadek lepiej, żeby szwabcy nas tu nie przyuwały.

Wyjechali nad kolejne jezioro. Młyn nie był duży. Budynek wymurowano z granitowych bloczków, chyba pochodzących z rozbiórki czegoś innego. Koło wodne połyskiwało jasną barwą świeżego drewna. Podjechali do rampy. Sławek roztarł ręce, szykując się do roboty z rozładunkiem. Zaraz też pojawił się młynarz, chudy, wysoki blondyn z grzywką i nikłym wąsikiem przystrzyżonym „na Hitlera”. Złapał sznur z hakiem, zacpeł wiązanie worka hakiem i pociągnął jakąś dźwignię. Lina naprężyła się i wór śmignął w górę. Młynarczyk odczepił i przepchnął ciężar gdzieś w głąb.

Młynarz machnął ręką, żeby go zastąpili, i wszedł do środka. Piotr wybrał linę, podczepił kolejny wór.

– To na elektryczność czy jak? – zapytał Sławek.

– Nie. Mają tam w środku przekładnię, część mocy z koła młyńskiego idzie pasami transmisyjnymi do wyciągu – wyjaśnił student. – Cwane są szwaby, cholernie cwane.

– Niesamowite.

– Jesteśmy tu, młody, w czarnej dupie, ale wcześniej czy później wojna się skończy. Da Bóg, wrócimy do domu. Rozładujemy teraz worki, potem będzie chwila, to przejdziemy się po młynie i wszystko sobie obejrzymy na spokojnie i dokładnie. Niemcy będą zachwyceni, że kmiotki z Polski tak podziwiają ich wspaniałą technikę. A ty patrz i zapamiętuj. Ucz się. Podpatruj dobre rozwiązania, nawet gdy wymyślił je wróg, morderca i skurwysyn. Ucz się tego, co przydatne, choćby od hitlerowców. Dziś takie ułatwienia mają szwaby. Kiedyś wprowadzisz je u siebie na wsi, na pożytek Polakom. I to będzie jedyny twój zysk z pracy u tych gnojów.

– Nie jestem młynarzem – powiedział Sławek.

– To młynarzowi podpowiesz.

Niemiec zarządzający młynem, widząc zainteresowanie Sławka, faktycznie wszystko im pokazał. Pękał przy tym z dumy, prezentując niemieckie osiągnięcia. Gadał dużo, używał dość trudnych technicznych określeń, Sławek często nie znał słów, nie znał nigdy nawet ich polskich odpowiedników, ale starał się zapamiętać jak najwięcej. Koło wodne dostarczało mocy do kilku różnych urządzeń. Obejrzeni folusz do sukna i nieduży młot podrzutowy.

– Czyli koło wodne można wykorzystać nawet w kuźni – zdumiał się Sławek.

Część energii pasem transmisyjnym przekazywana była do przybudówki, gdzie napędzała generator elektryczny. Wreszcie odebrali worki z mąką i śrutą. Chmurzyło się trochę, więc Piotr od razu nakrył je starannie rogożą.

– Zrobimy mały łuk, zahaczmy o rymarza i wrócimy drogą przez miasteczko – wyjaśnił. – Nie pobłądzisz, gdybyś kiedyś musiał jechać sam?

– Droga w sumie bardzo prosta. Tam jest północ. – Sławek machnął dłonią.

– Zgadza się. Teraz słuchaj. Stary Horst to nie jest taki prawdziwy Niemiec. Drażliwy temat. Nie palnij czegoś.

– Rozumiem.

Gospodarstwo rzemieślnika leżało kawałek w bok od drogi. Stara chata stała niemal wciśnięta między cztery rozłożyste lipy. Pozostałe zabudowania wzniesiono z cegły. Zajechali na podwórze.

– Dzień dobry, panie Horst – uklonił się student.

– Dobry. – Stary odpowiedział po polsku. – Ten młody to nie Mikołaj?

– Nowy. Przysłali z urzędu pracy.

Przedstawił Sławka. Dziadek wskazał im miejsce na ławie. Puścił oko i zakręcił korbą studni. Po chwili trzymał w ręce wiadro. Ku zaskoczeniu chłopaka wyłowił ze środka trzy butelki piwa. Rozdał każdemu po jednej.

– Wasze zdrowie – burknął. – Żebyście kiedyś bezpiecznie wrócili do swoich domów i rodzin.

Odkorkowali porcelanki. Chłopak pociągnął łyk prosto z szyjki. Piwo było bardzo smaczne, dobrze schłodzone, banieczki gazu delikatnie szczypały w język. Przypominało chełmskiego wista.

– Oj, tego mi było trzeba – szepnął student. – Doskonale.

– Dobre piwo było przed wojną, teraz takie szczyzny warzą, że szkoda gadać – gderał staruszek. – Wstyd po prostu. Upada średniowieczna jeszcze niemiecka sztuka warzenia piwa. Zagryziemy zaraz chlebem z boczkiem i cebulą, żeby ta wasza hausherrin nie poczuła od was alkoholu – doradził. – Czasy takie, że... – Skrzywił się i splunął.

Przyjemnie było siedzieć na podwórzu, opierając się o nagrzaną słońcem ścianę, pić lodowate piwo z butelki i patrzeć, jak stary centymetr po centymetrze sprawdza uprząż. Całe napięcie ostatnich dni gdzieś uleciało, jakby wojny nigdy nie było. Żona rymarza przyniosła paterę, a na niej grubo pokrojone pajdy chleba z boczkiem, oprószone drobno siekaną cebulką. Podziękowali za poczęstunek.

– Karmią was podle, to widać – westchnął stary. – Heinz to jeszcze w miarę porządny człowiek, jak na Niemca oczywiście. Ale ten jego brat pieprzona kanalia. Złapał wiatr w żagle, od kiedy się zapisał do NSDAP. I ten synalek Helmuta, Otto. Na tego uważajcie. Bydlę z niego wyrosło nieprzeciętne. Zawsze kochał pieniądze. Gadali, że przed wojną to on rąbnął ze zboru puszkę na datki misyjne – ściszył głos. – Freder też świnia, nie taka jak brat, ale świnia. Piętnastu lat jeszcze nie miał, jak się do mojej wnuczki dostawiał, po cyckach ją macał. Jak dałem mu wtedy po gębie, mało zęby nie poszły.

– Myślałem, że tu sami Niemcy żyją – bąknął Sławek.

– I Niemcy, i Mazurzy, i Warmiacy, i tacy, co twierdzą, że pochodzą z rodziny pruskich. A nawet ci, co się nigdy nad tym nie zastanawiali, bo po prostu uważali, że są miejscowi. Ale na volksliście wszystkich niemal pozapisywali jako reichsdojczów. I młodych do wojska brali jak leci, nawet tych, którzy na co dzień po polsku gadali. I luteranów, i katolików, bo i takich tu trochę było, Warmia przecież niedaleko. A, byłbym zapomniiał. Ten Mikołaj, Mykoła czy jak mu tam, Ukrainiec, co z wami pracuje, i ten jego dziadek są prawosławni?

– Grekokatolicy – wyjaśnił student. – Na co dzień do cerkwi chodzą, ale słuchają nie patriarchy Konstantynopola, tylko naszego papieża – dodał, widząc, że stary nic nie rozumie.

– No ciekawe. A jak się modlą?

– Normalnie. Jak my. Klękają, żegnają się i odmawiają pacierze.

– Miałem na myśli do czego.

– Krzyżyk mają na ścianie, stary z drewna wyrzeźbił.

– Ha! To chyba będę miał coś dla nich.

Odłożył uprząż. Wszedł do domu, przez okno widzieli, jak grzebie w szafie. Wreszcie wyciągnął prostokątny pakunek owinięty w zetlałe, pruskie jeszcze gazety. Wyszedł na dziedziniec, rozciął sznurek kozikiem i odpakował z zawiniątka niewielką ikonę, poczerniałą ze starości. Przedstawiała młodzieńca trzymającego w dłoni skrzyneczkę. Wizerunek świętego pokryła siateczka pęknięć, ale płatki złota, którymi wyłożono tło, lśniły jak wczoraj położone.

– Nawet nie wiem, co tu jest napisane – przyznał mężczyzna – ale to chyba imię tego świętego.

– Święty Pantelejmon, uzdrowiciel i męczennik – Sławek odcyfrował niezbyt już wyraźne napisy wykonane ozdobną cerkiewną cyrylicą.

– Nie wiesz, czy to ich święty, czy prawosławny może? – zagadnął rymarz.

– Coś mi się przypomina, że to jeszcze czasy rzymskie. Chyba żył tak dawno temu, że nie ma to już żadnego znaczenia. Teraz to święty wspólny dla wszystkich kościołów chrześcijańskich. Ale może się mylę?

– No to zawieźcie w prezencie dla nich, powieszą sobie na ścianie i niech się nimi opiekuje. – Stary pociągnął łyk piwa. – U mnie tylko leży w szafie.

– Dziękujemy w ich imieniu. Ale jakim cudem tutaj ikona, i to bardzo stara?! Z poprzedniej wojny ktoś przywiózł czy jak? – zaciekał się Piotr.

– Widzicie, chłopcy... – Dziadek znów ucałował szyjkę butelki. – Dziwnie to zabrzmiało, ale tu niedaleko też była cerkiew. I klasztor taki malutki.

– Cerkiew tutaj!? – zdumiał się Sławek. – Myślałem, że na tych ziemiach to już tylko ewangelicy i katolicy żyli.

– Powiadają, że w czasach cara Piotra Pierwszego uciekło tu wielu prawosławnych. Nie takich zwykłych, ale tych, którzy nie słuchali władz cerkiewnych. Nie mogli wracać do Rosji, bo tam groziła im śmierć, więc tu osiedli pod opieką władców Prus.

Zdziwiony chłopak spojrzał pytająco na studenta.

– On ma na myśli raskolników, starowierców czy jak się mówi na staroobrzędowców – wyjaśnił Piotr. – W Rosji była reforma religijna, jeszcze w siedemnastym wieku. Zaczęli wymieniać księgi liturgiczne, bo uznali, że zawierają wiele błędów i trzeba je dostosować do greckich, znaczy do nowych tłumaczeń z greckich ksiąg liturgicznych. Nie wszystkim się spodobało, część wiernych wolała zostać przy dawnych zwyczajach. Nawet kilku biskupów przyłączyło się do buntu. Cała wojna domowa o to była. Zwolennicy starych tradycji zostali wymordowani lub zesłani na Sybir, ale niektórzy uciekli też do Polski, Finlandii, a nawet tu, do Prus.

– Pewnie tak właśnie rzecz się miała – kiwnął głową rymarz. – Ja człowiek nieuczony, powtarzam, com usłyszał od dziadka. Tu osiedli. Pierwej kilka tysięcy ich było. Pozakładali nad jeziorami wioski, osady, przysiółki. Postawili cerkwie i klasztory. Ale z pokolenia na pokolenie coraz mniej i mniej ich było. Jedni mimo ryzyka wracali do Rosji, inni wywedrowali w dalsze strony. Tam, po drugiej stronie jeziora, jest taki półwysep obrośnięty dębami błotnymi i starymi lipami. Mieli w tym miejscu cerkiewkę i klasztor. Malutki, kilku zakonników tylko. Dawno, będzie z osiemdziesiąt lat temu. Ja byłem dzieciakiem, gdy umarł ostatni mnich. Mój dziad i nasi sąsiedzi dobrze z nimi żyli, to pochowali go na cmentarzyku. Wraz z nim pogrzebali księgi liturgiczne i ikony. A także stary dzwon z cerkiewki, który niegdyś zwoływał na modlitwę. Znaczy nie w samej trumnie to złożyli, tylko obok. Tak sobie ten zakonnik przed śmiercią zażyczył. Zabudowania, cerkiew i inne budynki stały jeszcze przez lata, pamiętam, jak byłem mały, kilka razy tam zachodziłem. Wtedy tę ikonę znalazłem i zabrałem. Potem wejść do środka już było strach. Zapadał się dach, rozłaziły się belki ścian. Wreszcie pewnej wiosennej nocy jeszcze przed poprzednią wojną piorun uderzył i cerkiew spłonęła. Fundament tylko ocalał, bo z granitowych głazów był wymurowany, i resztki ścian. Skończyła się ich historia. Dziś to już co najwyżej prawosławne krzyże na cmentarzyku zostały albo i to nie. Temu ostatniemu, jeśli dobrze pamiętam, wycięto z kamienia. Pewnie stoi tam jeszcze, ale pozostałe były drewniane. Nie wiem, nie zachodziłem tam od lat. W piątek będzie do odbioru. – Zarzucił uprząż na kołki. – I zbierajcie się, bo was obsobaczą, że się włóczęcie cholera wie gdzie.

– Pewnie i tak obsobaczą – westchnął Piotr. – Dziękujemy za piwko i poczęstunek.

Wrócili akurat na obiad. Zapakowali wory do spichlerzyka. Marta zaserwowała wodnisty rosół w małych miseczkach. Sławek słyszał wcześniej, że Niemcy tak jadają, ale pierwszy raz widział podobny sposób podania. Na drugie danie

były kartofle ze skwarkami i zasmażana kapusta. Potrawy były znacznie bardziej tłuste, niż przywykł w domu, ale nawet smaczne i w zasadzie się najadł.

Po obiedzie hausherrin wysłała obu chłopaków do ogrodu. Reszta miała dołączyć później. Ich miejsce pracy okazało się rozległym zagonem. Jesienią wypalono łąn chwastów. Ziemia usiana była resztkami zwęglonych łodyg. Tu i ówdzie zieleniały pierwsze pędy wschodzącego perzu. Mykoła rozejrzał się wokoło, westchnął.

– Od lat nikt o to nie dbał – powiedział po polsku. – Zarosło. Pokrywa to jak cię mogę, wystarczy zrobić porządek, zanim wyda nasiona. Podda się łatwo. Gorzej z perzem.

– Trzeba powyrywać korzenie i wybrać z gruntu kłącza. Skopiemy najpierw szpadlami, a potem zgrabimy? To co, do roboty? – zagadnął Sławek.

– Trzeba, ale nie tak, jak myślisz. Oni tu mają inną technikę.

Wskazał narzędzia oparte o pobliskie drzewko. Sławek pierwszy raz w życiu widział coś podobnego – widły o czterech krótkich, ale szerokich zębach.

– Mówią na to widły amerykańskie. Kto wie, może i stamtąd Niemiaszki podgapili? Popatrz, kopiesz jak szpadlem, ale od razu rozbijasz skibę i przesiewasz samymi widłami. A to, co na nich zostanie, jednym ruchem odrzucasz na bok.

Zademonstrował. Polak obserwował, zaskoczony.

– Ale cwane – mruknął.

– No to do roboty. Naśladuj mnie.

Kolejne dwie godziny kopali, przesiewali, wyrzucali kłącza na bok. Potem zgrabili je na stos do spalenia. Przydreptał stary Helmut. Popatrzył na oczyszczoną połąć ogrodu oraz kupę perzu.

– Wyrывать wszystko dokładnie! – przykazał surowo.

– *Jawohl*. – Mykoła zasalutował.

Szwab uśmiechnął się, chyba wreszcie zadowolony, i wsparty na lasce pokuśtykał dalej.

– Stracił nogę w czasie poprzedniej wojny – powiedział Ukrainiec półgłosem. – W tę wojnę stracił syna. Zostało dwóch. Freder służy gdzieś na froncie wschodnim. A jest jeszcze młodszy Otto. Na tego uważaj, pieprzony esesman. Jak przyjedzie na przepustkę, schodź mu z oczu, jak możesz. Nienawidzi Polaków, nas zresztą też. Ale najbardziej nienawidzi Żydów.

– Strasznie dużo tego perzu – westchnął Sławek.

– Słyszałem, że ten ogród leżał odłogiem z dziesięć lat. Od śmierci żony tego Helmuta. Córka wyszła za mąż, nie miał się kto tym zająć. Teraz mają niewolników i od razu gospodarstwo stanęło na nogi. – Mykoła splunął gorzko. – Jak byłem mały, pradziadek opowiadał, jak to było w czasie pańszczyzny, ale nie sądziłem, że sam kiedyś będę robił za pańszczyźnianego.

– Myślałem, że będzie gorzej.

– Słyszało się niejedno. W porównaniu z niektórymi okolicznymi majątkami nie jest źle. Zwłaszcza jak ci młodzi są poza domem. Po drugiej stronie miasteczka pracowały u bauera dwie dziewczyny. Jedna zaszła z nim w ciążę. To złamanie tych ich przepisów o ochronie czystości rasy. Jej groziło powieszenie albo przymusowe przerwanie ciąży i obóz koncentracyjny, jemu pewnie też obóz. Cwany szwab znalazł wyjście z sytuacji. Zatlukł ją polanem na śmierć, a potem upozorował, że stratił ją koń. Ale ta druga wiedziała o romansie, może też o jego skutkach, więc jakiś miesiąc później znaleziono ją na brzegu jeziora. Poszła się kąpać i jakoś tak utonęła. W wodzie po kolana utonęła.

Sławek zszokowany nie wiedział, co powiedzieć.

– Słyszałem, że bywały i takie przypadki – ciągnął Ukrainiec. – Niemiec poszedł na front, a jego żona romansowała z robotnikami. A potem ją do obozu, a ich na szubienicę. Tu ci to raczej nie grozi, nasza gospodyni zabujała się w tym pierniku Heinzu. Bez wzajemności wprawdzie, ale przynajmniej do Piotra i Marcina się nie dostawia. I była jeszcze jedna sprawa. Trafił tu taki jeniec, podoficer, wzięty do niewoli jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Uważał, że trzeba się buntować, żądać lepszych warunków pracy. Nie patyczkowali się, wzięli do więzienia w Prusczu Gdańskim, czy też jak to oni nazywają, w Praust. Osądzili i gilotyna. Za sabotaż i wyrządzenie poważnych szkód gospodarce Rzeszy.

– Jeńca?!

– Taaa... Wierzył, że jak ma status brańca wojennego, to Czerwony Krzyż go ochroni. Niby że konwencje międzynarodowe. Ale nic mu to nie pomogło. Powinie ci się noga, złapią cię na czymś, czego nie powinienesz robić, i szlus. – Mykoła uderzył kantem dłoni we wnętrze drugiej.

– A czego nie powinienem? – przestraszył się Sławek.

– Podpisywałeś papiery? Tam jest taki jakby regulamin odbywanej pracy, taki zakres praw i obowiązków.

– Nie.

– Aaaa. Zapomnieli widać. Bo mi kazali. Po niemiecku to ja ledwo dukam, nawet nie wiem dokładnie, co tam stało. Tak w praktyce wygląda los niewolników. Czytał kiedyś człowiek o tym w Biblii i u autorów starożytnych. „Chatę wuja Toma” też się czytało. – Mykoła skrzywił się. – Jak kiedyś będziemy o tym opowiadać wnukom, pewnie nie uwierzą. Tylko najpierw trzeba przeżyć.

– Jakoś nam się nie udał ten dwudziesty wiek. Miała być epoka szczęścia, rozumu, braterstwa, ludzkości i wielkiego postępu w każdej dziedzinie – zauważył Sławek. – Nawet jakby widziałem początki, bo i elektryczność w centrum miasteczka zakładali, i radio ojciec przed wojną kupił, i rów pod rurociąg kopali w sierpniu trzydziestego dziewiątego, jeszcze przed zimą miała być bieżąca woda doprowadzona do pierwszych trzydziestu domów. No i po mleko ciężarówka z mleczarni zaczęła jeździć. Bo wcześniej furmanka kanki zabierała.

– Postęp jest, ale niestety, głównie w dziedzinie zabijania. – Mykoła zapatrzył się w przestrzeń. – U nas w miasteczku było gorzej. Tyle że abisynek kilka wkopali i nie było konieczności latać po wodę aż do źródła. Ta wasza Polska nie była dla nas matką, a co najwyżej złą macochą – burknął. – Niejedną krzywdę nam wyrządzili wasi urzędnicy. I niejedno jeszcze nieszczęście z tego wyniknie, bo są i tacy, którzy chcą zemsty na Polakach. Niedaleko nas było osiedle wojskowe. Wasi weterani dostali rządową ziemię, kredyty. Ładną wieś postawili. A u nas od razu zaczęło się gadanie, że jeszcze więcej Polaków przyjedzie i na własnej ziemi będziemy w mniejszości. Bo ludzie jak ludzie, dobrzy i źli. Jak kto trafił – dodał po chwili. – Wujko Ihor bardzo Polaków nie lubi.

– Teraz jedziemy na jednym wózku.

– Teraz to nas szkopy rozgrywają po swojemu. Tam, gdzie Polacy są w mniejszości, to ich faworyzują. A gdzie mniejszością są Rusini, szwabcy ich wspierają. Żeby szczuć jednych na drugich. Ale co ja tam mogę wiedzieć, prosty chłop ze wsi jestem – dodał Mykoła. – Od małego w lesie robiłem i u bogatych gospodarzy. Ale czytałem książki i gazety, dużo gadałem z nauczycielami i z naszym batiuszką, a to wykształcony człowiek. Wiele w życiu widziałem, wiele słyszałem, to i coś w głowie

zostało. – Wzruszył ramionami. – Pożyję dłużej, też wydam się innym mądry. A to tylko doświadczenie, które upływające lata osadziły na człowieku. Choć to nie zawsze tak. Wujko Ihor mimo wieku szczególnie mądry nie jest. Do tego często tkwi w głupim uporze.

– Masz swój rozum – zauważył Sławek – ale zważ, że lepiej wam było w Polsce niż u Sowietów.

– Pewnie trochę tak. Gadało się parę razy z przemytnikami, jak się tam na wschodzie ludziom żyje. To, co opowiadali, tragedia. Kolektywizacja, potem Hołodomor. Zapędzili ludzi do kołchozów, konfiskowali nawet ziarno siewne. Umierali ludzie z głodu całymi wioskami. Im dalej na wschód, tym gorzej i gorzej. I byłem po tamtej stronie raz, jak już Niemcy zajęli. Rodziny szukaliśmy. – Mykoła zagryzł wargi. – A u nas w miasteczku raz była lepsza chryja, to ci opowiem, bo po prostu boki zrywać – nieoczekiwanie zmienił temat. – Przyjechał wojewoda Kostek Biernacki. Słyszaleś?

– Przyjaciół Piłsudskiego, jeszcze z Legionów. A w POW był od likwidacji szpicli i ogólnie od mokrej roboty.

– Ten sam – potwierdził Mykoła. – Wyobraź sobie, zaszedł do naszej gminy. Przebrany jak dziad, z lipnymi dokumentami, że niby coś załatwić chciał. A gadał tylko gwarą. Chachłaczył jak miejscowy i akcent doskonale umiał udawać. Wójt to go tylko zrugął po matce i kazał pogonić precz. Ale był taki pisarczyk, po maturze zaraz, miejscowy. I on się za włóczęgą ujął, pomógł, zaczął mu wszystkie przepisy na ruską mowę tłumaczyć. I pokazał, jak formularze wypełniać, bo ten udawał, że tylko cyrylicą bazgroli. Dziad podziękował i znikł. Tydzień nie minął, jak wrócił. Ale tym razem limuzyną zajechał, w garniturze i z obstawą. Pan wojewoda. Wójtowi to od razu na wejściu przywalił kilka razy w mordę. Od serca walił, a rękę ma ciężką. I pogonił z urzędu precz. A pisarza awansował na jego miejsce i nagrodę przyznał za to, jak się z prostym człowiekiem po ludzku obszedł.

Sławek stłumił uśmiech.

Robili i robili. Nadeszła pani Helga, postukując laską. Ubrana była na czarno. Mocno ściśnięta gorsetem wyglądała surowo i poważnie. Na nosie miała okulary o bardzo grubych szklach. Sławek słyszał już wcześniej od Piotra, że kiedyś była nauczycielką. Stanęła i otaksowała ich wzrokiem. Lewą zrenicę miała zmętniałą i chłopak mimowolnie zadał sobie pytanie, ile staruszka tak naprawdę widzi.

– Ty jesteś ten nowy? – zagadnęła surowo po niemiecku.

– Tak, proszę pani. – Sławek odruchowo wyprostował się i ukłonił.

– Kto cię uczył niemieckiego? Hausherrin narzeka, że poza nieznamościami gramatyki kaleczysz jej uszy swoim wieśniackim bawarskim akcentem.

– Ojciec, proszę pani. Pracował kiedyś jako górnik w Niemczech. Po Wielkiej Wojnie jeszcze. Ale nie w Bawarii, tylko w Zagłębiu Ruhry. Akcent dla nas jest bardzo trudny. Już słowa do naszych niepodobne zupełnie – odpowiadając, wciąż zręcznie kilka błędów gramatycznych.

Niemka skwitowała wyjaśnienia sztywnym skinieniem głowy.

– Poucz języka tego kozackiego obiboka. – Wskazała Mykołę. – Ten to gada, jakby orzechów do gęby napchał. A niemiecki będzie wam potrzebny do końca życia – burknęła. – Nadchodzące lata przyniosą Rzeszy wielkie zwycięstwa na wschodzie. Mój świętej pamięci mąż powtarzał nieraz, że błędem było dogadywanie się z bolszewikami, bo w osiemnastym roku opanowanie całej Ukrainy leżało w zasięgu naszych możliwości. Z takim zapleczem rolniczym nasz naród mógłby o dwie dekady wcześniej sięgnąć po należne mu miejsce. Na szczęście dziś zajęli się tym odpowiedni ludzie.

Zbudujemy lepszy świat, zbuduje go nasz naród, germańska krew. Rasa, której pisana jest wielkość.

Wpadła w mentorski, belferski ton. Sławek słuchał kolejnych zdań. Jak z propagandowej czytanki, pomyślał. Tego młodzi Niemcy uczyli się w szkołach? Nic dziwnego, że wyrosli z nich esesmani i gestapowcy.

Zauważył, że słucha jej jednym uchem, odruchowo potakując. Na szczęście kobieta szybko się zmęczyła i powędrowała w głąb ogrodu.

– Głupia baba – podsumował Mykoła. – Nieszkodliwa, dość miła w zasadzie, czasem nawet ciastko, cukierka czy kawałek czekolady da. Ale jak zacznie gadać, to po prostu zęby bołą. Głupia hitlerowa. Niemcom się wydaje, że będą rządzą światem, a do durnego opielenia grządek potrzebują niewolników. No ale nie będą grzebali w ziemi, przecież oni są stworzeni do wyższych celów – zakpił. – Ale swoją drogą, ty chyba bardzo dobrze znasz niemiecki, tylko udajesz, że nie? – Zmrużył powieki.

– Coś tam dukam. Chcesz, to cię poduczę.

– Nie chcę, ale trzeba – westchnął Mykoła.

Wrócili do pracy. Nadszedł Piotr. Przyniósł trzecią parę wiedeł.

– Powiedz, czy w tym domu nie ma nikogo normalnego? – bąknął Sławek.

– No, stara Helga i Marta są sympatyczne, jak na Niemry. Ochmistrzyni w głowie ma w miarę poukładane – powiedział student. – Heinz nie jest taki zły. A w okolicy stary Horst ze młyna, ale to nie jest tak do końca Niemiec, tylko Mazur raczej. Z proboszczem, znaczy się pastorem, też da się pogadać. Sklepikarz. On to mi wygląda na Żyda z pochodzenia. A reszta... – Splunął. – Zresztą i u nas w Polsce też jest masa podłych i wrednych ludzi.

– Nieraz pracowałem dorywczo i bywało naprawdę różnie. Czasem zapłata była marna, ale widziałem, że dają, ile mogą, choć im się nie przelewa, a czasem grosze płacili, chociaż z kawioru lewatywę mogli robić – dodał Mykoła.

– Mój dziadek mówił, że najczęściej hojny jest ten, kto sam zaznał biedy w życiu – zauważył Sławek. – A ojciec kazał mi zapamiętać, że jak się zatrudnia człowieka, to trzeba mieć po pierwsze pieniądze, żeby mu zapłacić, po drugie jeszcze trochę pieniędzy, żeby mu dać premię, gdy widzimy, że się naprawdę stara.

– Z tego, co mówisz, twój ojciec to bardzo mądry człowiek. Chętnie poznałbym go kiedyś, po wojnie, o ile dożyjemy – westchnął student.

Pozostali pracownicy nie pojawili się. Najwyraźniej skierowano ich do innych prac. Zajrzała Marta, przydreptał też Heinz. Nic nie mówili, ale sądząc po tym, jak skrzywione mieli miny, oczekiwali większych postępów prac. Do wieczora chłopcy i ich towarzyszy oczyścili połowę zagonu. Stos korzeni i kłaczy narzucili na kupę chrustu.

– Trochę przeschnie, to spalimy – powiedział Mykoła. – Chodźmy umyć się po robocie i trzeba wreszcie coś zjeść.

*

Kolejne dni tygodnia zwały się w jeden ciąg. Rano budziła ich hausherrin, wystukując drobną piąstką melodyjki na drzwiach. Myli się pospiesznie, jedli, co im podano. Kawę do śniadania dostawali dziwną, smakowała prażoną cykorią, popiołem i błotem. Ihor twierdził, że zaparzają im fusy z tego, co nastawiono dla gospodarzy, i dodają zbożowej, student upierał się, że to niewielkie ilości prawdziwej kawy rozcieńczone palonymi

zołędziami. Do napoju nie było cukru ani nawet melasy, więc pili gorzką i czarną. Potem, około siódmej rano, szli do roboty. Ochmistrzyni wyznaczała im zadania i szła do swoich zajęć, nadzorował ich Helmut, rzadziej Heinz. Czasem przy pracy dało się pogadać, ale czasem byli tak rozstawieni, że okazywało się to niemożliwe. Wolnych chwil prawie nie było, tylko w południe mieli przerwę na obiad. Na ile chłopak zdołał się zorientować, jedli teraz to samo, co Niemcy, ale dostawali znacznie mniej mięsa i zdecydowanie gorsze kawalki. Także zupa często sprawiała wrażenie rozwodnionej.

Chłopak poznał lepiej towarzyszy niedoli. Piotr pochodził ze wsi. Był synem bogatego gospodarza i właściciela niewielkiego kamieniołomu pod Częstochową. Przed wojną zdołał zdać maturę i nawet przez rok studiował. Marcin przekroczył trzydziestkę i jak twierdził, był zdeklarowanym kawalerem. Dało się łatwo zauważyć, że praca fizyczna ewidentnie go brzydzi. Podśpiewywał czasem pod nosem popularne szlagiery, nałogowo palił, dosłownie kopcił jak komin.

Stary Ihor był typem raczej mrukliwym. Gadał niewiele, zazwyczaj po ukraińsku, a gdy przechodził na polski, często wtrącał ukraińskie i rosyjskie słowa. Mykoła przeciwnie, po polsku mówił wręcz przesadnie poprawnie, tylko akcent i zaciąganie końcówek wyrazów świadczyły, że pochodzi z Kresów. O ile stary trzymał się jakby na dystans, on chętnie rozmawiał przy robocie i z Piotrem, i ze Sławkiem.

Najokazalszą budowlą miasteczka był zbor luteranski urządzony w starym, jeszcze średniowiecznym kościele. Przy niewielkim ryneczku mieściły się szkoła, sklep wielobranżowy, będący też trafiką i agencją pocztową, siedziba NSDAP i Hitlerjugend, połączone z czymś w rodzaju domu ludowego, stacja straży pożarnej i bank. Budynki w „centrum” były piętrowe. Kilka warsztatów rzemieślniczych z ładnymi malowanymi sztyldami stało zamkniętych na głucho. Pracowali jedynie szewc i krawiec. Szkoła leżała gdzieś na uboczu. Wokół osady rozrzucone były gospodarstwa zamożnych Niemców. Duże parterowe domy otaczały ogrody i sady. Zabudowania gospodarcze wymurowane z cegły i kamienia rozstawiono wokół rozległych, brukowanych otoczek podwórzy. Okoliczne gleby były mocno kamieniste i ten kamień wykorzystywano na różne sposoby. Sławek, korzystając z wolnych chwil, napisał do domu drugi, obszerniejszy list.

*

Niedziela nadeszła jakby niespodziewanie. Dzień wstał ładny, ciepły. Wiosnę naprawdę czuć było w powietrzu. Tego ranka obudzono ich nieco wcześniej. Zjedli, zrobili szybko obrządek, potem umyli się i poszli na śniadanie. Hausherrin znikła, nim zjedli, potem mignęła im ubrana elegancko, „z miejska”.

– Chodź, młody, zaprzęgamy. – Piotr skinął na Sławka.

– Do kościoła pojedziemy czy jak?

– Kościół najbliższy to trzy gminy stąd. Nie mamy przepustki. Państwo do zboru jadą. A nam nie wolno.

– Czekaj, wyjaśnij mi dokładnie.

– Msze są tylko dla Niemców – zaczął Piotr. – Tacy jak my mogą sobie postać na zewnątrz. Chyba że gdzieś się trafi pastor, który odprawia dla robotników przymusowych oddzielne nabożeństwa. Tylko po co nam to, skoro to i tak luteraniskie? Ihor z Mykołą zostają, z takiego małego mszału sobie czytać na głos będą. A my posłuchamy pod drzwiami zboru Ewangelii. Po niemiecku.

– Aaa.

Przeszli do powozowni, wytoczyli bryczkę, zaprzęgli oba konie.

– Nie mogliby piechotą iść? – Sławek łypnął okiem na wieżę widoczną nad dachami budynków.

– Jasne, że mogą, ale pani Helga ledwo drepta, poza tym dla nich to chyba kwestia prestiżowa. Bryczką zajechać, jak paniska. Prawie co ze stangretem na koźle. Tu mało kto ma parobków, a oni za zasługi synów dostali nas aż pięciu. No i teraz zadzierają nosa przed sąsiadami.

Heinz i Helmut wraz z matką zajęli miejsca w powozie. Zaraz też nadeszła Marta. Piotr i Sławek wgramolili się na kozioł. Student strzelił z bata i kłacze apatycznie ruszyły przed siebie.

Na nabożeństwo zesłała się masa ludzi. Przymaszerowała kolumna dzieciaków w mundurkach Hitlerjugend. Sławek w milczeniu otaksował podkute trzewiki, mundurki, furazerki i wielką swastykę wyhaftowaną na niesionym przez pierwszą parę sztandarze. Choć dzieciaki były znacznie młodsze od niego, poczuł nieprzyjemny dreszcz. Gdy później zastanawiał się nad tym, uświadomił sobie, że żadne z dzieci się nie uśmiechało. W tłumie praktycznie nie było młodych mężczyzn.

Wszycy na froncie, pomyślał chłopak.

Obok nich stanęła druga bryczka. Z kozła zgramolił się młody mężczyzna, trochę starszy od Sławka. Zamiast lewej nogi miał drewnianą protezę. Wsadził pod pachy kule. Wymienił kilka słów z Piotrem i znikł wewnątrz świątyni.

– Stracił nogę na froncie wschodnim – wyjaśnił student. – Może od tego trochę mu się rozjaśniło we łbie, bo sympatyczny gość, jak na Niemca oczywiście. Popilnujemy mu powoziku.

– Nie ma tutaj innych Polaków na robotach?

– W gminie obecnie pracuje kilkoro. Ale dziś chyba żaden nie przyszedł. Gonią ich do pracy w obojętności, w niedzielę też. Trudno kogoś spotkać i pogadać.

Siedli na ławce w cieniu starej lipy. W tym miejscu było wyraźnie słychać czytania i psalmy. Sławek posłuchał Ewangelii, potem odmówił dziesiątek różańca. Z zaciekawieniem przyglądał się kościołowi. Mury wzniesiono z czerwonej cegły, portale drzwi i obramowania okien wykonano z dobrze spasowanych granitowych bloków.

– To jeszcze średniowieczna budowla, prawda? – zapytał.

– Krzyżacy zbudowali. Kiedyś to był normalny kościół katolicki, ale potem zakon rozwiązano, a ostatni mistrz przeszedł na luteranizm. Widzisz te płyty?

Podłużne, niedbale obrobione, niewielkie nagrobki nie miały żadnych napisów, zdobiły je tylko wykute niezbyt starannie miecze.

– To groby Krzyżaków?

– Tak. Prostych zakonników czy półbraci, bo ważniejszym kuli imiona, nazwiska i czasem nawet herby. Zamku tu nie było, tylko taki jakby posterunek, strażnica. Podobno znajdował się koło rynku, ale rozebrano go, tylko fundamenty w jednym miejscu widać.

Słońce przygrzewało, gdzieś w oddali zamuczały krowy.

– Czuję się zmęczony – powiedział Piotr. – Tak po ludzku zmęczony. Byłeś kiedyś zmęczony zimą? Zimnem, śniegiem, krótkimi dniami... Ale też tym, że trzeba być ostrożnym, nie odchodzić daleko od domu, wracać przed zmrokiem. Unikać wychłodzenia, przemoczenia butów...

– Byłem – przyznał Sławek. – I też pomyślałem kiedyś, że ta wojna jest jak zima. Długa, ponura, groźna. Ale przede wszystkim męcząca. Potwornie męcząca. Wiosna? Kiedyś nadejdzie. Przyjdzie ze wschodu armia Stalina. Tę całą Tysiącletnią Rzeszę zaorze i posypie solą. Tylko gdy już nadejdzie, czy przyniesie nam wiosnę, czy kolejną, może jeszcze gorszą zimę?

Student spojrział na niego w zadumie.

– Patrzę na ciebie i widzę dzieciaka, jakim sam byłem jeszcze niedawno – powiedział. – A potem nagle otwierasz paszczę i słyszę zdanie, po którym poznaję, że jesteś dorosły. Może przedwcześnie dojrzały, a może właśnie dorosły. To chyba wojna sprawia, że dzieci dorastają szybciej.

Umilkł, wodząc wzrokiem po budynkach miasteczka.

– Masz rację – przyznał po chwili. – Z tego może być kolejna, jeszcze gorsza i dłuższa zima. Już ta okupacja mnie dusi, męczy, zabija we mnie chęć do życia. Czepiam się myśli, że to minie. A ty mi uświadamiasz, że może wcale nie będzie lepiej.

– Przepraszam.

Słońce ponownie wyjrzało zza chmur. Przyjemnie było tak siedzieć, nie musieć nic robić. Nabożeństwo dobiegło końca. Niemcy pośpiewali jeszcze i tłumnie wysypali się z wnętrza. Hausherrin podeszła do Piotra.

– Wracamy ze znajomymi autem – poinformowała. – Poczekacie na pana Heinza i zawieziecie go do domu.

– *Jawohl!*

Niemka znikła. Weteran kaleka przykuśtykał wsparty na kulach, podziękował za dopilnowanie konia i z trudem wdrapał się na bryczkę.

– Chodź, coś ci jeszcze pokażę – odezwał się Piotr. – Tu, przy bocznym wejściu.

W przedsionku świątyni wmurowano dwie tablice z jasnokremowego marmuru. Wyglądały niemal identycznie. U góry zdobiły je aplikacje z brązu, z motywem krzyża żelaznego w wianuszku liści dębu. Poniżej wykuto długie listy nazwisk i daty śmierci.

– To ludzie z tej parafii, którzy polegli w pierwszej wojnie. A po prawej ci z obecnej.

Na pierwszej tablicy było może trzydzieści nazwisk, na drugiej grubo ponad sześćdziesiąt.

– Rzesza broczy krwią tam, na wschodzie. Zmobilizowano praktycznie wszystkich młodych. Zostały kobiety i dziewczyny. Kilkunastu poległo już we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Mówiło się u nas, że to była straszna klęska, że w miesiąc przegraliśmy wojnę. Ale nasi żołnierze dali szwabom bobu. Takie straty ponieśli, że je utajniono. – Piotr zniżył głos. – Tę tablicę dopiero w zeszłym roku pozwolono umieścić. I jeszcze kupa zginęła teraz na Ukrainie i w głębi Rosji. Nie ma miesiąca, żeby nie przybyło kilku nowych nazwisk. Próba podboju sowieckiego imperium to mrzonka. Stalin w razie czego cofnie armię za Ural. Nie dogonią go. Nawet tam nie dojadą, bo zabraknie paliwa do czołgów. Miejsce na tej tablicy już się kończy, niebawem będą musieli wmurować kolejną, a kto wie czy nie jeszcze jedną. Ta wojna to dla Rzeszy śmierć. Już dziś muszą się cofać pod naporem oddziałów formowanych na dalekich tyłach. Myślę, że za dwa, może trzy lata przegrają. Chyba że Hitler znów dogada się ze Stalinem. U takich bandziorów wszystko możliwe.

– Ocaleją kobiety – zadumał się Sławek. – Może przy takich stratach Niemcy po wojnie wprowadzą wielożeństwo?

– Też masz pomysły. – Student uśmiechnął się krzywo. – Po pierwszej tego nie wprowadzili, choć straty też mieli bardzo duże. Widać nie dość duże, skoro niczego ich to nie nauczyło. Minęło dwadzieścia lat i znów rozpełtali burzę.

Nadszedł Heinz w towarzystwie pastora. Spojrzał na tablicę, tę z pierwszej wojny, i zamiast zahajlować, zasalutował. Stał potem w milczeniu i poruszał wargami, jakby beżgłośnie odczytując nazwiska. Czy mu się zaszklily.

Pewnie znał niejednego z tych poległych, uświadomił sobie Sławek. To byli dla niego żywi, konkretni ludzie, sąsiedzi, może koledzy ze szkolnej ławki. Poszli i już nie wrócili.

Niemiec odwrócił się do drugiej tablicy. Tej poświęcił znacznie mniej czasu.

– Widzicie, jak nasza mała gmina traci swoich najlepszych synów – burknął, chyba chcąc szorstkością pokryć wzruszenie. – Tu, w naszej okolicy, prawie już nie ma rodziny, która by kogoś nie opłakiwała. Tylu wspaniałych młodych ludzi poległo, żeby obronić was, Polaków, przed Żydami i Sowietami. Rzesza ponosi ogromne ofiary w obronie cywilizacji białego człowieka.

– Nie da się ukryć, że straty są ogromne – kiwnął głową Piotr. – Może większe, niż zdołacie udźwignąć. Całe pokolenie młodych ludzi spocznie w bezimiennych grobach na ogromnych przestrzeniach Związku Sowieckiego. A przecież trzeba podbić jeszcze ziemie za Uralem, Kaukaz, roponośne tereny nad Morzem Kaspijskim. Projekty Hitlera, gdy czytam wasze gazety, zdumiewają mnie swoim rozmachem. Życia całego pokolenia może być mało.

Szkop łypnął na niego podejrzliwie, jakby chcąc sprawdzić, czy Polak nie szydzi. Ale na twarzy byłego studenta malowała się tylko pełna szacunku zaduma.

– Wojna to wielkie nieszczęście. Gdyby nie ona, ci wszyscy młodzi mężczyźni gospodarowaliby na roli – odezwał się pastor. – Stoimy u progu nowej epoki. Gdy wojna się skończy, wszystko będzie inne. Amerykanie mówią, że zmiana jest solą życia. Patrząc jednak obiektywnie... – Łypnął na Heinza i urwał.

– Należy pilnować, żeby zmiany okazywały się zmianami na lepsze. Tego zresztą uczy nas chrześcijaństwo. Samodoskonalenia, dążenia do absolutu – zauważył pogodnie Piotr.

– Wojna była konieczna! – burknął stary. – Ponosimy ofiary, wiem o tym aż za dobrze. Sam straciłem bratanka. A dwóch pozostałych służy na wschodzie! Ratujemy Europę, chronimy świat kultury łacińskiej przed krwiożerczą Bolszewią.

Sławek miał na końcu języka, że jeszcze kilka lat temu Stalin i Hitler byli sojusznikami. Pastor też zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale również zmilczał.

– Zapraszam na herbatę – odezwał się po chwili. – Moja żona upiekła świetną szarlotkę. Gdzie pani Helga?

– Już wróciła do domu. Na nas też chyba czas – Heinz odrzucił zaproszenie.

Duchowny posmutniał, ale nic już nie powiedział.

Ten pastor to nie jest zły człowiek, myślał Sławek, gdy jechali bryczką do gospodarstwa. Gryzie się w język, ale przecież widzi, że ta wojna to szaleństwo. Zwycięstwa były pyrrusowe. Wygrali, pobili nas, pobili Francję, podeszli pod Moskwę. Ale rachunek, który już wystawiają im Sowietci, jest straszny. Co mówił Heinz? Że niemal z każdej rodziny ktoś już zginął? A jak to będzie w całej Rzeszy? Milion ludzi w piachu? A może więcej? Ilu mogą stracić, zanim przegram wojnę? A jeśli jednak wygrają? Co wtedy z nami? Wykończą nas w obozach? Czy może niewola na zawsze?

Przypomniał sobie tablicę w zborze.

Pomysł dobry, ocenił. Może po wojnie też warto taką powiesić u nas w kościele? Albo i dwie, bo przecież poprzednia wojna też była krwawa, a nikt nie pomyślał, by uhonorować naszych poległych.

*

Tego dnia mieli w zasadzie wolne. Piotr siedział na progu kwatery i próbował przywrócić swoim butom jaki taki wygląd. Marcin usiadł na ławce. Czytał jakąś niemiecką gazetę i palił. Dla oszczędności papierosy pociął na mniej więcej trzycycentymetrowe kawałki i osadzał w szklanej fifce. Zaciągał się dymem z lubością. Mykoła z Ihoem w ogóle gdzieś znikli. Sławek poszedł nad pobliskie jezioro. Brzeg był zarośnięty trzcinami, ale pomost wybiegał daleko poza rośliny. Doszedł nim do samego końca, rozebrał się i ostrożnie opuścił nogi do wody. Była lodowata. Zanurzył się, przepłynął kawałek i wreszcie poczuł się czysty. Koło piętnastej Niemcy zjedli podwieczorek. Zaraz potem na podwórzu zjawił się Heinz i od razu zahaczył chłopaka.

– Przejrzałem papiery, które wysłali nam z urzędu zatrudnienia. Ty jesteś gdzieś z okolic Zamościa?

– No prawie.

– Siadaj. – Heinz wskazał Sławkowi miejsce na ławce. – Tak sobie właśnie wspominałem dawne dzieje. Co też ja przeżyłem na froncie... Wspomnienia warto by napisać. Młodym ku nauce i pamięci. Może mi się przydasz. Znasz dobrze swoje okolice?

– Jeździłem przed wojną z ojcem w różnych sprawach do Chełma, Hrubieszowa, Krasnegostawu – odrzekł Sławek. – Zamość też oczywiście znam. Zwierzyniec, Szczepreszyn, Kraśnik. Tam dalej na południe to tylko w Lubyczy Królewskiej byłem.

– Doskonale!

Heinz wyciągnął z torby gruby album oprawiony w tłoczoną i barwioną skórę. Otworzył okładkę. Na stronie tytułowej przyklejono pagony z munduru, a powyżej coś w rodzaju herbu wykonanego w technice żakardu.

– Sto czterdziesty dziewiąty regiment piechoty – powiedział stary z dumą. – Miejsce stacjonowania Schneidemühl, czy jak wy to nazywacie: Piła. Tam mnie przydzielili, bo tu już mieliśmy komplet. To była letnia ofensywa piętnastego roku. Szliśmy od południa. Podpisałem z grubsza daty pod zdjęciami, ale nie zawsze pamiętałem nazwy miejscowości.

Przewracał kolejne karty. Fotografii było grubo ponad sto pięćdziesiąt. Kościół w Krasnobrodzie, kompletnie spalone centrum Krasnegostawu, zniszczony Rejowiec, zrujnowane ostrzałem i pożarami Wojsławice. Sławek osadę rozpoznał tylko po frontonie kościoła. Było też i kilka fotek z jego stron, nawet na jednym zdjęciu zobaczył dzwonnice świątyni w swoim miasteczku, tylko że poszarpana blacha zwiślała, odsłaniając drewniany szkielet. Tam, gdzie nie było podpisów, a umiał rozpoznać miejsce, podawał nazwy. Szkop skwapliwie notował. Na niektórych zdjęciach sportretowani byli pruscy żołnierze. Chyba lubili się fotografować, bo uwieczniono ich przy budowie ziemianek, podkuwaniu koni, naprawie sprzętu taborowego i innych pracach. Obierali kartofle, pluskali się w sadzawce. Gdyby nie zdjęcia grobów, trupów wplątanych w zasieki, ruin i sprzętu, wyglądałoby jak zwykli ludzie na wycieczce. Kilka

fotek przedstawiało, jak idą do ataku, a potem dumnie pozują ze sztandarem regimentu na zdobytej ziemnej reducie. Sławkowi pikielhauby i marsowe miny wydały się w pierwszej chwili zabawne, ale na pierwszym planie dostrzegł wypełniony zwłokami rosyjski okop. Były też zdjęcia z pogrzebów i długie rzędy krzyży na polowych cmentarzach. Poniżej wypisano nazwiska, najwyraźniej brat gospodarza notował, który z jego kumppli gdzie poległ.

– To była krwawa przeprawa – westchnął Heinz, widząc zainteresowanie chłopaka. – Tu, gdzie te zasieki. – Puknął paluchem. – Widzisz te zamaskowane lufy? To ruskie pulemioty, karabiny maszynowe. Pole było długie, jakiś kilometr. Biegliśmy po nim, czas jakby się zatrzymał. Każda sekunda mogła być ostatnią i każda trwała całą wieczność. Dobiegliśmy do jakiegoś rowu, chwila oddechu, ale wtedy spadły na nas szrapnele. I znów naprzód, cięliśmy zasieki, żeby utworzyć drogę do rosyjskich okopów. Ich strzelcy wyborowi nie próżnowali. Przy mnie towarzysz padł, w środek czoła dostał. Czapkę mu zdmuchnęło z połową mózgu chyba. Zanim zdobyliśmy to wzgórze, jedna trzecia oddziału padła. Teraz nawet porównania nie ma, bo są stalowe hełmy, czołgi. A myśmy mieli pikielhauby z tłoczonej i lakierowanej skóry, zaś oficerowie, jak ja, zamiast tego sukienne czapki. Biegając, osłoniłem pierś saperką, żeby choć odrobinę zwiększyć szanse. Mało mnie za to nie zdegradowali. Przed frontem oddziału oficer dowodzący rugał mnie za zhańbienie roty, za zły przykład dla niższych szarż i tchórzostwo w obliczu wroga. Taką reprimendę dostałem, że już nigdy potem nawet nie pomyślałem, żeby tak robić.

Zawołał hausherrin, kazał przynieść sznapsa i dwa kieliszki. Połał chłopakowi.

– Póki Helmut nie widzi – mruknął. – Prosit! Pamięci tych wszystkich dzielnych mężczyzn, którzy na zawsze spoczęli w twojej ziemi.

Uzupełnili wpisy, na ile się dało. Heinz długo jeszcze siedział nad albumem, przeglądał strona po stronie i wlewał w siebie kolejne kielonki. Wreszcie kompletnie pijanego ochmistrzyni z Piotrem odholowali do sypialni.

Wieczorem czekała ich jeszcze jedna niespodzianka. Siedzieli przy kolacji, gdy przyszedł Helmut. Przyniósł księgę rachunkową i stalową kasetę. Na początek wygłosił długie, gniewne kazanie, w którym surowo zrugął ich za lenistwo i przypomniał o ogromnych ofiarach, jakie ponosi Rzesza w obronie Europy. Potem wypłacił wszystkim pieniądze i kazał pokwitować. Sławek, choć przepracował dopiero kilka dni, też dostał osiemnaście marek.

– Prawdziwa fortuna – mruknął, patrząc na banknot oraz garstkę aluminiowego i cynkowego bilonu. – Na kawałek kiełbasy wystarczy?

– Prawie cała żywność jest na kartki, a nam one nie przysługują – wyjaśnił Piotr. – Za wyżywienie i zakwaterowanie Helmut potrąca sobie z naszej wypłaty. I jeszcze ubezpieczenie trzeba opłacić. Krótko jesteś, normalnie dostaniesz tygodniówkę jak my, czyli czterdzieści, może pięćdziesiąt marek.

– To co za to mogę kupić?

– Jakiś łach na grzbiet, choć zasadniczo ubranie robocze dostajesz od Helmuta, za co też sobie oczywiście potrąca. Nawet na ubezpieczenie potrącają, bo jakby kto zachorował, to go niemiecki lekarz za darmo będzie leczył. Ale lepiej nie chorować, bo pozwolą nam żyć, tylko jeśli będzie z nas konkretnyżytek. W USA na plantacjach Południa starych i opadających z sił Murzynów dobijano laudanum, czyli wodnym roztworem opium. Butów nie kupisz. – Student wrócił do tematu. – Bo też trzeba mieć kartki. Tak z osiem kilometrów na zachód jest większe miasteczko, a w nim księgarnia i cukiernia. Ale książki mają tylko po niemiecku. Gdybyś palił tytoń, machorkę

i papierosy można kupić bez kartek. I wódkę, ale tylko najpodlejszą. Lepszych gatunków ci nie sprzedadzą. Zresztą nieletniemu i tej podłej nie pozwolą brać.

– Czyli tak naprawdę nic nie mogę z tymi pieniędzmi zrobić?

– Szklanki mają tu znacznie tańsze niż w Generalnej Guberni – zakpił Mykoła. – Szklą do lamp naftowych też warto kupić w Rzeszy. Ale boję się, że jak spakujesz je w pudełko i wyślesz do domu, potłuką się w drodze. Proszek do zębów też możesz. Mydło sobie jakieś lepsze kup, bo przydziałowym trudno się umyć.

– No właśnie zwróciłem uwagę jeszcze w Lublinie – stwierdził Sławek. – Dziwne takie, jakbym trzymał w ręce kawałek twardej gliny.

– Normalnie mydło robi się z oleju lub innego dobrego tłuszczu i substancji zawierających sole metali. Najprościej użyć sody kaustycznej albo od biedy nawet łągu. Ale Niemcy robią oszczędnościowo – wyjaśnił Piotr. – Zamiast użyć dobrego oleju, biorą odpadowy tłuszcz pozyskany z ryb. Jakby tego było mało, do produkcji używają wodorotlenku wapnia. Wygląda takie mydło nawet podobnie do zwykłego, ale bardzo kiepsko się pieni, a w wodzie rozpuszcza bardzo opornie. Albo biorą zwykłe mydło i mieszają pół na pół z kaolinem.

– U nas w sklepie mydła w ogóle nie było. Żadnego – odparł Sławek. – Ale aptekarz sprzedawał. Sam je robił, prawie tak dobre jak przed wojną, tylko mocniejszy zapach miało, bo dodawał esencji fiołkowej – wyjaśnił.

– W każdym razie szoruj łapy i uszy, Niemcy nie znoszą brudasów – ostrzegł Piotr. – Na szczęście wody nam tu nie żałują, nie to, co w obozie. – Przez twarz przemknął mu cień. – Chodźmy, musimy jeszcze poprawić piorunochron. Niby niedziela jest, ale nie podobają mi się te chmury. Lepiej z tym nie czekać do jutra.

Przystawili drabinę, potem położyli szeroką deskę z zaczepami, wdrapali się na górę. Drut zerwał się w dwóch miejscach. Student, używając szwskich falców, zagiął końcówki, dosztukował.

– Na jakiś czas wystarczy – mruknął. – Zobacz, jaki sielski obrazek.

Z daszku widzieli jasno oświetlone wnętrze saloniku pani Helgi. Okna były otwarte, firanki też rozsunięto. Staruszka siedziała na bujanym fotelu i robiła na drutach. Pokój został gustownie urządzony. Mebelki z orzechowego drewna, porcelanowe figurki w witrynkach. Na ścianach rozwieszono makatki z wyhaftowanymi przysłowiami. Ale Sławka najbardziej zdumiała ściana nad głową gospodyni. Zrobiono tam cały ołtarzyk. Na honorowym miejscu wisiał malowany olejny portret Hitlera. Poniżej znajdował się jeszcze jeden portret, a obok cztery duże oprawione i oszklone zdjęcia jakichś wąsatych mężczyzn oraz gabłota z odznaczeniami. Wstążeczki medali już nieco spłowiały.

– To jej krewni. – Piotr spostrzegł, czemu Sławek się tak przygląda. – Ten obraz pierwszy z prawej to jej stryjek. Poległ w tysiąc osiemset siedemdziesiątym w Alzacji. Ci trzej w pruskich mundurach to jej mąż, brat i, zdaje się, brat męża. A ostatni portret to wnuk. Tamtych zabrała poprzednia wojna, a wnusio miał pecha, we wrześniu trzydziestego dziewiątego trafiła go polska kula.

– Ich pięciu i nas pięciu – stwierdził Sławek.

– Co masz na myśli?

– Zabrała ich wojna. Co po nich zostało? Zdjęcia i te medale za szkłem. Gdyby nie poległ, to żyliby tu i pracowali. Na swoim. Mieliby dzieci, wnuki. Co im dała ta wojna? Może część tych fidrygalków to lupy, które zdobyli i przywlekli do domów. Niemcy to naród złodziei i grabieżców, ale czy garść drobiazgów, może nawet i wartościowych, pokrywa stratę? Gdyby po prostu byli tu i pracowali przez czterdzieści

czy pięćdziesiąt lat, odłożyliby znacznie więcej pieniędzy, niż to wszystko warte. No i zobacz jeszcze od innej strony. Oni polegli, a zamiast nich jesteśmy my, niewolnicy, ale chyba ważniejsze, że obcy. Przypadkowi obcy ludzie zajmują miejsce gospodarzy. W dodatku z ich punktu widzenia stracili najlepszych ludzi czystej krwi aryjskiej, a na ich miejsce musieli sprowadzić do pracy słowiańskich podludzi.

– Jak na chłopaka ze wsi, choćby i harcerza oraz syna sołtysa, jesteś cholernie bystry – mruknął student. – Moim zdaniem bardzo mądrze to ująłeś i masz rację. Wydaje mi się jednak, że nie uwzględniamy jednej poważnej różnicy. Przeglądałeś, jak widziałem, album z Heinzem?

– Tak. Pokazał mi zdjęcia z poprzedniej wojny. Walczył w moich stronach. I miał wynotowane, kto z kolegów zginął.

– Dużo?

– W jednej bitwie jedna trzecia oddziału gdzieś na południe od Chełma. I chyba jego dobrzy koledzy, bo potem na ostro zalewał robaka. Chyba ze dwie trzecie butelki sznapsa wydoił.

– Wydaje mi się, że to jest tak: my, Polacy, w zasadzie nigdy nikogo nie napadaliśmy – stwierdził Piotr. – Wszystkie wojny, które toczyliśmy, były wojnami obronnymi, bardzo rzadko prewencyjnymi. A oni co pokolenie wyruszają tłuc się z sąsiadami. Wojenne grabieże uczynili całym przemysłem. Straty w ludziach chyba mają po prostu wkalkulowane w te plany. Skonfiskowali wam zwierzęta gospodarskie?

– Tak. Zdecydowaną większość.

– Teraz policz, ile to mogło być w całej gminie. A w całym powiecie? W jednej chwili okupanci zdobyli fortunę, na którą musieliście pracować długie miesiące czy nawet lata. Jednak cały wic z grabieżą polega na tym, żeby to zdobyć, zawlec do swojej nory lub ukryć, a potem przeżyć. Tym, których portrety widzisz, to ostatnie się nie udało. Wypadek przy pracy.

– Mimo wszystko, gdyby ci wszyscy ludzie po prostu siedzieli na dupie i gospodarowali...

– Sam wie wiem – westchnął Piotr. – Ładne to obejście. Murowane budynki, widać, że wszystko stawiane solidnie i na lata. Ale zapuszczone. Ani starym, ani młodym chyba nie chce się tyrać w obejściu. Myślę, że inaczej to wyglądało przed wojną, póki żyła żona Helmuta. Jego synowie czują się zbyt ważni, żeby pracować na roli. A może się mylę?

*

Sen przyszedł dziwny. Sławek szedł przez ruiny niemieckiej wioski. Rozpoznał okolice majątku, ale osada zmieniła się przerażająco. Domy stały szare, poszarzałe, jakby okopcone. Szyby w oknach spękały, niektórych kawałków w ogóle brakowało. Dachy pozapadały się. Tynk odpadał płatami. Płoty stały poprzekrzywiane, część w ogóle się przewróciła. Widać było, że od dawna nikt nie sprzątał śmieci, wszędzie wałyły się odpadki. Na sztachetach wisiały bure szmaty. Z mijanej rudery, ślaniając się, wyszedł potwornie wychudzony mężczyzna w mundurze SS. Jego twarz pokrywały strupy, włosy były jedną wielką kupą pelzających wszy. Żebraczym gestem wyciągnął pokrytą plamami dłoń.

– *Barmherzigkeit im Namen Gottes* – wycharczał. – Umieramy, wszyscy umieramy.

Sławek obudził się przerażony. Dniało. Co wyrwało go ze snu? Naraz zdał sobie sprawę, że słyszy głuchy warkot silnika ciężkiego motocykla. Maszyna najwyraźniej zajeżdżała na dziedziniec. Motor zgasł, ktoś uderzył dłonią w klakson. Piotr, klnąc pod nosem, zapalił świeczkę.

– Co się stało? – wymamrotał Sławek.

– Otto przyjechał – wyjaśnił student. – Chyba urlop dostał. No to skończyły się wakacje. Wszystko postawi na głowie. Miejmy nadzieję, że wpadł tylko na kilka dni.

– Niech to piorun jasny strzeli – zaklął Marcin. – Czemu go tu diabli przynieśli!?

Hausherrin przy śniadaniu zrugala Mykołę za zbyt wolne tempo prac. Do Piotra też się przyczepiła. Widać było, że jest zdenerwowana i jakby smutna. A może tylko zmęczona? Przyjazd syna gospodarza także jej zwarzył humor. Sławek mimo wszystko postanowił ją zagadnąć.

– Frau Marta... – zaczął przymilnie.

– No czego chcesz? – burknęła.

– Potrzebowałbym spodni i koszuli do pracy. Takich łachów do roboty. Żeby można się pobrudzić – składał niby to niepewnie niemieckie słowa.

– Jakies stare ubrania wiszą na stryszku nad kuźnią – powiedziała. – Wejdz tam potem i poszukaj, może coś sobie wygrzebieesz.

– Wygrzebię się ubrać na strychu kuźni – powtórzył nieskładnie. – Ale jak tam wejść?

– Z obory jest przejście pod dachem – wyjaśniła. – Nici i igły ci dam, pozwężasz i poskracasz. Nie musisz przecież wyglądać elegancko.

– *Jawohl*. Elegancki poskracany, pozwężany robotnik!

Poranny obrządek... Wywalił obornik na kupę, napoił zwierzęta. Krowy apatycznie czekały na siano. Chłopak dorzucił im do żłobów. Zaraz powinien biec do ogrodu, ale uznał, że skoro już tu jest, kilka minut go nie zbawi. Stał na przepierzeniu, podciągnął się do dziury prowadzącej na strych. Dzięki świetlikom nie było tu specjalnie ciemno. Rozejrzał się. Po długiej zimie paszy zostały już tylko resztki. W murze ział prostokątny otwór prowadzący nad kuźnię. Ta część strychu była nieco ciemniejsza. Do krokwi przybito sznurki, na których wisiały jakieś szmaty.

– No idiotka – mruknął.

Ubrania były pokryte grubą warstwą kurzu i pajęczyn. Mole i myszy też miały tu używanie. Tkaniny zbutwiały, rozlażyły się w palcach. Już miał się wynosić, gdy usłyszał chrobot klucza w zamku na dole. Zamarł przestraszony. Jak tylko mógł najciszej położył się na deskach. Przez wąską szparę widział wyraźnie pomieszczenie pod sobą.

Co ja robię, przecież sama Marta kazała mi tu wleźć! – zbeształ się w myślach, ale w tej właśnie chwili do wnętrza weszli Helmut i młody mężczyzna w mundurze. Sławek domyślił się, że to jego syn Otto.

– No to gadaj – zachęcił stary. – Tu nikt nas nie podsłucha.

Młody esesman położył furazerkę na stole. Miał paskudną, szczurzą twarz, odstające uszy i rude włosy, przycięte krótko na jeża. Zaszurały krzesła.

– Zobacz najpierw to. – Otto położył na blacie srebrną papierośnicę. – Ładny fancik, dobra, gruba srebrna blacha. A monogram odlany w złocie. Przed wojną należała do jakiegoś polskiego oficera. Ale zawartość jeszcze ciekawsza.

Pudełko musiało być ciężkie, bo stuknęło głośno. Stary otworzył zatrząsk poźółkłymi od nikotyny paluchami.

– Fiuu. Ale tu tego! – Sławek spostrzegł, że stary szwab ogląda wysypane na dłoń złote dentystyczne koronki. – Z trupów ściągałeś czy jak?

– A nawet nie musiałem. Jest takie miejsce niedaleko osady, gdzie służyłem. Sowietci mieli po tamtej stronie granicy duży obóz wojskowy w lesie, kilometr od naszych pozycji. Jak w czterdziestym pierwszym uderzyliśmy, najpierw oberwali artylerią, potem poszły czołgi i wermacht. Nawet oporu nie stawiali, uciekali bez broni, w kalesonach, bez butów nawet, wystarczyło w plecy strzelać. A potem nasi otoczyli dużą grupę w wąwozie. Ruscy zobaczyli, że są bez szans, to się poddali. Ale nasi mieli jasne rozkazy. Najpierw rzucili granaty, a kto się jeszcze ruszał, tego dobili. Leżało tych trupów po lesie i w dole ze cztery setki. Cała okolica śmierdziała. No i wilki do tej padliny ciągnęły. Wziąłem z getta w miasteczku kilku Żydków, kazałem im wykopać dół i przez dwa tygodnie czyścili las z tych sowieckich truposzczaków. No i jak ściągali zwłoki do mogiły, przyuważyłem, że jeden Żyd obciążki dentystyczne chowa do kieszeni. Udawałem, że nic nie widzę, ale po robocie ostatniego dnia kazałem im wszystkim wywrócić kieszenie i ściągnąć buty. Jakby mogli, toby skowycieli – zarechotał Otto.

– I jakie efekty?

– Było kilka monetek, dwa zegarki i kupa tego drobiazgu. Zegarki po dwóch latach w lesie to, rzecz jasna, szmelc, ale koperty złote coś tam przecież warte. A koronki, no cóż. Niby taki złoty ząbek to niewiele, gram czasem, zazwyczaj nawet i to nie, ale z tyłu trupów trochę się nazbierało. Prawie pół kilograma.

– A próba jaka?

– To dentystyczne stopy, czternaście karatów chyba. Albo dwanaście może? Mieszane ze srebrem, trochę miedzi i cynku. Trzeba pogadać z jakimś jubilerem. Złoto jest do odzyskania, trzeba tylko do tego fachowca.

– Nie poskarżą się te Żydki? – spytał Helmut.

– Niby jak i komu? Poza tym od lutego ich już nie ma.

– I gdzie niby się podziali? Wystrzelaliście wszystkich tak jak my czy co?

– Widzisz, ojciec, odstawiliśmy ich na rampę i do wagonów – wyjaśnił młody. – Wszystkich, całe getto w miasteczku wyczyściliśmy. Powiedzieliśmy, że to przesiedlenie i będą pracowali na północy Rosji przy zagospodarowaniu terenu. Tylko że zamiast do Rosji pojechali do Bełżca. To na południu, nad Bugiem. Jest tam taki specjalny obóz, z którego nikt żywy nie wychodzi.

– Taka ciężka robota czy jak? – zdziwił się stary.

– Żadna tam robota, zaraz z wagonów idą niby do umywalni. Mają rozebrać się do naga i pod prysznic. Ale tak naprawdę to nie łaźnia, tylko komora gazowa. Drzwi się zamykają, trzeba wlać trochę wody, żeby po kostki w niej stali, i przez otwory w suficie sypie się na mokre granulat kwasu pruskiego. W wodzie rozpuszcza się momentalnie i wydziela gaz. Kwadrans i po sprawie.

– Fiuu. Taka silna trucizna? Skąd to macie?

– Od IG Farben. Przed wojną to produkowano, żeby truć szczury i karaluchy w magazynach. A teraz Żydów trujemy jak szczury i karaluchy. – W głosie młodego pobrzmiwała duma.

– Trujecie.

– Tam są wizjery, można zajrzeć, czy już wszyscy kipnęli. Potem więźniowie otwierają wrota z drugiej strony, puszczaają wentylator, przewietrzyć trzeba trochę. Wywlekają trupy na wózki, podobne jak w kopalni. Też na szynach. I wiozą do

krematorium. Godzinka od przyjazdu pociągu na rampę i już się wszystkie Żydki palą na popiół. Kości niedopalone idą do młyna kulowego. Nawet ślad po nich nie zostanie. Znajomek mnie oprowadził, bo normalnie nikt tego nie może oglądać, tylko obsługa. Są do tego wyznaczeni najlepsi ludzie.

– Przecież potem więźniowie rozgadają!

– Nikt nie rozgada. Więźniów, co przy tym pomagają, czeka potem dokładnie ta sama droga. I strażników pewnie też, bo do pilnowania interesu mają tam niearyjskich wachmanów. Takich ze wschodu, z Ukrainy i Rosji, ochotników, którzy chcieli do Waffen SS, żeby łać Sowietów. No to mają teraz SS! A każdy Żydek to potencjalny sowieciarz – zarechotał Otto.

– I tak cały pociąg? – zdumiał się Helmut.

– Cały naraz to nie. Kilka wagonów jednocześnie da się zagazować, więc transport na dwie lub trzy partie dzielą. A to, co Żydki mieli przy sobie, zabiera się na bok i tam jeszcze inna grupa więźniów to w magazynach przegląda. Ubrania lepsze się wybiera i inne przydatne przedmioty. Tam gdyby się załapać – westchnął Otto. – To jest po prostu eldorado. Władze obozu raz w miesiącu całe skrzynki złota i walut ekspedują pod konwojem do kraju. A co w kieszeń wpuszczą, tylko się domyślać można. Ten znajomek wspominał, że jeszcze roku tam nie przepracował, a już kamieniczkę w Hamburgu planuje kupić.

– Też sporo podczas służby odłożyłeś. Z tym, co przywiozłeś, samego złota będzie już z półtora kilograma – pochwalił stary.

– Ale interes powoli się kończy. Do jesieni w Generalnym Gubernatorstwie nawet jednego Żyda nie będzie. A na Polakach takiego zarobku raczej nie uzyskam.

– No, nie wiem, jak to sobie wyobrażacie. – W głosie starszego Niemca zabrzmiała wątpliwość. – Przecież Żydów jest w Polsce kilka milionów. Wszystkich nie wytluczą. A jeszcze na wschodzie, sowiecka Ukraina, Białoruś, wreszcie Rosja. Nawet tym gazem w komorach nie dacie rady.

– A właśnie że wykończymy – zaperzył się syn. – Szkoda, że zdjęć nie pozwolili zrobić, sam byś zobaczył, jak sprawnie to idzie. Instalacje obozowe pracują pełną parą. Duża wydajność, a jeszcze inżynierowie od ministra Speera myślą, jak to wszystko usprawnić. Bo chodzą słuchy, że jak skończymy z Żydkami, to i za Polaczków też się weźmiemy – warknął. – I to chyba szybciej, niż się spodziewają.

– I że niby też wszystkich?

– Tego nie wiem. Na początek pewnie tych z Zamojszczyzny, bo cały teren ma być oczyszczony pod nasze osadnictwo. Niemieckie wioski, a wokoło dla lepszej ochrony farmy należące do lojalnych Ukraińców. A z czasem kto wie... Może i na nich przyjdzie pora?

– Pojadę na dniach do miasta, mam tam znajomego jubilera, pogadam. – Ojciec przesyłał koronki do papierośnicy. – Auto by warto kupić. Jeździ człowiek konną bryczką jak za cesarza Wilhelma, a przecież jesteśmy poważnymi gospodarzami!

Zaskrzypiały krzesła, po chwili trzasnęły wrota. Sławek najciszej, jak tylko mógł, opuścił się do obory. Długo otrząpywał ubranie z kurzu, potem umył ręce w beczce z wodą dla krów. Obszedł dom i znalazł się w ogrodzie.

– Jakby co, byłem tu od początku roboty – szepnął do Mykoły.

– Jasne.

Ze zdwojoną energią zabrał się do przerzucania ziemi. Na tym zajęciu zastał go Heinz.

– Tak się właśnie zastanawiałem, gdzie ty się objąsz! – burknął. – Z daleka widziałem, że tylko Mykoła robi!

– Nie objam się, tylko musiałem odejść tu na bok, gdzie kamienie, i postukać kijkiem od widel – tłumaczył Sławek nieskładnie po niemiecku.

– W co postukać? – zirytował się Niemiec.

– To metalowe spada.

– Okucie?

– Tak. Okucie spada – powtórzył przesadnie starannie, jakby chciał zapamiętać nieznaną wyraz. – Postukać tym drewnem musiałem.

– Trzonkiem!

– Tak. Postukać trzonkiem kamień, żeby okucie się dobrze nadziało. – Zamarkował czynność. – Luz był. Spaść okucie mogło. Naprawić okucie chciałem. A żeby nie zawracać wam głowy... Sam.

Łgał jak z nut. Co więcej, to, co mówił, było dość prawdopodobne, bo faktycznie po wczorajszej harówce żeleźce obluźowało się trochę.

– No rzeczywiście, dobry z ciebie chłopak, wracaj do pracy. – Udobruchany szwab poszedł dalej.

Dopiero przed samym obiadem Sławek znalazł okazję, by pogadać ze studentem bez świadków. Zreferował, co usłyszał. Piotr słuchał cierpliwie.

– Bóg strzegł, że cię nie zauważyli. I dobrze wymyśliłeś to z widłami. Teraz gęba na kłódkę, nikomu ani słowa! Nikt poza mną nie może wiedzieć, że to podsłuchałeś. Niby się nie liczymy, ale są pewne rzeczy, których po prostu... – urwał. – Zbrodniarze wolą nie zostawiać świadków. A ten Otto to bydlę. Nie sądziłem tylko, że aż takie.

– Mykole na wszelki wypadek nie gadałem. Słuchaj, to możliwe, co powiedział? Że wszystkich Żydów wyciągniętych z pociągów od razu zabijają, i to tym gazem?

– Tak. – Piotr zacisnął wargi i spojrzął w przestrzeń. – Takie rzeczy robili, gdy siedziałem w obozie. Była tam taka część, oddzielona od reszty. Blok śmierci. Kto tam trafił... – Przesunął kantem dłoni po gardle. – Ale tam tylko chyba sprawdzali, jak to z tym gazem jest, w piwnicach. Jeden więzień mi mówił, że wezwali raz komando robocze do wynoszenia trupów i śmierdziało bardzo mocno, jakby migdałami. I też mieli krematorium do palenia ciał. Widziałem niejedno, Niemcy to bestie. Są zdolni do wszystkiego. Zwłaszcza ci z SS, choć i wermacht to banda lajdaków.

– Naszych Żydów z miasteczka zabrali zeszłej jesieni, mówili, że do getta w Chełmie. Kilku się ukrywało, znaleźli ich dzięki psom i od razu rozstrzelali. Ale większości pozwolili zabrać walizki, wsadzić na konne wozy starców i dzieci, a potem całą kolumnę pognali do miasta. Myślisz, że ich też...?

Student zamyslił się, zmarszczył czoło.

– Na troje babka wróżyła. Może i do getta, może do obozu pracy, a może jak tamtych od razu na śmierć. Cholera wie. Czy ktokolwiek z nich wrócił? Na przepustce, zebrać resztę dobytku albo na przykład załatwić zaległe sprawy w gminie?

– Eeee. Nie wiem. Ale chyba nie. Nie słyszałem. – Sławek pokręcił głową. – Ani nie spotkałem nikogo takiego. A znałem bardzo wielu, bo mieszkaliśmy blisko rynku. Cały rynek to były ich sklepiki i warsztaty. Kilkadziesiąt. Szewcy, krawcy, sklepikarze też różnych specjalności. I piekarz był, też Żyd.

– A może któryś napisał podanie w jakiejś sprawie urzędowej, na przykład o wypis z akt czy wydanie duplikatów dokumentów? Albo kartkę z pozdrowieniami do znajomych Polaków?

– Co do urzędu, nie mam pojęcia. Ale żeby ktoś się chwalił takim listem, nie zetknąłem się. Ojciec miał dużo znajomych, także Żydów. Przed wojną był sołtysem, ludzie nieraz pytali go o radę. Ale do nas nic podobnego nie przyszło.

– To, niestety, trzeba zakładać, że wszyscy wasi sąsiedzi już nie żyją – westchnął Piotr. – Może jacyś nieliczni szczególnie przydatni fachowcy trafili do obozów koncentracyjnych i pracują teraz, na przykład latając wojskowe buty w brygadach roboczych. Może ktoś dotrwa tak końca wojny. Ale liczyć na to nie można. Na tego Ottona bardzo uważaj. To łajdak, skończony łajdak, a jak słyszałeś, śmierć nawet wielu ludzi nie robi na nim wrażenia. Ten jego brat, Freder, jest jakby trochę normalniejszy, choć nie do końca. Cała rodzinka z piekła rodem. Chodź, wołają na obiad.

– Chyba nie mam apetytu.

– Wiem. Ale zjedz. Lepiej, żeby niczego nie podejrzewali.

*

Kończyli już jeść, gdy stara Helga stanęła w drzwiach kuchni. Wskazała Sławka laską.

– Hausherrin mówiła, że ubrania do roboty potrzebujesz. Tam na strychu to szmaty same, tu zaraz coś lepszego wyszukamy. Chodź.

Ruszył za nią posłusznie. W sieni domu Otto polerował kawałkiem szmatki wysokie, czarne buty. Staruszka pokuśtykała do szafy, otworzyła skrzypiące drzwiczki.

– Pomyślałam, że może to będzie dobre. – Zlustrowała chłopaka wzrokiem i zdjęła z półki pakunek owinięty w gazety i przewiązany sznurkiem.

Wypakowała na stół dziwny uniform, jakby mundur.

– Na co babcia tyle lat to trzymała? – zdumiał się esesman ze swojego kąta. – Zresztą jak na niego pasuje, niech w tym sobie chodzi do roboty. – Wzruszył ramionami.

– Frau Helga, co to takiego? – zapytał Sławek, oglądając strój.

Krótkie spodnie z mocnego płótna, bluza z dużymi kieszeniami. Najbardziej zdumiała go stalowa klamra do pasa ozdobiona swastyką, na którą nałożono jakby harcerską lilijkę.

– A to Otto nosił, jak był skautem jeszcze – wyjaśniła pani Helga.

– Jak nasi w trzydziestym trzecim wygrali wybory, wszystkie organizacje młodzieżowe wzięła pod opiekę NSDAP. Wtedy wymieniono skautom pasy na takie, ale po roku czy dwu w ogóle zerwano ze skautingiem i wszyscy młodzi poszli do Hitlerjugend – burknął jej wnuk. – A ja już za stary byłem.

– *Verstehen*.

– Mundurki też im wymienili, stare do zniszczenia poszły. Ale to dobra tkanina, żal było wyrzucać – mówiła staruszka. – Mierz.

Bluza była na niego odrobinę za szeroka w ramionach i rękawy musiał zawinać. Ale spodnie okazały się dobre. Tyle tylko, że sięgały jedynie kawałek za kolana. Uznał jednak, że do pracy ujdą. Były nawet skarpety. Też bardzo porządne, grube i sięgające do połowy łydki.

– Pasek też zabierz, przyda ci się, to dobra wołowa skóra i klamra ładna, solidna, ze stali – burknął Otto, uśmiechając się krzywo i jakby wyczekująco.

Prowokacja, przemknęło przez głowę chłopakowi. Myśli, że nie będą chciały klamry z ich znakiem.

– *Viele danke*. – Ukłonił się i z udawaną obojętnością wciągnął pas w szlufki.

Może jest na nim swastyka, ale jest też lilijka, rozmyślał, wracając do kuchni. A to prawie jakbym znów stał się harcerzem, próbował uspokoić sumienie. Z drugiej strony gdybym odmówił... Cholera wie co by mu do tego rudego łba strzeliło. Przecież to morderca. Wzdrygnął się. Co mogłem zrobić, żeby się wykręcić? Nic. Może gdybym wymyślił jakiś argument? Ale jaki? Nie jestem dość cwany. Pies trącał, będąc paradował ze swastyką.

Zaraz po obiedzie skierowali ich do rozbierania ruin obórki. Strój chłopaka wzbudził pewne rozbawienie pozostałych. Wysłuchali relacji.

– Ubranie to ubranie – Piotr uciał wreszcie żarty i docinki. – Do pracy przy gruzie się nadaje. Dobre płótno, posłuży dłuży czas. A kłamrą się nie przejmuj.

Robota okazała się bardzo ciężka. Piotr rozbijał mur kilofem, Ihor stalową „babą” kruszył bryły gruzu na mniejsze kawałki, Sławek z Mykołą wybierali gruz i ładowali, a Marcin wywoził go na wyznaczone miejsce. Mieli trzy taczki.

– Cwane szwabasy – burknął student. – Jakby były jedne, czekałibyśmy z robotą, aż ten leser wróci, a tak, zanim on odstawi puste, kolejne już są napełnione. Podpatrujcie, dzieciaki, podpatrujcie sukinsynów. Uczcie się wszystkiego, co dobrze wymyślili. Wróćcie do domu, niejedno przyda się na gospodarce.

– Podpatruję! – zapewnił Mykoła.

Pojawił się Otto. Przeszedł ścieżką z notatnikiem w ręce. W marszu skrobał coś na kartkach ołówkiem i marszczył brwi.

– *Fünfunddreißig mal zwei Kubikmeter wären...* – dobiegło ich mamrotanie.

Trzydzieści pięć razy dwa metry sześcienne – Sławek przełożył sobie automatycznie słowa Niemca. – Siedemdziesiąt. Proste działanie, a minę ma, jakby szacował miesięczną wydajność fabryki czołgów. Ciekawe, swoją drogą, co próbuje obliczyć.

– Zastanawiam się, po co tu przyjechał – mruknął Piotr. – Wcześniej przywozili go i zabierali. I zawsze przebierał się po cywilnemu. A teraz chodzi w mundurze, w dodatku przyjechał służbowym motocyklem.

– To ma znaczenie?

– Wszystko może mieć znaczenie. Wydaje mi się, że wcale nie trafił tu na urlop, tylko dostał przeniesienie w rodzinne strony. Niedobrze. Wolałem, gdy był daleko.

– Do czego niby jest tu potrzebny?

– Nie wiem. Ale jego obecność nie wróży niczego dobrego.

Chłopaków od ciągłego schylania się szybko rozboleły plecy. Student spocił się, co chwila ocierał czoło. Tylko stary Ukrainiec uderzał brukarską babą w spokojnym, miarowym tempie, niezbyt mocno, ale skutecznie. Cegły przez te wszystkie lata głęboko nasiąkły obornikiem, śmierdziały wręcz niemożliwie, dłonie mężczyzn pokryła cuchnąca ceglasta maź.

– Może jednak nie wszystko, co robią Niemcy, warto naśladować? – odezwał się Sławek. – Z tego rumoszu nic nie będzie. Ani tego dodać do betonu, ani alejki posypać. Śmierdzi, jakby się świnia porzygała. Chyba mądrzej jest robić takie budynki tak jak u nas, z drewna? A co jakiś czas porąbać, spalić i zbudować od nowa?

– Kto wie. Ale gdyby dać cegłę glazurowaną, może miałyby to sens? Z polewanej świńskiej łajno zmyjesz, choćby z wiadra. Dziwnie trochę wyglądasz w tym skautowskim mundurku – student zmienił temat. – Tyle dobrze, że nie jak Hitlerjugend. Ale nieźle leży. Zresztą przy tej robocie szybko się złacha. Kłamrę i pasek po wojnie do muzeum Baden-Powella oddasz, pewnie w Anglii mają takie.

– Ale po co?

– Bo zapewne zrobią ekspozycję o niemieckim skautingu i jego zagładzie. A takich klamer jest raczej niewiele, skoro tak krótko były w użyciu. Gdzie on się podziewa? – burknął Piotr, widząc, że obie taczki są już napełnione, i to z czubem.

Rozejrzał się. Marcin zrobił sobie przerwę na papierosa. Siedział na pieńku obok stosu gruzu i z lubością zaciągał się dymem. Patrzył gdzieś w przestrzeń i chyba coś sobie nucił, bo poruszał palcem jakby do taktu.

– Marzyciel. Wraca myślami do swojego teatru, rewii, aktoreczek – westchnął Sławek.

– Nawet go rozumiem, ale...

Otto wyszedł zza szopy, obojętnym ruchem odpiął zatrzask kabury, wyjął lugera i z odległości może metra strzelił mężczyźnie w kark. Inspicjent zwał się na bok jak wór kartofli. Jedna noga w gwałtownym skurczu kopnęła powietrze i opadła bezwładnie. Niemiec podszedł i trącił zwłoki nogą. Oceniał, że nie musi poprawiać. Spojrzał na nich obojętnie, pogroził lufą i schował broń. Poszedł w głąb ogrodu, równym, spokojnym krokiem, jakby nic się nie wydarzyło. Zaalarmowana wystrzałem nadbiegła Marta. Nadszedł też Heinz. Jednym rzutem oka ocenił sytuację. Zmarszczył brwi, przywołał wszystkich gestem. Odłożyli narzędzia i podeszli do ciała. Ich towarzyszy leżał bezwładnie; gdyby nie oczy wywrócone białkami do góry, można by pomyśleć, że tylko zasnął.

– No idiota – burknął stary pod adresem nieobecnego już bratanka. – To nie był zły parobek. A ile teraz załatwiania będzie... – Skrzywił się.

Postał przez chwilę nad trupem, popatrzył spod oka na pozostałych pracowników.

– Wygląda mi to na nagły rozległy zawał serca – orzekł wreszcie. – Dzień ciepły, ciężka praca. Po zimie tak się przytrafia czasami. Wiecie, człowiek gnuśniej, siedząc w domu, potem wychodzi, łapie łopatę, macha i trach. Nagły wysiłek fizyczny jest groźny dla nieprzyzwyczajonego organizmu. Serce wysiada.

Co on pieprzy?! – zdumiał się Sławek.

– Macie wszyscy czymać morda! – ostatnie zdanie Niemiec dodał nieoczekiwanie po polsku. – Weź ich do kuchni i daj wódki – polecił znów po niemiecku, zwracając się do hausherrin. – Po dwie szklaneczki. Ja muszę pilnie zadzwonić do doktora.

– Nie wolno pić w czasie pracy! A zresztą... – Kobieta machnęła ręką.

Mykoła milczał – był najwyraźniej w szoku. Sławek też szedł jak ogłuszony. Stary Ihor trząsał się jak osika i kłął pod nosem po ukraińsku.

– Uspokójcie się! – polecił szeptem Piotr. – Jemu już nie pomożemy, a sami możemy szybko wyładować w piachu! Zwłaszcza że zobaczyliśmy coś, czego absolutnie nie powinniśmy widzieć. I nie wiem, jak to załatwić! Ale mają jakiś plan.

Siedli w kuchni. Kobieta zakręciła się między szafkami. Postawiła na stół szklaneczki podobne do literatek. Odszukała baniaczek i nalała im wody. Potem, wiedzioną śladem jakichś ludzkich uczuć, nakroiła grubo białego chleba, kielbasy i cebuli, a z kamionkowego gara wyłowila kiszzone ogórki.

– *Wicznaja pamiat'* – westchnął stary Ihor, wstając.

– Niech mu niemiecka ziemia lekką będzie – dodał Piotr.

Wszyscy powstali i wypili do dna. Niemka lypnęła tylko, ale nie pisnęła słowa. Usiedli. Kobieta rozlała drugą kolejkę. Tym razem pociągnęli tylko po małym łyku. Zagryźli chlebem z kielbasą i cebulą. Sławek dłuższą chwilę badał bukiet alkoholu.

Sznaps był chyba pędzony z jabłek, ale chłopak wyczuł też delikatną nutę śliwek i gruszek. Poczuł, jak alkohol go rozgrzewa. Dygot powoli mijał. Popijali niewielkimi łykami, zagryzali. Sławek zauważył, że Mykoła nadpił tylko trochę i zamienił swoją szklanę z pustą stojącą przed krewniakiem. Kielbasa była wyśmienita, ogórki natomiast ni pies, ni wydra – najbardziej przypominały w smaku małosolne.

Co by nie mówić, szwabcy umieją robić wędliny. Ostatni raz tak sobie podjadłem na święta, pomyślał chłopak.

Wspomnienie domu wzbudziło w nim nagły lęk. Czy jeszcze kiedyś tam wróci? Znow poczuł drżenie. Popił wódki. Na znieczulenie, żeby nie myśleć o tym, co się stało. Niemka, widząc, że mają pusto w szklaneczkach, polała znowu.

Ale się ubzdrygnęło, uświadomił sobie chłopak. Toż to prawie dwie setki! A nie przywykłem.

Z ojcem czasem napili się piwa albo symbolicznie po małym kielonku bimbierku na rodzynekach. Piotr rozpiął guzik pod szyją. Nos i policzki Ihora poczerwieniały, na twarzy rozlał się wyraz błogości. Widać było, że dawno nie miał okazji sobie ognać.

– Po co nas poją? A jeśli to pożegnalnie, dla skazańców przed egzekucją? – przestraszył się nagle Mykoła.

– Wszystko możliwe, ale raczej nie. – Piotr miał już nieco maślane spojrzenie. – Jeden trup to jeden kłopot. Ale pięć... Nie, raczej nie – powtórzył.

– A jeśli do obozu? – bąknął Ukrainiec.

– To już lepiej, żeby zastrzelili.

– No co ty gadasz? – zirytował się Mykoła.

– Nie byłeś w obozie, nie wiesz, jak tam jest, i nie chcesz wiedzieć – westchnął Piotr. – A ja wiem i co noc próbuję zapomnieć. Wiesz, dlaczego zawsze noszę przy sobie etui z brzytwą? Bo jakby mieli mnie znow tam zabrać, to wyjmę i chlasnę sobie po żyłach. Po rękach, wzdłuż, głęboko, żeby nie mogli zatamować, żeby nie opłacało się szyć i opatrywać. I po szyi. Dwie, trzy minuty męki i po sprawie.

– Straszny grzech odbierać sobie życie – powiedział cicho Sławek.

– Bóg zrozumie i odpuści – szepnął student. – Powiedziałem sobie, że nigdy więcej nie pozwolę się wsadzić do obozu koncentracyjnego. Nigdy.

Ścisnął mocno szklanę w dłoniach, wzburzony i roztrzęsiony. Widać było, że nie może się uspokoić. Pociągnął łyk wódki.

Jedna zdawkowa uwaga sprawiła, że ten człowiek, twardy, wesoły, bystry, zawsze trzymający fason, zamienił się nagle w przerażone, zaszczute zwierzę, rozmyślał Sławek, obserwując go spod oka. Myślałem, że więzienie etapowe w Lublinie było straszne, ale najwyraźniej to hitlerowskie piekło ma jeszcze gorsze kregi.

Potem mimowolnie przypomniał sobie egzekucję dekarza. Hausherrin pojawiła się znowu, dołała im wódki i dokroiła jedzenia. Minęła może godzina, gdy nieoczekiwanie trzasnęły drzwi. Podskoczyli przestraszeni. Heinz wszedł w towarzystwie doktora.

– Potpiszecie tu papier. – Położył na stole jakiś protokół. – Wszyscy!

Sławek rzucił tylko okiem. Dokument wystawiony został przez doktora Heinricha Schwartza. Wszystkie rubryki wypełniono równym, starannym pismem po niemiecku. Akt zgonu Marcina. Jako przyczynę śmierci podano nagły atak serca podczas pracy w polu. Poniżej wypisano ich imiona i nazwiska oraz numery książeczek pracy. Mieli się tylko podpisać jako świadkowie zdarzenia. Nikt nie zdobył się na cień protestu.

– Nu i w poszontku bendzie. – Niemiec, zadowolony, podmuchał na ich autografy. – *Ordnung muss sein.*

Skinął na hausherrin. Polała im czwartą czy może piątą już kolejkę, a widząc, że zjedli wędlinę, ukroiła jeszcze wspaniałego wędzonego boczkę. Ihor gołnął całą szklankę jednym haustem i przymilnie uśmiechnięty podsunął ją Niemce, bezczelnie prosząc o dolewkę. Pokręciła głową jakby z naganą, ale nagle zmiękła i nalała mu. Potem wychylił jeszcze nietkniętą wódkę krewniaka.

Sławek oparł się o ścianę pieca. Było mu ciepło, miał pełny żołądek. W głowie delikatnie szumiało. I tylko ten strach. Ale nawet lęk zasypiał, rozpuszczał się w mocnej niemieckiej wódzie. Wreszcie dopili, dojedli i dźwignęli się ciężko. Sławek zatoczył się, Piotr i Mykoła podtrzymali go w ostatniej chwili.

– Ty uważaj, bo głowę sobie rozbijesz o piec – burknął młody Ukrainiec.

– Toby się chyba strasznie wkurzyli, wypisując nowy protokół – wymamrotał chłopak.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co palnął. Zawstydzony spuścił głowę. Sam nie wiedział, jak dotarł na kwatery. Padł na łóżko.

– Nie byłem nigdy nad morzem – poinformował Piotra.

– Ja dwa razy. Ale co to ma do rzeczy?

– Bo wiem teraz, co czuje marynarz, leżąc na koi podczas sztormu. – Ta wypowiedź wydała mu się szalenie mądra.

– Śpij. Albo czekaj. Zimnej wody najpierw popij, to cię kac nie będzie tak strasznie męczył. A w przyszłości nie pij tyle wódki. Widać, że nie nawykłeś.

*

Zmierzchało, gdy stanął w drzwiach obory. Ihor i Mykoła już krzątali się przy wiadrach. Stary, choć wlał w siebie ponad pół litra, wyglądał na całkowicie już trzeźwego, tylko nos i policzki bardzo mu poczerwieniały, a oczka miał nadal maślane.

– Pomogę – wymamrotał chłopak.

– A dasz radę? – Młody Ukrainiec spojrzał krytycznie.

– Doić dam. Już mi oddało. Przetrzeźwiałem. Ale wiadra nosić to nie wiem. Jeszcze mi się nogi trochę plączą.

– Młody jesteś i widać, że nie nawykłeś do takich ilości wody – westchnął Ihor.

– A ja stary i już też nie powinienem. Dobra, oj, dobra wódka. Jak z carskiej gorzelni. I błogość taka po niej ogarnia... I myśli płyną jak ciepłe kluski rzucone w rosół. Ale będą mi jutro koźleta po wątrobie skakać.

– Nie bardzo mogliśmy odmówić, a wylać ukradkiem też się nie dało. Nie podoba mi się ta sprawa – powiedział Mykoła. – Dali wódki, podpisaliśmy, co trzeba. Dlaczego tyle zachodu?

– Im zasadniczo nie wolno zabijać robotników przymusowych. Z prawnego punktu widzenia stanowimy cenny zasób materialny Trzeciej Rzeszy – zakpił gorzko student, stając w drzwiach z plandeką siana. – Teoretycznie nawet donos moglibyśmy na nich napisać. Teoretycznie – powtórzył. – Bo w praktyce niech ręka boska broni!

– Jak myślisz, będzie z tego jeszcze jakaś chryja? – zapytał Sławek.

– Diabli wiedzą. Myślę, że raczej nie. My się nie liczymy. Lekarz stwierdził naturalną przyczynę zgonu, jest papier, protokół. Ciało zabrali i raczej już się nie

odnajdzie. Ale mimo wszystko ta sprawa... Kij i marchewka – westchnął student. – Wiem, trudno to wszystko przełknąć, nawet z taką ilością wódki. Mój Boże, nie wypilem tyle od wieczoru kawalerskiego kolegi. Przed wojną jeszcze. Przekłete szkopy. Ale co zjedliśmy, tego nam już nie odbiorą. Dobrze, że to Heinz się zajął sprawą. Pyk i zamieciona pod dywan. Bo ten jego braciszek by wymyślił coś gorszego.

– Heinz mówił po polsku. No, prawie po polsku – zauważył stary.

– Od dawna podejrzewałem, że te szwaby znają nasz język. Trzeba będzie dwa razy bardziej uważać. I jeszcze ten skurwysyn Otto. Przyjechał i już niemal od razu pierwszego dnia musiał kogoś zabić.

Skończyli obrządek. Nadal byli objedzeni, nikt nie dopominał się o kolację. Sławek czuł się zmęczony i sponiewierany przez alkohol, ale gdy się położył, długo nie mógł zasnąć. Piotr wyciągnął spod łóżka walizkę zastrzelonego i przeglądał jego rzeczy.

– Szukam adresu – wyjaśnił. – Napisałbym do jego rodziny, żeby już na niego nie czekali. Czasem najgorsza wiadomość jest lepsza niż niepewność.

– Hmm – zadumał się Sławek. – A może dać znać do tego jego teatru? Tam chyba będą wiedzieli, kogo zawiadomić? Napisać na Poczcie Główną w Warszawie i podać nazwę instytucji. Nakleić trochę więcej znaczków, niż trzeba, żeby mieli za fatygę.

– Może to i jakiś pomysł.

Był człowiek, zamyślił się, zagapił i zginął. Jakie to straszne, rozmyślał Sławek.

Jak to mówił ojciec? Wojna to wojna. Oni mają karabiny i my mamy karabiny. Oni strzelają do nas, my do nich. Nie ma się o co obrażać. Czysta sytuacja. Zwykle zabijanie. Ale okupacja to co innego. Okupacja demoralizuje. I okupanta, i okupowanego. I tylko jedna strona ma broń.

– No i buty – westchnął student, wyrrywając go z zadumy. – Sam nie wiem.

– Jakie buty? – nie zrozumiał chłopak.

– Buty Marcina. Mój rozmiar w zasadzie, porządne. Ja nie bardzo mam w czym chodzić, a jemu, no cóż... Ciało już zabrane, do trumny nie włożymy. O ile w ogóle pochowają go w trumnie. W każdym razie jemu już niepotrzebne, tylko głupio tak okradać nieboszczyka.

– Myślę, że by zrozumiał.

– Wiem. Ale głupio i tak.

Piotr westchnął, raz jeszcze obracając kamaszki w ręce. Faktycznie były bardzo porządne i jeszcze niewiele używane. Wreszcie odłożył je pod łóżko.

– W obozie... Umarł człowiek z mojego baraku, na pryczy. Z wycieńczenia chyba, albo serce nie wytrzymało. I wiesz, co zrobiłem? Zanim wywlekli ciało do krematorium, koszulę z niego ściągnąłem, bo gruba była, porządna flanela. Nie myślał człowiek o niczym. Zrobili ze mnie zwierzę. Chciałem się zagrzać trochę. Zdjąłem z trupa, nawet nie wyprałem, założyłem na gołe ciało, a na wierzch moją. Ale teraz... – westchnął ciężko. – No jakoś nie mogę. Muszę to jeszcze przemyśleć.

– Rozumiem – odrzekł Sławek.

– *Nawit' ne dumaj pro ce!* – usłyszeli za przepierzeniem podniesiony głos Mykoły.

– *Wże pizno. Dla nich sprawżnja smert'! Dla nas żytia i swoboda.*

– *Jak pizno?! – ryknął młody. – Ty zrobzyw ce?! Ty, staryj dureń!*

Sen przyszedł ciężki, męczący. Sławek chodził po domu bauera. Budynek był kompletnie zrujnowany, ściany znaczyły pęknięcia i zacieki. Tynk odpadał płatami, odsłaniając mur obity przegniłą trzciniową matą. Resztki mebli poniewierały się po kątach. Śmierdziało jakby szczurami, tylko ostrzej. Ten zapach budził w nim niepokój, coś jakby przypominał, choć Sławek mógłby przysiąc, że czuje go pierwszy raz w życiu. I naraz chłopak uświadomił sobie, że w tych pomieszczeniach poza nim jest coś jeszcze. Słyszał jakby skrobanie pazurków, tupot niewielkich łapek. Czuł na skórze świdrujące spojrzenia paciorkowatych ślepi. Kątem oka spostrzegł ruch, jakby coś na chwilę pojawiło się na skraju pola widzenia. Odniósł wrażenie, że wokół jego stóp skaczą jakieś cienie, jakby otaczał go żywy dywan niewielkich istot.



Jakby łasice, przemknęło mu przez myśl. Pozornie niewielkie zwierzątko, które jednak mogą użreć głęboko i boleśnie, do kości.

Przyspieszył kroku. Szedł przez niekończącą się amfiladę zrujnowanych pomieszczeń. Czuł, że wokół niego powietrze staje się coraz gęściejsze. Słyszał tupot małych łapek, coraz liczniejszych i szybszych. Rzucił się do ucieczki, ale jak to we śnie, nogi nie chciały go słuchać.

Potężne szarpnięcie przywróciło go do przytomności. Otworzył oczy i zaraz przymknął powieki porażone blaskiem świecy. Kto nim potrząsał?

Piotr.

– Przyśnił ci się jakiś koszmar – powiedział. – Jęczałeś przez sen. Tu jest kubek. Popij wody. Cały jesteś spocony i masz przerażoną minę.

– Coś mnie goniło – szepnął chłopak. – Całe stado jakby szczurów, ale nie widziałem ich. Tylko czułem obecność. Chciały mnie zagryźć chyba.

– Ganianie małych zwierzątek. To się przytrafia, ale za mało wypiliśmy, żeby mieć delirkę – uspokoił go. – Jesteś w parszywym miejscu, na łasce Niemców, w dodatku ludzi podłych i chciwych. I nie nawykłeś do picia wody. Nic dziwnego, że umysł odkotwicza. To tylko sen.

– Tak, chyba tak.

*

Tego ranka malowali płot przed domem. Wszystkich męczył trochę kac, ale Ihorowi alkohol zaszkodził znacznie bardziej. Był blady jak ściana, pocił się, co jakiś czas przykładając dłoń do obolałej wątroby i pojękiwał. Regularnie popijał wodę z małej kanki. Musiało go straszliwie suszyć. Mykoła miał ponury wyraz twarzy, ale nie dogadywał krewniakowi. Pracował równym, niespiesznym tempem. Co jakiś czas tylko wdychał ciężko. Widać było, że przeżywa wczorajsze morderstwo, nie ma też ochoty na rozmowę.

Był człowiek i nie ma człowieka, dumał Sławek, powtarzając w głowie nie wiedzieć który raz te same słowa. Zastrzelili go jak psa, w zasadzie za nic, ot tak. Ten cały Otto zrobił to jakby odruchowo. Może tak przywykł tam, gdzie służył. W gettach działa się przecież okropne rzeczy. I u nas podczas deportacji Żydów. Kilku zabili, chyba tylko po to, żeby przerazić resztę. A Piotr? – Łypnął okiem na studenta. Z pewnością widywał takie sceny, gdy siedział w obozie. Ja... Ja się boję. Nie bałem się tak, od kiedy złapali mnie w lesie. Ale żyję. Niemcy znów kogoś zabili, a mnie się udało przeżyć kolejny dzień. Jak to powiedział pan Moryc? Każdy dzień to małe zwycięstwo. Kiedyś suma tych zwycięstw złoży się razem. Wojna dobiegnie końca, a ja będę żył, próbował się pocieszyć.

Na drodze zaterkotał motor i nadszedła wysłużona wojskowa ciężarówka. Zaparkowała przed gankiem. Z auta wysiadł młody, wysoki Niemiec w mundurze obergefrejtera wermachtu. Był bardzo blady, rękę miał na temblaku. Na mundurze wyraźnie odznaczała się nowiutka wstążka Krzyża Żelaznego.

– Pan Freder przyjechał! – usłyszeli okrzyk hausherrin.

Przybysz przywitał się z ojcem i stryjcem.

– Który tam ma czyste ręce? – Obrzucił robotników wzrokiem. – Trzeba wypakować zegar i paczkę z obrazami.

Mykoła spojrział krytycznie na swoje dłonie i odruchowo wytarł je o spodnie. Sławek też miał w miarę czyste. Podeszli od tyłu. Kierowca uniósł brezent. Auto było zawalone meblami zawiniętymi w rogoże i skrzyniami. Zestawili w pył drogi, wysoki zegar i duży, niezbyt ciężki tobół. Zegar na polecenie młodego wnieśli od razu do sieni i ustawili w wolnym miejscu, koło szafy.

– *Ta joj...* – mruknął młody Ukrainiec, patrząc na cyferblat, i zmarszczył brwi.

– Stary szafkowy junghans, robiony dla carskiej Rosji – Sławek postanowił błysnąć wiedzą. – Nazwa niemieckiej firmy w cyrylicy i w dodatku cyfra cztery w postaci czterech pałek zamiast rzymskiej czwórki. Tak tam było przyjęte.

– Tak? – Mykoła wyrwany z zamyślenia spojrzął na niego. – Znasz się na tym, jak widzę. Po prostu wydało mi się... – urwał.

Wrócili do pracy. Tobół został na ganku. Niemcy siedli zaraz na ławce i nie przejmując się robotnikami malującymi płot, zaczęli gadać. Marta przyniosła im po kuflu i koszyk pełen butelek piwa.

– Cały miesiąc urlopu dostałem – opowiadał młody. – A kto wie czy nie dłużej, z uwagi na ranę. Oberwałem odłamkiem. Wszedł aż do kości. Dwa palce przestały mnie słuchać, tylko drgają. Ani zgiąć, ani nic.

– Po nerwie drasnęło – ocenił Helmut. – To już do końca życia może tak zostać. Kto wie, może i z wojskiem przyjdzie się pożegnać?

– Doktor Schwartz ma mi zmieniać opatrunki. A jak się wygoi, stanę przed komisją.

– No, a teraz opowiadaj, jak to było – zachęcił Heinz.

– Byliśmy dobrze okopani, gdy Sowieci na nas uderzyli. Ruszyli do ataku bladym świtem w niedzielę. Zaskoczyli nas. Pół godziny przygotowania ogniowego po naszych pozycjach. Ostra młócka. Walili po okopach najpierw moździerzowymi, potem szrapnelami. Leżałem z głową w błocie, tylko słuchałem, jak gwizdało. A gdy dobrze rozedniało, poszli do ataku. Kto jeszcze był żywy, złapał karabin czy szmajsera. Z mojego oddziału połowa wyszła cało – dodał po chwili Freder. – Na przedpolu założyliśmy wcześniej miny. Pobiegli przez nie, na wprost na zasieki i pod kule.

– Rusczy tacy niby odważni?! – zdumiał się Heinz.

– Gdzie tam, kroku by nie zrobili, ale za nimi szli Żydkowie z NKWD i kto się cofał czy ociągał, temu walili od razu w plecy albo i w tył czaszki. Trochę ich zginęło na minach, sporo natłukliśmy, ale jak się wdarli na naszą pozycję...

Wzdrygnął się.

– No co? – ponaglił go ojciec.

– Strzelaliśmy do siebie twarzą w twarz. Z metra, czasem z przyłożenia, a potem walka wręcz. Na ostro. Tyle dobrze, że oni nie wszyscy mieli karabiny. Czasem ich tak rzucają z gołymi rękami, a jak któryś padnie, inny bierze jego broń – wyjaśnił młody.

– Biliście się na bagnety?

– Też. Tylko my mieliśmy normalne, a oni te swoje od karabinów Mosina. Cienkie i długie szpile, zastrzone czworograniasto jak szpady. Paskudztwo, oberwać takim w brzuch to niemal pewne zakażenie i śmierć. A niektórzy zamiast tego kije mieli, takie jak ucięte styliska łopat, a na koniec zakręcona mutra. Coś jak dawna buława w średniowiecznej Rusi. Widziałem też u nich noże, takie mocne, z szeroką klingą, mówili potem, że to syberyjskie, myśliwskie. Odparliśmy atak cudem. Gdyby było ich tak ze setkę więcej albo jakby ich choć trochę lepiej Stalin uzbroił, toby nas wyszlachtowali do ostatniego. Zostało ich na tym polu będzie z kilka setek. Zabici od

kul, rozerwani na minach. Byli i ranni. Który mógł, to pełzył w tył, reszta jęczała i krzyczała o ratunek, ale sanitariuszy po nich nie wysłali.

– Zwierzęta! – wykrztusił stary. – Tak traktować własnych żołnierzy...

– Ano bydło. Mało mają sanitariuszy i szpitali polowych. Dla nich żołdat liczy się, jak zdrów i atakuje. Reszta to zbędny balast.

– I tak zostali na tym polu?

– Początkowo nawet nie dobijaliśmy, brakło już amunicji – odparł młody. – Ale niektórzy z łżej rannych nadal stanowili zagrożenie. Mieli strzelcy wyborowi trochę pracy, zanim przedpole ładnie oczyścili.

Popił piwa.

– Cała ta wojna mieli nas i ich po równo, jak maszynka do mięsa – podjął opowieść. – A po południu znów ostrzał, potem ich czołgi dojechały i znów poszli do ataku. Czołgi przodem, a piechota, kryjąc się za nimi. Widać dowódca sądził, że jak żołdaci poszli przez pole, to własnymi nogami rozminowali. Taka przeciwpiechotna to na czołg za mało, najwyżej gąsienicę rozerwie. Ale figa, bo myśmy tam i przeciwczołgowe zakopali. Tylko że zapalniki były nastwione na duży nacisk.

– Nie rozumiem – potrząsnął głową Helmut.

– Jak kładziesz minę, tam jest taki dekiel, a pod nim pokrętko. Zależy od modelu oczywiście. Możesz ustawić na minimalny nacisk. Wtedy, jak ktoś nadejście, wybuchą od razu. Ale szkoda kilku kilogramów trotylu na jednego piechura. Dlatego przeważnie nastawia się na większe obciążenie. Zwykły żołnierz nadejście, nic się nie dzieje. Biegną falami, my do nich strzelamy, a ich dowództwo myśli, że teren czysty. I puszczają w ślad za piechotą sprzęt. A tu figiel. Dopiero jak auto czy wóz pancerny wjadą i ciężar jest odpowiedni, wtedy się zapalnik uruchamia – dodał Freder, widząc, że ojciec i stryj nie rozumieją. – Czołgi w końcu rozwaliliśmy, ale zadały nam bobu. Mnie jakiś odłamek w ramię trafił. Trzeciego ataku już byśmy nie przetrzymali, na szczęście po południu przyszedł rozkaz zaminować, co się da, i natychmiast wycofywać oddział na odpoczynek.

– Cały czas w tył i w tył – odezwał się jego stryj. – A kiedy wreszcie będzie jakaś zwycięska ofensywa? Leningrad, Moskwa, Stalingrad. Trzy gniazda czerwonego robotwa czekają, żeby je wypalić siarką i żelazem, a potem zrównać z ziemią!

– Nie ma szans. Co do ofensywy, liczę, że Sowietów uda się wykrwawić i powstrzymać, zanim przekroczą Zbrucz. Może wreszcie natłuczemy ich tyłu, że Stalin poprosi o pokój – powiedział młody bez większego przekonania. – Dobrze byłoby z zajętego terenu utrzymać przynajmniej Litwę i to, co przed wojną było polskie. Choć Krym też jest piękny – westchnął. – Niemieckie dzieci mogłyby po wojnie jeździć na wakacje nad ciepłe morze. Ale tu nie widzę szans. Za mało mamy żołnierzy w polu i broni, żeby odeprzeć te hordy. A gdy nasi najlepsi ludzie walczą, tacy pieprzeni dekownicy jak Otto siedzą na tyłach – warknął z irytacją. – Tam, na wschodzie, liczy się każdy człowiek, każdy nabój i każda konserwa. A milion takich jak on bąki zbija!

– Już ty na brata nie ujadaj – burknął Helmut. – Wykonuje zadania nie mniej ważne! No i przywiózł ostatnio trochę ciekawych rzeczy.

– Tyle jego zadania, żeby Żydów pilnować i za Polakami po lasach ganiać. Nie był na froncie, nie wąchał prochu.

– Z partyzantami walczyli! – Heinz podniósł głos.

– Polska partyzantka? Stryju, nie rozśmieszaj mnie. Partyzanci nie mają czołgów ani karabinów maszynowych. Partyzanci nie zrzucą mu na głowę ćwierćtonowej bomby. Partyzanci nie rozkładają pól minowych. Partyzanci nie obłożą

mu oddziału ogniem z katuszy. Posiedziałby miesiąc na froncie wschodnim, toby gnój poczuł, czym jest prawdziwa wojna! A SS to gówno, nie wojsko. Nas, wracających na urlop, jeden taki fagas prosił o pomoc, bo sam nie dawał rady głupiej wiochy wziąć w karby. A co do ciekawych rzeczy, to i ja coś przywiozłem.

Rozwinął toból.

– Cały serwis porcelany, nie byle jakiej, carski Kuzniecowa. Dwie srebrne cukiernice. I obrazki trzy, niebrzydkie. Sami zobaczcie.

Wyjmował po kolei, odpakowywał z gazet. Sławek spostrzegł, że Mykoła i Ihor wymienili porozumiewawcze spojrzenia i niby to pracując, obserwowali z uwagą całą scenę. Wreszcie stary zaklął pod nosem.

– Co się stało? – zapytał Piotr szeptem.

– To było nasze miasteczko. Zegar i obrazy są z domu naszego aptekarza – powiedział Mykoła, błądy jak ściana. – Co do zegara, nie miałem pewności, ale teraz... teraz już mam.

Odwrócił się w stronę drogi i długo w milczeniu wodził pędzlem po sztachetach. Może chciał ukryć poruszenie. Stary za to zacisnął usta w kreskę, a w jego oczach zabłyśły ponure ogniki. Ale Sławka najbardziej zdumiało to, że pod sumiastymi wąsami dziadygi wyraźnie dostrzegł złośliwy uśmiech.

*

Kolejne dni mijały spokojnie. Otto co rano wsiadał na motor i znikał gdzieś na cały dzień. Wracał ponury, milczący i jakby zamyślony. Robotników traktował jak powietrze. Freder całe dni spędzał na ganku, czytając książki lub gazety i paląc papierosy. Rana cały czas mu się paskudziła. Obaj bracia prawie ze sobą nie rozmawiali. Sławek zauważył, że przed obiadem obaj starsi Niemcy wychylali kielonek sznapsa, a do drugiego dania pili wino. Otto aż do wieczora nie pił nic, za to jego brat preferował piwo, którego dziennie wypijał cztery do sześciu butelek. Robotnikom takich luksusów nie zapewniano. Tyle dobrze, że chociaż Niemcy gonili ich do roboty bez litości, to jednak karmili w miarę dobrze.

Był czwartek, gdy obudził ich huk uruchamianego motoru. Otto pojechał gdzieś, nie z samego rana jak zwykle, ale dobrą godzinę wcześniej. Wygrzebali się z łózek.

– Już i tak nie zaśniemy, posłuchajmy świergotu ptasząt – zażartował Piotr.

– Ostatnio jakby mniej świergoczą – zauważył Sławek. – A wczoraj kilka kur zdechło.

– Tak, zakopywałem. I były dwie zdechłe jaskółki.

Piotr uchylił drzwi i nasłuchiwał.

– Ćwierkają – mruknął. – Ale mniej niż wcześniej. Może okres godowy minął i samczyki nie wołają samiczek. – Westchnął. – Masz dziewczynę?

– Podoba mi się taka jedna. – Sławek zacerwienił się. – Gadamy czasami... Ale nic ponadto. Kilka razy za rękę potrzymałem, nawet pocałować się jeszcze nie dała.

– Nie martw się, wrócisz z wojny, wtedy i na to przyjdzie czas. I na inne rzeczy też. – Piotr puścił oko. – I jej kolanko pod dłońią poczujesz, i cycusia da ci kiedyś pogładzić, a przyjdzie i taki dzień, że poflglujecie sobie poważnie na sianku.

– No co też... – Chłopak zacerwienił się jeszcze mocniej.

– Wspomnisz jeszcze moje słowa.

Piotr wyciągnął swoją skrzynkę, a z niej blaszankę z resztką pasty i szmatkę. Natłuścił buty, przetaił i z frasunkiem oglądał podeszwy.

– Wymagają już podzelowania – powiedział.

– W miasteczku jest przecież szewc.

– Jest, ale to dupa wołowa, nie szewc. Młody gnojek, wrócił z wojny jako kaleka bez jednej ręki i oka. Dostał w arendę warsztat, chyba po jakimś miejscowym Żydzie. Niewiele umie, jedną łapą mało co robi, do tego brak surowców. Na podeszwę trzeba twardej skóry albo gumy. Twierdzi, że nie ma.

– Myślę, że powinienes jednak wziąć te po Marcinie – zasugerował Sławek.

– Wiem. Ale wstydzę się jakoś. To by było jak przegrana. Rozumiesz? Niemcy chcą z nas zrobić zwierzęta. Żebyśmy... Żeby cały nasz potencjał umysłowy sprowadzić do rozwiązywania najprostszych zadań. Co na grzbiet założyć i co do garnka wrzucić.

Hausherrin podała im śniadanie. Tego dnia była jakaś zdenerwowana i nie w humorze. Kroiła chleb krzywo. Potem chyba przez niedopatrzenie wydała im znacznie więcej kiełbasy, niż wynikało z rozpiski. Na koniec postawiła na stole misę z kiszonymi ogórkami. Zreflektowała się po chwili i nawet zrobiła ruch, jakby chciała ją zabrać, ale tylko machnęła ręką i wzruszywszy ramionami, uśmiechnęła się chłodnym, wymuszonym grymasem. Sławek jadł z przyjemnością. Ogórki tym razem były smaczniejsze, choć przyprawiono je zupełnie inaczej niż u niego w domu.

Zaskrzypiały drzwi, stara gospodyni, postukując laską, weszła do kuchni. Wstali i wyszczekali po niemiecku słowa przywitania.

– Na starość tracę wzrok, ale wyostrzył mi się węch i słuch – burknęła Helga. – Czuję dziwną woń. Jakiś taki smród. – Spojrzała spod oka na pracowników i pociągnęła główno nosem.

– Myjemy się regularnie i ubrania też pierzemy – wyrwało się Sławkowi.

– Pocimy się, jak to przy ciężkiej robocie – dodał Piotr, nieco poirytowany. – Jak się wyrzuca łajno spod krów czy przerzuca obornik, ubrania też przenikają różną wonią. To jest wieś, tu po prostu...

– Nie, to nie od was. – Staruszka pokręciła głową. – I nie z obory. To taki zapach, którego nie znam i zarazem znam, i się go trochę boję. – Zmarszczyła brwi.

– Dbam o czystość w domu, jak tylko mogę! – zaprotestowała ochmistrzyni.

– Tak, to coś innego – mruknęła Helga. – Może tchórze się w piwnicy zaległy albo łasice? Bo słyszałam coś jakby drobne łapki stukające pazurkami o deski. Rozłoż pułapki – poleciła Piotrowi.

– Nie widziałam niczego podejrzanego. – Marta pokręciła głową.

– My też nie – zapewnił student.

Sławek drgnął. Przypomniał sobie dziwny sen. Obaj Ukraińcy wymienili spojrzenia. Mykoła zmarszczył brwi, a stary jakby przepraszająco rozłożył dłonie. Dopili lurowatą kawę. Hausherrin rozdzieliła obowiązki. Mykoła miał się zająć obrządkiem, Piotra, Ihora i Sławka wysłała do roboty przy drzewkach owocowych. Jak się okazało, sad opadał od drogi aż do jeziora. Był rozległy i w dodatku kompletnie zdziczały. Połamane gałęzie i przegniłe ubiegłoroczne liście wały się pod nogami. Krzewy malin i porzeczek, niepielęgowane od lat, rozrosły się w istną dżunglę. Drzewa zaczęły już wypuszczać pierwsze pąki, widać było wyraźnie, które konary są uschnięte.

– Nie wiem, co tej starej śmierdzi – burknął Piotr poirytowany. – Wnusio esesman może. Lizol. Wszystko w obozie śmierdziało lizolem. – Wzdrygnął się na

wspomnienie.

– Otto jedzie gdzieś każdego dnia rano, wraca wieczorem – zauważył Sławek. – Widzieliśmy sowieckich jeńców. Myślisz, że przenieśli go tu służbowo i na przykład pomaga ich kotać w obozie? Albo pilnuje przy pracach w terenie?

– Zaraz, zaraz. Co powiedziałeś? – Student potrząsnął głową.

– Sowietci. Jeńcy. Ścinali drzewa w lesie. Gdzieś muszą ich trzymać, no nie? Pomyślałem, że gdzieś w okolicy jest obóz, a jak są potrzebni, to się ich pędzi piechotą do pracy albo ewentualnie dowozi ciężarówką. A tu mamy esesmana. Przyjechał, myśleliśmy, że na urlop, ale dostał służbowy motor i co rano gdzieś jedzie. Zawsze o tej samej godzinie, jak do pracy. To pomyślałem, że może pracuje przy obsłudze tego obozu. Ale jeśli jest tak, jak mówisz, że w obozie wszystko odkaża się lizolem, to i on będzie trochę nim śmierdział. A raczej pewnie mieszaniną różnych obozowych woni. Rzuca gdzieś służbowe łachy w kąty i cuchną.

– Jesteś cholernie bystrym chłopakiem – pochwalił Sławka Piotr nie widzieć który już raz. – Tak. To, co mówisz, jest prawdopodobne. Może nawet bardzo prawdopodobne. Chlor, trupy, łajno, brud, środki przeciw wszom. Obóz śmierdzi wręcz okropnie – westchnął. – Może to być właśnie to. Ewolucja tak nas wyuczyła, że pewne wonie wydają nam się odrażające. Chodzi o to, żebyśmy trzymali się z daleka od tego, co może nam zaszkodzić... – Zadużał się.

Sławek uniósł rękę i obwąchał mankiet. Używał na zmianę dwu koszul, trzecia odłożona była na dno walizki „na specjalne okazje”. Wieczorami co dwa lub trzy dni robił pranie w misce, dodając odrobiny płatków mydlanych, których hausherrin używała do szorowania podłogi. Pokręcił głową.

– Nie czuję nic. Nic niepokojącego.

– Moje buty są już na wykończeniu, ale to chyba też nie ta woń – stwierdził student.

Przyczłapał Ihor. Zaczęli od przetrzebienia krzewów, potem zebrali chrust. Przez kolejne trzy godziny przycinali sekatorami cieńsze gałęzie, piłowali grubsze, a to, co ścięli, gromadzili na stosie koło płotu oddzielającego teren od drogi. Robota nie była specjalnie ciężka, mimo to szybko poczuli zmęczenie. Zaszedł Helmut. Stał przez chwilę, ciężko wsparty na dwóch łaskach, i dyszał jak lokomotywa. Krótka przechadzka kompletnie go wyczerpała. Ostatnio nie wyglądał dobrze, pobladł, zgarbił się, a na twarzy i rękach posypało go plamami wyglądającymi na wątrobowe. Popatrzył na ich tempo pracy, ale burknął tylko coś pod nosem i odszedł. Słoneczko przygrzewało, ściągnęli kurtki i zostali tylko w koszulach.

Przeczesując sad, znaleźli osiem martwych ptaszków. Leżały na ziemi.

– Dziwne – mruknął student. – Wyglądają, jakby spały. Nie dopadły ich drapieżniki, nie wyglądają też, jakby podczas wiatru zderzyły się z czymś.

– Może jakaś trucizna? – Sławek trącił jednego butem. – Niemcy rozsypali na polach nawóz albo może środek chwastobójczy czy owadobójczy. Robaki się go najadły i im zaszkodził. Ptaki zjadły robaki. I też im zaszkodziło.

– Tak, to możliwe. Na wszelki wypadek nie dotykaj tego ręką.

Nadeszła pora drugiego śniadania, ale oczywiście nie dostali nic do jedzenia. Ihor poszedł do obory, przyniósł kanek zimnej wody i kubki. Trzebiąc gęstwinę, znaleźli jeszcze kilka zdechłych ptaszków. Dochodziło południe. Nieoczekiwanie nad lasem na północy pojawił się słup dymu. Zrazu zignorowali go, ale kłęby szybko zgęstniały.

– Pożar czy co? – zaniepokoił się Sławek. – To gdzieś tam, gdzie stoi młyn. Może powinniśmy biec do gaszenia? U nas na wsi...

– *Ni, ne ma potreby. W nych je požežna czastyňa* – mruknął stary Ihor. – Poza tym to Niemcy, niech ich piekło wreszcie pochłonie – dodał już po polsku.

– Dzieje się coś bardzo niedobrego – mruknął Piotr, patrząc w tamtym kierunku. – Słyszałem, że jeszcze przedwczoraj SS zamknęło drogę do młyna, kazali wszystkim jeździć naokoło, przez miasteczko.

– Może spróbuję się podkraść – zaproponował Sławek. – Podejdę od prawej, lasem.

– Lepiej nie, tylko niepotrzebnie się narazisz. To bydlaki z SS, tu nie ma żartów. Zobaczą, to zastrzelą. Albo złapią i wyślą do obozu. Myślę, że oni tam palą zwłoki – dodał Piotr po chwili. – Widziałem już takie dymy, jak siedziałem w obozie. Kolor bardzo podobny.

Ciarki przeszły mu po plecach, powieka zaczęła latać w nerwowym tiku.

– *Spalajat mertwych? Jakich mertwych?* – zdziwił się Ihor.

– Zapewne tych Żydów, których pochowali na uroczysku. Nie czuć, bo wiatr idzie w inną stronę, ale... – Student urwał i zatopił się w myślach. – Taki sam dym, ciężki i dużo sadzy. Czarny i z żółtawym jakby – dodał.

Broda mu drżała, okropne wspomnienia powracały bezlitośnie. Nalał kubek wody, polał głowę, drugi wydoił duszkiem. Otarł usta wierzchem dłoni. Dym był dziwny, wznosił się do góry, a potem rozlewał na boki i opadał gdzieś nad jeziorami. Usłyszeli z oddali skrzypienie kół i po chwili na drodze pojawiła się furmanka rymarza. Podjechał i ściągając lejce, zatrzymał się koło płotu.

– Uprzeże już naprawione. – Machnął dłonią, wskazując zawartość skrzyni wozu. – Zawiozę do was na podwórko i powieszę na konowiążie.

– Przepraszam pana. Co tam się dzieje? – Sławek wskazał dymy.

Poniewczasie ugryzł się w język. Może lepiej było nie pytać? Stary westchnął ciężko.

– Nie warto gadać głośno o takich sprawach, ale szczerze powiedziawszy, mam to od dawna w dupie. Tam była przecinka, jeńcy zgromadzili dużo drewna w sągach. Potem jakiś czas nic się nie działo. Wczoraj SS otoczyło cały teren. – Przyciszył głos. – Ludziom ze młyna i z mojego przysiółka zakazali wstępu do lasu i trzeba jeździć naokoło. Dziś rano zagoniono tam kilkunastu sowieckich jeńców. Akurat pod moim oknem ich prowadzili. A co się dzieje? Po mojemu Rzesza właśnie przegrywa wojnę. Gdzieś tam na wschodzie, na bezkresnych rosyjskich stepach. – Zapatrzył się w dal, jakby chciał wzrokiem sięgnąć poza horyzont.

– Nie bardzo rozumiem? – zdziwił się Piotr.

– Słucham radia. Rzecz jasna, cenzura robi swoje, ale nie wszystko są w stanie ukryć i przemilczeć. Brak dobrych wiadomości i powtarzanie w kółko propagandowych sloganów to też swego rodzaju informacja. A pewne rzeczy można wyczytać między wierszami. Pomyślcie sami. W Stalingradzie klęska, o ponownym podejściu pod Moskwę nawet już nie mówią, Leningrad planowali zająć z marszu, a tymczasem miesiąc za miesiącem mija, a miasto mimo blokady nadal się broni. Myślę, że front południowy został przerwany albo jest krytycznie zagrożony. A tu widzimy skutek. – Rymarz wskazał dymy.

– Ja nadal nie widzę związku. – Student popatrzył pytająco.

– Być może się myślę. Ale zakładam coś takiego: Niemcy cofają się na całej linii, a napór Sowietów stał się niezwykle silny. Dlatego ktoś w kierownictwie Rzeszy doszedł do wniosku, że wojna w dalszej perspektywie zagraża nawet ziemiom od stuleci niemieckim. – Stary przyciszył głos. – Tam na polanie był grób miejscowych Żydów.

– Wiemy.

– Taki duży, zbiorowy, na sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt ciał. Albo i więcej. Wydaje mi się, że Hitler i jego sztab wierzą w zwycięstwo. Ale chyba jest tam też grupa oficerów, którzy patrzą bardziej realistycznie. Boją się, że wojna dotrze i tutaj. Dlatego zacierają ślady swoich zbrodni. Jeńcy szli do roboty, ale tym razem nie nieśli siekier czy pił, tylko szpadle i grabie. Ściągnęli ich, żeby przygotowali stosy, a potem wydobyli i spalili trupy Żydów. Oczywiście na zakończenie SS rozstrzela także Sowietów. Ich zwłoki też puszczą z dymem. Niedopalone kości przemiela i zatopią w którymś z okolicznych jezior. I śladu nie będzie. Myślę, że dziś wieczorem albo i w nocy usłyszycie strzały. To już będzie zacieranie śladów po zacierających. I lepiej nie chodźcie tam więcej. Zło nie lubi świadków. Lepiej udawać, że o niczym nie ma się pojęcia.

Odjechał. Piotr stał długą chwilę, patrząc na dymy.

– Myślisz, że... – zaczął Ihor.

– Zapewne stary myli się co do tej klęski wermachtu. Ale chyba ma rację co do zacierania śladów zbrodni. – Student zmarszczył czoło.

Jakby na potwierdzenie jego słów, z daleka wiatr przyniósł huk kilku wystrzałów karabinowych. Przez chwilę panowała cisza i znów wystrzelono, tym razem tylko dwukrotnie i raczej z pistoletu.

– Zabili jeńców, dobili rannych – szepnął Piotr. – Teraz pewnie ich też spalą. Albo ktoś próbował uciekać.

– Czy my... – zaczął Sławek i urwał.

– Nie, nam na razie chyba nic nie grozi – odparł młody mężczyzna. – Chciałbym... – urwał. – Chciałbym być daleko stąd. Gdziekolwiek, byle daleko stąd. Jak najdalej od tych pierdolonych Niemców.

– *Bezodnia smerti* – szepnął stary, uśmiechając się krzywo. – Ale hitlerowców też pochłonie. *Szcze ne dowho*. – W jego oczach zapaliły się niedobre ogniki.

– *Stary idiot...* – zaczął Mykoła i zamilkł.

Piotr spojrział na niego badawczo, przez chwilę miał minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale dociągnął tylko pasek w spodniach, ujął trzonek siekiery i wziął się znów do pracy.

*

Otto wrócił późno. Kończyli wieczorny obrządek, gdy zaparkował motor na podwórku. Zsiadł milczący, bardzo zmęczony i ponury jak noc.

– Wepchnij maszynę do powozowni – polecił Piotrowi i zataczając się, ruszył do domu.

Szedł niespiesznie, nogi mu się plątały. Rękaw na lewym ramieniu miał poszarpany i pokryty zaschniętą krwią. W rozdarciu białą połyskiwał opatrunek. Z kieszeni po prawej stronie sterzała szyjka butelki. Gdy mijał Sławka, chłopak poczuł silną woń potu, alkoholu, spalonego mięsa, padliny i benzyny. Nim drzwi się zatrzasnęły, usłyszał, jak Niemiec zwraca się do hausherrin:

– Rozpal pod termą, muszę wziąć długi prysznic. I świeży bandaż mi naszykuj.

Sławek ruszył pomóc Piotrowi. Ustawili motocykl, otarli pot z czoła.

– Rozumiesz? – zapytał chłopaka student.

– Chyba tak. Dużo wypił. Bardzo dużo. Pół litra na łąba, albo może i więcej. Zionie tą wodą naokoło. Ma szczęście gad, że nie rozbił się na tym motocyklu. Ledwo lezie.

– Nie pierwszyzna mu, wcześniej też lubił sobie wypić. Tylko że dziś dozorował rozkopywanie grobów i palenie trupów. Potem musieli jeszcze pozabijać jeńców, ich ciała też palić. Żadnych świadków, żadnych czytelnych śladów zbrodni. A to nie takie łatwe. Czaszkę bardzo trudno zniszczyć. Rozbijać na kawałki musieli, bo zostały zwęglone kości. Musieli coś z nimi zrobić. To tak ohydna robota, że najtwardszy ma czasem dość. Na trzeźwo dużo się myśli, a robili dziś rzeczy, przy których nie jest dobrze za dużo myśleć. To i zgłuszył się alkoholem. Byle tylko nie zechciał się na nas wyładować. Schodź mu z drogi przez najbliższe dni. Jest ranny w ramię. Widocznie któryś jeniec zdobył się jeszcze na desperacki opór.

*

We śnie Sławek ponownie szedł przez ruiny miasteczka. Znów zewsząd wiało grozą. Nogi same jakoś zaprowadziły go pod kościół. Wysoka postać w czarnym płaszczu stała oparta o ścianę budynku. Bał się podejść bliżej, ale jakaś nieznana siła ciągnęła go tam jak na postronku.

Więc to koniec, pomyślał. Tylko na co i dlaczego umarłem? Przez sen czy jak?

Ale gdy podszedł bliżej, spostrzegł, że nie była to kostucha, a tylko pastor oparty plecami o wiekowy mur. Ubrany w czarną sutannę, błady jak ściana, palił papierosa.

– Co tu robisz? Też nie możesz spać? – zapytał po niemiecku.

Sławek potrząsnął głową i rozejrzał się. To nie był sen! Świecił księżyc, otaczały go domy miasteczka, ale nie były zrujnowane. Stał bosy, tylko w slipkach.

– Lunatykujesz? – domyślił się duchowny.

– Nie wiem, nigdy wcześniej mi się nie przytrafiło – bąknął chłopak, ciągle jeszcze w szoku.

– Ja od wielu dni nie mogę spać nocami. I palić znów zacząłem, choć rzuciłem trzy lata temu. Mam takie wrażenie, jakby na nasze miasteczko padł gęsty, złowrogi cień. Wczoraj... – ugryzł się w język. – Zresztą co tu owijają w bawełnę. Widziałeś dymy nad lasem i na pewno już wiesz, co się tam działo. Wszyscy wiedzą.

– Niczego nie widziałem. I nic nie wiem. A nawet nie chcę wiedzieć.

Duchowny spojrział na niego i uśmiechnął się.

– Masz rację! I tak właśnie powinieneś odpowiadać, gdy ktoś zapyta. Pracowałeś, nie patrzyłeś w niebo. Niczego nie zauważyłeś. O tym lepiej nie gadać. Ale mówiąc o cieniu, nie mam na myśli tych dymów nad lasem ani tego, czym zajmuje się kilku mieszkańców. To zaczęło się wcześniej. Zło przyciąga zło i ci, którzy je czynią, przyciągają go więcej i więcej, jakby każdy grzech przecierał szlak kolejnym. A co dopiero musi się dziać, gdy grzechy są tak poważne. Trudno to ubrać w słowa.

– Wyczuwa ksiądz obecność diabła albo innych złych duchów?

Pastor zaciągnął się.

– Nie, diabła chyba nie. To coś innego. Widzisz, gdy się modłę, mam wrażenie, że śledzą mnie spojrzenia jakichś istot. Spojrzenia pełne głodu, złości i szyderstwa.

I parę razy kątem oka spostrzegłem jakiś ruch, jakby na krawędzi pola widzenia coś się na chwilę pojawiło.

– Frau Helga twierdzi, że czuje w domu dziwny zapach i słyszy stukot pazurków jakby małych zwierzątek. Kazała rozłożyć potrzaski na kuny i łasice.

– Małe zwierzątko? – zdziwił się duchowny. – Zwierzę to zwierzę. Pies czasem może być zły, ale kuna czy łasica raczej nie. Móżdżek ma jak orzeszek. Patrzy, jak coś upolować, i tyle. Miałem wrażenie, że to, co się na mnie gapi, jest nie tylko złe, ale i na swój sposób rozumne. Ale to pewnie tylko takie zwidy starego człowieka. Wracaj i śpij. Przemarznie, a do tego lepiej, żeby nikt cię nie widział włóczącego się po nocach.

*

Sławek obudził się około szóstej rano. Sen czy nie sen? Obejrzał podeszwy stóp. Były brudne. Czyli chodził nocą boso po ziemi. Najpierw chyba we śnie, potem już przytomnie. Czy faktycznie rozmawiał z pastorem? Niedługo potem wstał Mykoła. Wzięli wiadra i ruszyli do obory. W drzwiach wpadli na hausherrin, też wstała tego dnia wcześniej.

– Jeszcze jedna martwa gęś! – prychnęła. – Pomór jakiś. U sąsiadów też pada ptactwo. Wczoraj cztery kury. I jaskółki im zdechły w oborze na gnieździe, musieli wszystko zrzucić.

– Z kotami też coś nie tak – powiedział Sławek. – Wczoraj po udoju tylko dwa przyszły mleko pić. I nie wyglądają zdrowo.

– Krowy dają mniej mleka – zauważył Mykoła. – I bardzo wychudły.

– A, mleko – przypomniała sobie. – Wiadra wymyte?

– Co wieczór wszystko wrzątkiem szorujemy. I ręce też mydłem i szczotką. A co się stało? – zaniepokoił się Ukrainiec.

– Z mleczarni dzwonili, że wszystko, co od nas zabrali, kompletnie skisło, jeszcze w kankach. I od Müllerów też zepsute.

Skończyli doić. Mleka było wyraźnie mniej niż zwykle. Sławek podszedł z wiadrem do blaszank, ale koty nie czekały na śniadanie.

– Gdzież one się podziały? – zdumiał się. – Kici, kici! – zawołał, rozglądając się po oborze.

Żaden się nie zjawił.

*

Idąc na posiłek, prawie zderzył się w drzwiach z lekarzem. Doktor Schwartz rozmawiał w kuchni z Frederem, była też obecna Marta i stara pani Helga.

– Nie rozumiem, co się dzieje. Przecież pan Helmut nie jest jeszcze taki stary. Sześćdziesiąt sześć lat, co to za wiek? A przez ostatnie dwa tygodnie schudł kilka kilogramów, zaczęły mu jednocześnie dokuczać wątroba i serce. Do tego błady. Co gorsza, pół miasteczka ma podobne objawy. Utrata wagi, utrata sił. U tych, których krew pobrałem, widoczny spadek liczby czerwonych krwinek. Rzekłbym, epidemia anemii. I chorują tylko miejscowi.

– Zatrucie? – zapytał Freder. – Bo chyba nie zakażenie jakąś bakterią?

– Nie znam bakterii, które dawałyby podobne objawy. Zatrucie – rozważał doktor – też nie pasuje. No bo czym i jak? Pasożyty zboża, jak sporysz, mogą wywoływać różne choroby. Zeszłe lato było mokre, a to sprzyja grzybom. No i skutki byłyby jesienią i zimą. Niemcy przeważnie jedzą biały chleb, robotnicy przymusowi ciemny. Ale to nie jest reguła, są gospodarze, którzy karmią ich lepiej. Nic nie pasuje.

– Miałam sen – powiedziała stara Helga. – Po domu tańczyły czarne cienie. Drobne, ale liczne. Otaczały nas, śledziły małymi, wrednymi oczkami, wysuwały jakby macki, wysysały nas i dusiły. Jedno po drugim.

Sławek drgnął, pot zrosił mu kark. Przypomniał sobie słowa pastora. Jak on to ujął? Widział jakieś istoty kątem oka. Rozumne i złośliwe.

– To tylko zły sen, proszę pani – odparła ochmistrzyni.

– Nie znam przyczyny tego osłabienia – ponownie odezwał się doktor Schwartz. – Wykluczam raczej zatrucie substancjami chemicznymi, a w próbkach krwi nie znalazłem żadnych niepokojących bakterii. Może zakażenie jakimiś pasożytami? Trychinoza, czyli włośnica, wywołuje wprawdzie nieco inne objawy.

– Robotnicy w naszym domu nie zachorowali. Ale dostają niewiele wołowiny, ot, tyle co w zupie.

– Jedzą to, co wy?

– Tak, ale dostają gorszą wędlinę, zazwyczaj tanią kielbasę z koniny, salceson i pasztetową. Gospodarze mieli ostatnio wędzone szynki i schab z dzika.

– Mięso z dzika! – zainteresował się doktor. – To może być klucz. Trzeba obserwować, czy nie pojawią się zgrubienia i guzy na rękach lub nogach. Nicienie, gdy przenikną do mięśni, wywołują często stan zapalny. Rozcinając taką zmianę, znajdziemy larwę. To jednoznacznie potwierdzi diagnozę.

– Trychinoza jest nieuleczalna. – W głosie hausherrin Sławek wyczuł strach.

– Uleczalna, choć trzeba się nastawić na długą i ciężką walkę. Jeśli diagnoza się potwierdzi, w pierwszej kolejności przygotuję nalewkę na piołunie i kłączach tataraku. Nie od rzeczy będzie też chinina. Ważne, żebyśmy wiedzieli, z czym mamy do czynienia. Wtedy poszukamy odpowiedniego remedium.

– Ja jadłam to, co państwo, ale jestem zdrowa – zauważyła Marta.

– Jeśli to zakażenie pasożytem, mogła pani zjeść kawałek mięsa bez cyst albo lepiej dopieczony, w którym larwy po prostu zginęły. Albo też pani soki żołądkowe zabiły wroga w porę. Lub choroba dopiero się rozwinie.

– A moja ręka? – burknął Freder. – Cały czas ta żółta ropa. Minęły już dwa tygodnie, a nic się nie goi.

– Organizm walczy – uspokoił go doktor. – Ognisko zakażenia nie rozlewa się, nie ma też w mojej ocenie ryzyka amputacji. A ty zdrów? – nagle zwrócił się do Sławka. – Nic ci nie dolega?

– Czuję się dobrze, tylko sypiam ostatnio źle i koszmary mi się śnią. Ale poza tym nie mam żadnych objawów.

– Koszmary? – powtórzył lekarz. – Nie ty jeden, pół osady ma ostatnio jakieś koszmary. Nie objadaj się na noc i nie popijaj kiszonych ogórków świeżym mlekiem. Do widzenia wszystkim. – Uchylił melonika i wyszedł.

Dziwny facet, zadumał się Sławek. Nie przejmuje się chorymi, wręcz ich lekceważy. Może nie przejmuje się ludźmi? – przypomniał sobie akt zgonu pana Marcina.

– Nie trza było grobu ruszać – mruknęła staruszka jakby sama do siebie. – To mogło stamtąd wyleźć.

– Babcia nie przesadza! – ofuknął ją Freder. – Nie wierzę w żadne żydowskie wampiry.

Ale w jego głosie Sławek usłyszał lęk. I sam też poczuł nieprzyjemny dreszcz. Wracały wspomnienia, te najgorsze, najstraszniejsze.

– Nie. – Potrząsnął głową. – To musi być coś innego.

– Na śmierć zapomniałam z tego wszystkiego. List do ciebie przyszedł, od rodziców – odezwała się hausherrin.

Nawet uśmiechnęła się trochę. Podąła mu wyjętą z kieszeni fartucha niebieską kopertę i wyszła z kuchni. List z domu! Sławek niecierpliwie rozciął kopertę. Ojciec na czterech kartkach opisał, co dzieje się w domu i w ich miasteczku. Sławek mimowolnie uśmiechnął się, czytając, jak dokazują bliźniaki. List utrzymany był w tonie pogodnym i optymistycznym, choć ojciec zasygnalizował też zdawkowo różne problemy. Tylko jedna linijka wzbudziła niepokój chłopaka.

Kojarzysz zapewne takiego byka o rybich oczach. Zeszłej soboty w naszych lasach zagryzły go wilki albo i jakieś inne cholerstwo.

Sławek zadumał się nad tym fragmentem. Nic z tego nie mógł zrozumieć. Owszem – zdarzały się czasem niebieskookie konie. Mówiono wówczas, że mają „rybie oczy”, a wielu gospodarzy nie chciało takich trzymać. Ojciec podśmiewał się z tego, mówił, że to tylko brak barwnika, a taki koń widzi równie dobrze jak normalny. Ale żeby byk miał niebieskie oczy? Nigdy o czymś takim nawet nie słyszał. No i kto, u licha, wypasałby byka w lesie?

Ojciec coś chciał mi w tym miejscu przekazać, coś ważnego, o czym nie mógł napisać wprost, rozmyślał. Ten „byk” to zapewne aluzja. Ale do czego?

I nagle aż uderzył się w czoło.

Byk po niemiecku to przecież Stier! – uświadomił sobie. Tak się nazywał ten esesman, przez którego tu trafiłem. Blondyn z niebieskimi, prawie białymi oczami. Widocznie szukał żydowskich kryjówek w lasach na północ od naszego miasteczka. W Złym Lesie, tam gdzie spalony dworek. I coś go zagryzło. Fakt, wilków ostatnio się namnożyło. A tam przecież grasuje jeszcze... Niechciane wspomnienie wypłynęło z głębin pamięci. Czyli można powiedzieć, że stary dekarz i Artemij zostali pomszczeni. A potem nagle Sławek zmarszczył czoło, przypominając sobie, co powiedziała kobieta, którą spotkał w areszcie. Jeśli kat nie spełni ostatniego życzenia skazańca, zanim minie siedem niedziel, trafia do piekła? Zaczął liczyć, ile czasu minęło...

Zbierali się właśnie do roboty, gdy w drzwiach stanęła wzburzona hausherrin.

– Herr Heinz prosi, żebyście szybko przyszli do obory. To bardzo pilne.

Pobiegli. Już na podwórzu usłyszeli piętrowe wiązanki niemieckich przekleństw. Wpadli do obory. Jałówka leżała na boku z dziwnie wyprężonymi nogami. Heinz, klnąc, naciskał kolanami jej żebra, najwyraźniej usiłując przeprowadzić reanimację.

Piotr ukląkł obok. Położył dłoń na szyi.

– Już jej pan nie pomoże, stygnie – powiedział po niemiecku.

– Dziwne, godzinę temu, gdy doiliśmy krowy, stała w swoim kącie, ale wyglądała jeszcze całkiem zdrowo – bąknął Sławek.

Stary Ihor podszedł, w milczeniu patrzył na martwe zwierzę, a na jego twarzy malował się jakby strach. Niemiec wstał, z trudem łapiąc powietrze. Zatoczył się i byłby upadł prosto w obornik, ale Mykoła podtrzymał go w ostatniej chwili.

– Scheiße – zaklął szwab. – Taka strata! To byłaby dobra mleczna i cielna krowa. Jeśli się dowiem, że to któryś z was ją otruł... – Pogroził robotnikom pięścią.

– No niby jak, czym i po co, Herr Heinz? – Sławek bardziej się zirytował, niż przestraszył głupim oskarżeniem.

– Coś tu jest nie tak – burknął Niemiec. – Za dużo tych kłesk ostatnio spada. Gęsi pozdychały, ptaki w ogrodzie, u sąsiada coś wybiło trzy pszczele rodziny, koty się wyniosły diabli wiedzą gdzie. Pomór świń w połowie gminy, teraz jeszcze to.

– Może bakterie gnilne? – zasugerował student. – Nawozicie ogrody mulęm z jeziora. Wprawdzie to było robione jesienią, ale...

– Od pokoleń tak robimy, nigdy nie było kłopotu. Zakopcie jałówkę tam w sadzie. Musi być nakryta minimum metrem ziemi.

– Jawohl!

Zwierzę, choć niezbyt duże, okazało się ciężkie. Wywlekli je do sadu. Ihor przyniósł łopaty. Piotr oglądał jałówkę długo i dokładnie.

– Za cholerę nie wiem, dlaczego zdechła – powiedział wreszcie. – Zdrowo wygląda, wychudła tylko trochę. Ale wszystkie zwierzęta wychudły.

Młody Ukrainiec zrobił minę, jakby chciał się odezwać, ale zamiast tego tylko zacisnął dłońe na stylisku szpadla. Piotr butem narysował linię, oszacował wielkość niezbędnego otworu, dodał jeszcze po pół metra z każdej strony. Wgryźli się w ziemię. Pod warstwą ogrodowej próchnicy gleba była marna, bielkowa z przewagą piachu i niedużych kamieni.

– Trzy, może cztery metry sześciennie, jakieś siedem ton do przerzucenia – mruknął Sławek ot tak, żeby tylko coś powiedzieć.

Kątem oka popatrywał na martwe zwierzę. Westchnął w duchu. Tyle doskonałego mięsa, ale skoro Piotr nie znalazł przyczyny śmierci, lepiej było tego nie ruszać. Może zjadła coś trującego, a może zachorowała? Niektóre bakterie lub pasożyty mogły być szkodliwe też dla ludzi.

Coś brzęknęło pod łopatą. Sławek pochylił się i podniósł z bruzdy dużą, zaśniedziałą monetę. Wpuścił ją w cholewkę buta i rozejrzał się odruchowo. Żadnego szkopa w pobliżu. Pospiesznie rozrył grunt wokoło. Wyobraźnia podpowiadała mu całą sakiewkę ukrytą przed laty w ziemi, ale nie znalazł niczego więcej. Wrócił do pracy. Ułożyli jałówkę na dnie. Przyczłapał Freder. Też wyglądał na chorego, z jego ręką musiało być bardzo źle. Wisiała na temblaku, palce wystające spod bandaża były szarosine. Oceniał postępy prac.

– Taka strata – westchnął. – Ale u sąsiada koń padł. Jednego z naszych na razie im oddamy. A świń to w miasteczku istny pomór. Wy dwaj sobie już poradzicie – wskazał Polaków. – Ty, młody, umiesz gotować? – Spojrzał na Mykołę.

– Umieję.

– To idź do domu, Marta jest u babki w pokoju. Powie ci, co i jak masz zrobić. Ty, stary, wyczyść dobrze Astrę. Potem zaprowadź ją do państwa Müllerów.

– Abgemacht! – zsalutował dziadek.

W sadzie zostali Piotr i Sławek. Z pogrzebem krowy zeszło im prawie do obiadu.

– Pomór jakiś – pomstował student, uklepując szpadlem ziemię. – Tam koń, gdzie indziej świnię, kury, gęsi, tu znów jałówka.

– Frau Helga miała jakieś koszmary. Mnie też męczą sny. Okropne, ciężkie i niezrozumiałe – opowiadał chłopak. – Jakież ruiny, cienie ludzi. Czasem rozpoznają to miasteczko, czasem nie.

– Powiedziałbym, że to normalne – zamyślił się Piotr. – Jesteś młody, wrażliwy, trafiłeś daleko od domu, przebywasz w niewoli. Jesteś samotny, a do tego wokół dzieją się naprawdę okropne rzeczy. Ja... Mnie też dręczą koszmary. Wracają rzeczy, których nigdy nie chciałem zobaczyć. Koszmarne przeżycia z obozu i nie tylko. Też powiedziałbym, że to normalne, ale od kiedy przyjechałeś, snią mi się niemal co noc. Mam wrażenie, że zrobiło się smutniej, gorzej, rzekłbym, duszniej. Jakby napierały na mnie niewidzialne ściany. Niby ładny wiosenny dzień, a czuję, jakby nad tym kawałkiem świata zalegał cień.

– Hmm. Może to z powodu śmierci Marcina.

– Może trochę tak. Dodajmy do tego napięcie z powodu obecności tych młodych hitlerowców. I tamto palenie trupów. Bo tak właściwie nic się nie dzieje. Jest praca, ciężka, męcząca, ale możliwa do wykonania. Jest jedzenie, kiepskie, ale z głodu nie umrzemy. Jest nawet wypłata, marne grosze, nijak tego odłożyć. W każdym razie z pozoru spokój i nagle trach. I jeszcze nasi przyjaciele Ukraińcy. Bez przerwy się ostatnio kłócą. Przed nami trzymają sztamę, ale gdy tylko oddalimy się z zasięgu wzroku, żrą się szeptem. Wcześniej tak nie było.

– Też zauważyłem. Nawet dziś w nocy Mykoła łajał o coś starego. Pomyślałem nawet, że planują ucieczkę. Albo Mykoła planuje, a stary próbuje mu to wyperswadować – zasugerował Sławek.

– Hmm. Niewykluczone, że masz rację. Martwi mnie jedno w tej sprawie. Musi chodzić o coś naprawdę grubego. Wiesz, jak to jest w rodzinie. Nawet jak wujaszek to stary zrzęda i lubi sobie chlapanąć, to jednak szacunek starszemu się okazuje. Zwłaszcza przy obcych. Ten Mykoła, znam go od miesięcy... Porządny chłopak, dobrze wychowany. A teraz coś się zmieniło. Obsztorcowuje staruszka, a wcześniej nigdy tego nie robił. Martwi mnie to o tyle, że nie rozumiem dlaczego.

– Może zamiast bawić się w podchody, po prostu ich zapytajmy? – zaproponował Sławek.

– Sam nie wiem...

Po obiedzie wysłano ich do pracy w przybudówce na końcu obory. Sławek nigdy jeszcze nie był w środku, więc teraz patrzył zdumiony na gigantyczny miedziany zbiornik wypełniający znaczną część pomieszczenia. Kocioł miał dobre trzy metry średnicy. Blacha solidnie zaśnieżdziała, całość nakrywała kopulasta pokrywa, z której wybiegała rura zaopatrzona w manometr.

– Kadz jak w gorzelni. – Mykoła poskrobał się w głowę. – Ale gdzie to ma palenisko? Od spodu z jakiejś piwniczki dostęp czy jak?

– Nie, to na obornik – wyjaśnił student.

– *Nimci хотіли зробіть самohon із тајна?!* – Stary podrapał się po głowie.

– Nie żaden samogon, co wy, pogłupieliszcie? – Piotr popukał się w głowę. – W tym się krowie gówno kisiło. Może czegoś dodawali, nie wiem. W każdym razie w tej kopule zbierał się gaz z całej tej fermentacji. Metan albo coś takiego, nie wiem, nie jestem chemikiem. Ale ten gaz się pali. Odprowadzali go, sprężali w innym zbiorniku i używali w specjalnym piecyku. Odrzewali tak cieletnik i kurniki zimą. Ale kilka lat temu to się popsulo.

– Szwabcy nawet z gówna mają pożytek – powiedział Sławek z nutką zawiści w głosie.

– Ano mają. A raczej kiedyś mieli, zanim się zepsulo.

Zluzowali śruby, założyli łańcuch i korbą podnieśli pokrywę z kadzi. Zionęło upiornym smrodem i wonią amoniaku. Mykoła nie wytrzymał, wymiotował jak

wulkan. Sławek z trudem utrzymał żołądek na wodzy. Pozostali pobladli.

– Dziś tylko trochę przewietrzmy – wyjaśnił Piotr. – Od jutra wybieramy. Paskudna robota będzie. – Wzdrygnął się na samą myśl.

Resztę popołudnia spędzili w ogrodzie. Skopali połać ziemi, oczyścili z perzu. Potem naprawiali płoty. Robota nie była na szczęście ciężka, ale pod koniec powieki same kleiły im się ze zmęczenia. Jedli akurat kolację, gdy stara Helga przykużyła do kuchni. Była w szlafroku i bamboszach.

– Coś chodzi po domu nocami – bez wstępów wróciła do tego, o czym mówili rankiem. – Słyszę tupot. Łapki nieduże, ale to cięższe niż szczury. Bardziej jak piesek.

Piotr spojrzął na nią uważnie.

– Frau Helga, co pani mówi? – zdziwił się. – Rozłożyliśmy pułapki, jak pani kazała. Po południu sprawdziłem. W jedną złapał się szczur. Żadnych łasic, kun, tchórzy.

– Ja już prawie nie widzę, ale słyszę dobrze. I zapachy czuję, w dodatku lepiej niż dawniej. To coś śmierdzi. Śmierdzi jak zwierzę. Helmut, idiota, nie wierzy. Ale one tu są. Dużo ich. Kilkanaście może. Są złe. Bardzo złe. I głodne.

Zapatrzyła się niedowidzącymi oczami gdzieś w przestrzeń. Sławek poczuł dreszcze na plecach. Nie wiedział, o czym starucha mówi, ale w jej tonie było coś bardzo szczególniego. Coś, co budziło w nim lęk.

– Pani może mieć rację. Jak gdzieś zagnieżdżą się tchórze, to w pobliżu nory nie polują – zaryzykował wtrącenie się do rozmowy. – Żyją u jakiegoś gospodarza w stodole, ale jego kury biegają bezpieczne, bo duszą tylko u sąsiadów. No i w dzień przeważnie śpią.

– Hmm. Może i coś jest na rzeczy – przyznał student. – Rano przejrzę raz jeszcze.

– Pani się herbaty napije i odpocznie – poradziła Marta. – Ciasta może ukroję? Szarlotka jest w kredensie.

– A daj. A wy przyłóżcie się i to wyłapcie. – Frau Helga pogroziła robotnikom laską.

– Oczywiście, zrobimy, co w naszej mocy – powiedział Piotr, ale z jego miny Sławek wydedukował, że nie zamierza jakoś szczególnie przejmować się poleceniem.

Natomiast Mykoła wyraźnie się zafrasował i spojrzął na starego Ihora jakby ze złością. Ten tylko bezradnie rozłożył ręce.

Oni coś wiedzą, coś ukrywają, pomyślał Sławek. Napuścili Niemcom szczurów do piwnicy czy co?

*

Obudził go łomot do drzwi. Było zupełnie ciemno. W szparze błysnęło światło małej elektrycznej latarki.

– Co się stało? – zapytał Piotr.

– Pan Helmut poważnie zachorował – usłyszeli głos przestraszonej Marty. – Otto jest na służbie. Weź rower i jedź pilnie po doktora Schwartza.

– Tak jest! Może zadzwonić? – zasugerował.

– Telefon nie działa.

Wziął latarkę.

– Śpij, młody.

Sławek opadł na posłanie, ale nie mógł zasnąć. Zza ściany dobiegał szmer rozmowy. Mykoła przemawiał gniewnym szeptem, jakby strofował starego krewniaka. Ihor odburkiwał coś równie ostro, jakby zbijał argumenty młodego. Słów nie dawało się rozróżnić.

Faktycznie żrą się, ile razy sądzą, że nikt nie widzi, zadumał się Sławek. Ale o co? Może naprawdę chcą uciekać? Nie, jakby planowali, to chybaby nam powiedzieli.

Opuścił głowę na poduszkę. Choć był bardzo zmęczony, długo przewracał się z boku na bok. Wreszcie odpiął w objęcia Morfeusza. We śnie sprawdzał potrzaski. Wszystkie były puste, ale gdy szedł od jednego do drugiego, miał wrażenie, że z każdego zakamarka śledzą go małe, złośliwe oczka.

*

Rankiem we czterech zabrali się do wywożenia obornika. Łajno macerowało się w kadzi przez wiele lat, ale i tak smród był niezmierny. Okręcili twarze szmatami zamoczonymi w wodzie, hausherrin wydała im po setce anyżówki, ale niewiele to pomogło. Mykoła kilka razy omal nie zemdłał, Sławek wymiotował. Tylko stary Ihor, niewzruszony, zatopiony we własnych myślach, machał łopata. Kadź zdawała się nie mieć dna, ale na szczęście jeszcze przed obiadem wyrzucili ostatnie łopaty. Długo łapali powietrze. Freder, który dozorował ich tego dnia, widać docenił trud, bo napalono pod termą i dostąpili zaszczytu skorzystania z niemieckiego prysznica, a nawet dostali lepsze mydło i porządniejsze ręczniki. Sławek długo stał pod siekącymi boleśnie strumykami gorącej wody. Namydlał skórę, szorował szczotką. Bardzo dokładnie umył włosy.

Takie coś by się u nas na wsi przydało, pomyślał. Brudzi się człowiek co i raz przy robocie.

Założył czystą koszulę i spodnie. Nadal czuł trochę tamten smród, ale i poczuł się prawie zadowolony z życia. Ubrania, w których pracowali, hausherrin wrzuciła do wielkiego kotła i wygotowała, dodając hojnie płatków mydlanych. Na obiad dostali żurek z solidną porcją kielbasy. Kartofli też im nie żalowano. Ale najbardziej zaskoczyło ich, że dostali na deser po kawałku szarlotki z kruszonką i po kielonku sznapsa.

– Najwyraźniej nawet szwabcy mają lepsze dni. Szkoda tylko, że tak rzadko im się to zdarza – westchnął Piotr.

Po południu Helmut poczuł się chyba lepiej, bo zwiłkł się z łóżka, trochę porzrzedził i usiadł na ganku z bratem. Heinz też nie wyglądał zdrowo. Narzekał na bóle nerek. Freder gdzieś poszedł. Robotnikom Marta kazała wyszorować podłogę w sieni, saloniku i kuchni. Robota była lekka, nieomal przyjemna.

Dopiero wieczorem przed snem Sławek przypomniał sobie o wczorajszym znalezisku. Wyłowił monetę z kieszeni, przetaił o spodnie. Pieniądz wykonano z brązu. Cały zzieleniał, a w kilku miejscach pokryły go wykwyty korozji. Z przodu wyobrażono scenę z żołnierzami: jeden trzymał sztandar, reszta chyba celowała z karabinów. Na rewersie powierzchnię zdobiły napisy po francusku. Odnalazł początek daty: 179... czwarta cyfra była nieczytelna. Posypał monetę proszkiem do zębów i dłuższą chwilę tarł o kawałek płóciennego worka. Wiele to nie dało. Moneta była zbyt zniszczona. Stop

chyba źle wymieszano, bo gdy Sławek starł wykwyty, spostrzegł, że rozległe partie powierzchni pod nimi znaczyły wżery.

Pewnie trafiła tu z żołnierzami Napoleona, pomyślał. Gdyby była chociaż ze srebra... A to brąz, i to marny. W takim stanie żaden kolekcjoner nawet na nią nie spojrzy. No nic, schowam dla siebie, będę miał jakąś pamiątkę z niewoli. O ile kiedyś wrócę do domu. Zagryzł wargi.

Wyciągnął spod łóżka skrzynkę, rozsypał chustkę. Garść niemieckich monet, zwitek banknotów, zegarek, zagadkowa fiolka. Uniósł ją do oczu. Wydawało mu się czy ziaren było trochę mniej? Pewnie złudzenie, bo kto i po co miałby je podbierać? Wszystkie pieniądze były na miejscu, a przecież złodziej w pierwszej kolejności zainteresowałby się nimi. Chłopak zawiązał monetę w kawałek szmatki i umieścił wraz z innymi drobiazgami.

Piotra nie było bardzo dłużej. Wreszcie Sławek zaniepokojony wyszedł z pokoiku. Wszyscy trzej robotnicy stali wraz z ochmistrzynią i o czymś rozprawiali. Podszedł.

– Co się stało? – zapytał Piotra.

– Gdy jedliśmy kolację, po drugiej stronie pękła ściana domu. Tak jakby fundament osiadał. Chrup i trach. Od poziomu ziemi po gzyms. Zazwyczaj tak się dzieje, gdy woda wypłucze ziemię i robi się pustka pod murem. Ale nie ma śladów, żeby podmyło czy coś. Ponakłuwaliśmy glebę prętem. Żadnych kawern, nic. Dość zagadkowa sprawa.

– Naprężenia jakieś w ścianie chyba – zadumał się Sławek.

– To na pewno, ale jaka jest ich przyczyna? Jutro podkujemy mur, wpuści się stalowe pręty i zacementuje – zwrócił się do Niemki. – A druga przewiązka pod gzymsem.

– Umiecie to zrobić?

– Tak. Trzeba tylko zdobyć cement, bo jakieś druty są w kuźni.

Rozeszli się na spoczynek. Ukraińcy znikli w swoim pomieszczeniu. Przez drzwi dobiegły słowa wieczornej modlitwy. Sławek odetchnął głęboko, patrząc, jak zachodzące słońce wybarwia niebo różnymi odcieniami czerwieni.

– Musimy pogadać na osobności. – Piotr zburzył spokój.

Przeszli do obory.

– Słuchaj, młody, coś tu jest cholernie nie tak. Zauważyłeś, co działo się w ciągu ostatnich tygodni?

– Cała rodzina choruje, nie bardzo wiadomo na co. Zwierzęta padają. I wszystko się sypie – odpowiedział Sławek ostrożnie. – Urządzenia, dom.

– Dziesiątki drobnych uszkodzeń wszystkiego. Rdzewieją łopaty, próchnieją belki, Marta narzeka na robale w mące i myszy. Zupa kwaśnieje przez noc. Jakby wszystko naraz sprzysięgło się przeciw szwabom.

– Trudno mi się smucić z tego powodu.

– Wiem, ale bardzo mi się to nie podoba. Ze statystycznego punktu widzenia widzimy rzeczy... – Piotr zawahał się. – To wszystko jest prawdopodobne, ale następuje w małym odcinku czasu. Niewyobrażalna kumulacja pecha. Jakby ktoś rzucił urok albo klątwę. Rozmawiałem kiedyś z jednym znajomym księdzem. Gadał mi o okultyzmie, magii, o tym, co Kościół potępia. Mówił, że czasem to tak właśnie działa. Z pozorów nie dzieje się nic, ale jakieś tryby już się obracają, coraz szybciej i szybciej, prowadząc do nieuchronnej zagłady.

– Kłątwa? No cóż, ten cały Freder i Otto to, nazywając rzeczy po imieniu, zbrodniarze. Otto pilnował getta w jakimś miasteczku, a potem wysłał Żydów na śmierć w komorach gazowych i jeszcze ich przy tym oszukał. Może był wśród nich jakiś rabin albo i cadyk, taki belsen-tow, wiedzący, cudotwórca. I on, widząc, że zginą, rzucił kłątwe? Na Ottona i jego rodzinę, na jego wieś.

– Gdyby to było takie proste, to Rzeszy już by nie było. – Młody mężczyzna uśmiechnął się krzywo. – Na Hitlera i jego bandę z pewnością rzucono uroczysty cherem, i to ze sto razy. Ale coś może być na rzeczy. Tylko teraz pytanie, czy to robota Żydów. – Spojrzał znacząco w stronę kwatery Mykoła i Ihora.

– Też mi się wydaje, że nasi towarzysze coś ukrywają. Tak jakby wiedzieli, co się dzieje. Mykoła wygląda na zdrowo wystraszonego. Ale co niby mogli zrobić? Żaden z nich nie wygląda na czarownika. – Sławek uśmiechnął się krzywo.

– Mykoła raczej nie, ale ten jego przyszywany dziadek? – Piotr poskrobał się po głowie. – Co ci będę mówił, że wsi jesteście. Mieliście pewnie mądre babki, szeptunów, znachorów.

– Tylko znachorkę. Przed wojną jeszcze wsadzono ją do więzienia. Pomogła takiej jednej wioskowej lafiryndzie pozbyć się starego i bogatego męża. Ale słyszało się niejeden. I podobno im dalej na wschód, tym tego więcej.

*

Tydzień upłynął jak w malinie. Robotnicy namordowali się, by wzmocnić fundament domu. Ledwie się z tym uporali, wyłamał się jeden z zawiasów w głównych drzwiach. Klacz zachorowała – spuchły jej kolana, bardzo straciła na wadze. Przybyły z sąsiedniego miasteczka weterynarz nie umiał określić, co jej dolega. Któregoś dnia po prostu się przewróciła. Gdy podbiegli, była już martwa. Pogrzebali ją obok jałówki. Krowy też chorowały, mleka dawały niewiele. Wylewano je, bo wobec podejrzenia zarazy mleczarnia wstrzymała przyjmowanie.

Tej niedzieli do zboru poszła tylko Hausherrin. Pani Helga snuła się po domu z głową obwiązaną chustką i narzekała na migrenę. Heinz i Helmut też zaniemogli. Pojawili się na obiedzie, a potem zalegli w saloniku, by leczyć się sznapsem. Freder też wyglądał marnie, od rana tkwił w bujanym fotelu na ganku. Narzekał na dreszcze i ból głowy. Próbował czytać jakąś ilustrowaną gazetę opiewającą wspaniałe zwycięstwa armii niemieckiej. Wreszcie zirytowany zmiał ją w kulę i cisnął przed siebie. Posłał Sławka po leki z apteczki w kuchni.

– Przyniosłem chininę. – Chłopak postawił buteleczkę z tabletkami na stoliku koło szklanki z herbatą.

– Boję się, że stracę tę rękę – mruknął szwab. – Tyle dni minęło, rana to się goi, to znów otwiera. Jakbym gnął za życia. I słaby jestem. Takie ofiary Rzesza ponosi. Taką ofiarę ja sam ponoszę za to, że chroniłem twój lud przed Żydami i bolszewią! – parsknął ni to złością, ni żalem. – I jaka wasza wdzięczność? Wszystko robicie tylko pod batem, powoli i byle jak – marudził bez przekonania, bardziej chyba z przyzwyczajenia.

Nikt cię, bydlaku, o tę ochronę nie prosił, pomyślał Sławek.

– Dziadek opowiadał, że rosyjscy dynamitarzowie jeszcze przed rewolucją do swoich bomb dodawali atropiny, żeby nawet najmniejszy odłamek był trujący – powiedział na głos. – U nas we wsi mówiono też, że Sowietów jeszcze w czasie wojny

dwudziestego roku zanurzali pociski w gnojowicy albo smarowali psimi odchodami, właśnie żeby rany się potem paskudziły – spróbował zmienić temat.

– Też o tym słyszałem, ale na froncie w okopach słyszy się różne rzeczy, niekoniecznie prawdziwe. Każda wojna obrasta własnymi legendami. A także różnymi zabobonami.

Freder urwał i zamyślił się głęboko.

– Zabobonami – powtórzył po chwili, a jego czoło przecięła zmarszczka świadcząca o głębokim namyśle.

A potem wstał z trudem i powędrowawszy do saloniku, podniósł słuchawkę telefonu.

*

Otto przyjechał przed wieczorem. Za motocyklem przykolebała się nieduża ciężarówka. Zeskoczyło z niej sześciu esesmanów. Wmaszerowali na podwórze. Zaraz też przyszedł Freder. Zahajlowali do siebie oficjalnie i urzędowo.

– Gdzie Ihor? – Niemiec zwrócił się do Sławka.

– Nie wiem, w oborze pewnie obrządek robi – wykrztusił przestraszony chłopak.

Nie minęła minuta, a wywlekli starego na podwórze. Otto walnął go z rozmachem w twarz.

– Do kuźni – polecił.

Ukraińiec nawet nie próbował stawiać oporu. Dwaj Niemcy rozstawili się przy drzwiach, najwyraźniej mieli pilnować, by nikt nie przeszkadzał. Na robotników nie zwracali uwagi. Sławek obojętnym krokiem wszedł do obory. Rzucił krowom siana, a potem upewniwszy się, że nikt go nie widzi, błyskawicznie wspiął się po przepierzeniu do dziury w suficie. Nie minęła minuta, jak przycupnął przy otworze prowadzącym na znajomy stryszek. Dalej bał się posuwać, ale z miejsca, w którym przykląkł, słyszał wyraźnie wszystko, co działo się na dole.

– To twoja robota! Gadaj, co jest grane? – usłyszał głos Ottona.

Pytaniu towarzyszył trzask bykowca i głuchy jęk.

– Mów wszystko, co wiesz, natychmiast – dodał Freder.

Sławek zagryzł wargi. Obaj Niemcy mówili po polsku, z twardym akcentem, ale całkowicie zrozumiałe.

– Już nie żyjecie – dobiegła go spokojna odpowiedź starego. – Wyzwolilem siły, które was pożrą. Z tego miasteczka nie zostanie nic. Ruiny, śmieci rozwiewane przez wiatr i suche kości, których nawet bezpieczeństwa psy nie obgryzą.

Znów go bili. Sławek słyszał odgłosy uderzeń i jęki.

– Co to jest? Kłątwa? Urok? Jakaś wasza ukraińska czarna magia? – zapytał Freder dla odmiany po ukraińsku. – Takie karzełki? Złycki? Złowki?

– Złydnie, durniu. Pisz testament. A zresztą po co pisać? Nie będzie żadnego spadku. Zniszczą wszystko. Ziemia przestanie rodzić, padną zwierzęta, ptaki, pożyteczne owady. Uschną drzewa, krzewy, zgnije zboże i warzywa. Nawet budynki ulegną zniszczeniu. Gruzowisko porośnie liche chwasty, którego nawet kozy nie zechcą obgryzać. Po was zostaną gnaty zaplątane w kupki szmat. Umrze każdy, w kim płynie choć kropla tej samej krwi. Wasza rodzina mieszka tu od krzyżackich czasów.

Spokrewnieni jesteście ze wszystkimi. Czyli skazana jest cała wasza wiocha. Do ostatniego hitlerowca.

– Złydnie! – teraz odezwał się Otto. W jego głosie chłopak usłyszał autentyczne przerażenie. – To tylko legenda.

– Tak, to tylko legenda – zakpił stary. – Taka legenda, która wyssie was jak cytrynę. Popatrz na siebie, brak ci już siły, żeby naprawdę mocno bić. Twojemu bratu łapa gnije za życia, niby draśnięcie tylko, ale ciało nie ma siły walczyć, żeby to wygoić. Po obiedzie macie wzdęcia, po sznapsie wściekle bóle wątroby. Zadyszka was łapie przy większym wysiłku, serce kołata, w szczynach i łąnie pojawia się krew. Narządy wewnętrzne już odmawiają pracy. Nawet na dziwki już nie macie co iść, bo jak kuśkę ze spodni wyjmiecie, to tylko wielki wstyd będzie – zarechotał.

– Chcesz żyć, to gadaj, jak to powstrzymać! – włączył się Freder.

– Nie powstrzymacie tego. Za późno.

– Jak! Przecież musi być jakiś sposób! Gadaj, bo stracę cierpliwość.

– Jak sobie życzysz. To czarna magia, ale jeden sposób jest. Też magiczny. Zabijcie swojego ojca. Krew zbierzcie do miski i postawcie w sieni. Dodajcie do niej laudanum. Złydnie zbiegną się ją złopać. Narkotyki je uśpi. Wtedy rozlejcie we wszystkich pomieszczeniach benzynę i podpalcie dom. Większość złydni pewnie zginie. – W tonie głosu starego pobrzmiwało coś dziwnie uroczystego.

Sławek zacisnął szczęki.

– Są inne metody? – zapytał Freder.

– Nie ma. Zrób, jak mówię, to może chociaż wy przeżyjecie. – Stary zaniósł się potępięcym śmiechem. – Ale i za to nie ręczę.

– Jak je obudziłeś? Skąd to się wzięło? – Otto chyba znów walnął batem.

– Sami to przywlekliście. Ten zegar i obrazy były z domu aptekarza z mojego miasteczka. Złupiliście, ścierwa, o jedną osadę za dużo. I to będzie dla was kara. Szkoda, że tylko dla was i waszej wiochy.

– Kłamiesz!

– Chciałbyś, żebym kłamał. Ale w głębi swojej parszywej szwabskiej duszy wiesz, że to koniec. Nie uciekniecie. Nie unikniecie śmierci. Już się w was wżarły. Już naznaczyły was swoim jadem, który trawi wszystko, co żywe. Widzieliście umierające wsie na sowieckiej Ukrainie. Tu będzie to samo. Zdechniecie we własnym gównie i rzygowinach. – Stary zaczął się opętańczo śmiać.

Huknął strzał i śmiech urwał się jak ucięty nożem. Sekundę później rozległ się łomot ciała padającego na deski. Sławek długo tkwił w kryjówce jak sparaliżowany, bojąc się choćby drgnąć. Słyszał, jak Niemcy kłócą się między sobą, wreszcie trzasnęły drzwi. Po chwili usłyszał dźwięk silnika ciężarówki. Ostrożnie opuścił się na podłogę obory. Objął najbliższą krowę i długo stał przytulony do ciepłego, pokrytego sierścią boku, by trochę się uspokoić.

Zaskrzypiały drzwi. Weszli Piotr i Mykoła.

– Tu jesteś. – Piotr odetchnął z ulgą. – Bałem się, że cię zabrali. Pojechali już. Tylko Otto i Freder poszli do domu.

– Ja... – wykrztusił Sławek i drżącą ręką wskazał dziurę.

– Słyszałeś wszystko!? – zapytał student.

– Tak.

– Zrozumiałeś wszystko?

– Każde zdanie. Zastrzelili go.

– I chyba zabrali zwłoki – uzupełnił ponuro Mykoła. – Pewnie je spalą w tym obozie dla jeńców. Nawet nie będę miał czego pochować.

Łzy rozmazały mu brud na policzkach. Spojrzenie miał jak martwe, twarz stężała z bólu. Przelknął ślinę.

– Świeć Panie nad jego duszą, choć nie był to dobry człowiek – dodał po chwili.

– I zrobił rzecz straszną. Ale krewniak.

Wyglądało na to, że zaraz kompletnie się rozklei.

– To, co dzieje się wokół, to jego dzieło – zaczął Sławek. – Przesłuchiwany użył określenia „złydnie”. Wiesz, co to jest, prawda?

– Wiem. Jak mówiłem, nie był to dobry człowiek. Niech mu ziemia lekka będzie. Ostrzegalem, ale się zaparł. Ściągnął na siebie straszliwy grzech.

– A teraz po prostu wszystko nam opowiedz – poprosił Piotr. – Co to za istoty?

Młody Ukrainiec uciekł spojrzeniem na bok.

– To może ty opowiedz – zwrócił się do Sławka. – Przecież wiesz. I bez twojego udziału nie byłoby tej katastrofy. Ty się umiałeś powstrzymać, ale Ihora skusiło.

– Co?! – zdumiał się chłopak.

– No przecież masz próbkówkę nasion. Zastanawialiśmy się, kiedy ich użyjesz i czy zdołamy cię powstrzymać.

– Co?! – powtórzył Sławek. – Zaraz... Ta fiołka...

– No nie gadaj, że nie wiesz, co jest w środku!? – zirytował się Mykoła.

– Przekazał mi ją, umierając, postrzelony kolega ze szkoły. Kazał oddać aptekarzowi z mojego miasteczka. Nie mam pojęcia, co to jest! Nie miałem żadnej okazji przekazać jej adresatowi.

– To ty nie wiedziałeś?! Miałeś to świństwo w rękę i naprawdę nie wiedziałeś?

– Zacznijmy od początku. Opowiedz nam, czym są złydnie – poprosił raz jeszcze Piotr.

– Nie chcesz wiedzieć. I jeśli potrzebujecie rady, musimy stąd uciekać. Hausherrin też już choruje, choć nie jest z nimi spokrewniona. Niebawem zabiorą się za nas.

– Nie możemy uciec! – wybuchnął Sławek. – Jeśli ci Niemcy poumierają, a my znikniemy, gestapo będzie nas szukać. Nie dorwą nas, to zabiorą się za nasze rodziny!

– On ma rację – powiedział Piotr. – Często tak robią, gdy ktoś ucieknie z obozu czy z robót. Albo wysyłają wezwania do urzędu, a ktoś nie idzie i się ukrywa. Czasem za jednego biorą kilku. Mów, co wiesz – ponaglił.

– To stara ukraińska legenda – zaczął Mykoła. – To znaczy... Gównno. To żadna legenda. One istnieją naprawdę. Te istoty. To rodzaj małych, krwiożerczych, złych karzełeków. Nie widać ich, ale cuchną trochę jakby szczurem i podobno są niedużo większe niż szczur. Słyszą, jak biegną. Rzucają cień. Żeby je zobaczyć, potrzeba podwójnego lusterka i złapać je jako odbicie odbicia. Wtedy jest szansa je dostrzec, ale podobno wyglądają okropnie. Gdy umrą albo zostają zabite, z każdego wypadają kilka ziaren. Wystarczy zebrać je i skropić odrobiną krwi wroga, a potem zakopać w ziemi. Wylęgną się. Tam, gdzie się zagnieżdżą, wszystko zaczyna iść na opak. Chorują zwierzęta, niszczą się przedmioty i budynki. Pękają dzbany, rdzewieją noże, próchnieją belki, pękają ściany. Kiśnie mleko, psuje się mięso, nawet dobrze zasolone i uwędzone. Pleśnieje mąka, chleb, kasza. Psują się nawet weki i konserwy. Taki złydnie mają wpływ na otoczenie. To się dzieje samo z siebie, jakby ich odór przenikał i zatruwał całą okolicę. To jak trąd, tylko że przeżera samą rzeczywistość. A z ludzi ssą samo życie. Siły witalne czy jak to nazwać. Aż do śmierci.

– Nasiona skrapia się krwią wroga? Żeby go jakoś rozpoznały czy co?

– Tak. One wiedzą, przeciw komu zostały poszczone. Wykończą jego oraz wszystkich, którzy są jego krwi. Do siódmego, do ósmego pokolenia czy może stopnia pokrewieństwa. Ale gdy tych zbraknie, robią się głodne, zabierają się też za innych ludzi. Domowników, gości, sąsiadów. Jak się gdzieś zagnieżdżą, nie ma zmiłuj. Trzeba uciekać szybko i daleko. I liczyć, że nie pójdą tropem zbiega. One raczej trzymają się jednego miejsca.

– Wydawało mi się, że tych kamyczków było więcej. Czyli Ihor podebrał kilka? – spytał Sławek.

– Nie wiem, ile tego miałeś. Wziął kilka, może kilkanaście. Już kilka to śmierć. Kilkanaście to jakbyś rozpałił ognisko w stodole pełnej siana. Pożar może szybko pochłonąć wszystko, roznieść się dalej. Zniszczy całą wieś. Ja raz w życiu widziałem takie nasiono. Jedno. Mój dziadek przechowywał na czarnej godzinę. Na wypadek gdyby znów przyszli czerwoni. Gdyby pojawił się śmiertelny wróg, którego nie da się pokonać zwykłymi ludzkimi siłami. Ale to broń bardzo potężna, trudna do okiełznania. I jak to w książkach nazywają, obosieczna.

– Jesteś pewien, że to właśnie to? – zapytał Piotr.

– Tak. Wtedy w kuchni, gdy Marta dała ci skrzynkę i przekładałaś rzeczy... – zwrócił się do Sławka. – Ihor chciał wykraść ci to jeszcze tamtej nocy. Mówił, że to broń. Broń słabych przeciw silnym. Broń, którą możemy zadać hitlerowcom prawdziwie bolesny, miażdżący cios. Odwiodłem go wtedy od zamiaru. Uwolnienie złydni jest jak pakt z samym diabłem. Bo myśmy widzieli skutki. Gdy front przetoczył się na wschód, pojechałem z wujem na sowiecką stronę. Chciał odwiedzić krewnych, których ostatni raz widział jeszcze za caratu. Zastaliśmy ruiny wsi i chorych, wyniszczonych ludzi, żyjących w potwornej nędzy. Próbowali pozbyć się pasożytów. Wystawiali trochę ludzkiej krwi na misce, do tego wywar z makówek. I tłukli potem wokół cepami na oślep, a podłogę deptali podkutymi sabotami, licząc, że wybiją jak najwięcej. Mówili, że co wiosnę zabijali wiele złydni, ale nigdy nie udawało im się wytepić poczwara do nogi. A dalej na wschodzie... Z tego, co mówili, ogromne połacie Ukrainy zostały tym dotknięte. Gdy poniszczono cerkwie, straszliwie się rozpleniły. Ostrzegąłem Ihora. A potem zrozumiałem, że nie usłuchał. A przecież widzieliśmy efekty na własne oczy. Stary duren.

– Broń – powtórzył Sławek.

– Źle się wyraziłem, ale powtarzam jego słowa. Głupie słowa głupiego człowieka. To nie broń. To żywioł jak ogień czy burza. Czarny wir, zaraza, plaga, otchłań, która pochłonie wszystko. To zło. Czyste zło zamknięte w szklanej fiołce. Ja... Wybacz... Ja gadałem z tobą dużo przy robocie, bo chciałem cię sprawdzić. – Mykoła spojrzął rówieśnikowi w oczy. – Bo miałeś to, ale nie użyłeś. Wyglądałeś na dobrego człowieka, zastanawiałem się, czy udajesz, czy coś knujesz, czy trzymasz to, jak mój dziadek, na czarnej godzinę.

– Wiesz jeszcze coś? – odezwał się Piotr. – Czy wiesz, jak się pozbyć tych istot? Mówiłeś o cepach, Ihor radził Niemcom, żeby zebrali miskę krwi i spalili dom.

– Są dwa sposoby. Pierwszy to miska krwi zmieszanej z wywarem z zielonych makówek albo laudanum. Ożłopią się i zasną. Wtedy, jak opowiadałem, można spróbować je wytłuc, ale lepiej rzeczywiście spalić cały dom. Najlepiej ogromną ilością benzyny. Tylko ogień musi otoczyć miejsce płonącym kręgiem. Żeby nie mogły uciec przed żarem.

– Płomień je zabija? – upewnił się student.

– Tak.

– A drugi sposób?

– Wiem tyle, ile opowiadała mi prababka, gdy byłem mały. Jest jeszcze jedna metoda, ale dla nas, niestety, nieprzydatna. Normalnie, jak się gdzieś zagnieżdżą, można je zniszczyć. Zabija je dźwięk cerkiewnych dzwonów. Tam, gdzie dotrze, zmieniają się w pył. Potrzebna jest miseczka, na którą ktoś utoczy trochę swojej krwi. Złydnie przyjdą do niej nawet z daleka jak przyciągnięte magnesem. Wtedy trzeba w pobliżu uderzyć w dzwon. Jego dźwięk sprawi, że umrą. Rozpadną się w proch i pył.

– Musi być cerkiewny? – zapytał student. – Nie można użyć katolickiego albo luterńskiego?

– Tego nie wiem, ale to żyje u nas, na Ukrainie, w Rosji. To chyba ma znaczenie. Zwłaszcza że dźwięk jest przecież zupełnie inny. U was kołysz się cały kielich, u nas to rozbujane serce uderza w ściany. Na sowieckiej części Ukrainy cerkwie zniszczono i nie było już dzwonów po wsiach. Tu, gdy w niedzielę bije dzwon w zborze, słycać go przecież i w gospodarstwie, na podwórzu, i nawet w oborze. Nie zaszkodził im najwyraźniej.

Zapadło milczenie.

– Nie zatrzymamy tego. Nie mamy jak. Musimy stąd uciekać, póki jeszcze żyjemy – powiedział powoli Ukrainiec. – Będzie to bardzo trudne, niebezpieczne, narazimy nasze rodziny, ale chyba nie ma wyjścia.

– Uciekać, powiadasz. Mam znajomych w parafii Góra, to na wschód od Płocka. Gdyby udało się tam dotrzeć... – zadumał się Piotr. – To jakieś siedemdziesiąt kilometrów stąd. Z pozoru nie brzmi to źle. Pieszko dojdziemy w dwa, może w trzy dni. Owiniemy buty szmatami nasączonymi terpentyną. Gdyby puścili za nami psy, zgubią trop. Ale po drodze jest kilka rzek, a mosty są pilnowane. No i granica z Generalną Gubernią. Też strzeżona. – Pokręcił głową. – Niemcy mają telefony, jak znikniemy, zaraz zadzwonią na kripo i gestapo. Szosami nie pójdziemy, bo tam nas szybko znajdą. No i gdy uciekniemy, mogą rzeczywiście wsadzić do obozu naszych bliskich. Tego się obawiam. No i czy damy radę bez mapy?

– Tu zostać nie możemy – rzekł Mykoła. – Już czuję osłabienie. A nie pokonamy ich.

– Tu przecież jest cerkiewny dzwon! – odezwał się nagle Sławek. – Pamiętasz, co opowiadał ten stary rymarz Horst? Wtedy, cośmy pojechali do młyna? Za jeziorem była cerkiewka starowierców. Po śmierci ostatniego sąsiedzi zakopali dzwon i różne cerkiewne przedmioty.

– Wielkie nieba! – szepnął student. – Masz rację! Miejmy tylko nadzieję, że nikt go nie wykopał, żeby przetopić brąz na zapalniki.

– Czyli... – zaczął Mykoła.

– Możemy spróbować walczyć albo uciekać. Wasz wybór. Nikogo do niczego nie zamierzam zmuszać. – Głos Piotra stwardniał. – Z moralnego punktu widzenia nie mamy żadnych obowiązków wobec szkopów. Jeśli odejdziemy, my będziemy żyli, a oni zdechną. Jedyny problem widzę w tym, że najwyraźniej mamy do czynienia z potwornym zagrożeniem. Że to się może roznieść jak pożar. Dlatego uważam, że o ile uda nam się odnaleźć dzwon, należy zostać i podjąć próbę zdławienia tego płomienia.

– Myślę podobnie – bąknął Mykoła. – Pomogę.

Spojrzeli na Sławka.

– Boję się – powiedział chłopak. – Ale zostanę i wam pomogę. Tylko jak my to zrobimy? I co z tymi dwoma mordercami? Bo już od dawna wiemy za dużo. Otto

zastrzelili przy nas Marcina. Teraz jeszcze Ihor. Załatwią to w papierach jak poprzednio? Czy raczej rozprawią się z nami?

– Nie wiem – odparł Piotr. – W każdym razie tym razem nie zaprosili nas na wódkę. Nie wezwali też doktora. Boję się. Może jednak powinniśmy uciekać, póki czas?

Popatrzyli po sobie.

– *Hilfe!* – dobiegł ich wrzask hausherrin.

Wrzasnęła tak nagle i rozdzierająco, że poderwali się na równe nogi. Wskoczyli z kurnika. Otto leżał w korytarzu przy wejściu do kuchni. Całe jego ciało trzęsło się jak galareta. Obok stał jego bezradny brat.

– To atak padaczki! – krzyknął Piotr. – Mykoła, Sławek, unieruchomcie mu ręce i nogi! Szybko!

Ukląkł, złapał głowę Niemca między kolana, brodę z całej siły docisnął do górnej szczęki. Szkop patrzył nieprzytomnie, na ustach miał pianę. Jego ciałem targaly dreszcze to słabsze, to mocniejsze, całkiem jakby go ktoś podłączył do prądu. Student poprawił chwyt.

– Chodzi o to, żeby nie odgryzł sobie języka – wyjaśnił spokojnie po niemiecku.

– I odchylam głowę do tyłu, żeby się nie zadławił śliną. Atak zazwyczaj nie trwa dłużej niż kilka minut, ale odzyskanie pełnej świadomości może się ciągnąć całymi godzinami.

– Nie stój jak krowa, dzwoni natychmiast po doktora Schwartza! – Freder wydarł się na hausherrin.

Drgawki stopniowo słabły, wreszcie ostatecznie ustały. Otto patrzył półprzytomnie, z kącika ust ciekła mu ślina. Zanieśli go w głąb domu i położyli w salonie na wersalce. Esesman niby to wodził wokoło wzrokiem, ale wydawał się zupełnie zdezorientowany, jakby nie poznawał miejsca, w którym się znajduje. Heinz słuchał relacji Fredery. Hausherrin dzwoniła po lekarza. Robotnikom nikt nawet nie podziękował. Wyszli.

– Powiedźcie mi jedno – burknął Piotr, gdy znaleźli się na dziedzińcu. – Bo sam tego nie rozumiem. Po jaką cholere ratowałem tę gnidę? Powinien tam zdechnąć. A jak już go w rękach miałem, czemu nie zadusiłem gada ani nie pociągnąłem mu łba jeszcze trochę do tyłu kilka centymetrów, żeby kark chrupnął?

– Odruch – ocenił Sławek. – Wiedziałeś, co robisz w razie ataku, i robiłeś. Widziałeś w nim bezradnego, cierpiącego człowieka, a nie hitlerowca.

– Nie jest łatwo zabić, zwłaszcza gdy się tego wcześniej nigdy nie robiło – dodał Mykoła. – W obronie to pewnie co innego, ale tak z zimną krwią... Trudno. Nawet gdy wiemy, że to ktoś na wskroś zły. To ja powinienem go zabić. Zastrzelił mi wuja. – Otarł łzę.

Przyjechał doktor, wbiegł do domu.

– Tak czy siak, wszyscy są teraz bardzo zajęci, a do wieczora zostały może dwie godziny. – Student popatrzył w niebo. – Ten półwysep, gdzie była cerkiew... Chyba zdołam tam trafić. Pomożecie?

– Jedziemy teraz?

– A mamy na co czekać? Jest okazja. Lepszej może już nie będzie.

– Zaprzęgać? – zapytał Sławek.

Piotr bez słowa pokazał mu kluczyki do motoru.

– Wyciągnąłem mu z kieszeni. – Wzruszył ramionami. – To spory kawałek drogi. Klacz przeciw zdechła, drugiego konia pożyczyci sąsiadom. Też już podobno jest na wykończeniu.

– Otto, jak dojdzie do siebie, pourywa nam głowy – bąknął Mykoła.

– O ile przeżyje. Skąd u młodego, zdrowego chłopca atak padaczki? Słyszałem opinie, że ta choroba bierze się z uszkodzeń mózgu. Myślę, że to może być początek końca.

Wytoczyli motor z powozowni. Młody Ukrainiec zajął miejsce w koszu. Student odpalił maszynę. Zwabiona hukiem silnika, z domu wyszła hausherrin.

– Gdzie wy...?! – Wytrzeszczyła oczy.

– Wiem, jak wam pomóc. – Piotr osadził ją wzrokiem. – Wrócimy przed północą. Trzymaj głowę na kłódkę, tak będzie dla was wszystkich lepiej.

– Ale... – zaczęła i umilkła.

Pomknęli przez miasteczko. Przejechali drogą przez las. Na polanie, gdzie kiedyś była mogiła Żydów, spostrzegli tylko zaorany szary piach i posadzone w równych rządkach sadzonki sosenek. Nie było grobu, trudno się było dopatrzeć śladów prac związanych z jego likwidacją. Nawet na gałęziach nie osiadła sadza.

– Umieją łajdacy ukryć swoje zbrodnie – burknął Piotr. – Nic nie zostało. Pewnie ułożyli stos, warstwa trupów, warstwa belek i tak na przemian. Jak się wypaliło, węgle i niedopalone kości zebrano i zakopano albo zatopiono w jeziorze. Ziemię kilka razy przeorali i posadzili las.

– Tyle dobrze, że to nie my zacieraliśmy – zauważył Sławek. – Bo i po nas nie zostałyby żadne ślady. Ciekawe, w ilu podobnych miejscach tak zrobiono. I czy faktycznie boją się, że kiedyś wejdą tu Sowici?

– Kto ich tam wie.

Mykoła milczał. Chyba wspominał krewniaka, bo co jakiś czas ocierał łzy. Minęli młyn i pojechali wąską dróżką wijącą się wzdłuż brzegów jeziora. Od wody ciągnęło chłodem. Niebawem znaleźli się na półwyspie. Krzewy dzikiej róży porastały rozległe gruzowisko. Obok stał jeszcze kawałek muru otaczającego zapewne pierwotnie cerkiewkę i monastyr. W gęstniejącym półmroku spostrzegli zdziczałe jabłonie. Ogrody, które dawały mnichom utrzymanie, zarastały teraz dziesiątki mniejszych i większych samosiejek. Las stopniowo odzyskiwał teren, który mu kiedyś wydarto. Dalej między pniami sosen majaczyły jeszcze jakieś ruiny.

– Cerkiewka, obok mały monastyr dla kilku braci. Mieli kawałek sadu, zapewne też spichlerzyk. Obok znajdowała się drewnitnia i inne zabudowania gospodarcze. – Mykoła wodził wzrokiem. – Wszystko dawno temu poszło na zmarnowanie.

– Rymarz wspominał o cmentarzu. Miał być gdzieś nad wodą. – Sławek zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie tamtą rozmowę. – W moich stronach cerkwie najczęściej miały wejście od zachodu, a ołtarz od wschodu. Cmentarz, jeśli znajdował się w pobliżu, to dokładnie naprzeciw wejścia. Nie wiem, czy to ścisła reguła, ale...

– U nas podobnie było – mruknął Ukrainiec. – Najstarsze albo najważniejsze groby po bokach cerkwi, a cmentarz w oddaleniu, na pagórku naprzeciw.

– Tam będzie północ. – Piotr wskazał ręką kierunek. – Chodźmy tędy.

Ale młody Ukrainiec ukląkł na kamiennych stopniach naprzeciw nieistniejącego już ołtarza i dłuższą chwilę modlił się bezgłośnie. Gdy wstał, otarł twarz rękawem.

– Przepraszam – powiedział. – Ihor. Teraz dopiero zaczyna to do mnie docierać. Nie był to dobry człowiek, za dużo pił, błędził, ale...

– Nie przepraszaj. – Student objął go mocnym uściskiem.

Ledwie widoczna dróżka zaprowadziła ich między stare dęby błotne. Pomiędzy drzewami było prawie ciemno. Grunt opadał, zza pni z trzech stron połyskiwała białą taflą jeziora. I nagle drogę przegrodził im stary, spękany ceglany mur i dwa pochylone, wycięte w piaskowcu pylony dawnej bramy. Zawiasy dawno rozsypały się w pył, powierzchnie kamienia znaczyły plamy rdzy. W trawie wypatrzili więcej fragmentów. Rdza stoczyła kute pręty, po drewnianych elementach nie pozostał ślad. Weszli na teren nekropoli.

Od lat nie stanęła tu stopa człowieka. Chrust przy każdym kroku trzeszczał pod butami, nigdzie nie było widać ścieżki. Cmentarzyk zarósł trawą i krzakami, stare drewniane krzyże przepróchniały. Niektórym odpadły ramiona, inne leżały w trawie. Cynkowe tabliczki z nazwiskami zmarłych przeżarła korozja, oblażyły z resztek farby, na większości dało się odczytać tylko pojedyncze litery i cyfry.

– On ma kamienny krzyż – przypomniał sobie Sławek.

Jego głos w martwej ciszy uroczyska zabrzmiał tak dziwnie, że chłopak poczuł dreszcz. Wypatrzili kilka kamiennych nagrobków. Niektóre stały przechylone, inne przewróciły się dawno temu. Wyciosano je niezbyt starannie z granitu. Na skraju cmentarza stał jeszcze jeden krzyż, dla odmiany wykonany z piaskowca. Podeszli, przedzierając się przez chaszczę.

– Michał Pietrowicz – odczytał student. – Zmarł w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym. To chyba będzie ten ostatni.

– Czemu tak myślisz? – Sławek rozglądał się wokół. – Tam są jeszcze dwa, też kamienne.

– Minęło niemal sześćdziesiąt lat. To pasuje do opowieści. Ostatni mnich miał umrzeć w czasach, gdy Horst był dzieckiem. W dodatku ten krzyż jako jedyny ma napisy wykute łacińskim alfabetem. Myślę, że ci, którzy pogrzebali tu mnicha, nie znali cyrylicy. Czyli pochowali go miejscowi. Sąsiedzi. Niemcy lub Mazurzy, ale już nie współwyznawcy.

– Chyba masz rację.

Mykoła przeżegnał się i zmówił modlitwę po ukraińsku.

– Nie obrazi się chyba, że zakłócamy mu spokój? – Bez przekonania grzebnął końcem szpadla. – Nie mamy innego wyjścia, jak odkopać ten dzwon.

– Nie mamy. Myślę, że nieboszczyk zrozumie.

– Głupio tak ryc komuś w grobie. – Sławek przestąpił z nogi na nogę. – Ale chyba musimy.

Przeżegnali się i wbili łopaty. Pod dwudziestocentymetrową warstwą czarnoziemu błysnęła piach upstrzony małymi otoczakami. Kamienie nie były duże, ale utrudniały pracę i co chwila trzeba było je wybierać ręcznie. Kilka razy w pracy przeszkodziły im korzenie drzew. Wreszcie około metra pod powierzchnią trafili na pochówki. W zapadającym mroku łopaty zaszorowały o resztki poczerniałych desek. Trumna, choć dębowa, dawno już zbutwiała i zapadła się pod ciężarem ziemi. Odsłonili kawałek wieka.

– Tu już nie grzebiemy. Te inne rzeczy miały być zakopane obok – głos studenta przerwał ciszę. – Pomódlmy się za spokój duszy tego człowieka i kopmy po lewej.

Minęło może pięć minut, gdy obok trumny trafili na spore zawiniątko. Tkanina rozłożyła się prawie całkowicie. Z nielicznych żółto-brązowych strzępów domyślili się, że był to rodzaj cienkiego lnianego płótna. Wplecione w nie nitki z mosiądzu lub miedzi pozieleniały, sklejkając piach. Gdy je poruszyli, rozsypały się, odsłaniając przegniłe grzbiety jakichś ksiąg.

– To chyba był obrus z ołtarza, ale nie taki w złotogłowie, a tylko haftowany we wzory złotą nicią. Albo może inna cerkiewna tkanina – zawyrokował Mykoła. – A w nią zawinięto mszały, a może to księgi parafialne?

– Zostawmy, jak jest – zarządził Piotr. – Tak sobie zażyczył ostatni z zakonników, to nie ruszajmy. Nie nasza sprawa i nie po to tu przyjechaliśmy. Tu jest kolejna zielona plama. Myślę, że to dobry trop. Coś tam w piachu koroduje na potęgę.

Po chwili łopata Sławka stuknęła o coś metalowego. Jeszcze kilka ruchów i odsłonił się kielich dzwonu. Obkopali go szybko i sprawnie. Nie był duży, ważył może czterdzieści kilogramów. Wydobyli go z dołu i obstukali delikatnie z przyklepionego korozją piachu. Wygarnęli też ziemię ze środka. Na szczęście serce odlano z brązu, żelazne zapewne rozsypałoby się po tylu latach. Uporządkowali grób i postarali się choć trochę zatrzeć ślady poszukiwań.

– Najtrudniejsze przed nami – westchnął Mykoła. – Owińmy czymś serce, żeby nie uderzyło przed czasem, bo jeszcze się spłoszą.

– Masz rację.

Mykoła siadł w koszu motoru, dzwon wziął w objęcia. Piotr uruchomił maszynę i pomknęli leśnymi drogami do majątku. Zapadła już noc. Po niebie sunęły ciężkie deszczowe chmury. Na szczęście po drodze nie spotkali nikogo. Gdy mijali zbór, Sławek spostrzegł, że wewnątrz pali się światło, a pastor i dwaj parafianie montują katafalk. Najwyraźniej w miasteczku ktoś umarł.

*

Piotr długą chwilę majstrował przy zamku, nim pokonał niezbyt skomplikowaną konstrukcję zapadek. Wreszcie uchylił drzwi kuźni. W nos uderzyła ich fala upiornego smrodu. Cuchnęło jakby szczurami i pluskwami, ale także krwią. Myśleli, że Niemcy zabrali zwłoki, ale – jak się okazało – zostały na posadzce. Stary Ihor leżał pośrodku pomieszczenia w kałuży krzepnącej posoki. Jedną ręką nadal trzymał się za postrzelony brzuch. Szkliste oczy patrzyły zezem. Student przykląkł i zamknął mu powieki.

Żył jeszcze jakiś czas, uświadomił sobie że zgrozą Sławek. Postrzelili go i zostawili. Sądząc po śladach, próbował wstawać, przewracał się. Może konał jeszcze, gdy pojechaliśmy po dzwon. Gdybyśmy wiedzieli... Nie! I tak w żaden sposób nie moglibyśmy mu pomóc.

W pomieszczeniu słychać było szmery i coś jakby mlaskanie. Podłoga wokół ciała upstrzona była śladami łapek. Sławek miał wrażenie, jakby wokół zwłok kłębiły się jakieś ledwo dostrzegalne cienie. Piotr wypatrzył gruby hak, wbity w belkę sufitową.

– Powinien utrzymać – ocenił.

Zatrzasnęli drzwi. Sławek na wszelki wypadek powiesił na klamce swój różaniec. Nie wiedział, czy to cokolwiek da, ale student, widząc, co robi, kiwnął z aprobatą głową. Przystawił stołek. Z trudem unieśli i zawiesili dzwon. Mykoła zaczepił linkę. Odwinęli szmaty. Chłopak z obawą spojrzął w stronę ciała. Nie widział nic, ale powietrze drgało jak w upalny dzień. Coś niewidocznego gołym okiem zniekształcało obraz. Nadal słyszał szmery, pochrząkiwanie, czasem jakieś piski i odgłosy przepychanek. Ubranie parę razy drgnęło, jakby szarpały je niewidzialne zęby czy pazury.

Kompletnie ignorują nas i to, co robimy, uświadomił sobie. Albo się nas nie boją, albo są kompletnie głupie, albo świeża krew jakoś je otumaniała.

Piotr zamknął drzwi.

– *Wo imia Otca i Syna, i Swiathogo Ducha.* – Mykoła pociągnął za linkę i rozkołysał serce dzwonu.

Zaustało się kilka razy i wreszcie ciężko uderzyło w pokryty patyną kielich. Dzwon przemówił po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat. Dźwięk był niski, trochę głuchy, może spiż pękł w którymś miejscu? Przeszył powietrze dziwną wibracją. Mykoła pociągnął znowu. Nadal nie było nic widać, ale rozległy się szmery, piski pełne bólu i odgłosy głuchych uderzeń, jakby po ceglanej podłodze rzucały się duże ryby. Coś kilka razy rąbnęło w drzwi, zapewne próbując uciec. A potem zapadła cisza. Stali, milcząc, tylko młody Ukrainiec nadal rytmicznie pociągał za sznurek. Śmierdziało coraz gorzej. Na ziemi zmaterializowały się powoli nieduże kupki czegoś – ni to popiołu, ni zetłalej włókniny. Nie układały się w żadne rozpoznawalne kształty. Było ich kilkanaście. Wreszcie serce dzwonu zamarło.

Trzasnęły drzwi.

– Co to, do cholery, za hałasy! – ryknął Heinz. Zatoczył się i zakaszłał krwią. – Co wy tu robicie?! – Wyrzeczył oczy i rozdziawił ze zdziwienia usta.

– Nie dzieje się tu nic zdrożnego. Nasz przyjaciel Mykoła chciał się pomodlić za spokój duszy ciotecznego dziadka nad jego ciałem, w miejscu, gdzie zginął. To bardzo ważne dla jego religii. – Sławek stał na baczność i łął po niemiecku jak z nut.

Niemiec popatrzył półprzytomnie rozpalonymi gorączką oczyma.

– Przestań kłamać! – wycharczał.

– Próbowemy odczynić zabijający was urok rzucony przez starego Ihora. Chcesz, żebyście przeżyli, to wynoś się i morda na kłódkę. – Piotr nie bawił się w dyplomację.

Szkop jeszcze przez chwilę stał w progu, oparty o framugę. Dyszał ciężko, pot zrosił mu skronie.

– To pomoże? – zapytał już innym tonem.

– Powinno. Trudno powiedzieć, to stara kozacka magia. Potwornie silna. I śmiertelnie niebezpieczna.

– No dobra. – Niemiec spojrzał na dzwon, potem na zwłoki.

Przeżegnał się niezdarnie i wyszedł. Rozgarnęli resztki istot. Rozpadły się na coś, co przypominało „koty” kurzu. Na klepisku, w miejscu, gdzie szczyły, leżało kilkadziesiąt kolorowych ziaren. Były bardzo podobne do tych z próbowki, ale jaskrawiej ubarwione. Zgarnęli je na kupkę.

– Co z tym zrobimy? – bąknął Sławek.

– Są praktycznie niezniszczalne – wyjaśnił Ukrainiec.

– Niezniszczalne? – zirytował się student.

Mykoła położył jeden kamyk na kowadle.

– Sam zobaczysz. Weź ciężki młotek, na przykład ten pięciokilogramowy.

Piotr ujął wyslizgane styliśko. Zważył narzędzie w dłoniach.

– Zobacz, czy jest dobrze osadzony – polecił Ukrainiec. – I ustaw się tak, żeby nie oberwać w czoło żelazem, jak odskoczy.

– Nie ucz ojca dzieci robić!

– Tylko przyjacielsko ostrzegam. Z całej siły wal. Gotów? Bij.

Polak stanął w lekkim rozkroku, zamachnął się zza głowy i uderzył.

Faktycznie, młot trochę odskoczył. Wszyscy trzej w milczeniu wpatrywali się w ziarenko leżące na stali. Zdawało się nietknięte, za to w gładkiej powierzchni kowadła pojawił się niewielki dołek. Sławek z niedowierzaniem odwrócił młotek i przyjrzał się powierzchni. Tu spostrzegł niewielkie wgniecenie.

– To niemożliwe – bąknął Piotr. – Diamenty są twarde, ale kruche, a to...

– Mój ojciec był przed wojną kowalem. To uderzenie spłaszczyłoby lub roztrzaskało stalową kulkę łożyskową – powiedział Mykoła. – Żaden kamień by nie wytrzymał, a nasiona złydni, jak widzisz, są w stanie to przetrwać. Ale jest sposób na ich zniszczenie. Ogniem. Przepatrzmy teraz całą podłogę, nie możemy żadnego przegapić.

Zebraли łącznie ponad sześćdziesiąt ziarenek. Niektóre wydłubali ze szpar w posadzce, inne wtoczyły się pod zwłoki starego, całkiem jakby chciały się ukryć. Napełnili niedużą blaszanekę, Sławek dorzucił jeszcze na wierzch te z próbówki.

– Myślisz, że załatwiliśmy wszystkie? – spytał.

– Nie wiem. Policzyłem, dzwon unicestwił chyba siedemnaście. Nie wiem, ile nasion odebrał ci wuj.

– Na pewno nie aż tyle. Czyli one się rozmnażają? Jakoś między sobą, samce z samicami? Albo może same potrafią się wysiewać?

– Nie mam pojęcia. Wątpię, żeby ktokolwiek wiedział. Wszystkie opowieści, jakie o nich słyszałem, były zgodne co do jednego: jak się zagnieżdżą we wsi, bardzo trudno je wyplenić.

– Skoda, że nie możemy tego podłożyć Hitlerowi do Berlina – mruknął Piotr. – Albo wkładać po jednym do kieszeni szkopom jadącym z frontu do domów. Choć teraz, gdy o tym opowiadasz, nie wiem, czy byłby to dobry pomysł.

– Piec w kuchni jest rozpalony. – Mykoła był poważny, nawet trochę jakby uroczysty.

Weszli do pomieszczenia. Pod płytą zostało sporo żaru, ale dorzucili jeszcze brzożowych polan i węgla. Gdy zaczęło dobrze buzować, Piotr pogrzebaczem zdjął fajerki i wsypali ziarna prosto w największy płomień. Niektóre musieli wygrzebać z puszki, bo przywarły do blachy i nie dawały się wytrząsnąć. W powietrzu rozległ się ni to jęk, ni to trzask. Zaśmierzdzało jakby palonym łąjnem. Puskę na wszelki wypadek też wrzucili do pieca. Patrzyli, jak blacha staje się ciemnowisniowa od żaru, a potem zapada się w sobie.

W drzwiach stanął Freder. Pociągnął nosem. Wyglądał jak cień człowieka. Stał w milczeniu, patrząc na robotników. Na opatrunku miał żółtobrazową plamę. Ropa z rany przesiąkła przez bandaż. Wreszcie z trudem oderwał się od framugi.

– Otto umarł przed godziną. Moja babka też. Helmut od kilku godzin nie odzyskuje przytomności. Doktor Schwartz nie potrafi pomóc. Stryj Heinz powiedział, że zdjęliście urok – wychrypiał po polsku.

– Mamy przynajmniej taką nadzieję. – Piotr wzruszył ramionami. – Zrobiliśmy, co się dało.

– Czemu dopiero teraz? – syknął Niemiec z nienawiścią.

– Bo dopiero teraz dowiedzieliśmy się, co się dzieje. Wasze szczęście, że w ogóle zdołaliśmy to ustalić. Gdybyśmy nie podsłuchali tego, co mówił Ihor, nigdy nie natrafilibyśmy na właściwy trop – powiedział Sławek.

Hitlerowiec długo milczał, układając sobie wszystko w głowie.

– Złydni. Niewidzialne krwiozercze karzelki, o których słyszałem na Ukrainie. To były one? – zapytał, jakby chciał się upewnić. – Zabiliście wszystkie?

– Trudno powiedzieć – burknął Mykoła. – Mam taką nadzieję. Zeszły się do zwłok mojego wuja. Lubią chleptać świeżą krew. Ale minęło kilka godzin. Może zanim wróciliśmy z dzwonem, już zanadto skrzepła? Część była jeszcze na miejscu, ale obawiam się, że niektóre nasyciły się już i odeszły. Dźwięk dzwonu powinien zabić także te najedzone, które pochowały się w różnych zakamarkach. Był głośny, dotarł w różne miejsca. Ale myślę, że operację trzeba powtórzyć. Może i kilka razy. W różnych częściach miasteczka. Bo waszych sąsiadów też przecież zaatakowały.

– To Otto zastrzelił Ihora. Czy ja teraz wyzdrowieję? – wychrypiał Freder.

– Nie – pokręcił głową Mykoła. – Szkody, które te istoty czynią żywym, są nieodwracalne. Ale może chociaż nie będzie już gorzej. Rana powinna z czasem się zabiżnić.

– Łapie mnie zadyszka przy każdym wysiłku. Plecy mnie bolą, jakby kto gwoździ nawbijał. Co zjem, to mnie zgaga męczy. Doktor Schwartz nic nie umie poradzić. Twierdzi, że to rozległe wyniszczenie organizmu. Jakbym się nagle w kilka tygodni zestarzał o czterdzieści lat! Teraz mówisz, że do końca życia mam się czuć jak stary dziad?!

– Potraktuj to jako pokutę za niemieckie grzechy. – Ukrainiec wzruszył ramionami. – Za wszystko, co zrobiłeś tam, na froncie wschodnim. I za to, co robił twój brat.

Szwab niezdarnym ruchem sięgnął do kabury. Mykoła patrzył mu hardo prosto w oczy. Przez chwilę Freder celował do niego z lugera, a potem zacisnął wargi i z trudem wsunął broń na miejsce.

Jesień 1945

Odwlekał tę wyprawę i odwlekał, ale gdy minęły dwa tygodnie, zdołał zebrać się w sobie na tyle, by pójść. Dzień był ciepły, choć jesienny, a słońce ukryło się za chmurami. Sławek szedł tym razem naokoło, pełną drogą. Ciągnął dwukołowy wózek z niewielką skrzynką. Las zbliżał się, chłopak widział coraz więcej szczegółów. Kolorowe liście sypały się z drzew. Wszystko wyglądało inaczej niż wtedy, zimą. Ale rozpoznał brzozowy zagajnik. Wtedy poszedł prosto, teraz odbił w lewo.

Dwa i pół roku, pomyślał. Tyle czasu zajął mi powrót do tego lasu. Ale przeżyłem i wróciłem.

Zaczął od wdrapania się na wzgórze. Faktycznie, gdy ze szczytu popatrzył na północ między gałęziami, spostrzegł sam wierzchołek kościelnej wieży swojego miasteczka. Wokół grunt przecinało kilka okopów oraz dołów strzeleckich, zapadniętych i zarośniętych, pamiętających jeszcze poprzednią wojnę. Było też większe zagłębienie, może ślad ziemianki, może okopane stanowisko artyleryjskie. Od południa odszukał wąwóz, o którym wspominał stary dekarz.

Zostawił wózek na ścieżce, zabrał tylko łopatę. Zbiegł tylko stromiźnie. Na dole stały kałuże wody, w jednym miejscu ciurkało małe źródelko.

Dobre miejsce, ocenił. Odludne, zarośnięte, jest woda, opał.

Zaczął buszować w poszukiwaniu śladów kryjówki Żyda. Gdyby nie wiedział, gdzie szukać, pewnie nigdy nie znalazłby tego miejsca. Wreszcie, gdy przedarł się przez

gęsty młodnik, wypatrzył zakłęśnięcie w skarpie. Między bryłami lessu poniewierały się fragmenty potrzaskanych, osmalonych wybuchem desek i przegniłe już strzępy ładnego, wzorzystego koca. Podmuchy wiatru targały kłębami trawy morskiej i resztkami pasiastego płótna z pokrycia materaca. Rozpoznał ten wzór – identyczne mieli w domu. Jakiś kawałek przedziewiałego metalu sterczał z ziemi. Grzebnął ostrzem kozika i wyciągnął resztki prymitywnego piecyka zrobionego z żelaznej puszki wylepionej wewnątrz gliną.

Tu stary sobie mieszkał, zidentyfikował. Jak to powiedział, „ciepła norka”. Wiadomo, żyć w lesie bardzo ciężko, ale da się. Ogień palił pewnie tylko nocą, wychodził jedynie po wodę i może w jakiś umówiony punkt, gdzie przyjaciele dostarczali mu zaopatrzenie. Dobrze się urządził, a i miejsce świetnie wybrane. Gdyby nie psy, szkopy by go nie znalazły. Każdy dzień, w którym innych Żydów już nie było, a pan Moryc nadal żył, to było takie jego małe zwycięstwo. Szkoda, że te małe zwycięstwa nie złożyły się w jedną wielką wygraną, którą byłoby przetrwanie całej okupacji.

Przełknął ślinę. Prawie nie znał tego staruszka, ale żal i tak ścisnął mu gardło. A potem przypomniał sobie, jak dekarz wyciął ten numer ze spuszczonej spodniami.

Wiedział, że go zabiją, ale przed śmiercią zagrał im na nosie, podsumował Sławek. Ja bym się na to nie zdobył.

Uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie miny szwaba. Ruszył w stronę szczytu i po kolejnym kwadransie znalazł brzozę, o której opowiadał dekarz. Z jednego korzenia wyrastały dwa pnie. Wydobył z kieszeni kompas, odmierzył siedem kroków i zaczął kopać. Niczego nie znalazł. Może Żyd miał dłuższe nogi, a może nie posiadał kompasu i nie wyznaczył precyzyjnie kierunku? Sławek przystanął, zamyślony. Ciut w lewo?

Trafił za piątym razem. Może trzydzieści centymetrów pod ziemią spoczywał duży kamionkowy gar, taki jak do kiszenia kapusty. Krawędź pokrywy starannie zalano woskiem. Podważył ją nożem. Wewnątrz było sucho, wilgoć się nie dostała. Rozgarnął szeleszczące przedwojenne i okupacyjne gazety. Najpierw znalazł gruby plik zdjęć i pożółkłych listów przewiązanych wstążką. Zawahał się i zostawił pakiet, tak jak był.

To jego prywatne rzeczy, pamiątki, może sekrety rodzinne, pomyślał. Głupio w tym grzebać.

Poniżej upchano taśes i tefilin, oba w safianowych torebkach. Kawałek gazety krył elegancką jedwabną jarmużkę z jakimś napisem haftowanym złotą nitką. Kolejny pakunek zawierał srebrny kielich kiduszowy o złożonym wnętrzu, ozdobiony grawerowanym motywem winnej latorośli. Pamiętał, że Żydzi używali takich podczas szabasu.

Ostatni pakunek. Sławek wydobył mezuzę i niewielką lampę chanukową, zrobioną chyba ze srebrzonej miedzi. Garść przedmiotów kultu, ciekawych, bo choć widywał takie przed wojną, to nigdy z bliska. Pod wszystkimi rzeczami leżał nieduży skórzany woreczek. Chłopak zważył go w dłoni. Ciężki. Przez skórę wyczuł monety. Domyślił się, że to przedwojenne dziesięciozłotówki z Piłsudskim. Chwilę męczył się z supełkiem. Były i te z Dziadkiem, i z głową kobiety, i kilka piątek z żaglowcem. Łącznie monet było około trzydziestu.

– To dobre srebro. Sprzedamy w banku, za jednego „dziadka” dają teraz chyba po kilkadziesiąt złotych! – ucieszył się.

Ale czekała go jeszcze jedna niespodzianka. Gdy wytrząsnął zawartość na dłoń, spostrzegł, że na dnie mieszka w oddzielnej wewnętrznej kieszonce znajdowały się

jeszcze cztery złote carskie dziesięciorublówki i trzy piątki, popularnie zwane świnkami. Były przyjemnie ciężkie.

Zawsze się mówiło, że Żydzi mają złoto, pomyślał. Nawet ci nasi. Każdy widział, jaka to była biedota. Groszowe zarobki, kopiejkowe interesiki. Biedasklepiki, biedawarsztaciki. Marny towar, marne narzędzia, którymi jednak dokonywali cudów, byle zarobić kilka złotych. Tych siedem monetek to pewnie oszczędności całego życia starego dekarza. Przekazał je nam. Ile to jest? Z pięćdziesiąt gramów kruszcu. Albo i lepiej.

– Koń! Kupimy wreszcie własnego konia! – szepnęła.

Spojrzał na pozostałe rzeczy. Wątpił, by kiedykolwiek odnaleźli się jacyś krewni zamordowanego. Co z tym zrobić? Schować, pomyśleć, może kiedyś odda się do jakiegoś muzeum? Zawinął wszystko w gazety, zapakował gar na wózek i ruszył dalej. Krzaki zasłaniały widok. Zwolnił kroku, siedł teraz noga za nogą. Wiedział, że nie może ot tak odwrócić się na pięcie i odejść.

Żywi mają swoje obowiązki wobec umarłych, przypomniał sobie słowa dziadka.

Wreszcie zatrzymał się w feralnym miejscu pod dębem. Nosidło nadal leżało na ziemi, tylko konopne sznurki, którymi związał chrust, rozleciały się przez te dwa lata. W pożółkłej trawie wypatrzył coś zielonego. To była łuska pistoletowa pokryta już śniedzią. Przełknął ślinę i podszedł bliżej.

Nie sądził, że uda mu się wiele znaleźć, był przekonany, że dzięki zwierzęta rozwlekły ciało albo grzybiarze lub leśnicy znaleźli je i pogrzebali. Jednak zwłoki Artemija nadal leżały tam, gdzie zginął. Większość kości wciąż była na miejscu, częściowo przykryta opadłymi liśćmi, wplątana w zetlałe ubranie. Mrówki oczyściły czaszkę. Biała jak śnieg, z czapką przesuniętą na bakier, patrzyła pustymi oczodołami w niebo. Pośrodku czoła ziała mała czarna dziurka. Żuchwa opadła i Sławek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zmarły się uśmiecha. Raz jeszcze przełknął ślinę.

– Witaj, kolego – powiedział zduszonym głosem. – Wróciłem, żeby cię pogrzebać... To znaczy zebrać twoje kości, a spoczniesz wśród swoich na cmentarzu przy cerkwi. Zarazem informuję, że zostałeś pomszczony. Człowiek, który cię zastrzelił, nie żyje. Rozszarpały go wilki w Złym Lesie, tam, na północy. Ale pewnie wiesz. Po tamtej stronie z pewnością wiecie więcej niż my.

Urwał, poczuł się głupio. Przeżegnał się i założył rękawice. Ostrożnie przekładał kości na przyniesione prześcieradło. Ubranie zabitego po trzech latach pod gołym niebem zetlało, darło się w palcach. Kości stóp przywarły do wnętrza kamaszy, zabrał je razem z butami. Zawinął tkaninę jak całun, włożył do wnętrza zaimprovizowanej trumienki i zamknął wieko. Dźwignął. Nie była ciężka.

Niewiele zostaje z człowieka, pomyślał Sławek, kładąc ją na wózek.

Słońce przedarło się przez chmury, las stał się jasny i świetlisty. Sławek wziął do ręki łopatę i wykopał niewielki dołek. Zepchnął do niego to, co pozostało z odzienia młodego Ukraińca. Coś brzęknęło o metal. Klucz od domu. Przez chwilę obracał go w palcach, a potem, wiedziony dziwnym impulsem, włożył do skrzynki. Ruszył w stronę miasteczka.

– Poznałem tylko kawałek waszej historii – zwrócił się w stronę trumienki. – Nasiona złydni to straszliwa broń. Zabójcza, skuteczna, ale też śmiertelnie niebezpieczna, nawet dla tego, kto chciałby jej użyć. Skąd, człowieku, wytrzasnąłeś to cholerstwo?! Dlaczego kazałeś oddać fiolkę aptekarzowi? Mielicie jakiś plan? Co chcieliście z tym świństwem zrobić?

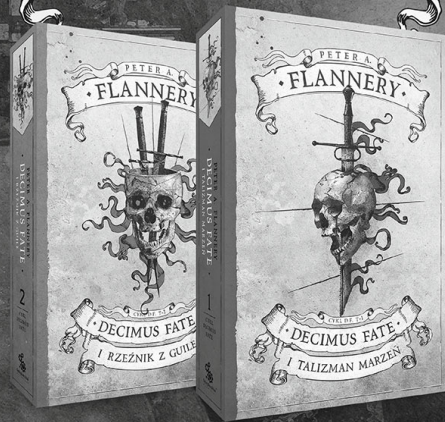
Nieboszczyk oczywiście nie odpowiedział. Co gorsza, chłopak był prawie pewien, że nigdy nie pozna odpowiedzi. Krewnych Artemija wysiedlono za Bug, jeszcze zanim Sławek wrócił z robót. Aptekarz nie doczekał wyzwolenia, zmarł w czwartym roku wojny. Kto jeszcze w okolicy mógł być wtajemniczony w ten plan? Komu planowali to podrzucić? Przeciw komu użyć?

Dotarł do drogi. Szosą akurat przejechała „emka”, za nią toczyła się ciężarówka ze zbożem. Na sterce worków siedziało dwóch żołnierzy w mundurach KBW. Pepesze położyli na kolanach, łypali wokoło podejrzliwie. Obrzucili go długimi, czujnymi spojrzzeniami.

– Za szwaba zabierano zboże i chudobę, czerwoni też nie lepsi – westchnął chłopak. – Za okupacji mieliśmy w gminie folksdojczów, a i teraz nie brak ludzi, którzy obrzydliwie łaszą się do nowego okupanta. Może i szkoda, że zniszczyliśmy wtedy wszystkie ziarna. Ale z drugiej strony tak chyba jednak jest lepiej.

Koniec

PETER A. FLANNERY
CYKL
DECIMUS FATE



POZNAJ MAGÓW I WOJOWNIKÓW, BOHATERÓW I ZŁOČYŃCÓW.
ROZPOZNASZ, KTO KIM JEST?

fantastycznie_zaczytana

**CO POWIECIE NA WYPRAWĘ DO ŚWIATA,
W KTÓRYM DZIAŁA ZARÓWNO MAGIA,
JAK I ALCHEMIA?**

Niektórzy czarodzieje ryzykują kontakty z demonami, a nawet korzystają z przejścia przez demoniczny wymiar, a łowcy demonów wzbudzają lęk nie tylko wśród potępionych istot. Zainteresowani?

Zapraszam do karczmy o nazwie Matka Głupich – tam można spotkać Opiekuna, z którym na pewno bez uszczerbku na zdrowiu przejdziesz uliczkami miasta Guile. Jeśli szukasz pomocy i rady, to poproś, by wszędobylskie dzieci ulicy zwane szukajdrogami zaprowadziły cię do Czarneho Domu, gdzie mieszka Mędrzec. Staraj się jednak nie podpaść jego gosposi, gdyż możesz nie wrócić cało z tej wizyty.

fantastycznie_zaczytana

Z OPINII CZYTELNIKÓW

Najlepsze lektury zawsze są wtedy, gdy historia wciąga od pierwszej strony.

Bardzo to fajne. Balans między lekkością a powagą oraz humorem i smutkiem wzorowy.

Sama powieść to w mojej opinii wariacja na temat przygód Sherlocka i Watsona, ale w klimacie fantasy. Autor bardziej kieruje się w stronę kryminału oraz przygodowego fantasy.

Kto ma ochotę na superlekką fantastykę z fajnymi postaciami, ciekawym światem i magią?

Uważajcie, ta książka uzależnia i nie pozwala wam się odłożyć, aż nie dobrniecie do końca.



Starodub



PUTYWL



ROK 1605.

POLSKIE WOJSKA WKACZAJĄ DO MOSKWY.

Oto historia straceńców, którzy wrogów liczyli dopiero po bitwie. Zabitych.

Oto historia ludzi tak szalonych, że poszli w tany z samą Śmiercią. Tak zuchwałych, że uwiedli Fortunę. Tak dumnych, że diabłu plunęli w twarz. I tak hojnych, że za przyjaciół płacili tylko krwią i życiem.

Oto historia awanturników i husarzy, którzy wstrząsnęli murami Moskwy i sięgnęli po koronę carów.

Cykl „Orły na Kremlu” to opowieść o zderzeniu dwóch światów – wyrosłej na gruncie wolności szlacheckiej Rzeczypospolitej i ksenofobicznej Moskwy, odgrodzonej od Europy murem prawosławia. Opowieść o fenomenie husarii i wojska polskiego, zwyciężających na mroźnych stepach i lodowych pustkowiach Rosji, gdzie wieki później klęskę poniosły armie Napoleona i III Rzeszy.





**SROGIE
DODATKI
DO ULUBIONYCH
LEKTUR**



COPYRIGHT © BY Andrzej Pilipiuk
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-984-6

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

GRAFIKA PROJEKT OKŁADKI Szymon Wójciak

ILUSTRACJE Paweł Zaręba

REDAKCJA Rafał Dębski

KOREKTA Anna Koral, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

A. PILIPIUK

ZŁO — ZE — W SCHODU



DŁO ZAWSZE PRZYCIĄGA ZŁO.
JEDEN GRZECH PRZECIERA SZLAK KOLEJNYM.

SKÓRZEWSKI & STORM

Każdy czas niesie własne wyzwania, a każde miejsce ma swoje tajemnice – jedne fascynujące, inne groźne, niektóre niebezpieczne. A także takie, których nie warto badać, jeśli nie chce się przekroczyć granicy, za którą człowieczeństwo rozpada się niczym rozbita szklanka.



ADRZEJ PILIPIUK zabiera nas w podróż przez czas, przestrzeń i rozmaite odcienie ludzkich dusz i sumień. Od odległych krzyków umierających na arenach gladiatorów przez magię wciąż tętniącą w wiecznej zmarzlinie Syberii po enklawy dawnych tajemnic we współczesnej Warszawie. Zmieniają się dekoracje, ludzie, technologie. Jedna prawda pozostaje jednak niezmienna: nie ma ludzi jednoznacznie dobrych lub złych. **ALE ZAWSZE WARTO SZUKAĆ TYCH, W KTÓRYCH ZWYCIĘŻA DOBRO.**

fabrykaslow.com.pl

 /fabryka

 /fabrykaslow

Współpraca medialna:

 **lubimy czytać**

 OFICJALNY
FANKLUB
ANDRZEJA
PILIPIUKA

 **PANAMIESCIA**

